

MIKOŁAJ GOGOL

MARTWE DUSZE

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

ROZDZIAŁ I

Do bramy hotelu w gubernialnym mieście N. wjechała dość ładna, nieduża bryczka na resorach, w rodzaju tych, którymi jeżdżą kawalerowie: dymisjonowani podpułkownicy, sztabskapitanowie, ziemianie posiadający około setki dusz chłopskich, słowem wszyscy ci, których nazywają średnio zamożnymi. W bryczce siedział pan niezbyt przystojny, ale i niebrzydki, ani nazbyt tłusty, ani nazbyt chudy; nie można powiedzieć, żeby stary, jednak niezbyt młody. Przyjazd jego nie zrobił w mieście żadnego hałasu i nie towarzyszyło mu nic szczególnego; tylko dwaj rosyjscy chłopci, stojący u drzwi karczmy naprzeciwko hotelu, poczynili jakieś spostrzeżenia, odnoszące się zresztą bardziej do pojazdu niż do tego, kto w nim siedział. – Patrzaj no – powiedział jeden do drugiego – to ci koło! Jak myślisz, dojechałoby to koło, jakby było trzeba, do Moskwy, czyby nie dojechało? – Dojechałoby – odpowiedział drugi. – A do Kazania, to myślę, że nie dojechałoby? – Do Kazania nie dojechałoby – odpowiedział drugi. Na tym się rozmowa skończyła. I jeszcze, kiedy bryczka podjechała do hotelu, nawinął się młodzieniec w białych dymkowych pantalonach, bardzo wąskich i krótkich, we fraku z pretensjami do mody, spod którego widać było gors spięty tulską spinką z pistoletem z brązu. Młodzieniec odwrócił się, popatrzył na pojazd, przytrzymał ręką czapkę, która mu omal nie zleciała na wietrze, i poszedł w swoją stronę.

Gdy pojazd wjechał w podwórze, pan został przyjęty przez służącego z hotelu albo, jak ich nazywają, numerowego, człowieka żywego i ruchliwego do tego stopnia, że nawet nie można było dostrzec, jaką miał twarz. Wybiegł zwinnie z serwetką w rękę, długi i w długim kortowym surducie, z kołnierzem omal że nie na głowie, potrząsnął włosami i zwinnie poprowadził pana na górę przez całą drewnianą galerię do zesłanego mu przez Boga pokoju. Pokój był wiadomego rodzaju, bo i hotel też był wiadomego rodzaju, to jest właśnie taki, jakie zwykle bywają w miastach gubernialnych, gdzie za dwa ruble na dobę przejezdni otrzymują dogodny pokój z karaluchami jak suszone śliwki, wyglądającymi ze wszystkich kątów, i z drzwiami do sąsiedniego pomieszczenia zawsze zastawionymi komodą, gdzie zagospodarowuje się sąsiad, człowiek małomówny i spokojny, ale nadzwyczaj ciekawy, interesujący się wszystkimi drobiazgami dotyczącymi przyjezdnego. Front hotelu odpowiadał jego wnętrzu: był bardzo długi, jednopiętrowy; parter nie był otynkowany i świecił ciemnoczerwonymi cegiełkami, jeszcze bardziej pociemniałymi skutkiem pogody i z natury brudnymi; pierwsze piętro było pomalowane odwieczną żółtą farbą; na dole były sklepiły z chomątami, powrozami i obwarzankami. W narożnym sklepiku, a właściwie w oknie, tkwił handlarz sbitniem¹, z samowarem z czerwonej miedzi i o twarzy tak samo czerwonej jak samowar, tak że z daleka można było pomyśleć, że na oknie stoją dwa samowary, gdyby jeden z samowarów nie miał czarnej jak smoła brody.

Podczas gdy przyjezdny pan oglądał swój pokój, wniesiono jego bagaż: przede wszystkim walizę z białej skóry, trochę zniszczoną, co wskazywało, że nie po raz pierwszy była w drodze. Walizkę wniósł stangret Selifan, niziutki mężczyzna w kozuszkach, i lokaj Pietrek, chłopisko lat około trzydziestu, w luźnym znoszonym surducie, widocznie po panu, z wyglądu nieco surowy, z bardzo grubymi wargami i nosem. Za walizą wniesiono niewielki mahoniowy sepet wykładany brzezina karelską, prawidła do butów i pieczoną kurę owiniętą w niebieski papier. Gdy wszystko to przyniesiono, stangret Selifan poszedł do stajni zająć się końmi, a lokaj Pietrek zaczął się urządzać

¹ Sbitień – napój z wrzódki zaprawionego miodem i korzeniami

w małym przedpokoiku, bardzo ciemnej norce, dokąd zdążył już przynieść swój szynel, a wraz z nim jakiś własny zapach, który udzielił się i przyniesionemu zaraz potem workowi z różnymi lokajskimi przyborami. W tej norce przysunął do ściany wąziutkie łóżko na trzech nogach, nakrywając je czymś podobnym do małego materaca, zbitym i płaskim jak blin i, być może, tak samo zatłuszczonym jak blin, który udało mu się wydębic od właściciela hotelu.

Podczas gdy służący krzatali się zapobiegliwie, pan udał się do ogólnej sali. Jakie bywają te ogólne sale – każdy przejezdny wie bardzo dobrze. Takie same ściany, wymalowane olejną farbą, pociemniałe u góry od fajczanego dymu i wyświecone u dołu plecami różnych przejezdnych, a zwłaszcza miejscowymi kupieckimi, kupcy bowiem w dni targowe przychodzili tu w sześciu albo w siedmiu wypijając wiadomą ilość herbaty; taki sam zakopcony żyrandol z mnóstwem wiszących szkielek, które dygotały i dzwoniły za każdym razem, gdy numerowy przebiegał po wytartych chodnikach, żwawo wymachując tacą, na której było takie mnóstwo szklanek do herbaty, jak ptaków na brzegach morza; takie same obrazy na całą ścianę, malowane olejnymi farbami; słowem, wszystko to samo co i wszędzie; ta tylko różnica, że na jednym obrazie była namalowana nimfa z takimi ogromnymi piersiami, jakich czytelnik zapewne nigdy nie oglądał. Podobna igraszka natury zdarza się zresztą na różnych obrazach historycznych, nie wiadomo kiedy, skąd i przez kogo przywiezionych do nas, do Rosji, niekiedy nawet przez naszych wielkich panów, miłośników sztuki, którzy zakupili je we Włoszech za radą wiozących ich pocztylionów. Pan zdjął czapkę i odwiązał z szyi wełniany, o tęczyowych kolorach szalik, jaki ludziom żonatym własnoręcznie robi żona, dając przy tym dobre rady, jak go zawiązywać, a kawalerom – nie mogę na pewno powiedzieć, kto im robi, Bóg ich raczy wiedzieć, ja nigdy nie nosiłem takich szalików. Odwiązawszy szalik, pan kazał sobie podać obiad. Podczas gdy podawano mu różne zwykłe w restauracjach potrawy, jako to: kapuśniak z kruchym pierożkiem, umyślnie w ciągu kilku tygodni przechowywanym dla przejezdnych, mózdek z groszkiem, kiełbaski z kapustą, pieczoną pularde, kiszone ogórki i odwieczny kruchy, słodki pierożek zawsze gotów do usług; podczas gdy mu to wszystko podawano i na gorąco, i na zimno, kazał służącemu, czyli numerowemu, opowiadać sobie różne głupstwa o tym, kto dawniej prowadził tę restaurację, a kto teraz, i czy dużo daje dochodu, i czy gospodarz wielki łajdak, na co numerowy zazwyczaj odpowiadał: „O, wielki złodziej, proszę pana!” Jak w oświeconej Europie, tak samo i w oświeconej Rosji istnieje teraz wielu szanownych ludzi, którzy nie mogą zjeść w restauracji, żeby nie pogadać ze służącym, a niekiedy nawet zabawnie sobie z niego pożartować. Zresztą, przyjezdny nie zadawał tylko próżnych pytań; z nadzwyczajną ścisłością rozpytywał się, kto jest w mieście gubernatorem, kto prezesem sądu, kto prokuratorem – słowem, nie opuścił żadnego Ważniejszego urzędnika, ale z jeszcze większą ścisłością, jeżeli nawet nie ze szczególnym zainteresowaniem, rozpytywał się o wszystkich zamożniejszych obywateli ziemskich: ile kto ma dusz chłopskich, jak daleko mieszka od miasta, nawet jaki ma charakter i jak często przyjeżdża, rozpytywał się uważnie o stan prowincji, czy nie było w ich guberni jakich chorób, epidemicznej gorączki, jakiejś zabójczej febry, ospy i tym podobnych, a wszystko to tak szczegółowo i z taką dokładnością, która wskazywała na coś więcej niż na zwykłą ciekawość. Pan miał w obejściu coś solidnego i wycierał nos niebywale głośno. Nie wiadomo, jak on to robił, ale nos jego grzmiał jak trąba. Ta na pozór niewinna właściwość przysporzyła mu jednak wiele szacunku ze strony służącego z restauracji, tak że ten za każdym razem, gdy słyszał ów dźwięk, potrzasał włosami, prostował się z szacunkiem i nachylając głowę z wysokości pytał: „Czy wielmożny pan sobie czego nie życzy?” Po obiedzie pan wypił filiżankę kawy i usiadł na kanapie, podłożywszy sobie pod plecy poduszkę, którą w rosyjskich restauracjach zamiast elastyczną wełną wypychają czymś bardzo podobnym do cegieł i kamieni brukowych. Wkrótce zaczął ziewać i kazał się odprowadzić do swego numeru, gdzie położywszy się zasnął na dwie godziny. Odpocząwszy, napisał na kawałku papieru – na prośbę służącego z restauracji – swą rangę, imię i nazwisko, w celu zameldowania tam gdzie należy, w policji. Numerowy, schodząc ze schodów, przesyłabizował z kartki, co następuje: radca kolegiálny Paweł Iwanowicz Cziczikow, obywatel ziemski, w sprawach prywatnych. Gdy numerowy wciąż jeszcze sylabizując

odcyfrowywał kartkę, sam Paweł Iwanowicz udał się, by obejrzeć miasto, z którego był, zdaje się, zadowolony, albowiem znalazł, iż miasto bynajmniej nie ustępuje innym miastom gubernialnym. Mocno biła w oczy żółta farba na kamienicach i skromnie ciemniała szara na drewnianych domach. Domy były parterowe i półtorapiętrowe, z odwiecznymi facjatkami, bardzo ładnymi według mniemania gubernialnych architektów. Gdzieniegdzie domy te wydawały się zagubione pośród szerokiej jak pole ulicy i nie kończących się drewnianych płotów; gdzieniegdzie zbijały się w kupę i tam widać było więcej ludzi i ożywienia. Trafiały się prawie zmyte deszczem szyldy z rogalami i z butami, tu i ówdzie z namalowanymi niebieskimi spodniami i z nazwiskiem jakiegoś krawca Arszawskiego; tu sklep z czapkami, z napisem: „Cudzoziemiec Wasyl Fiodorow”; ówdzie namalowany bilard z dwoma graczami we frakach, w jakie ubierają się u nas w teatrach goście wchodzący na scenę w ostatnim akcie. Gracze byli namalowani z wycelowanymi kijami, z trochę wykręconymi w tył rękami i krzywymi nogami, które dopiero co wykonały w powietrzu *entrechat*. Pod tym wszystkim było napisane: „A oto zakład”. Tu i ówdzie, wprost na ulicy, stały stoły z orzechami, mydłem i piernikami podobnymi do mydła; tam znów garkuchnia z namalowaną tłustą rybą i wetkniętym w nią widelcem. Najczęściej zaś można było zauważyć pociemniałe dwugłowe orły państwowe, które teraz już zostały zastąpione lakonicznym napisem: „Szynk”. Bruki wszędzie były kiepskie. Zajrzał i do ogrodu miejskiego, składającego się z cieniutkich drzewek, które się źle przyjęły, z podpórkami w kształcie trójkątów u dołu, bardzo ładnie pomalowanymi zieloną farbą olejną. Zresztą, chociaż te drzewka nie były wyższe od trzciny, pisano o nich w gazetach przy opisie iluminacji, że „miasto nasze zostało dzięki staraniom naczelnika miasta przyozdobione ogrodem, składającym się z cienistych, rozłożystych. drzew, dających ochłodę w skwarny dzień” i że przy tym „było bardzo miło patrzeć, jak serca obywateli drżały z nadmiaru wdzięczności i wylewały potoki łez na znak uznania dla pana naczelnika miasta”. Rozpytawszy szczegółowo strażnika, którego można by przejść bliżej, jeżeli będzie trzeba, do soboru, do miejsc publicznych, do gubernatora, poszedł spojrzeć na rzekę przepływającą przez środek miasta; po drodze zdarł przybity do słupa afisz, żeby po przyjeździe do domu dokładnie go przeczytać; popatrzył uważnie na idącą po drewnianym chodniku damę o niebrzydkiej powierzchowności, za którą szedł chłopiec w wojskowym mundurze, z zawiniątkiem w rękę, i jeszcze raz obrzuciwszy wszystko spojrzeniem, jakby po to, żeby dobrze zapamiętać położenie, udał się do domu, prosto do swego numeru, podtrzymywany z lekka na schodach przez służącego z restauracji. Po wypiciu herbaty usiadł przy stole, kazał sobie podać świecę, wyjął z kieszeni afisz, podniósł go do świecy i zaczął czytać mrużąc trochę prawe oko. Zresztą w afiszu nie było nic godnego uwagi: wystawiano dramat pana Kotzebue, w którym Rollę grał pan Poplewin, Korę – panna Ziablowa, inne osoby były jeszcze mniej ciekawe; jednakże przeczytał je wszystkie, doszedł nawet do ceny parteru i dowiedział się, że afisz był drukowany w drukarni zarządu gubernialnego; później odwrócił na drugą stronę, żeby zobaczyć, czy i tam czego nie ma, ale nic nie znalazłszy przetaił oczy, zwinął arkusz starannie i włożył go do swego sepetu, gdzie miał zwyczaj kłaść wszystko, co popadło. Dzień, zdaje się, został zakończony porcją zimnej cielęciny, butelką musującego kwasu i mocnym snem na cały regulator, jak się wyrażają w niektórych miejscowościach obszernego państwa rosyjskiego.

Cały następny dzień był poświęcony wizytom; przyjezdny poszedł składać wizyty wszystkim miejskim dygnitarzom. Złożył uszanowanie gubernatorowi, który, okazało się, był, podobnie jak Cziczikow, ani tłusty, ani chudy, miał na szyi Annę i mówiono nawet, że był przedstawiony do gwiazdy; zresztą był to wielki pocziwiec i nawet sam wyszywał czasem na tiulu. Potem udał się do wicegubernatora, potem był u prokuratora, u prezesa sądu, u policmajstra, u dzierżawcy wódczanego, u zarządzającego fabrykami rządowymi... szkoda, że trochę trudno zapamiętać wszystkich możliwych tego świata; ale wystarczy powiedzieć, że przyjezdny okazał wielką gorliwość pod względem wizyt. Przyszedł nawet złożyć uszanowanie inspektorowi zarządu szpitali i miejskiemu architektowi. I potem długo jeszcze siedział w bryczce, namyślając się, komu by jeszcze złożyć wizytę, ale nie znalazło się już w mieście więcej urzędników. W rozmowach z tymi potęgami umiał bardzo zręcznie pochlebiać każdemu. Gubernatorowi napomknął jakoś, że do jego

guberni wjeżdża się jak do raj, drogi wszędzie aksamitne, i że te władze, które naznaczają mądrych dygnitarzy, godne są wielkiej pochwały. Policmajstrowi powiedział coś bardzo pochlebnego o miejskich strażnikach, a w rozmowach z wicegubernatorem i prezesem sądu, którzy byli dopiero radcami stanu, powiedział nawet przez omyłkę dwa razy: „ekscelencjo”, co im się bardzo spodobało. Skutek był taki, że gubernator poprosił go do siebie tego samego dnia na prywatny wieczorek, inni urzędnicy także – ten na obiad, ów na partię bostona, tamten na herbatę.

Przyjezdny, jak się zdaje, unikał mówienia o sobie; a jeżeli mówił, to jakimiś ogólnikowymi zwrotami, z wyraźną skromnością, i rozmowa z nim w takich wypadkach przybierała nieco książkowy charakter, że jest nic nie znaczącym robakiem tego świata i nie godzien, żeby się nim zbyt zajmowano, że wiele doświadczył w swoim życiu, że na służbie cierpiał w imię prawdy, miał wielu nieprzyjaciół, grożących nawet jego życiu, i że teraz, pragnąc spokoju, szuka sobie wreszcie miejsca do osiedlenia się, i że po przybyciu do tego miasta uznał za swój obowiązek okazać szacunek pierwszym jego dygnitarzom. Oto wszystko, czego się dowiedziano w mieście o tej nowej osobistości, która w bardzo krótkim czasie nie omieszkała pokazać się na gubernatorskim wieczorku. Przygotowania do tego wieczorku zajęły przeszło dwie godziny i tu przyjezdny okazał taką dbałość o toaletę, jaką nie wszędzie się widuje. Po krótkim śnie poobiednim kazał sobie podać przybory do mycia i nadzwyczajnie długo nacierał mydłem oba policzki podparłszy je od wewnątrz językiem; potem, wzięwszy z ramienia numerowego ręcznik, wytarł nim ze wszystkich stron swą pełną twarz, zacząwszy od uszu i parsknąwszy przedtem dwa razy prosto w twarz numerowego. Potem włożył przed lustrem gors, wyrwał dwa wylazące z nosa włoski i bezpośrednio potem nałożył frak koloru borówek „z iskrą”. Tak ubrany pojechał własnym ekwipażem przez niezmiernie szerokie ulice, oświetlone skąpym światłem gdzieś błyszczących okien. Zresztą dom gubernatora był oświetlony prawie jak na bal; powozy z latarniami, przed podjazdem dwóch żandarmów, okrzyki forysiów w oddali – słowem, wszystko jak należy. Cziczikow po wejściu do salonu był zmuszony na chwilę przymrużyć oczy, bo blask świec, lamp i damskich sukien był straszny. Wszystko było zalane światłem. Czarne fraki przemykały i krążyły pojedynczo lub grupami tu i tam, jak krążą muchy po białej lśniącej rafinadzie w czasie gorącego lipcowego lata, kiedy stara klucznica przy otwartym oknie rąbie ją i dzieli na błyszczące kawałki; wszystkie dzieci patrzą zebrawszy się wokoło, śledząc ciekawe ruchy jej szorstkich rąk podnoszących młotek, a powietrzne szwadrony much, unoszone lekkim powiewem, wlatują śmiało, jak prawowici gospodarze, i korzystając z krótkowzroczności staruszki i ze słońca, które oślepia jej oczy, obsiadają smaczne kąski: tam pojedynczo, ówdzie zwartymi grupami. Nasycone bogatym latem, które i tak na każdym kroku rozstawia smaczne potrawy, przyleciały wcale nie po to, żeby jeść, lecz żeby tylko się pokazać, przejść się tam i z powrotem po rozsypanym cukrze, potrząść jedną o drugą tylne albo przednie łapki, podrapać się nimi pod skrzydełkami albo wyciągnąwszy obie przednie łapki potrząść sobie nimi nad głową, obrócić się i znów odlecieć, i znów przylecieć nowymi dokuczliwymi szwadronami.

Cziczikow nie zdążył się rozejrzeć, a już został wzięty pod rękę przez gubernatora, który natychmiast przedstawił go gubernatorowej. Przyjezdny gość i tu umiał się znaleźć; powiedział jakiś komplement, całkiem odpowiedni dla człowieka w średnim wieku, posiadającego rangę niezbyt wysoką, ale i niezbyt niską. Gdy pary taneczne przycisnęły wszystkich do ściany, założywszy ręce w tył, spoglądał na nie bardzo uważnie przez dwie minuty. Wiele dam było ubranych ładnie i modnie, inne ubrały się w to, co Bóg dał w mieście prowincjonalnym. Mężczyźni tutaj, jak i wszędzie, byli dwóch rodzajów: jedni chudzi, uwijający się wciąż koło dam; niektórzy z nich byli tacy, że trudno ich było odróżnić od petersburżan: mieli tak samo starannie, z rozmysłem i gustem zaczesane bokobrody albo też miłe, zupełnie gładko ogolone owale twarzy, tak samo niedbale przysiadali się do dam, tak samo mówili po francusku i rozśmieszali damy tak samo jak w Petersburgu. Inny rodzaj mężczyzn stanowili tłuści albo też tacy jak Cziczikow, to jest nie żeby nazbyt tłuści, ale i nie chudzi. Ci, wprost przeciwnie, krzywili się i stronili od dam, i tylko rozglądali się po kątach, czy służący gubernatora nie rozstawia gdzie zielonego stolika do wista.

Twarze ich były pełne i okrągłe, niektórzy mieli brodawki, ten i ów był nawet dziobaty, włosów na głowie nie czesali ani w czub, ani w pukle, ani na sposób „niech mnie diabli wezmą”, jak mówią Francuzi; włosy mieli albo krótko podstrzyżone, albo przylizane, a rysy twarzy bardziej zaokrąglone i mocne. Byli to najszanowniejsi urzędnicy w mieście. Niestety! tłuści lepiej umieją na tym świecie dbać o swoje sprawy niż chudzi. Chudzi są raczej urzędnikami do specjalnych poruczeń albo tylko figurują na liście i wałęsają się tu i tam: ich egzystencja jest jakoś nazbyt lekka, eteryczna i zupełnie niepewna. Tłuści zaś nigdy nie zajmują nieokreślonych miejsc, zawsze tylko określone i jeżeli już gdzie zasiadają, to pewnie i mocno, tak że raczej miejsce zatrzeszczy i ugnie się pod nimi, niż oni spadną. Zewnętrznego poloru nie lubią; ich fraki nie są tak dobrze skrojone jak chudych, za to w szkatułkach błogosławieństwo boże. Chudy w ciągu trzech lat nie ma ani jednej duszy, której by nie zastawił w lombardzie; tłusty – tylko popatrzeć – już ma gdzieś na końcu miasta dom, kupiony na imię żony, potem na drugim końcu drugi dom, potem wioskę pod miastem, potem wieś jak się patrzy. Wreszcie tłusty, wysłużywszy się Bogu i cesarzowi, zasłużywszy na powszechne poważanie, porzuca służbę i zostaje obywatelem ziemskim, znacym panem rosyjskim, prowadzi dom otwarty i żyje sobie, i dobrze żyje. A po nim znowu chudzi spadkobiercy, rosyjskim obyczajem, przepuszczają galopem ojcowski dobytek. Nie można ukryć, że Cziczikow zajmował się prawie takiego rodzaju rozmyślaniami, kiedy przypatrywał się towarzystwu, i rezultatem było to, że przyłączył się w końcu do tłustych, wśród których spotykał prawie wszystkie znajome twarze – prokuratora z bardzo czarnymi, gęstymi brwiami i trochę mrugającym lewym okiem, jakby mówił: „Chodźmy, bracie, do drugiego pokoju, tam ci coś powiem”, człowieka zresztą poważnego i małomównego; poczmistrza, człowieka niziutkiego, ale dowcipnisią i filozofa; prezesa sądu, nader rozsądnego i uprzejmego człowieka – wszyscy powitali go jak starego znajomego, na co Cziczikow oddawał ukłony trochę na ukos, zresztą nie bez wdzięku. Zaraz zapoznał się z bardzo uprzejmym i grzecznym właścicielem ziemskim Maniłowem i trochę niezgrabnym z wyglądu Sobakiewiczem, który natychmiast nastąpił mu na nogę mówiąc: „Proszę wybaczyć”. Zaraz też podsunęto mu kartę do wista, którą przyjął z takim samym grzecznym ukłonem. Usiedli przy zielonym stoliku i nie wstawali już aż do kolacji. Wszystkie rozmowy zupełnie się urwały, jak się zawsze dzieje, gdy nareszcie przystępuje się do poważnego zajęcia. Chociaż poczmistrz był bardzo rozmowny, ale i ten, wzięwszy karty do rąk, natychmiast przybrał myślący wyraz twarzy, górną wargę nakrył dolną i zachował taką minę przez cały czas gry. Wychodząc figurą, mocno uderzał ręką o stół mówiąc, jeżeli była dama: „Idź, stara popadło!”, jeżeli zaś król: „Idź, tambowski chłopie!” A prezes podgadywał: „A ja go po wąsach, a ja ją po wąsach!” Czasami przy uderzeniu kartami o stół wyrwały się wyrażenia: „A! było nie było, jak nie ma w co, to w karo!” Albo po prostu okrzyki: „Kiery! kiereczki! pikiencja!” albo „Piki, piczki! pikiendras!”, a nawet po prostu: „Piczuk!” – nazwy, którymi w swym towarzystwie ochrzczili kolory. Po zakończeniu gry, jak to bywa, spierano się dość głośno. Nasz przyjezdny gość również się spierał, ale jakoś nadzwyczaj subtelnie, tak iż wszyscy widzieli, że się spierał, a równocześnie spierał się w bardzo miły sposób. Nigdy nie mówił: „Pan wyszedł” tylko: „Pan był łaskaw wyjść”. „Miałem zaszczyt zabić pańską dwójkę” – i tym podobnie. Żeby jeszcze bardziej przekonać swoich przeciwników, za każdym razem podsuwał im wszystkim swą srebrną emaliowaną tabakierkę, na której dnie zauważono dwa fiołki, włożone tam dla zapachu. Uwagę przyjezdnego szczególnie zwrócili na siebie właściciele ziemscy Maniłow i Sobakiewicz, o których było wyżej wspomniane. Zaraz się o nich poinformował odwoławszy nieco na stronę prezesa i poczmistrza. Kilka pytań, zadanych przez niego, świadczyło nie tylko o ciekawości gościa, ale i o rzeczowości; przede wszystkim bowiem wypytał się, ile każdy z nich posiada dusz chłopskich i w jakim stanie znajdują się ich majątki, a potem dopiero dowiedział się o imię i imię ojca. W krótkim czasie udało mu się zupełnie ich oczarować. Właściciel ziemski Maniłow, człowiek jeszcze bynajmniej niestary, mający oczy słodkie jak cukier i przymrużający je za każdym razem, gdy się śmiał, stracił głowę dla Cziczikowa. Bardzo długo ścisnął mu rękę i prosił usilnie o zaszczytowanie go przyjazdem na wieś, do której, według jego słów, było tylko piętnaście wiorst od miejskiej rogatki. Na to

Cziczikow z bardzo grzecznym pochyleniem głowy i serdecznym uściskiem ręki odpowiedział, że nie tylko z miłą chęcią gotów jest to zrobić, ale będzie to sobie poczytywał za swój święty obowiązek. Sobakiewicz również powiedział nieco lakonicznie: – Proszę i do mnie – szurnąwszy nogą obutą w trzewik tak olbrzymiej wielkości, że nie wiadomo, czy znalazłaby się dla niego odpowiednia noga, zwłaszcza dziś, kiedy w Rosji zaczynają znikać legendarni bohaterowie.

Następnego dnia Cziczikow udał się na obiad i na wieczór do policmajstra, u którego goście zasiedli do wista o trzeciej po obiedzie i grali do drugiej w nocy. Tam między innymi zapoznał się z właścicielem ziemskim Nozdriowem, człowiekiem lat około trzydziestu, bardzo swobodnym, który po kilku słowach zaczął mu mówić „ty”. Policmajstrowi i prokuratorowi Nozdriow również mówił „ty” i był z nimi na stopie przyjacielskiej; ale gdy zasiedli do wysokiej gry, policmajster i prokurator nadzwyczaj bacznie obserwowali jego lewy i uważali prawie na każdą kartę, którą wychodził. Następnego dnia Cziczikow spędził wieczór u prezesa sądu, który w nieco zatłuszczonym szlafroku przyjmował swych gości, w tej liczbie jakieś dwie damy. Potem był na wieczorze u wicegubernatora, na wystawnym obiedzie u dzierżawcy wódczanego i u prokuratora na skromnym, który zresztą mógł ujść za wystawny; na śniadaniu wydanym po nabożeństwie przez naczelnika miasta, które również warte było tyle co obiad. Słowem, ani godziny nie pozostawał w domu i do hotelu przyjeżdżał tylko po to, żeby spać. Przyjezdny w każdej sytuacji jakoś umiał się znaleźć i dowiódł, że jest doświadczonego światowcem. O czymkolwiek toczyła się rozmowa, zawsze umiał ją podtrzymać. Jeśli mówiono o hodowli koni – mówił o hodowli koni; jeśli mówiono o rasowych psach – i tu wygłaszał bardzo rzeczowe spostrzeżenia; w rozmowie o śledztwie, przeprowadzonym przez izbę skarbową, dowiódł, że i procedura sądowa nie jest mu obca; gdy była mowa o grze w bilard – i tu nie był ignorantem; jeśli rozmawiano o cnocie – i o cnocie mówił bardzo dobrze, nawet ze łzami w oczach, o przyrządzaniu grzanego wina – znał się na grzonym winie; o nadzorcach i urzędnikach celnych – i o nich mówił tak, jakby sam był i urzędnikiem, i nadzorcą. Ale szczególne, że wszystko to umiał mówić z jakimś umiarem, zawsze potrafił znaleźć się. Mówił nie za głośno i nie za cicho, ale akurat tak jak należy. Słowem, był przyzwoitym człowiekiem pod każdym względem. Wszyscy urzędnicy byli zadowoleni z przyjazdu nowej osobistości. Gubernator wyraził się o nim, że to człowiek dobrze myślący, prokurator, że to bardzo rzeczowy człowiek; pułkownik żandarmerii mówił, że to człowiek bardzo uczony; prezes sądu, że to człowiek doświadczony i szanowny; policmajster, że to człowiek szanowny i miły; żona policmajstra, że to człowiek bardzo miły i bardzo uprzejmy. Nawet sam Sobakiewicz, który rzadko się o kimś dobrze wyrażał, przyjechawszy dość późno z miasta do domu, leżąc już zupełnie rozebrany w łóżku obok swojej chuderlawej żony, powiedział jej: – Byłem, kochanie, na wieczorze u gubernatora, jadłem obiad u policmajstra i zapoznałem się z radcą kolegialnym Pawłem Iwanowiczem Cziczikowem. Bardzo miły człowiek! – Na co małżonka odpowiedziała: – Hm! – i trąciła go nogą.

Taka opinia, bardzo pochlebna dla gościa, powstała o nim w mieście i utrzymała się dopóty, dopóki pewna dziwna właściwość gościa i przedsięwzięcie albo, jak mówią na prowincji, kazus, o którym czytelnik niedługo się dowie, nie wprawiły w zdumienie prawie całego miasta.

ROZDZIAŁ II

Przyjezdny pan przebywał w mieście już więcej niż tydzień, rozjeżdżając po wieczorkach i obiadach, i w ten sposób spędzając, jak się to mówi, bardzo mile czas. W końcu postanowił przenieść swe wizyty poza miasto i odwiedzić właścicieli ziemskich Maniłowa i Sobakiewicza, którym dał słowo. Być może, iż pobudziła go do tego inna, istotniejsza przyczyna, sprawa poważniejsza, bliższa sercu... Ale o tym wszystkim czytelnik dowie się stopniowo w odpowiednim czasie, jeżeli tylko starczy mu cierpliwości na przeczytanie niniejszego opowiadania, bardzo długiego i mającego się potem rozwinąć szerzej, w miarę zbliżania się do końca, wieńczącego dzieło. Stangret Selifan otrzymał polecenie zaprzęgnięcia wczesnym rankiem koni do znanej nam bryczki. Pietrek miał siedzieć w domu, uważać na pokój i walizę. Nie zawadzi, jeśli czytelnik pozna się z tymi dwoma poddanymi naszego bohatera. Chociaż, rzecz prosta, są oni osobistościami mało wybitnymi, takimi, które nazywa się drugorzędnymi i trzeciorzędnymi, chociaż główne posunięcia i sprężyny akcji poematu nie na nich się opierają, zaledwie gdzieś ich dotykają i z lekka o nie zahaczają – lecz autor lubi we wszystkim być bardzo dokładny i pod tym względem, pomimo że sam jest Rosjaninem, chce być akuraty jak Niemiec. Zajmie to zresztą niewiele czasu i miejsca, bo niewiele trzeba dodać do tego, co czytelnik już wie, a mianowicie, że Pietrek chodził w trochę za obszernym brązowym surducie po panu i miał, zwyczajem ludzi swego stanu, gruby nos i usta. Usposobienia był raczej milczącego niż gadatliwego, posiadał nawet szlachetną skłonność do oświaty, to jest do czytania książek, o których treść się nie troszczył: było mu zupełnie wszystko jedno, czy to przygody zakochanego bohatera, czy po prostu elementarz albo modlitewnik – wszystko czytał z jednakową uwagą; gdyby mu podsunęto chemię – i tej by nie odrzucił. Podobało mu się nie to, o czym czytał, lecz raczej samo czytanie, ściślej sam proces czytania, że oto z liter ciągle wychodzi jakieś słowo, które czasami diabli wiedzą, co znaczy. To czytanie odbywało się najczęściej w pozycji leżącej, w przedpokoju, na łóżku i na materacu, który z tego powodu stał się zbity i cienki jak placek. Oprócz namiętności do czytania miał jeszcze dwa przyzwyczajenia, stanowiące dwie inne jego cechy charakterystyczne: spać nie rozbierając się, tak jak stał, w tym samym surducie, i nosić zawsze ze sobą jakiś szczególny, sobie tylko właściwy zapach, podobny do zapachu zamieszkałego pokoju. Wystarczyło, żeby tylko postawił gdzieś swoje łóżko, choćby nawet w nie zamieszkałym dotąd pokoju, i przyniósł tam swój szynel i rzeczy, a już zdawało się, że w tym pokoju od dziesięciu lat mieszkają ludzie. Cziczikow, będąc człowiekiem bardzo wrażliwym, a nawet w niektórych wypadkach przewrażliwionym, wciągnawszy zaraz po obudzeniu powietrze w nozdrza, marszczył się tylko i potrząsał głową mówiąc; „Ty, bracie, diabli cię wiedzą, pocisz się czy co. Poszedłbyś chociaż do łaźni”. Na co Pietrek nic nie odpowiadał i starał się natychmiast zająć jakąś robotą: albo podchodził ze szczotką do wiszącego pańskiego fraka, albo po prostu coś sprzątał. Co myślał wtedy, gdy milczał? Być może, iż mówił do siebie: „I ty także dobryś, że też ci się nie naprzykrzyło czterdzieści razy powtarzać jedno i to samo”. Bóg raczy wiedzieć, nie wiadomo, co myśli dworski poddany wtedy, gdy pan daje mu nauki. A więc oto co na pierwszy raz można powiedzieć o Pietrku. Stangret Selifan był zupełnie inny... Ale autor ma wielkie skrupuły, że zajmuje tak długo czytelników ludźmi niskiego pochodzenia, wiedząc dobrze, jak niechętnie zawierają oni znajomość z niższą klasą. Rosjanin taki już jest: ma wielką ochotę do zapoznania się z tym, kto jest choćby o jedną rangę wyższy od niego, i daleka znajomość z hrabią albo z księciem więcej dla mego znaczy od wszelkich zażytych stosunków przyjacielskich. Autor

obawia się nawet o swego bohatera, który jest tylko radcą kolegialnym. Rady nadworni, być może, zapoznają się z nim, ale ci, którzy się już dochrapali rang generalskich, ci, Bóg raczy wiedzieć, być może, rzucają nawet jedno z tych pogardliwych spojrzeń, które człowiek dumnie rzuca na wszystko, co mu się płacze u nóg, albo, być może, jeszcze gorzej, przejdą z zabójczą dla autora obojętnością. Lecz jakkolwiek przykre jest i to i tamto, trzeba jednak wrócić do bohatera. A więc wydawszy odpowiednie zarządzenia jeszcze z wieczora, obudził się rano bardzo wcześnie, umył się, wytarł od stóp do głów mokrą gąbką, co robił tylko w niedziele – a tego dnia była właśnie niedziela – ogolił się tak, że policzki stały się prawdziwym atlasem, jeżeli wziąć pod uwagę gładkość i połysk, nałożył frak koloru borówek, „z iskrą”, a potem futro niedźwiedzie, zszedł ze schodów, podtrzymywany pod rękę to z jednej, to z drugiej strony przez numerowego, i wsiadł do bryczki. Bryczka z turkotem wyjechała z bramy hotelu na ulicę. Przechodzący pop zdjął kapelusz, kilka chłopców w zabrudzonych koszulach wyciągnęło ręce, mówiąc: – Wielmożny panie, wspomóż sierotę! – Stangret, zauważywszy, że jeden z nich ma wielką ochotę uwiesić się z tyłu, smagnął go batem i bryczka zaczęła skakać po kamieniach. Z radością ujrzano z daleka pasiasty szlaban, świadczący, że brukowana ulica, tak samo jak i każda inna męka, musi się wkrótce skończyć. Cziczikow uderzył się jeszcze kilka razy dość mocno o budę, i wreszcie bryczka potoczyła się po miękkiej ziemi. Za ledwie miasto zniknęło w tyle, gdy zaczęła się, jak to u nas, niedorzeczność i dzicz po obu stronach drogi: górki, jedlina, niziutkie, rzadkie kępy młodych sosen, opalone pnie starych, dziki wrzos i tym podobne głupstwa. Trafiały się wyciągnięte pod sznur wsie, przypominające budową stare uskładane drwa, pokryte szarymi dachami, z rzeźbionymi w drzewie ozdobami, które podobne były do wiszących haftowanych ręczników. Kilku chłopów w swych baranich kozuchach ziewało, jak zazwyczaj siedząc na ławkach przed wrotami. Baby o tłustych twarzach i chustkach przepasanych na krzyż wyglądały przez górne szybki; przez dolne patrzył cielak albo świnia wysuwała swój tępy ryj. Słowem, widoki dobrze znane. Przejechawszy piętnastą wiorstę przypomniał sobie, że tutaj, według słów Maniłowki, powinna być jego wieś, ale minęli i szesnastą wiorstę, a wsi wciąż nie było widać i gdyby nie dwaj spotkani chłopcy, nie wiadomo, czyby im się udało trafić. Na zapytanie, czy daleko stąd do wsi Zamaniłowki, chłopcy zdjęli kapelusz i jeden z nich, który był mądrzejszy i nosił brodę w klin, odpowiedział:

– Może Maniłowka, a nie Zamaniłowka?

– No tak, Maniłowka.

– Maniłowka? Ano jak przejedziesz jeszcze jedną wiorstę, to wtenczas prosto na prawo.

– Na prawo? – odezwał się stangret.

– Na prawo – powiedział chłop. – To będziesz miał drogę do Maniłowki; a Zamaniłowki żadnej nie ma. Ona się tak nazywa, to znaczy tak mówią. Maniłowka, a Zamaniłowki tu całkiem nie ma. Tam prosto na górze zobaczysz dom murowany, piętrowy, pański dom, a w nim sam pan mieszka, to będzie Maniłowka, a Zamaniłowki żadnej tu nie ma i nie było.

Pojechali na poszukiwanie Maniłowki. Przejechawszy dwie wiorsty spotkali zakręt na polną drogę; ale już i dwie, i trzy, i cztery wiorsty, zdaje się zrobili, a murowanego domu wciąż jeszcze nie było widać. Tu Cziczikow przypomniał sobie, że jeżeli przyjaciel zaprasza do siebie na wieś odległą o piętnaście wiorst, to znaczy, że jest do niej bitych trzydzieści. Wieś Maniłowka niewielu mogła przymanić swym położeniem. Dwór stał samotnie na wzgórzu, otwartym na wszystkie wiatry, jakim tylko zechce się powiać; spadek góry, na której stał, był odziany strzyżoną darnią. Na niej rozrzucone były po angielsku dwa czy trzy klomby z krzewami bzu i żółtej akacji; pięć czy sześć brzoź tu i ówdzie wznosiło swoje rzadkie, drobnolistne wierzchołki. Pod dwiema spośród nich widać było altankę z płaską zieloną kopułką, drewnianymi niebieskimi kolumnkami i napisem: „Świątynia samotnego dumania”; niżej staw pokryty rzęsą, co zresztą nic jest rzadkością w angielskich ogrodach rosyjskich ziemian. U podnóża tej wyniosłości i po części na samym zboczku ciemniały wzdłuż i w poprzek szare drewniane chaty, które nasz bohater, nie wiadomo z jakiego powodu, natychmiast zaczął rachować i narachował ich więcej niż dwieście. Nigdzie pomiędzy nimi nie było rosnącego drzewka ani jakiegokolwiek zieloności; zewsząd wyglądały same

tylko bierwiona. Widok ożywiały dwie baby, które malowniczo podniosły spódnicę i poobtykawszy je ze wszystkich stron, brnęły po kolana w stawie, wlokąc za dwa drewniane kołki porwaną sieć, w której było widać dwa zaplątane raki i błyszcząca złapana płotka; baby, zdaje się, kłóciły się o coś i wymyślały sobie. W pobliżu, z boku, ciemniał jakimś mdłoniebieskawym kolorem sosnowy las. Nawet pogoda wypadła odpowiednia. Dzień nie był ani jasny, ani ciemny, ale jakiegoś jasnoszarego koloru – jaki bywa tylko na starych mundurach garnizonowych żołnierzy, tego na ogół spokojnego wojska, ale trochę nietrzeźwego w dni świąteczne. Do uzupełnienia obrazu nie brakowało nawet koguta, zwiastuna zmiennej pogody, który, mimo iż łeb miał zdziobany aż do mózgu dziobami innych kogutów z powodu wiadomych spraw zalotnictwa, piał bardzo głośno, a nawet trzepotał skrzydłami, wyskubanymi jak stara rogóżka. Podjeżdżając do dworu Cziczikow zauważył na ganku samego gospodarza, który stał w zielonym surducie, przyłożywszy rękę do czoła nad oczami, na kształt daszka, żeby lepiej się przyjrzeć podjeżdżającemu powozowi. W miarę jak bryczka zbliżała się do ganku, oczy jego stawały się coraz weselsze, a uśmiech coraz szerszy.

– Paweł Iwanowicz! – zawołał w końcu, gdy Cziczikow wysiadł z bryczki. – Jednak przypomniał pan sobie o nas!

Obaj przyjaciele bardzo mocno się ucałowali i Maniłow zaprowadził swego gościa do pokoju. Chociaż czas, w ciągu którego będą przechodzili przez sieni, przedpokój i stołowy, jest nieco przykrótki, spróbujemy, czy nam się nie uda jakoś go wykorzystać i powiedzieć coś nieośmieszającego o gospodarzu domu. Lecz tu autor musi się przyznać, że podobne przedsięwzięcie jest bardzo trudne. O wiele łatwiej rysować charaktery wielkich rozmiarów: tam po prostu rzuca się pełną garścią farby na płótno – czarne pałające oczy, nawisłe brwi, przecięte zmarszczką czoło, przerzucony przez ramię czarny albo purpurowy jak ogień płaszcz – i portret gotowy; ale ci wszyscy panowie, których jest wielu na świecie, z wyglądu są bardzo do siebie podobni, a jednak, jeśli się przyjrzeć, zobaczy się wiele nieuchwytnych cech – ci panowie są strasznie trudni do portretowania. Tu trzeba będzie mocno wyciągnąć uwagę, zanim się wydobędzie wszystkie delikatne, prawie niewidzialne rysy i w ogóle trzeba będzie bardzo pogłębić już wyćwiczone w nauce obserwacji spojrzenie.

Bóg jeden chyba mógł powiedzieć, jaki był charakter Maniłowa. Istnieje rodzaj ludzi, o których się mówi: taki sobie człowiek – ni to, ni owo, ni pies, ni wydra, jak powiada przysłowie. Być może, że do nich powinno się zaliczyć Maniłowa. Z wyglądu był to człowiek okazały; rysy jego twarzy nie były pozbawione wdzięku, ale w tym wdzięku, jak się zdawało, było troszeczkę za dużo cukru; w jego obejściu i zwrotach było coś przymilnego, zabiegającego o sympatię i znajomości. Uśmiechał się powabnie, był jasnowłosy, o niebieskich oczach. W pierwszej chwili rozmowy z nim nie można było nie powiedzieć: „Jaki to miły i dobry człowiek!” Ale w następnej chwili nic już się nie chce powiedzieć, a w trzeciej powie się: „Diabli wiedzą, co to takiego!” – i odejdzie się jak najdalej; a jeżeli się nie odejdzie, to poczuje się śmiertelną nudę. Nie można się od niego doczekać żadnego żywego albo choćby popędliwego słowa, jakie można usłyszeć prawie od każdego, jeśli się poruszy obchodzący go temat. Każdy człowiek ma jakąś słabość; dla jednego tą słabością będą psy gończe; drugiemu wydaje się, że jest wielkim amatorem muzyki i w zadziwiający sposób odczuwa w niej wszystkie głębokie miejsca; trzeci jest mistrzem w dobrym jedzeniu; czwarty umie świetnie zagrać rolę choćby o jeden werszek wyższą od tej, która mu jest przeznaczona; piąty, o życzeniach bardziej ograniczonych, śni i marzy o tym, żeby się przespacerować pod rękę z cesarskim adiutantem i żeby go widzieli jego przyjaciele, znajomi, a nawet nieznajomi; szósty jest obdarzony taką ręką, która czuje nadnaturalną potrzebę, by złamać róg jakiemuś karowemu asowi albo dwójce, podczas gdy ręka siódmego jakoś sama się garnie, żeby gdzieś zrobić porządek, dostać się blisko do osoby nadzorca stacji pocztowej albo do woźniców, słowem – każdy ma swego konika, lecz Maniłow nic takiego nie miał. W domu mówił bardzo mało, przeważnie dumał i rozmyślał, ale o czym rozmyślał, także chyba jednemu Bogu było wiadomo. Nie można powiedzieć, żeby się zajmował gospodarstwem, nawet nigdy nie wyjeżdżał na pola; gospodarstwo jakoś samo szło. Kiedy ekonom mówił: „Dobrze by, proszę pana, to i to zrobić” – Maniłow

odpowiadał: „Tak, to niegłupie” – paląc przy tym fajkę, do której przyzwyczał się, gdy jeszcze służył w armii, gdzie był uważany za jednego z najskromniejszych, najdelikatniejszych i najbardziej wykształconych oficerów. „Tak, tak, to niegłupie” – powtarzał. Gdy przychodził do niego chłop i poskrobawszy się w głowę mówił: „Niech wielmożny pan pozwoli odejść na robotę i zarobić na pogłównie” – odpowiadał mu: „Idź” – paląc fajkę i nawet mu do głowy nie przyszło, że chłop szedł pić. Czasami, spoglądając z ganku na dziedziniec i staw, mówił, jakby to było dobrze, gdyby tak nagle przeprowadzić do domu przejście podziemne albo wybudować na stawie most kamienny, na którym by były po obu stronach kramy, i żeby w nich siedzieli kupcy i sprzedawali różne drobne towary potrzebne chłopom. Przy tym oczy jego stawały się nadzwyczaj słodkie i twarz przybierała wyraz pełnego zadowolenia. Zresztą wszystkie te projekty kończyły się tylko na słowach. W jego gabinecie zawsze leżała jakaś książka z zakładką na czternastej stronie, którą stale czytał już od dwóch lat. W jego domu wiecznie czegoś brakowało: w salonie stały bardzo ładne meble, obite wykwinną materią jedwabną, która z pewnością musiała dość drogo kosztować, ale zabrakło jej na dwa krzesła i krzesła te stały obciążone rogózką; zresztą gospodarz przez kilka lat zawsze uprzedzał swych gości słowami: „Niech pan na tych krzesłach nie siada, bo są jeszcze nie wykończone”. W niektórych pokojach wcale nie było mebli, chociaż mówiło się w pierwszych dniach po ślubie: „Kochanie, trzeba będzie jutro się postarać, żeby w tym pokoju chociaż tymczasowo ustawić meble”. Wieczorem stawiano na stole wykwinny świecznik z ciemnego brązu, z trzema antycznymi gracjami, z wykwinną tarczą z masy perłowej, a obok niego stawiano jakiegoś zwyczajnego miedzianego inwalidę, przechylonego na bok i całego w łoju, chociaż tego nie dostrzegał ani gospodarz, ani gospodyni, ani służba. Jego żona... zresztą byli oni z siebie wzajemnie bardzo zadowoleni. Pomimo iż minęło więcej niż osiem lat ich małżeństwa, każde z nich wciąż jeszcze przynosiło drugiemu kawałek jabłuszka albo cukierek, albo orzeszek, mówiąc wzruszająco tklwym głosem, wyrażającym idealną miłość: „Otwórz, kochanie, buzię, włożę ci ten kąsek”. Nie potrzeba dodawać, że buzia otwierała się przy tym bardzo wdzięcznie. Na urodziny robiono niespodzianki – jakiś futerał z masy perłowej do wykałaczki. I bardzo często, siedząc na kanapie, nagle zupełnie nie wiadomo z jakiego powodu, jedno odkładało swą fajkę, a drugie robótkę, jeżeli ta była w danej chwili w rękach, i wyciskali taki omdlewający i długi pocałunek, że w czasie jego trwania można by z łatwością wypalić małe słomkowe cygaro. Słowem, byli tym, co się nazywa szczęśliwym małżeństwem. Naturalnie, można by zauważyć, że w domu oprócz przeciągłych pocałunków i niespodzianek jest wiele i innych zajęć i można by zadać dużo rozmaitych pytań. Dlaczego, na przykład, głupio i bez pojęcia gotuje się w kuchni? Dlaczego dość pusto w spiżarni? Dlaczego klucznica kradnie? Dlaczego lokaje są brudni i piją? Dlaczego cała służba bezwstydnie wałkoni się i swawoli przez resztę czasu? Ale wszystko to płaskie sprawy, a Maniłowa jest dobrze wychowana. A dobre wychowanie, jak wiadomo, otrzymuje się na pensjach. A na pensjach, jak wiadomo, następujące trzy główne przedmioty stanowią podstawę cnót ludzkich: język francuski, nieodzowny do szczęścia w życiu rodzinnym, fortepian, w celu dostarczenia mężowi przyjemnych chwil, i wreszcie właściwy dział gospodarczy: robótki. A więc szydełkowanie, robienie woreczków i innych niespodzianek. Zresztą bywają różne udoskonalenia i zmiany w metodach, szczególnie w dzisiejszych czasach: wszystko to w największym stopniu zależy od rozsądku i zdolności samych kierowniczek pensyj. Na niektórych pensjach bywa tak, że przede wszystkim fortepian, potem francuski i dopiero dział gospodarczy. A czasami zdarza się i tak, że przede wszystkim dział gospodarczy, tj. szydełkowanie niespodzianek, potem francuski i dopiero fortepian. Metody bywają różne. Nie zawadzi zaznaczyć jeszcze, że Maniłowa... ale przyznam się, że o damach bardzo się obawiam mówić, a przy tym czas mi powrócić do naszych bohaterów, którzy stali już od kilku minut przed drzwiami salonu, ustępując sobie wzajemnie pierwszeństwa przy wejściu.

– Niech pan będzie łaskaw nie robić sobie subiekcji, wejdę po panu – mówił Cziczikow.

– Nie, Pawle Iwanowiczu, nie, pan jest gościem – mówił Maniłow wskazując ręką na drzwi.

– Niech pan się nie krępuje, proszę bardzo, niech pan się nie krępuje, niech pan będzie łaskaw wejść – mówił Cziczikow.

– Nie, niech pan wybaczy, nie mogę pozwolić, żeby tak miły i wykształcony gość wszedł po mnie.

– Dlaczegoż wykształcony?... Proszę, niech pan będzie łaskaw wejść!

– Ale niechże pan raczy wejść pierwszy.

– Ależ dlaczego?

– A już tak! – powiedział z miłym uśmiechem Maniłow. W końcu obaj przyjaciele weszli w drzwi bokiem i trochę się przycisnęli wzajemnie.

– Pozwoli pan przedstawić sobie moją żonę – powiedział Maniłow. – Kochanie! Paweł Iwanowicz!

Cziczikow istotnie ujrzał damę, której zupełnie nie zauważył ceremonijując się w drzwiach z Maniłowem. Była niebrzydka, ubrana gustownie. Ładnie na niej leżał jedwabny szlafroczek w bladym kolorze; jej wąska, mała dłoń rzuciła coś pośpiesznie na stół i zmiała batystową chusteczkę z powyszywanyimi różkami. Podniosła się z kanapy, na której siedziała. Cziczikow nie bez przyjemności zbliżył się, by ucałować jej rączkę. Maniłowa powiedziała, nieco grasejując, że oboje bardzo się ucieszyli z jego przyjazdu i że nie było dnia, żeby jej mąż o nim nie wspominał.

– Tak – powiedział Maniłow – ona ciągle mnie pytała: „Czemuż twój przyjaciel nie przyjeżdża?” „Zaczekaj, kochanie, przyjedzie, przyjedzie.” I oto nareszcie zaszczycił nas pan swoją wizytą. Doprawdy, sprawił pan nam taką rozkosz, majowy dzień... imieniny serca...

Cziczikow, słysząc, że mowa już o imieninach serca, nawet się trochę zmieszał i odpowiedział skromnie, że nie posiada ani głośnego nazwiska, ani nawet wysokiej rangi.

– Pan wszystko posiada – przerwał mu Maniłow z tak samo miłym uśmiechem – pan wszystko posiada, a nawet jeszcze więcej.

– Jak się panu podobało nasze miasto? – wtrąciła słówko Maniłowa. – Czy mile pan spędził czas?

– Bardzo ładne miasto, śliczne miasto – odpowiedział Cziczikow – i czas spędziłem bardzo mile. Towarzystwo niezmiernie pociągające.

– A jak pan znalazł naszego gubernatora? – zapytała Maniłowa.

– To nadzwyczaj czcigodny i niezwykle miły człowiek, nieprawdaż? – dorzucił Maniłow.

– Zupełna prawda, to nadzwyczaj czcigodny człowiek. A jak wniknął w swe obowiązki, jak on je rozumie! Powinniśmy życzyć sobie więcej takich ludzi.

– Jak on potrafi tak, wie pan, obejść się z każdym, zachować delikatność w postępowaniu – dodał Maniłow z uśmiechem i z zadowolenia prawie zupełnie przymrużył oczy jak kot, którego z lekka podrapano palcem za uszami.

– Bardzo uprzejmy i miły człowiek – ciągnął dalej Cziczikow – a jaki zręczny! Nawet nie przypuszczałem, że tak doskonale wyszywa różne wzory. Pokazywał mi woreczek własnej roboty: mało która dama umiałaby tak zręcznie wyszyć.

– A wicegubernator, prawda, jaki to miły człowiek? – odezwał się Maniłow, znów trochę przymrużywszy oczy.

– Bardzo, bardzo szanowny człowiek – odpowiedział Cziczikow.

– No, a co pan sądzi o policmajstrze? Jaki to miły człowiek, nieprawdaż?

– Niezmiernie miły i jaki mądry, jaki czytany! Graliśmy u niego w wista z prokuratorem i prezesem sądu aż do białego ranka. Bardzo, bardzo szanowny człowiek!

– No, a jakiego jest pan zdania o żonie policmajstra? – dodała Maniłowa. – Prawda, że to bardzo miła kobieta?

– O, to jedna z najbardziej godnych szacunku kobiet, jakie znam – odparł Cziczikow.

Po czym nie opuszczono prezesa sądu, poczmistrza i w ten sposób wyliczono prawie wszystkich urzędników miejskich, którzy okazali się wszyscy bardzo szanownymi ludźmi.

– Państwo zawsze spędzają czas na wsi? – zadał wreszcie ze swej strony pytanie Cziczikow.

– Przeważnie na wsi – odpowiedział Maniłow. – Czasami zresztą przyjeżdżamy do miasta po to tylko, żeby się zobaczyć z wykształconymi ludźmi. Można tu, wie pan, zdziczeć, siedząc tak ciągle w odosobnieniu.

– Prawda, prawda – powiedział Cziczikow.

– Naturalnie – ciągnął Maniłow – inna rzecz, gdyby było dobre sąsiedztwo, gdyby na przykład był taki człowiek, z którym by, poniekąd, można pomówić o uprzejmości, o dobrych manierach, zajmować się jakąś taką nauką, żeby wstrząsnęło duszą, dało, że tak powiem, taki polot... – Tu chciał jeszcze coś wyrazić, ale zauważywszy, że się trochę zagalopował, uczynił tylko ręką gest w powietrzu i ciągnął dalej: – wtedy naturalnie wieś i odosobnienie dawałyby wiele przyjemności. Ale zupełnie nikogo nie ma... Ot, tylko od czasu do czasu poczyta się „Syna Ojczyzny”.

Cziczikow zgodził się z tym w zupełności, dodając, że nie może być nic przyjemniejszego niż życie w odosobnieniu, rozkoszowanie się widokiem natury i czytanie od czasu do czasu jakiejś książki...

– Ale wie pan co – dodał Maniłow – wszystko to, jeżeli nie ma przyjaciela, z którym by się można podzielić...

– O, to słuszne, to zupełnie słuszne! – przerwał Cziczikow. – Czymże są wtedy wszystkie skarby tego świata! Nie miej pieniędzy, lecz miej dobrych ludzi do obcowania, powiedział pewien mędrzec.

– I wie pan co, Pawle Iwanowiczu! – powiedział Maniłow, a twarz jego przybrała wyraz nie tylko słodki, lecz nawet mdły, podobny do tej mikstury, którą zręczny światowy doktor przesłodził niemilosiernie, sądząc, że ucieszy nią pacjenta. – Wtedy czuje się poniekąd jakby rozkosz duchową... Ot, na przykład teraz, kiedy zawdzięczam przypadkowi szczęście, można powiedzieć, rzadkie, wyjątkowe, mówienia z panem i rozkoszowania się miłą rozmową pańską...

– Ależ, proszę pana, cóż to za miła rozmowa? Marny ze mnie człowiek i nic więcej – odpowiedział Cziczikow.

– O, Pawle Iwanowiczu! Niech mi pan pozwoli być szczerym: z radością oddałbym połowę mego majątku, żeby posiadać część tych zalet, które pan posiada!...

– Przeciwnie, ja ze swej strony uważałbym sobie za najwyższy...

Nie wiadomo, do czego by doprowadziła wzajemna wylewność uczuć obu przyjaciół, gdyby służący nie oznajmił, że podano do stołu.

– Proszę uprzejmie – powiedział Maniłow. – Niech pan wybaczy, jeżeli u nas nie będzie takiego obiadu jak w wielkich domach i w stolicach, u nas po prostu, rosyjskim obyczajem, kapuśniak, ale ze szczerego serca. Pan będzie łaskaw!

Tu jeszcze czas jakiś ceremonowali się, kto ma wejść pierwszy, i wreszcie Cziczikow wszedł bokiem do stołowego.

W stołowym zastali już dwóch, malców, synów Maniłowa, którzy byli w tym wieku, kiedy już sadza się dzieci przy stole, ale jeszcze na wysokich krzesłach. Przy nich stał nauczyciel, który skłonił się grzecznie i z uśmiechem. Pani domu usiadła obok wazy z zupą; gościa posadzono pomiędzy panią a panem domu; służący zawiązał dzieciom serwetki na szyjach.

– Jakie miłe dzieci! – powiedział Cziczikow spojrzawszy na nie. – A w jakim wieku?

– Starszy ma ósmy rok, młodszy, dopiero wczoraj skończył sześć – odpowiedziała Maniłowa.

– Temistoklus! – powiedział Maniłow zwracając się do starszego, który starał się oswobodzić swój podbródek, zawiązany przez lokaja serwetką. Cziczikow uniósł nieco brwi, słysząc takie w pewnej mierze greckie imię, któremu, nie wiadomo dlaczego, Maniłow dał zakończenie na us, ale postarał się natychmiast przybrać normalny wyraz twarzy.

– Temistoklus, powiedz mi, jakie jest najpiękniejsze miastowe Francji?

Tu nauczyciel zwrócił całą uwagę na Temistoklusa i zdawało się, jakby mu chciał wleźć w oczy, lecz w końcu zupełnie się uspokoił i kiwnął głową, gdy Temistoklus powiedział:

– Paryż.

– A u nas, jakie najpiękniejsze miasto? – zapytał znów Maniłow.

Nauczyciel znowu natężył uwagę.

– Petersburg – odpowiedział Temistoklus.

– A jeszcze jakie?

– Moskwa – odpowiedział Temistoklus.

– Mądry kochaneczek! – powiedział na to Cziczikow. – Patrzcie państwo – ciągnął zwracając się zaraz z wyrazem pewnego zdumienia do małżonków. – Muszę państwu powiedzieć, że ten chłopiec rokuje wielkie zdolności!

– O, pan go jeszcze nie zna – odpowiedział Maniłow. – On ma bardzo dużo sprytu. Ot, ten młodszy, Alcydio, ten nie jest tak bystry, ale ten zaraz jak tylko coś zauważy: chrabąszcza, bożą krówkę, zaraz mu się oczy zaświecą; pobiegnie za nią i zaraz zwróci uwagę. Przeznaczam go do służby dyplomatycznej. Temistoklus! – ciągnął dalej, zwracając się znów do starszego – chcesz być posłem?

– Chcę – odpowiedział Temistoklus żując chleb i kręcąc głową na prawo i na lewo.

Równocześnie stojący z tyłu lokaj utarł posłowi nos i bardzo dobrze zrobił, bo inaczej kapnęłaby do zupy bardzo obfita nieprzewidziana kropla. Rozmowa przy stole toczyła się o przyjemności spokojnego życia, przerywana uwagami pani domu o teatrze i aktorach. Nauczyciel bardzo uważnie patrzył na rozmawiających i gdy tylko zauważył, że ci byli gotowi się uśmiechnąć, natychmiast otwierał usta i śmiał się gorliwie. Prawdopodobnie był to człowiek wdzięczny i chciał w ten sposób odwdziżyć się swemu chlebodawcy za dobre traktowanie. Raz zresztą twarz jego przybrała wyraz surowy i groźnie zastukał widelcem w stół, utkwivszy oczy w siedzące naprzeciwko niego dzieci. To było na miejscu, bo Temistoklus ugryzł w ucho Alcydesa i Alcydes przymrużywszy oczy i otworzywszy usta gotów był jak najżałośniej rozplakać się, ale uprzytomniwszy sobie, że za to łatwo można nie dostać deseru, doprowadził usta do poprzedniego położenia i zaczął ze łzami ogryzać kość baranią, od której oba policzki lśniły mu tłuszczem.

Pani domu bardzo często zwracała się do Cziczikowa ze słowami:

– Pan nic nie je, pan bardzo mało wziął.

Na to Cziczikow odpowiadał za każdym razem:

– Uprzejmie dziękuję, jestem syty. Przyjemna rozmowa jest lepsza od każdej potrawy.

Już wstali od stołu. Maniłow był nadzwyczaj zadowolony i podtrzymując ręką plecy swego gościa, przygotowywał się w ten sposób zaprowadzić go do salonu, gdy nagle gość oświadczył z bardzo znaczącą miną, że ma zamiar pomówić z nim w pewnej nader ważnej sprawie.

– W takim razie niech mi pan pozwoli poprosić go do mego gabinetu – powiedział Maniłow i zaprowadził Cziczikowa do małego pokoju, zwróconego oknem na niebieszczyzącą się las.

– Oto mój kącik! – powiedział Maniłow.

– Miły pokoik – rzekł Cziczikow obrzuciwszy pokoik spojrzeniem. Był on istotnie nie pozbawiony wdzięku: ściany były pomalowane jakąś niebiesciutką farbą, zbliżoną do szarawej; cztery krzesła, jeden fotel, stół, na którym leżała książka założona zakładką, o której mieliśmy już sposobność wspomnieć; kilka zapisanych arkuszy papieru, ale najwięcej było tytoniu. Był on różnych rodzajów: w paczkach i w kapciuchu, a wreszcie usypany wprost na stole w kupkę. Na obu oknach również były kupki wysypanego z fajki popiołu, rozmieszczone nie bez starania w bardzo ładne rzędkie. Widać było, że to niekiedy pozwalało gospodarzowi zabijać czas.

– Pan pozwoli, że go poproszę o zajęcie tego fotela – powiedział Maniłow. – Tu będzie panu wygodniej.

– Pozwoli pan, że usiądę na krześle.

– Pozwoli pan, że mu na to nie pozwolę – powiedział Maniłow z uśmiechem. – Ten fotel jest już u mnie przeznaczony dla gościa; rad nierad, ale musi pan na nim usiąść.

Cziczikow usiadł.

– Pozwoli pan, że go poczęstuję fajeczką.

– Nie, nie palę – odpowiedział Cziczikow grzecznie i jakby z wyrazem żalu.

– Dlaczego? – powiedział Maniłow również grzecznie i z wyrazem żalu.

– Nie nabrałem przyzwyczajenia; obawiam się, powiadają, że fajka wysusza.

– Niech mi pan pozwoli zauważyć, że to przesąd. Uważam nawet, że palić fajkę jest o wiele zdrowsze niż zażywać tabakę. W naszym pułku był porucznik, dobry i wykształcony człowiek, który nie wyjmował fajki z ust nie tylko przy stole, ale nawet, za pozwoleniem, we wszystkich innych miejscach. I oto ma już teraz przeszło czterdzieści lat, ale dzięki Bogu jest jak najzdrowszy.

Cziczikow zauważył, że to się istotnie zdarza i że w naturze jest wiele rzeczy niepojętych, nawet dla światłego umysłu.

– Ale niech mi pan pozwoli przede wszystkim zwrócić się z pewną prośbą... – przemówił głosem, w którym zabrzmiała jakaś szczególna nuta, i zaraz potem, nie wiadomo dlaczego, obejrzał się za siebie. Maniłow również, nie wiadomo dlaczego, obejrzał się za siebie.

– Jak dawno był pan łaskaw złożyć spis rewizyjny?

– Dostyc dawno. A właściwie mówiąc – nie przypominam sobie.

– Ilu od tego czasu umarło, u pana chłopów?

– Nie mam pojęcia, o to, sędzę, trzeba zapytać ekonoma. Hej, służba, zawołaj ekonoma, on powinien dzisiaj być tutaj.

Zjawił się ekonom. Był to człowiek pod czterdziestkę, który golił brodę, chodził w surducie i wiódł widocznie spokojne życie, bo twarz miał pełną i jakby obrzmiałą, a żółtawy kolor skóry i małe oczki świadczyły, iż wiedział aż nazbyt dobrze, co to takiego puchowe poduszki i pierzyny. Można było zaraz spostrzec, że ustalił swój byt tak, jak go ustalają wszyscy pańscy podwładni: był z początku po prostu umiającym czytać chłopcem w domu, potem ożenił się z jakąś klucznicą Agatką, faworytką pani, sam został klucznikiem, a potem i ekonomem. A kiedy został ekonomem, postępował tak, jak postępują wszyscy ekonomowie; zadawał się i kumał z tymi, którzy we wsi byli bogatsi, a biedniejszym dodawał robocizny; budząc się o dziewiątej z rana, czekał na samowar, po czym pił herbatę.

– Słuchaj no, kochanku, ilu u nas chłopów umarło od czasu; kiedy była złożona rewizja?

– Niby ilu? Dużo umarło od tego czasu – powiedział ekonom i przy tym czknął zasłoniwszy z lekka usta ręką jak puklerzem.

– Tak, przyznam się, że sam tak myślałem – podchwycił Maniłow – istotnie bardzo wielu poumieralo! – Tu zwrócił się do Cziczikowa i dodał jeszcze: – Rzeczywiście, bardzo wielu.

– A ilu na przykład liczbowo? – zapytał Cziczikow.

– Tak, ilu liczbowo? – podchwycił Maniłow.

– Jakby to powiedzieć? Przecie nie wiadomo, ilu umarło, nikt ich nie rachował.

– Tak, istotnie – powiedział Maniłow zwracając się do Cziczikowa – ja też tak sądziłem duża śmiertelność; zupełnie nie wiadomo, ilu umarło.

– Porachuj ich – powiedział Cziczikow – i zrób szczegółowy rejestr wszystkich imiennie.

– Tak, wszystkich imiennie – powiedział Maniłow.

Ekonom rzekł: – Słucham pana! – i wyszedł.

– A z jakiego powodu jest to panu potrzebne? – zapytał Maniłow po wyjściu ekonoma.

To pytanie, zda się, zakłopotало gościa, na jego twarzy ukazał się wyraz jakiegoś naprężenia, skutkiem którego aż się zaczerwienił – naprężenia, zdającego się wskazywać, że pragnie wyrazić coś, co się niezupełnie dawało ująć w słowa. I naprawdę, Maniłow usłyszał wreszcie tak dziwne i niezwykle rzeczy, jakich nigdy uszy ludzkie nie słyszały.

– Pyta pan, z jakiego powodu? Powody są takie: chciałbym kupić chłopów... – powiedział Cziczikow, zająknął się i nie dokończył.

– Ale pozwoli pan zapytać – rzekł Maniłow – jak pan chce kupić chłopów, z ziemią czy po prostu na przesiedlenie, to znaczy bez ziemi?

– Nie, ja właściwie niezupełnie chcę chłopów – powiedział Cziczikow – ja bym chciał mieć martwych.

– Co? Przepraszam... mam słuch nieco przytępiony, usłyszałem coś bardzo dziwnego...

– Pragnę kupić martwych, którzy zresztą liczyliby się według rewizji za żywych – odparł Cziczikow.

Maniłow w tej samej chwili upuścił na podłogę fajkę z cybuchem i jak otworzył usta, tak już został z otwartymi ustami przez kilka chwil. Obaj przyjaciele, rozmawiający o miłych stronach życia przyjacielskiego, znieruchomieli utkwivszy w sobie spojrzenie, jak te portrety, które niegdyś wieszano jeden naprzeciw drugiego, po obu stronach lustra. W końcu Maniłow podniósł fajkę z cybuchem i spojrzał z dołu na twarz Cziczikowa, starając się dostrzec, czy nie widać na jego wargach uśmiechu, czy sobie nie zażartował; ale nic takiego nie było widać; przeciwnie, twarz Cziczikowa wydawała się nawet poważniejsza niż zazwyczaj; potem pomyślał, czy gość jakoś niespodzianie nie dostał bzika, i ze strachem, badawczo popatrzył na niego; ale oczy gościa były zupełnie jasne; nie było w nich dzikiego, niespokojnego ognia, jaki biega w oczach człowieka obłąkanego; wszystko było przyzwoicie i w porządku. Chociaż Maniłow myślał na wszelkie sposoby, jak się ma znaleźć i co ma robić, ale nic innego nie mógł wymyślić prócz tego, żeby wypuścić pozostały w ustach dym bardzo wąskim strumieniem.

– A więc pragnąłbym wiedzieć, czy pan może mi takich nieżywych w rzeczywistości, lecz żywych według formuły prawnej, przekazać, odstąpić, czy też jak pan sobie inaczej będzie życzył.

Lecz Maniłow tak się zawstydził i zmieszał, że tylko spoglądał na niego.

– Zdaje mi się, że pan ma jakieś wątpliwości – zauważył Cziczikow.

– Ja?... nie, to nie to – powiedział Maniłow – ale nie mogę dociec... niech pan wybaczy... ja naturalnie nie mogłem otrzymać tak świetnego wykształcenia, jakie, że tak powiem, widać w każdym pańskim ruchu; nie posiadam wysokiego kunsztu wysławiania się... Być może, iż tu... w tym, co pan przed chwilą mówił... kryje się coś innego... Być może, iż pan raczył się tak wyrazić ot tak, dla pięknego stylu?

– Nie – podchwycił Cziczikow – nie, rozumiem rzecz tak, jak ona się przedstawia, to znaczy te dusze, które w rzeczywistości już umarły.

Maniłow całkiem się stropił. Czuł, że powinien coś zrobić, zadać jakieś pytanie, ale jakie – diabli je wiedzą! Poprzestał w końcu na tym, że znowu wypuścił dym, tylko już nie ustami, lecz przez dziurki w nosie.

– A więc, jeżeli nie ma przeszkód, możemy z Bogiem przystąpić do sporządzenia aktu kupna – powiedział Cziczikow.

– Jak to, aktu kupna martwych dusz?

– O nie! – powiedział Cziczikow. – Napiszemy, że są żywe, tak jak istotnie o tym świadczy spis rewizyjny. Mam zwyczaj nie odstępować w niczym od praw obowiązujących, chociaż ucierpiałem z tego powodu na służbie, ale już niech pan wybaczy: obowiązek – to dla mnie święta rzecz, prawo – jestem z całym szacunkiem wobec prawa.

Ostatnie słowa spodobały się Maniłowowi, jednak w istotę rzeczy w żaden sposób nie mógł wniknąć i zamiast odpowiedzieć, jął ssać swój cybuch tak mocno, że ten zaczął w końcu chrapać jak fagot. Zdawało się, że chce wyciągnąć z niego sąd o tak niesłychanej sprawie, ale cybuch chrapał – i nic więcej.

– Może pan ma jakieś wątpliwości?

– O nie, bynajmniej! Mówię nie dlatego, żebym miał jakieś, że tak powiem, krzywdzące mniemanie o panu. Ale niech mi pan pozwoli zauważyć, czy to przedsięwzięcie albo lepiej, że tak powiem, że się tak wyrażę, ta negocjacja – otóż ta negocjacja nie będzie stała w sprzeczności z ustawami obywatelskimi i planami Rosji na przyszłość?

Tu Maniłow, wykonawszy pewien ruch głową, popatrzył bardzo znacząco w twarz Cziczikowa okazując we wszystkich rysach swej twarzy i w zaciśniętych ustach rak głęboki wyraz, jakiego, być może, nikt nie widział na ludzkiej twarzy, chyba tylko u jakiegoś przemądrzałego ministra i to w chwili rozstrzygnięcia najbardziej zawikłanej sprawy.

Lecz Cziczikow powiedział po prostu, że podobne przedsięwzięcie czy też negocjacja bynajmniej nie będzie stała w sprzeczności z ustawami i planami Rosji na przyszłość, a po chwili dodał, że skarb nawet skorzysta na tym, ponieważ otrzyma prawnie przepisane opłaty.

– Tak pan sądzi?

– Sądzę, że to będzie pożyteczne.

– A, jeżeli pożyteczne, to inna rzecz: nie mam nic przeciwko temu – powiedział Maniłow i zupełnie się uspokoił.

– Teraz pozostaje tylko umówić się o cenę...

– Jak to o cenę? – powiedział znowu Maniłow i urwał. – Czyżby pan sądził, że ja będę brał pieniądze za dusze, które niejako zakończyły swą egzystencję? Jeżeli już ma pan takie, że tak powiem, fantastyczne życzenie, to ja ze swej strony oddaję je panu bezinteresownie i biorę na siebie załatwienie transakcji.

Byłoby dużą winą historyka niniejszych zdarzeń, gdyby nie powiedział, że po słowach wygłoszonych przez Maniłowa gościem o władnęło zadowolenie. Chociaż był bardzo stateczny i rozsądny, ale tu omal że nie fiknął kozła, co, jak wiadomo, czyni się tylko w największych porywach radości. Tak gwałtownie obrócił się na fotelu, że pękł wełniany materiał pokrywający poduszkę; Maniłow popatrzył na niego trochę zdumiony. Pobudzony wdzięcznością, gość wygłosił natychmiast tyle podziękowań, że tamten zmieszał się, poczerwieniał, pokręcił przecząco głową i w końcu wyraził się, że to naprawdę drobiazg, że on istotnie chciałby okazać mu w jakiś sposób skłonność serca, magnetyzm duszy, a dusze zmarłe to w pewnym sensie – zupełne śmiecie.

– Wcale nie śmiecie – powiedział Cziczikow, ściskając mu rękę. Tu zostało wydane bardzo głębokie westchnienie. Zdawało się, że był usposobiony do serdecznych wynurzeń, nie bez uczucia i wzruszenia wygłosił wreszcie następujące słowa: – Gdyby pan wiedział, jaką pan usługę oddał tymi na pozór śmieciami człowiekowi bez rodziny i bez urodzenia! Bo doprawdy, czegoż nie wycierpiałem? Niczym jakaś barka pośród srogich fal... Jakich prześladowań, jakich utrapień nie doświadczyłem, jakiegom nieszczęścia nie zaznał! A za co? Za to, że broniłem prawdy, że miałem czyste sumienie, że podawałem rękę i słabej wdowie, i nieszczęsnej sierocie!... – W tym miejscu nawet otarł chusteczką staczającą się łzę.

Maniłow był zupełnie rozczulony. Obaj przyjaciele długo ściskali sobie wzajemnie ręce i długo w milczeniu patrzyli sobie w oczy, w których było widać wezbrane łzy. Maniłow w żaden sposób nie chciał wypuścić ręki naszego bohatera i w dalszym ciągu ściskał ją tak gorąco, że Cziczikow nie wiedział już, jak ją wydostać. W końcu wysunawszy rękę ukradkiem, powiedział, że warto by jak najprędzej spisać akt kupna i dobrze by było, gdyby on sam zajrzał do miasta. Potem wziął kapelusz i zaczął się żegnać.

– Co? Pan chce już odjechać? – powiedział Maniłow ocknąwszy się nagle i niemal z przestrawem.

W tej chwili weszła do gabinetu Maniłowa.

– Lizeczko – powiedział Maniłow z nieco żalną ramą – Paweł Iwanowicz nas opuszcza!

– Bośmy się naprzykrzyli Pawłowi Iwanowiczowi – odpowiedziała Maniłowa.

– Pani! Tutaj – powiedział Cziczikow – o, tutaj – tu położył rękę na sercu – tak, tutaj pozostanie wspomnienie miłych chwil, które spędziłem z państwem! I niech mi pani wierzy, nie byłoby dla mnie większej rozkoszy, niż mieszkać razem z państwem, jeśli nie w jednym domu, to chociaż w najbliższym sąsiedztwie.

– A wie pan co, Pawle Iwanowiczu – powiedział Maniłow, któremu bardzo się spodobała ta myśl – w samej rzeczy, jakby to było dobrze, gdyby tak razem, pod jednym dachem albo w cieniu jakiegoś wiązu pofilozofować nad czymś, zagłębić się w rozmyślaniach!...

– O, to byłoby rajskie życie! – powiedział Cziczikow wdychając. – Żegnaj panią! – rzekł podchodząc, by ucałować rączkę Maniłowej. – Żegnaj, szanowny przyjacielu! Niech pan nie zapomni o mojej prośbie.

– O, niech pan będzie przekonany! – odpowiedział Maniłow. – Rozstaję się z panem nie na dłużej niż na dwa dni.

Wszyscy przeszli do stołowego.

– Żegnajcie, miłe dzieciątka! – powiedział Cziczikow zobaczywszy Alcydesa i Temistoklusa, zajętych jakimś drewnianym huzarem, który już nie miał ani ręki, ani nosa. – Żegnajcie, moje maleństwa. Przebaczenie mi, że nie przywiozłem wam podarunku, bo, przyznam się, nie wiedziałem nawet o waszym istnieniu, ale teraz, jak przyjadę, na pewno przywiozę. Tobie przywiozę szablę. Chcesz szablę?

– Chcę – odpowiedział Temistoklus.

– A tobie bęben. Prawda, tobie bęben? – ciągnął Cziczikow, nachylając się do Alcydesa.

– Pepen – odpowiedział Alcydes szeptem i ze spuszczoną głową.

– Dobrze, przywiozę ci bęben, taki wspaniały bęben! Wciąż będzie turrr... ru... tra ta ta, ta ta ta... Żegnaj, kochanie! Żegnaj! – Tu pocałował go w głowę i zwrócił się do Maniłowa i jego małżonki z uśmiechem, z jakim zwykle zwracają się wszyscy do rodziców, dając im znać o niewinności pragnień ich dzieci.

– Doprawdy, Pawle Iwanowiczu, niech pan zostanie! – powiedział Maniłow, kiedy już wszyscy wyszli na ganek. – Niech pan patrzy, jakie chmury.

– To małe chmurki – odpowiedział Cziczikow.

– A czy pan zna drogę do Sobakiewicza?

– O to właśnie chcę pana zapytać.

– Bardzo proszę, zaraz powiem pańskiemu stangretowi. – Tu Maniłow z taką samą uprzejmością wyłożył sprawę stangretowi i raz nawet powiedział mu „wy”.

Stangret usłyszawszy, że trzeba minąć dwa zakręty i skrócić na trzecim, powiedział: – Trafi się, proszę wielmożnego pana. – I Cziczikow odjechał odprowadzany długo ukłonami i machaniem chusteczek gospodarzy wspinających się na palce.

Maniłow długo stał na ganku, odprowadzając oczami oddalającą się bryczkę, i gdy ta już zupełnie zniknęła z oczu, wciąż jeszcze stał paląc fajkę. W końcu wszedł do pokoju, usiadł na krześle i oddał się rozmyślaniu, ciesząc się w głębi duszy, że sprawił swemu gościowi przyjemność. Potem myśli jego niepostrzeżenie przeniosły się na inne przedmioty i w końcu uleciały Bóg wie dokąd. Myślał o szczęściu życia przyjacielskiego, o tym, jakby to dobrze było żyć z przyjacielem nad brzegiem jakiejś rzeki, potem zaczął budować most przez tę rzekę, potem ogromny dom z takim wysokim belwederem, że można stamtąd nawet Moskwę widzieć i pić tam wieczorem herbatę na otwartym powietrzu, i dyskutować na jakieś miłe tematy, potem, że razem z Cziczikowem w pięknych karetach przyjechali do jakiegoś towarzystwa, gdzie czarują wszystkich miłym obejściem, i że jakoby cesarz dowiedziawszy się o takiej przyjaźni mianował ich generałami, i dalej w końcu Bóg wie co, w czym nawet on sam w żaden sposób nie mógł się połapać. Dziwna prośba Cziczikowa przerwała nagle wszystkie jego marzenia. Myśl o niej jakoś szczególnie nie układała mu się w głowie; z którejkolwiek strony ją rozpatrywał, w żaden sposób nie mógł jej sobie wyjaśnić i wciąż siedział paląc fajkę, co przeciągnęło się aż do kolacji.

ROZDZIAŁ III

A Cziczikow w pogodnym usposobieniu siedział w bryczce, od dawna już toczącej się po trakcie. Z rozdziału poprzedniego wiadome jest, co stanowiło główny przedmiot jego gustu i upodobań, toteż nic dziwnego, że wkrótce pograżył się w nim duszą i ciałem. Przypuszczenia, rachuby i kombinacje odbijające się na jego twarzy były widocznie bardzo przyjemne, ponieważ co chwila pozostawiały po sobie ślady uśmiechu zadowolenia. Zajęty nimi, nie zwracał zupełnie uwagi na to, że jego stangret, zadowolony z przyjęcia u służby dworskiej Maniłowa, robił bardzo rzeczowe uwagi tarantowatemu koniowi przyprzężonemu z prawej strony. Ów tarantowaty był nader przebiegły i udawał tylko, że ciągnie, podczas gdy dyszlowy gniady i przyprzęgowy bułany, zwany Asesorem, ponieważ był kupiony od jakiegoś asesora, pracowały z całego serca, tak że nawet w ich oczach widać było osiągnięte stąd zadowolenie. – Chytryś ty, ale ja cię przechytrzę! – mówił Selifan podnosząc się i zacinając batem wałkonia. – Znaj swój obowiązek, ty niemiecka pokrako! Gniady – to porządny koń, robi, co powinien; rad mu dodam miarkę, bo to porządny koń; i Asesor – też dobry koń... No! czego tam uszami strzyżesz? Słuchaj, durniu, kiedy się do ciebie mówi! Ja ciebie, cymbale jeden, złego nie nauczę! Patrzcie go, gdzie lezie! – Tu znowu zaciął go batem i powiedział: – A, ty barbarzyńco, Bonaparcie przeklęty!... – Potem krzyknął na wszystkie: – Hej, wy, kochane! – i śmignął batem po wszystkich trzech, już nie za karę, ale żeby okazać, że jest z nich zadowolony. Zrobiwszy im tę przyjemność, ponownie zwrócił się do tarantowatego: – Myślisz, że ukryjesz swoje sprawowanie. Nie, żyj uczciwie, kiedy chcesz, żeby cię szanowano. Ot, u tego pana, gdzieśmy byli, to dobrzy ludzie. Zawszem rad pogadać, jeśli z dobrym człowiekiem; z dobrym człowiekiem tośmy zawsze swoi ludzie, bliscy przyjaciele; czy to wypić szklanekę herbaty, czy zakąsić – z chęcią, jeśli dobry człowiek. Dobremu człowiekowi każdy odda uszanowanie. Ot, choćby naszego pana każdy szanuje, bo on, uważaj no, byt na rządowej służbie i jest radcą kolegiąlnym...

Snując te rozważania Selifan zabrnął wreszcie w najdalsze abstrakcje. Gdyby Cziczikow posłuchał, dowiedziałby się mnóstwa szczegółów dotyczących go osobiście; lecz jego myśli tak były zajęte swym przedmiotem, że dopiero silne uderzenie pioruna zmusiło go do ocknięcia się i obejrzenia wkoło: niebo było całkowicie zasnuwane chmurami, a zakurzony trakt zroszony kroplami dżdżu. Wreszcie grzmot rozległ się po raz drugi, głośniejszy i bliżej, i deszcz lunął jak z cebra. Przybrawszy z początku kierunek ukośny, zaciął z jednej strony w budę bryczki, potem z drugiej; potem, zmieniając system ataku i stając się zupełnie prostopadłym, bębnił wprost z góry. Krople zaczęły wreszcie dosięgać twarzy Cziczikowa. To zmusiło go do zaciągnięcia skórzanych firanek z dwoma okrągłymi okienkami służącymi do oglądania widoków oraz do wydawania Selifanowi rozporządzeń, by jechał prędzej. Selifan, któremu przerwano w połowie jego orację, zmiarkował, iż rzeczywiście nie można marudzić, wyciągnął spod kozła jakiś lach z szarego sukna, nadział go na rękawy, chwycił lejce i krzyknął na swą trójkę, która ledwo – ledwo wlokła się noga za nogą, albowiem odczuwała przyjemne rozleniwienie po pouczających przemówieniach. Ale Selifan nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, czy przejechał dwa, czy trzy zakręty. Zebrawszy myśli i przypominając sobie cokolwiek drogę, zmiarkował, że było już wiele zakrętów, które przepuścił. Ponieważ w chwilach decydujących Rosjanin zawsze umie się znaleźć nie wdając się w dalsze rozważania, więc Selifan, skręciwszy na prawo na pierwszym skrzyżowaniu dróg, zawołał: – Hej, wy, przyjaciele szanowni! – i popędził galopem, niewiele myśląc, dokąd doprowadzi obrona droga.

Deszcz jednak, najwidoczniej, zaczął lać na dobre. Kurz leżący na drodze wkrótce zamienił się w błoto i koniom coraz ciężiej było ciągnąć bryczkę. Cziczikow nie widząc tak długo wsi Sobakiewicza zaczął się mocno niepokoić. Według jego obliczeń już dawno powinni byli być na miejscu. Rozglądał się na boki, lecz panowała taka ciemność, że choć oko wykol.

– Selifan! – zawołał wreszcie, wychylając się z bryczki.

– Co, proszę wielmożnego pana? – odrzekł Selifan.

– Zobacz no, czy wsi nie widać?

– Nie, proszę wielmożnego pana, nigdzie nie widać! – Po czym Selifan machając batem rozpoczął pieśń nie pieśń, coś, co nie miało końca. Wszystko tam się mieściło: wszystkie zachęcające i dodające otuchy okrzyki, którymi się obdarza konie w całej Rosji, z jednego krańca po drugi, przymiotniki wszelkich rodzajów, bez wyboru, co tylko ślina na język przyniosła. Doszło w ten sposób do tego, że zaczął w końcu nazywać konie sekretarzami.

Tymczasem Cziczikow zauważył, że bryczka chwieje się na wszystkie strony i obdarza go arcymocnymi wstrząśnieniami; z tego wywnioskował, że zjechali z drogi i prawdopodobnie wlekli się zabronowanym polem. Selifan, zdaje się, sam to zmiarkował, lecz nie rzekł ani słowa.

– Jaką drogą jedziesz, łajdaku? – powiedział Cziczikow.

– Cóż robić, proszę wielmożnego pana, taka już pora; bata nie widać, taka ciemnica! – Mówiąc to, tak przechylił bryczkę, że Cziczikow zmuszony był przytrzymać się obiema rękami. Wtedy dopiero zauważył, że Selifan podchmielił sobie.

– Trzymaj, trzymaj, wywrócisz! – krzyknął.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym wywrócił – mówił Selifan. – Wywracać to bardzo nieładnie, już ja wiem o tym; już ja nijak nie wywrócę. – Po czym jął z lekka zawracać bryczką, zawracał, zawracał, aż wreszcie wywrócił ją całkiem na bok. Cziczikow klapnął w błoto rękami i nogami. Selifan zdołał jednakowoż zatrzymać konie; zresztą zatrzymałyby się i same, bo były bardzo zmęczone. Ten nieprzewidziany wypadek niezmiernie go zdumiał. Zląszy z kozła stanął przed bryczką, podparł się rękami pod boki, podczas gdy pan babrał się w błocie usiłując stamtąd wyleźć, i rzekł po pewnym namyśle:

– Widzicie ją, wywróciła się!

– Jesteś pijany jak szewc! – rzekł Cziczikow.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym ja był pijany. Ja wiem, że to nieładnie upijać się. Pogadałem z przyjacielem, bo z porządnym człowiekiem zawsze można pogadać, w tym nie ma nic złego; no i razem przekąśliśmy. Przekąska to nic złego, z porządnym człowiekiem zawsze można przekąsić.

– A co ja ci mówiłem, kiedyś się spił ostatnim razem? Zapomniałeś, hę? – rzekł Cziczikow.

– Nie, proszę wielmożnego pana, jakże to można, żebym zapomniał. Wiem, co do mnie należy. Wiem, że nieładnie jest być pijanym. Pogadałem z porządnym człowiekiem, dlatego że...

– Jak cię oćwiczę, to będziesz wiedział, jak mówić z porządnym człowiekiem.

– Jak się podoba waszej miłości – odrzekł na wszystko zgodny Selifan – jak oćwiczyć, to oćwiczyć, ja się nie przeciwuję. Dlaczego by nie oćwiczyć, jeśli jest za co? Od tego pańska wola. Czasem trzeba nawet oćwiczyć, dlatego że chłop się rozpuścił; porządku trzeba pilnować. Jeśli masz za co, oćwicz, dlaczego by nie oćwiczyć?

Na te rozważania pan już zupełnie nie znalazł odpowiedzi. Lecz wówczas, zda się, sam los postanowił się nad nim zlitować. Z daleka dało się słyszeć szczekanie psów. Uradowany Cziczikow kazał popędzać konie. Woźnica rosyjski miewa dobry węch zamiast oczu; dlatego to zdarza się, że zmrzywszy oczy pędzi niekiedy co tchu i zawsze gdzieś trafia. Selifan nie widząc w ciemnościach nawet własnego nosa skierował konie tak prosto na wieś, że zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy bryczka uderzyła hołoblami o parkan i doprawdy nie było gdzie dalej jechać. Cziczikow zauważył tylko przez gęstą zasłonę lejącego deszczu coś podobnego do dachu. Posłał Selifana, by poszukał bramy, co niewątpliwie trwałoby bardzo długo, gdyby w Rosji zamiast szwajcarów nie było dzielnych psów, które zaanonsowały go tak donośnie, iż musiał rękami zatkać uszy. W jednym z

okienek mignęło światło i dosięgło mętną smugą parkanu, ukazując naszym podróżnym bramę. Selifan zaczął stukać i wkrótce, otworzywszy furtkę, wysunęła się jakaś postać okryta wełniakiem i pan wraz ze sługą usłyszeli ochryply głos kobiety:

– Kto stuka? Co tam za hałasy?

– Przyjezdni, mateczko, pozwól przenocować – wyrzekł Cziczikow.

– Patrzcie go, jaki prędko – rzekła stara – przyjeżdża o takiej porze! Tu nie dom zajezdny, tu mieszka dziedziczka.

– Cóż począć, mateczko? Zbłądziliśmy, widzicie. Nie będziemy przecież nocowali w taki czas na polu.

– Tak, nieładny czas, ciemny – dodał Selifan.

– Milcz, durniu! – rzekł Cziczikow.

– A coście za jedni? – zapytała stara.

– Szlachcic, mateczko.

Słowo „szlachcic” jak gdyby skłoniło starą do namysłu.

– Poczekajcie, powiem pani – i po dwóch minutach wróciła z latarnią w rękę.

Brama się otworzyła. Światelko zamigotało w innym jeszcze oknie. Wjechawszy na podwórze bryczka zatrzymała się przed niedużym domkiem, który trudno było dostrzec z powodu ciemności. Tylko jedna jego połowa była oświetlona; widać było jeszcze kałużę przed domem, na którą padało światło z okien. Deszcz dudnił głośno po drewnianym dachu i szemrzącymi strumieniami spływał do podstawionej beczki. Tymczasem psy aż się zanosily od szczekania na wszystkie możliwe tony: jeden, podniósłszy łeb do góry, zawodził tak przeciągle i z taką gorliwością, jak gdyby otrzymywał za to Bóg wie jaką pensję, inny odszczekiwał naprędce niby ministrant; pomiędzy nimi dzwonił, niby dzwonek pocztowy, niezmordowany dyszkant, prawdopodobnie młodego szczeniaka, a wszystko to zamykał wreszcie bas, być może, psa sędziwego albo też obdarzonego wybitną psią naturą, dlatego że chrypiał, jak chrypi bas na chórze, gdy koncert jest w całej pełni: tenory podnoszą się na palcach, pragnąc usilnie wydobyć wysoki ton, i wszystko, co żyje, wspina się do góry, wyciągając głowy, a on jeden wsunawszy w kołnierzyk nie ogolony podbródek, przysiadłszy niemal do samej ziemi, wydaje stamtąd swój ton, od którego szyby się trzęsą i brzęczą. Sądząc z psiego koncertu, złożonego z takich muzykantów, można było przypuścić, iż wioska jest wcale pokaźna; lecz zmoknięty i zziębnięty bohater nasz nie myślał o niczym prócz łóżka. Jeszcze bryczka nie zdołała się zupełnie zatrzymać, gdy już zeskoczył na ganek, zatoczył się i omal nie upadł. Na ganek wyszła znowu jakaś kobieta, młodsza od poprzedniej, lecz bardzo do niej podobna. Zaprowadziła go do pokoju. Cziczikow przelotnie rzucił parę spojrzeń. Pokój był wyklejony bardzo starymi tapetami w paski; na obrazach jakieś ptaki; pomiędzy oknami stare, małe lustra z ciemnymi ramkami w kształcie zwiniętych liści, a za każdym lustrem założony był albo list, albo stara talia kart lub też pończocha; zegar ścienny z kwiatami namalowanymi na cyferblacie... więcej nie można było zauważyć. Czuł, że oczy mu się kleją, jak gdyby je kto posmarował miodem. Po chwili weszła gospodyni, kobieta leciwa, w jakimś nocnym czepku nałożonym naprędce, z flanelą na szyi, jedna z tych niebogatych dziedziczek ziemskich, które popłakują z powodu nieurodzajów, strat, głowę mają przekreconą nieco na bok, a jednocześnie ciułają po trochu pieniążki w płóciennych woreczkach rozmieszczonych po szufladach komody. Do jednego woreczka składają całe ruble, do drugiego półrublówki, do innego dwudziestopięciokopiejkówki, chociaż z pozoru wydać by się mogło, że w komodzie nie ma nic oprócz bielizny, nocnych kaftaników, motków nici oraz rozprutej salopy mającej kiedyś przeobrazić się w suknię, gdy w starej w jakiś sposób wypali się dziura podczas pieczenia placków świątecznych i różnych pasztecików lub też zniszczy się sama przez się. Lecz suknia się nie wypali i nie zniszczy sama przez się; staruszka jest oszczędna, a salopie sążone długie jeszcze leżenie w stanie rozprutym, by potem wraz z różnymi innymi rupieciami dostać się w testamencie synowicy babecznej siostry. Cziczikow przeprosił za zakłócenie spokoju nieoczekiwanym przyjazdem.

– Nic, nic – rzekła gospodyni. – W jaki to czas Bóg pana przyniósł! Taka wichura i ulewa... Warto by coś zjeść z drogi, ale cóż, noc, nic nie można przyszykować.

Słowa gospodyni zostały przerwane dziwnym sykiem, tak iż gość przestraszył się nawet, zasyczało, jak gdyby cały pokój zapęłnił się węzami, lecz spojrzawszy w górę gość uspokoił się, zrozumiał, że to zegar ścienny nabrał ochoty do bicia. Po syku nastąpiło chrypienie i wreszcie zegar wyteżywszy wszystkie siły wybił drugą takim dźwiękiem, jak gdyby ktoś walił kijem w rozbitą garnkę, po czym wahadło jęło znowu spokojnie stukać na prawo i na lewo.

Cziczikow podziękował gospodyni mówiąc, iż mu nic nie potrzeba, żeby nie robiła sobie subiekcji, że prócz łóżka nie żąda niczego, chciałby się tylko dowiedzieć, w jakie okolice przyjechał i czy daleko stąd do obywatela ziemskiego Sobakiewicza, na co stara odrzekła, że nawet nie słyszała nigdy takiego nazwiska i że takiego obywatela ziemskiego wcale nie ma.

– Zna pani przynajmniej Maniłowa? – rzekł Cziczikow.

– Kto to taki ten Maniłow?

– Obywatel ziemski.

– Nie, nie słyszałam, nie ma takiego.

– Jacyż więc są?

– Bobrów, Swinin, Kanapatiew, Charapkin, Triepakin, Pleszakow.

– Czy to bogaci ludzie, czy nie?

– Nie, ojczulku, zbyt bogatych tu nie ma. U jednego dwadzieścia, u drugiego trzydzieści dusz, a takich, żeby po sto, to nie ma.

Cziczikow zauważył, że zajechał w niezgorsze odludzie.

– Czy niedaleko przynajmniej do miasta?

– Będzie ze sześćdziesiąt wiorst. Jaka szkoda, że nie mam pana czym nakarmić. Może herbaty by się pan napił?

– Dziękuję. Nic mi nie trzeba prócz posłania.

– Prawda, po takiej drodze trzeba odpocząć. Tutaj niech się pan położy, na tej kanapie. Hej, Fietinia, przynieś pierzynę, prześcieradło i poduszki. Jaką to Pan Bóg dał pogodę: grzmoty takie, że u mnie przez całą noc gromnica paliła się przed obrazem. Ech, ojciec kochany, pan ma całe plecy i bok ubłocone jak wieprz! Gdzie to pan się tak raczył uwaląć?

– Chwała Bogu, że się tylko uwaląłem, dobrze jeszcze, że żeber nie połamał.

– Święci patronowie, co za wypadek! Czy nie trzeba panu wysmarować pleców?

– Dzięki, dzięki. Niech się pani nie kłopotuje, tylko każe dziewczynie wysuszyć i wyczyścić moje ubranie.

– Słyszysz, Fietinia! – rzekła gospodyni zwracając się do kobiety, która wychodziła na ganek ze świecą, a teraz zdążyła już przynieść pierzynę i uderzając ją z obu stron rękami, wypuściła potop pierza na cały pokój. – Weź pańskie ubranie razem z tym, co pod spodem, i najpierw wysusz przed ogniem, jak to robiło się dla nieboszczyka pana, a potem przepierz i oczyść dokładnie.

– Słucham panią – mówiła Fietinia rozścielając na pierzynie prześcieradło i kładąc poduszki.

– No, posłanie gotowe – rzekła gospodyni. – Żegnajcie, dobrodzieju, życzę dobrej nocy. Czy nie trzeba jeszcze czego? Może pan przywykł, żeby go na noc ktoś w pięty drapał? Nieboszczyk mój bez tego w żaden sposób nie mógł usnąć.

Lecz gość i za drapanie w pięty podziękował. Gospodyni wyszła; natychmiast spieszenie się rozebrawszy oddał Fietini całą zdjętą z siebie garderobę, tak zwierzchnią jak i spodnią, a Fietinia życząc mu także ze swej strony dobrej nocy zabrała ów mokry przyodziewek. Pozostawszy sam, nie bez zadowolenia spojrzął na swoje posłanie, które wznosiło się niemal do sufitu. Fietinia była widocznie specjalistką od wstrząsania pierzyn. Gdy przysunawszy krzesło dostał się do pościeli, ta opuściła się pod nim niemal do podłogi, a pierze, wyciśnięte przezeń, rozleciało się po wszystkich kątach pokoju. Zgasiwszy świecę przykrył się perkalową kołdrą i zwinawszy się pod nią w rogalik usnął w jednej chwili.

Obudził się na drugi dzień dość późnym rankiem. Słońce przez okno świeciło mu prosto w oczy, a muchy, które wczoraj spokojnie spały na ścianach i suficie, wszystkie go opadły. Jedna siadła mu na wardze, druga na uchu, trzecia próbowała usiąść na samym oku; tę zaś, która była na tyle nieostrożna, że przysiadła w pobliżu nozdrzy, wciągnął przez sen do nosa, co zmusiło go do mocnego kichnięcia – okoliczność ta stała się przyczyną jego przebudzenia. Obrzuciwszy pokój spojrzeniem, zauważył teraz, że na obrazach były nie tylko ptaki; pomiędzy nimi wisiał portret Kutuzowa i malowany olejno jakiś starszek z czerwonymi wyłogami na mundurze, jakie noszono za Pawła Pietrowicza. Zegar znowu wydał syk i wybił dziesiątą; przez drzwi zajrzała twarz kobieca i schowała się natychmiast, ponieważ Cziczikow pragnąc lepiej zasnąć zrzucił z siebie dosłownie wszystko. Twarz zagładającej wydawała mu się jak gdyby znajoma. Zaczął przypominać sobie, któż by to mógł być, i wreszcie przypomniał sobie, że to była gospodyni. Włożył koszulę, ubranie już wysuszone i wyczyszczone leżało obok. Ubrawszy się podszedł do lustra i znowu kichnął tak głośno, że indor, który podszedł w tej chwili do okna – okno zaś było bardzo blisko ziemi – zagulgotał mu nagle coś nader prędko w swym dziwnym języku, prawdopodobnie „na zdrowie”, na co Cziczikow nazwał go durniem. Podszedłszy do okna zaczął przyglądać się widokowi, jaki miał przed sobą; okno wychodziło prawie wprost na kurnik; przynajmniej wąziutkie podwóreczko, znajdujące się przed nim, pełne było wszelkich stworzeń domowych. Ilość indyczek i kur była nieprzebrana; pomiędzy nimi miarowym krokiem spacerował kogut wstrząsając grzebieniem i przechylając głowę na bok, jak gdyby przysłuchiwał się czemuś; tuż znalazła się świnia z rodziną; ryjąc w kupie śmieci zjadła mimochodem kurczę i nie zauważywszy tego, dalej pochłaniała łupiny od arbuźów jakby nigdy nic. Owo niewielkie podwórko czy też kurnik przegradzał parkan, za którym ciągnęły się obszerne ogrody z kapustą, cebulą, kartoflami, burakami i innymi warzywami. W ogrodzie rozrzucone były gdzieniegdzie jabłonie i inne drzewa owocowe, pokryte siatką dla ochrony od srok i wróbli; te zwłaszcza całymi chmurami przenosiły się z miejsca na miejsce. Z tego samego powodu ustawiono na długich tykach kilka strachów na wróble z rozpostartymi rękami; jeden z nich był nakryty czepkiem samej gospodyni. Za ogrodami zaczynały się chaty chłopskie, które, aczkolwiek rozrzucone były jak popadło i nie tworzyły prawidłowych ulic, wykazywały jednak, wedle spostrzeżeń poczynionych przez Cziczikowa, dostatek mieszkańców; utrzymane bowiem były jak należy; zwietrzałe tarcice na dachach wszędzie zastąpione były przez nowe; wrota nigdzie nie krzywiły się, a w zwróconych doń chłopskich krytych szopach zauważył gdzieniegdzie stojący wóz zapasowy, prawie nowy, a gdzieniegdzie nawet dwa. – Ba, wioskę ma wcale sporą – wyrzekł i postanowił zaraz pomówić z gospodynią i zapoznać się z nią bliżej. Spojrzał przez szparę w drzwiach, z których wysunęła przedtem głowę, i ujrzawszy ją siedzącą przy stoliku do herbaty, wszedł do niej z wesołą i uprzejmą miną.

– Dzień dobry, ojczy. Jakże się panu spało? – rzekła gospodyni podnosząc się z miejsca. Ubrana była lepiej niż wczoraj, w ciemnej sukni i już bez nocnego czepka, ale na szyi ciągle coś było związane.

– Dobrze, dobrze – mówił Cziczikow siadając na fotelu. – A jak pani?

– Źle, mój ojczy.

– Jakże to?

– Bezsenność. W krzyżach ciągle boli i noga, tu powyżej kostki, wciąż rwie.

– Przejdzie, przejdzie, młeczko. Nie warto na to zważać.

– Daj Boże, żeby przeszło. Smarowałam smalcem i nacierałam terpentyną. A co pan chce do herbaty? We flaszce – owocowa.

– Dobrze, młeczko, napijemy się owocowej.

Myślę, iż czytelnik już zauważył, że Cziczikow pomimo uprzejmej miny mówił jednak z daleko większą swobodą niż z Maniłowem i wcale się nie krępował. Trzeba powiedzieć, iż u nas w Rosji, jeśli w tym lub w owym nie dopędzono jeszcze zagranicy, to znacznie prześcignięto ją w umiejętności obcowania z ludźmi. Trudno przeliczyć wszystkie odcienie i subtelności naszego obejścia. Francuz lub Niemiec przez sto lat nie nauczył się i nie zrozumie wszystkich jego

osobliwości i rozróżnień: prawie takim samym głosem i językiem będzie mówił z milionerem i z drobnym sprzedawcą tytoniu, chociaż naturalnie w duchu będzie się trochę płaszczyl przed pierwszym. U nas inaczej, u nas są tacy mądrze, którzy z obywatelem ziemskim, mającym dwieście dusz chłopskich, będą mówili zupełnie inaczej niż z tym, który ma ich trzysta, a z tym, który ma trzysta, będą znowu mówili nie tak, jak z posiadającym pięćset, a z tym, co ma pięćset, znowu inaczej niż z tym, co ma osiemset; słowem, choćby do miliona, odcienie znajdują się zawsze. Istnieje, dajmy na to, kancelaria – nie tutaj, ale w państwie za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, a w tej kancelarii, dajmy na to, jest zarządzający kancelarią. Proszę na niego popatrzeć, gdy siedzi pośród swych podwładnych – ze strachu po prostu słowa nie wymówicie! Duma i szlachetność, ba, czego tam twarz jego nie wyraża? Chwytaj pędzel i maluj. Prometeusz, prawdziwy Prometeusz! Patrzy niby orzeł, stąpa posuwicie, równo. Ten sam orzeł, gdy tylko wyjdzie z pokoju i zbliża się do gabinetu swego zwierzchnika, jak kuropatwa śpieszy z papierami pod pachą, ile ma tylko sił. W towarzystwie i na wieczorku, jeżeli wszyscy obecni będą; niższej rangi, Prometeusz pozostanie Prometeuszem, lecz gdy tylko znajdzie się ktoś stojący cokolwiek wyżej od niego, w Prometeuszu zajdzie taka metamorfoza, że Owidiusz podobnej nie wymyśli: mucha, mniej nawet niż mucha, unicestwi się aż do pyłku! – Ależ to nie Iwan Pietrowicz – powiadasz patrząc na niego. – Iwan Pietrowicz jest wysokiego wzrostu, a ten niziutki i chudziutki; tamten mówi głośno, basem i nigdy się nie śmieje, a ten, diabli wiedzą co: piszczy niby ptaszek i ciągle się śmieje. – Podchodzisz bliżej, patrzysz, rzeczywiście Iwan Pietrowicz! „Ehe, he, he!” – myślisz sobie... Wróćmy jednakowoż do działających postaci. Cziczikow, jakeśmy powiedzieli, postanowił nie ceremonizować się i dlatego wzięwszy do ręki filiżankę z herbatą i nalawszy do niej owocowej tak zaczął:

– Ładną macie wioskę, mateczko. Ileż dusz?

– Dusz bez mała osiemdziesiąt – rzekła gospodyni – ale bieda, kiepskie czasy, ot, zeszłego roku był taki nieurodzaj, że Boże uchowaj.

– Jednakowoż chłopkowie z wyglądu dostatni, chaty mocne.. Pozwoli pani zapytać o nazwisko. Byłem tak roztargniony... przybyłem nocną porą...

– Koroboczka, sekretarzowa kolegialna.

– Dziękuję uprzejmie. A imię?...

– Anastazja Pietrowna.

– Anastazja Pietrowna? Ładne imię. Mam rodzoną ciotkę, siostrę mojej matki, Anastazję Pietrownę.

– A jak pańskie nazwisko? – zapytała: – Zdaje się, że pan jest asesorem?

– Nie, mateczko – odrzekł Cziczikow z uśmiechem – nie jestem asesorem, tylko tak podróżuję w swoich interesikach.

– A, to pan dostawca! Jaka szkoda doprawdy, że tak tanio sprzedawałam kupcom miód; pewnie by pan u mnie kupił.

– Otóż, właśnie że miodu bym nie kupił.

– Więc cóż? Może konopie? Ale konopi mam teraz niewiele – wszystkiego z pół puda.

– Nie, mateczko, towarek innego rodzaju: powiedzcie no, czy chłopci wam umierali?

– Och, tak, ojciec, osiemnastu ludzi! – rzekła stara z westchnieniem. – Pomarli, taki zdatny naród, wszystko tacy robotni ludzie. Co prawda, trochę się ich potem porodziło, ale co ja mam z nich, taki drobiazg? A tu asesor przyjeżdża, trzeba, powiada, podatek płacić od duszy. Naród martwy, a płacić niby za żywych. W zeszłym tygodniu spalił mi się kowal, taki zmyślny kowal i na ślusarce się znał.

– Czy był u was pożar, mateczko?

– Bóg ustrzegł od takiego nieszczęścia; pożar, to byłoby jeszcze gorzej; sam się spalił, ojciec kochany. Jakoś mu się we wnętrzu zapaliło, wypił za dużo; tylko niebieski ogień z niego wyszedł, zgorzał cały, zgorzał i szerniał jak węgiel, a taki był z niego zmyślny kowal. Nie mogę teraz wyjeżdżać, nie ma kto podkuć koni.

– Wola boska, mateczko, nad wszystkim! – rzekł Cziczikow westchnąwszy. – Przeciw zrządzeniu bożemu nie można szemrać... Anastazjo Pietrowno, niech pani mi ich odstąpi!

– Kogo, ojczy?

– A tych wszystkich, co pomarli.

– Jakże ich odstąpić?

– W bardzo prosty sposób. Albo też niech pani sprzeda. Zapłacę za nich gotówką.

– Ale jakże to? Doprawdy, tego nie rozumiem. Chcesz pan ich z ziemi odkopać czy co?

Cziczikow zrozumiał, że stara zbyt daleko zabrnęła i że trzeba jej wytłumaczyć, o co chodzi. Wyjaśnił jej w kilku słowach, że przewłaszczenie, czyli kupno, będzie figurowało tylko na papierze, a dusze będą na niego przepisane, jak gdyby były żywe.

– A na cóż one panu? – rzekła stara wytrzeszczywszy na niego oczy.

– To już moja rzecz.

– Przecież one są martwe.

– A któż powiada, że żywe? Dlatego to pani ma szkodę, że są martwe: płaci pani za nie podatki, a teraz ja wybawię panią od kłopotu i płacenia. Rozumie pani? Ba, nie tylko że panią od tego wybawię, ale dodam jeszcze nadto piętnaście rubli. No, teraz rozumiałe?

– Doprawdy, nie wiem – wyrzekła gospodyni z wahaniem. – Nigdy jeszcze nie sprzedawałam nieboszczyków.

– Jeszcze czego! Dziwne byłoby, gdyby pani ich komuś sprzedała. Czy też pani myśli, że w samej rzeczy może być z nich jaki pożytek?

– Nie, tak nie myślę! Co z nich za pożytek? Żadnego pożytku nie ma. Kłopot mi tylko sprawia, że są martwe.

„No, baba, zdaje się, ma twardy łeb!” – pomyślał Cziczikow. – Posłuchajcie, matko! Rozważcie tylko rzetelnie: przecie wy się rujnujecie, płacicie za nich podatki niby za żywych...

– Och, nie mówcie lepiej o tym, ojczy! – podchwyciła gospodyni. – Dopiero trzeci tydzień, jak zapłaciłam półtorej setki, a trzeba było i asesorowi posmarować łapę.

– No więc widzicie, matko! A teraz weźcie pod uwagę, że asesora smarować nie będzie potrzeba, dlatego że ja płacę za nich – ja, a nie pani. Biorę na siebie wszystkie obowiązki; sporządzę nawet akt sprzedaży za swoje pieniądze, rozumie pani?

Stara zamyśliła się. Widziała, że sprawa przedstawia się niby to korzystnie, ale jest zanadto nowa i niebywała i dlatego zaczęła się mocno wahać, bojąc się, by jej ten kupiec nie okpił. Bóg wie, skąd przybył, i w dodatku nocną porą.

– Więc cóż; mateczko, dobijemy targu czy jak? – rzekł Cziczikow.

– Doprawdy, ojczy kochany, nigdy jeszcze nie zdarzało mi się sprzedawać nieboszczyków. Żywych sprzedawałam zaprzeszłego roku protopopowi: dwie dziewczki, po sto rubli każda, i dziękował mi bardzo. Zrobiły się z nich takie doskonale robotnice, serwetki same tkają.

– Ależ tu nie o żywych mowa, Bóg z nimi! Pytam o martwych.

– Doprawdy, boję się tak od razu, żeby jakoś nie ponieść szkody. Może pan mnie oszukuje, a oni tego... może są warci coś więcej.

– Ach, mateczko... jaka pani jest! Ileż oni mogą być warci? Weźcie pod uwagę, przecie to próchno. Rozumiecie, po prostu próchno. Weźcie rzecz najmniej przydatną, ostatnią z ostatnich, na przykład zwyczajną ścierkę – i ta ma swoją cenę; kupią ją chociażby do fabryki papieru, a to przecie do niczego się nie przyda. Sami powiedzcie, do czego się to przyda?

– O, to już rzeczywiście prawda. Zupełnie do niczego się nie przyda; ale to tylko jedno właśnie mnie powstrzymuje, że przecie one są nieżywe!

„Ach, ty zakuty łbie! – rzekł pod nosem Cziczikow zaczynając już tracić cierpliwość. – I spróbuj tu dojść z nią do ładu! Przekłęta baba, ażem się przez nią spocił”. Tutaj, wyjąwszy chusteczkę, zaczął ocierać pot, który, w samej rzeczy, wystąpił mu na czoło. Zresztą Cziczikow gniewał się niesłusznie: trafia się czasem człowiek bardzo szanowny, ba, nawet mąż stanu, który w gruncie rzeczy nie różni się niczym od Koroboczki. Gdy już coś wbił sobie do głowy, nie można go zmóc

w żaden sposób, jakiegokolwiek by mu przedstawić dowody, jasne jak dzień, wszystkie odskakują od niego, jak piłka gumowa odskakuje od ściany. Otarliwszy pot Cziczikow postanowił spróbować, czyby nie można jej skłonić w inny sposób.

– Pani – rzekł – albo nie chce zrozumieć moich słów, albo też mówi tak naumyślnie, byle coś mówić... Daję pani pieniądze: piętnaście rubli asygnatami, rozumie pani? Przecież to są pieniądze. Pani ich nie znajdzie na ulicy. No, proszę się przyznać, po czemu pani sprzedała miód?

– Po dwanaście rubli pud.

– No, to już chyba nieprawda. Po dwanaście pani nie sprzedała.

– Jak Boga kocham, sprzedałam.

– No więc widzi pani? Ale to miód. Pani go zbierała może rok czasu, z kłopotem, staraniem, zachodami. Jeździła pani, zmuszała pszczoły do roboty, karmiła je pani przez całą zimę w piwnicy, a martwe dusze to sprawa nie z tego świata. Tutaj pani ze swej strony żadnych starań nie dokłada. Taka była wola boska, aby opuściły one ten padół, przynosząc szkodę gospodarstwu. Tam dostała pani dwanaście rubli za pracę, za staranie, a tu bierze pani pieniądze za nic, za darmo, i nie dwanaście rubli, nie srebrem, tylko wszystko niebieskimi papierkami. – Po wytoczeniu tych mocnych argumentów Cziczikow już nie wątpił, że stara podda się wreszcie.

– Doprawdy – rzekła gospodyni – jestem niedoświadczona wdowa. Czy nie lepiej by trochę zaczekać, może przyjadą kupcy, przystosuję się do cen.

– Wstyd, wstyd, matko! Wstyd po prostu! Co to za gadanie, pomyślcie sami? Kto je będzie kupował? Na co komu one? Jaki można z nich mieć pożytek?

– A może przypadkiem w gospodarstwie się przydadzą... – odrzekła stara i nie skończyła, otworzyła usta i patrzyła na niego niemal ze strachem, chcąc wiedzieć, co on na to powie.

– Martwi w gospodarstwie! Też trafiliście! Chyba wróble straszyć nocami w ogrodzie czy co?

– Wszelki duch pana Boga chwali! Co za grzeszne rzeczy wygadujesz! – wyrzekła stara żegnając się.

– I gdzieżby ich pani chciała jeszcze umieścić? A zresztą przecież kości i mogiły zostają u pani: przewłaszczenie następuje tylko na papierze. No więc jak? Jakże? Odpowiedz pani przynajmniej.

Stara znów się zamyśliła.

– O czym pani myśli, Anastazjo Pietrowno?

– Doprawdy nie mogę wymiarkować, jak mam postąpić, sprzedam panu lepiej konopie.

– A na co mi konopie? Na litość boską, proszę panią zupełnie o coś innego, a pani mi wtyka konopie! Konopie konopiami, przyjadę innym razem, wezmę konopie. No więc jak, Anastazjo Pietrowno?

– Jak Boga kocham, towar taki dziwny, nigdy nie spotykany!

Tu Cziczikow wyszedł z granic wszelkiej cierpliwości; z wściekłością wyrzwał krzesłem o podłogę i posłał ją do diabła. Gospodyni niezwykle zlekła się diabła.

– Ach, nie, nie wspominaj go. Bóg z nim! – krzyknęła blednąc cała. – Jeszcze onegdaj śnił mi się, przekłety, przez całą noc. Przyszło mi do głowy wróżyć z kart po pacierzu i widać Pan Bóg zesłał mi go za karę. Przyśnił się taki obrzydliwy, rogi dłuższe niż u byka.

– Dziwię się, że oni się pani dziesiątkami nie śnią. Chciałem tylko przez miłość chrześcijańską. Widzę – biedna wdowa, męczy się, jest w potrzebie... A niech zdechną i padną razem z całą twoją wsią!...

– Ach, co za wymysły – rzekła stara patrząc na niego ze strachem.

– Słów mi brak! Doprawdy, niby jakiś, żeby złego słowa nie powiedzieć, kundel, co to leży na sianie: sam siana nie je, a drugim nie da. Chciałem już kupić od pani różne produkty gospodarskie, dlatego że prowadzę również dostawy rządowe... Tutaj zełgał trochę, choć tylko mimochodem, bez dalszych zamiarów, lecz niespodzianie pomyślnie. Dostawy rządowe podziały silnie na Anastazję Pietrowną, przynajmniej wyrzekła już głosem niemal błagalnym:

– Czemuż się pan rozgniewał tak bardzo? Gdybym wiedziała zawczasu, żeś taki gniewny, wcale bym się nie sprzeciwiła.

– Jest też o co się gniewać! Sprawa funta kłaków nie warta, a ja miałbym się gniewać.

– Ależ proszę, gotowa jestem sprzedać za piętnaście papierków! Tylko pamiętaj, ojcze drogi, co do dostaw: gdy będzie potrzeba mąki żytniej albo gryczanej, albo kaszy, albo bydła na ubój, to już mnie nie skrzywdź.

– Nie, mateczko, nie skrzywdzę – mówił, a jednocześnie ocierał z czoła pot, który ciurkiem spływał mu po twarzy. Rozpytał ją, czy nie ma w mieście jakiegoś pełnomocnika lub znajomego, któremu mogłaby dać pełnomocnictwo na sporządzenie aktu sprzedaży i wszystkiego, co trzeba.

– Jakże, syn protopopa, ojca Cyryla, służy w Izbie Skarbowej! – rzekła Koroboczka.

Cziczikow poprosił o napisanie dla niego pełnomocnictwa i aby wybawić ją od zbytecznych kłopotów, podjął się sam je napisać.

„Dobrze byłoby – pomyślała sobie tymczasem Koroboczka – gdyby on brał ode mnie mąkę i bydło na dostawy. Trzeba by go zjednać, zostało jeszcze trochę ciasta z wczorajszego wieczoru, pójdę powiedzieć Fiednii, żeby napiekła blinów. Dobrze też byłoby upiec pieróg przasny z jajkiem; u mnie to doskonale robią, a nie zabiera dużo czasu”.

Gospodyni wyszła, aby wprowadzić w czyn pomysł zrobienia pieroga i prawdopodobnie uzupełnić to innymi jeszcze tworam domowej piekarni i kuchni. Cziczikow wyszedł do bawialni, gdzie spędził noc, aby wydobyć ze swej szkatułki potrzebne papiery. W bawialni dawno już wszystko było uporządkowane: wspaniałe pierzyny wyniesiono, a przed kanapą stał nakryty serwetą stół. Postawiwszy na nim szkatułkę odpoczął nieco, ponieważ czuł, że jest cały zlany potem niby w łaźni; wszystko, co miał na sobie, poczynając od koszuli aż do skarpetek, wszystko było wilgotne. – Ależ mnie zmordowała starucha przekłeta – rzekł odpocząwszy nieco i otworzył szkatułkę. Autor jest pewien, że istnieją tacy ciekawi czytelnicy, którzy życzyliby sobie poznać plan i rozkład wewnętrzny szkatułki. Proszę bardzo, czemużby ich nie zadowolić? Oto rozkład wewnętrzny: na samym środku mydelniczka, za mydelniczką sześć do siedmiu wąskich przegródek na brzytwy; potem kwadratowe zakamarki na kałamarz i piaseczniki z wydrążoną pomiędzy nimi łódeczką do piór, laku i innych przedmiotów podłużnych; następnie przeróżne przegródki z pokrywkami i bez pokrywek do krótkich przedmiotów, wypełnione wizytówkami, zawiadomieniami pogrzebowymi, biletami teatralnymi i innymi, składanymi na pamiątkę. Cała górna część szkatułki ze wszystkimi przegródkami dawała się wyjmować, a pod nią znajdowała się przestrzeń zajęta plikami papierów; potem zaś następowała mała skrytka na pieniądze, wysuwająca się nieznacznie z boku szkatułki. Skrytka ta była zawsze tak spieszenie wsuwana i wysuwana przez właściciela, że nie można powiedzieć na pewno, ile tam było pieniędzy. Cziczikow zakrzętał się od razu, zatemperował pióro i zaczął pisać. W tym czasie weszła gospodyni.

– Ładną ma pan skrzyneczkę – rzekła przysiadając się. – Pewno kupiona w Moskwie!

– W Moskwie – odrzekł Cziczikow pisząc dalej.

– Wiedziałam, tam wszystko dobrze robią. Trzy lata temu siostra przywiozła stamtąd ciepłe buciki dla dzieci: dotąd jeszcze je noszą, taki dobry towar. Ach, ile tu masz papieru stemplowego! – ciągnęła zajrzawszy do szkatułki. W samej rzeczy, papieru stemplowego było tam sporo. – Podarowałbyś mi arkusik! Tak mi tego brak; trzeba czasem podanie do sądu złożyć, a nie ma na czym.

Cziczikow wyjaśnił jej, że to papier innego rodzaju, przeznaczony do kontraktów, a nie do podań. Zresztą, aby ją uspokoić, dał jej jakiś arkusz wartości jednego rubla. Napisawszy list dał jej do podpisu i poprosił o mały spis chłopów. Okazało się, że gospodyni nie prowadziła żadnych spisów ani notatek, lecz znała wszystkich na pamięć; skłonił ją, by mu ich zaraz podyktowała. Niektórzy chłopci zdumieli go cokolwiek swymi nazwiskami, a jeszcze bardziej przydomkami, tak iż za każdym razem, słysząc je, najpierw zastanawiał się, a potem zaczynał pisać. Szczególnie zdumiał go jakiś Piotr Sawieliew Nieszanuj-Koryto, tak iż nie mógł się powstrzymać od powiedzenia: – Jaki długi! – Inny miał do nazwiska przyczepione Krowia Cegła, inny okazał się po prostu: Koło Jan. Kończąc pisać wciągnął nosem powietrze i poczuł ponętny zapach czegoś gorącego na maśle.

– Proszę bardzo coś zakąsić – rzekła gospodyni. Cziczikow obejrzał się i spostrzegł, że na stole stoją już grzybki, pierożki, kukielki, bliny, placuszki różnie przyrządzone, przysmażane z cebulką, przypiekane z makiem, przypiekane z twarogiem, przypiekane ze stynkami i czego tam nie było...

– Przaśny pieróg z jajkiem! – rzekła gospodyni. Cziczikow przysiadł się do przasnego pieroga z jajkiem i zjadłszy od razu więcej niż połowę pochwalił go. I naprawdę pieróg był bardzo smaczny, a po całej tej kłótni i sporach ze starą wydał się jeszcze smaczniejszy.

– A blinków? – rzekła gospodyni.

W odpowiedzi na to Cziczikow zwinął trzy bliny razem i umoczywszy je w roztopionym maśle połknął, a ręce i usta otarł serwetą. Powtórzywszy tę czynność trzykrotnie, poprosił gospodynię, by kazała zaprzęgać do bryczki. Anastazja Pietrowna zaraz posłała Fietinię, przykazawszy jednocześnie przynieść jeszcze gorących blinów.

– Smaczne u was bliny, mateczko – rzekł Cziczikow zabierając się do przyniesionych gorących.

– Tak, pieką je u mnie bardzo dobrze – rzekła gospodyni – ale cóż, urodzaj marny, mąka nie najlepsza... A co wy, ojcz, tak się śpieszycie? – powiedziała widząc, że Cziczikow wziął czapkę do ręki – przecież bryczka jeszcze nie zaprzężona.

– Zaprzęgną, mateczko, zaprzęgną. U mnie się prędko zaprzęga.

– To już nie zapominaj pan, proszę, o dostawach.

– Nie zapomnę, nie zapomnę – mówił Cziczikow wychodząc do sieni.

– A słoniny pan nie kupuje? – rzekła gospodyni idąc za nim.

– Dlaczego nie? Kupię, tylko później.

– Koło świąt będę miała słoninę.

– Kupi się, wszystko się kupi, słoninę też się kupi.

– A może potrzeba pierza. Koło św. Filipa będę miała pierze.

– Dobrze, dobrze – mówił Cziczikow.

– Otóż widzicie, ojcz, drogi, bryczka jeszcze nie gotowa – rzekła gospodyni, kiedy wyszli na ganek.

– Będzie gotowa, będzie. Niech mi pani tylko powie, w jaki sposób dostać się do traktu.

– Jak by to zrobić – powiedziała gospodyni. – Trudno powiedzieć, dużo zakrętów; chyba dam wam dziewczynę, żeby pokazała drogę. Pewno masz miejsce na koźle, to sobie tam przysiadzie.

– Jakżeby nie.

– Dobrze, dam ci dziewczynę, ona zna dobrze drogę, tylko pamiętaj, nie wywieź jej. Jedną już mi kupcy wywieźli.

Cziczikow zapewnił ją, że nie wywiezie, i Koroboczka, uspokojona, jęła już przyglądać się wszystkiemu, co znajdowało się na podwórzu: wlepiła oczy w klucznicę wynoszącą z piwnicy drewnianą faškę z miodem, w chłopca, który właśnie pokazał się we wrotach, i po trochu cała pograżyła się w gospodarstwie. Ale po cóż zajmować się tak długo Koroboczka? Koroboczka czy Maniłowa, życie gospodarskie czy niegospodarskie – pomińmy to! Bo najdziwniejsze w urzędzeniu świata jest to, że co wesołe, momentalnie stanie się smutne, jeśli tylko zbyt długo zatrzymać się przy nim, i wtedy Bóg wie co przychodzi do głowy. Może nawet człowiek pomyśli sobie: ba, czyż naprawdę Koroboczka tak nisko stoi na nieskończonej drabinie ludzkiej doskonałości? Czyż naprawdę tak wielka przepaść oddziela ją od jej siostry, niedosiężnie odgradzonej ścianami arystokratycznego domu z przyjemnie pachnącymi żelaznymi schodami, lśniącymi miedzią, mahoniem i dywanami, ziewającej nad nie doczytaną książką w oczekiwaniu dowcipnej i eleganckiej wizyty, podczas której znajdzie sposobność błysnięcia rozumem i wypowiedzenia wyuczonych myśli, myśli, prawem mody, interesujących miasto przez cały tydzień, myśli nie o tym, co się dzieje w jej domu, w jej majątkach zapuszczonych i zrujnowanych skutkiem nieznamośności spraw gospodarskich, lecz o tym, jaki przewrót polityczny przygotowuje się we Francji, jaki kierunek obrał modny katolicyzm. Pomińmy to, pomińmy! Po co o tym mówić? Ale dla czegoż w chwilach wolnych od rozmyślań, wesołych, beztroskich, nagle przebiega jakaś inna,

dziwna fala: jeszcze śmiech nie zdołał zniknąć całkowicie z twarzy, a już człowiek staje się innym wśród tych samych ludzi i już innym światłem rozjaśnia się twarz.

– Otóż i bryczka, otóż i bryczka! – zawołał Cziczikow ujrawszy wreszcie podjeżdżającą swą bryczkę. – Cóżes ty, bałwanie, grzebał się tak długo? Widocznie wczorajsze pijaństwo nie wywietrzało ci jeszcze z głowy?

Selifan nic na to nie odpowiedział.

– Żegnajcie, matko! A cóż? Gdzie wasza dziewczyna?

– Hej, Pełagieja! – rzekła dziedziczka do stojącej koło ganku jedenastoletniej dziewczynki w ubraniu z domowego płótna, z bosymi nogami, które z daleka można było wziąć za trzewiki, tak były oblepione świeżym błotem – pokaż panu drogę.

Selifan pomógł wdrapać się na kozioł dziewczynce, która stanawszy jedną nogą na pańskim stopniu, najpierw zawałała go błotem, a później dopiero dostała się na kozioł i umieściła się obok Selifana. Po niej Cziczikow sam postawił nogę na stopniu i przechyliwszy bryczkę w prawą stronę, bo był nieco przyciężki, ułokował się wreszcie, rzekłszy:

– No, teraz dobrze! Żegnajcie, matko!

Konie ruszyły.

Selifan przez całą drogę był bardzo uroczy, a zarazem bardzo uważny, co zdarzało mu się zawsze, gdy coś przeszkrobał lub był pijany. Konie były zadziwiająco wyczyszczone. Chomało na jednym z nich, nakładane dotychczas prawie zawsze w stanie podartym, tak iż spod skóry wyglądały pakuły, było starannie pozszywane. Przez całą drogę Selifan milczał, zaciął tylko batem konie i nie zwracał się do nich z żadnymi pouczającymi przemówieniami, chociaż tarantowaty naturalnie miał wielką ochotę usłyszeć coś umoralniającego, bo wtedy lejce leniwie jakoś spoczywały w rękach rozmownego woźnicy i bat tylko dla pozorów spacerował po grzbietach. Lecz tym razem z ponurych ust słychać było jeno monotonie nieprzyjemne pokrzykiwania: „Nuże, gawronie, gap się, gap!” – i nic więcej. Nawet gniady i Asesor były niezadowolone nie usłyszawszy ni razu ani „kochani”, ani „szanowni”. Tarantowaty odczuł arcynieprzyjemne uderzenia w pełne i szerokie części swego ciała. „Patrzcie no, jak go ponosi! – myślał sobie strzygąc z lekka uszami. – Nie bój się, wie on, gdzie bić! Nie śmignie wprost w plecy, tylko wybiera te miejsca, gdzie mocniej czujesz: ściągnie po uszach albo zatnie pod brzuch”

– Na prawo czy jak? – z takim oschłym pytaniem zwrócił się Selifan do siedzącej obok dziewczynki, wskazując batem na pociemniałą od deszczu drogę pomiędzy jaskrawozielonymi, odświeżonymi polami.

– Nie, nie, już ja pokażę – odrzekła dziewczynka.

– Którędy? – rzekł Selifan, gdy podjechali bliżej.

– Ano tam! – odpowiedziała dziewczynka wskazując ręką.

– Ech, ty! – powiedział Selifan. – Przecież to jest na prawo: nie wie, gdzie na prawo, a gdzie na lewo!

Chociaż dzień był bardzo ładny, lecz ziemia rozmiękła do tego stopnia, że koła bryczki podbierając ją stały się wkrótce jakby pokryte wojłokiem, co znacznie obciążało ekwipaż; w dodatku gleba była gliniasta i niezwykle lepka. I jedno, i drugie było powodem, że nie mogli się wydobyć z polnych drózek wcześniej niż w południe. Bez dziewczyny trudno byłoby i to nawet osiągnąć, dlatego że drogi rozłaziły się na wszystkie strony niby schwyte raki, gdy się je wysypie z worka, i Selifan musiałby zabłądzić już bez własnej winy. Wkrótce dziewczynka wskazała ręką na budynek czerniejący z daleka mówiąc: – To trakt!

– A budynek? – zapytał Selifan.

– Szynek! – powiedziała dziewczynka.

– No, teraz już sami dojedziemy – rzekł Selifan – wracaj do domu.

Zatrzymał się i pomógł jej zleźć wyrzekłszy przez zęby: – Ech ty, czarnonoga!

Cziczikow dał jej miedzianego groszaka, a ona pobrnęła do swoich, rada już z tego, że posiedziała na kozle.

ROZDZIAŁ IV

Zajechawszy przed szynk Cziczikow kazał się zatrzymać z dwóch powodów: z jednej strony, żeby dać wytchnąć koniom, a z drugiej strony, żeby i samemu trochę podjeść i pokrzepić się. Autor musi się przyznać, że bardzo zazdrości apetytu i żołądka ludziom tego rodzaju. Nic go nie obchodzi wszyscy ci wielcy panowie, mieszkający w Petersburgu i Moskwie, którzy spędzają czas na obmyślaniu, co by zjeść jutro i jaki by obiad zadysponować na pojutrze, i siadają do tego obiadu nie inaczej, jak połknawszy przedtem pigułkę; pochłaniają ostrygi, pająki morskie i inne dziwy, a potem wyjeżdżają do Karlsbadu albo na Kaukaz. Nie, ci panowie nigdy w autorze nie wzbudzali zazdrości. Ale panowie średniozamożni, ci, co to na jednej stacji zażądają szynki, na drugiej prosiaka, na trzeciej zjedzą kawałek jesiotra albo jakąś przysmażoną kielbasę z cebulką, a później, jakby nigdy nic, siadają do stołu o każdym czasie i czeczują zupa z miętusami i mleciami tylko im syczy i trzeszczy w zębach, zagryzana pasztecikiem albo kulebiakiem nadziewanym sumem, tak że aż innych bierze apetyt – otóż ci panowie istotnie korzystają z godnych zazdrości darów nieba! Niejeden wielki pan natychmiast oddałby połowę dusz chłopskich i połowę dóbr, zastawionych i nie zastawionych, ze wszystkimi melioracjami na zagraniczną i na rosyjską modłę, za to, żeby tylko mieć taki żołądek, jaki posiada pan średniozamożny; ale cała bieda w tym, że za żadne pieniądze ani za dobra, z melioracjami czy bez melioracyj, nie można kupić takiego żołądka, jaki miewa pan średniozamożny.

Drewniany, pociemniały szynk przyjął Cziczikowa pod swe wążutkie gościnne podcienie na drewnianych toczonych słupkach, podobnych do staroświeckich cerkiewnych lichtarzy. Szynk był czymś w rodzaju rosyjskiej chaty trochę większych rozmiarów. Ozdobnie rzeźbione gzymsy z nie malowanego drzewa naokoło okien i pod dachem jaskrawo i żywo odcinały się na tle ciemnych ścian; na okiennicach były namalowane dzbany z kwiatami.

Wszedłszy po wążutkich drewnianych schodkach do szerokiej sieni, Cziczikow ujrzał otwierające się ze skrzypem drzwi, przez które padła smuga światła, równocześnie stanęła w nich stara tłusta kobieta w pstrej perkalowej sukni mówiąc: – Niech pan pozwoli tutaj. – W izbie znaleźli się wszyscy starzy przyjaciele następczący się każdemu w małych drewnianych szynkach, jakich sporo wybudowano przy drogach, a mianowicie: zaśnieziały samowar, gładko wyheblowane sosnowe ściany, trójkątna szafa z czajnikami i filiżankami w kącie, porcelanowe poślacane jajeczka przed ikonami wiszące na błękitnych i czerwonych wstążeczkach, kotka, która się niedawno okociła, lustro odbijające zamiast dwojga czworo oczu, a zamiast twarzy jakiś placek, wreszcie powtykane pęczki wonnej trawy i goździków przed ikonami, wyschnięte do tego stopnia, że kto chciał je powąchać, kichał tylko i nic więcej.

– Jest prosię? – z takim pytaniem zwrócił się Cziczikow do stojącej baby.

– Jest.

– Z chrzanem i ze śmietaną?

– Z chrzanem i ze śmietaną.

– Dawaj je tu!

Stara poszła się zakrzętać i przyniosła talerz, serwetkę tak nakrochmaloną, że wzdymała się jak zeschnięta kora, następnie nóż z poślótką kościaną rączką, cienki jak scyzoryk, widelec o dwóch zębach i solniczkę, której w żaden sposób nie można było prosto postawić na stole.

Bohater nasz z przyzwyczajenia wdał się z babą w rozmowę i zapytał, czy ona sama utrzymuje szynk, czy też jest gospodarz, i jaki dochód daje szynk, i czy synowie mieszkają razem z nimi, i czy najstarszy syn kawaler, czy żonaty, i jaką wziął żonę, z dużym posagiem czy nie, i czy teść był zadowolony, czy się nie gniewał, że mało podarunków dostał na weselu, słowem, niczego nie opuścił. Samo się przez się rozumie, że ciekaw był wiedzieć, jacy obywatele ziemscy są w okolicy, i dowiedział się, że są różni: Błochin, Poczitajew, Mylnoj, pułkownik Czerpaków, Sobakiewicz. – A! Znasz Sobakiewicza? – zapytał i zaraz usłyszał, że stara zna nie tylko Sobakiewicza, ale i Maniłowa, i że Maniłow jest „delikatniejszy” od Sobakiewicza: zaraz każe ugotować kurę, zamówi cielecinę; jeżeli jest pieczeń barania, to zamówi i pieczeń baranią i wszystkiego ledwie że spróbuje, a Sobakiewicz zamówi jakąś jedną potrawę, ale już za to wszystko zje i jeszcze dokładki zażąda za tę samą cenę.

Gdy tak rozmawiał jedząc prosię, z którego pozostał już ostatni kęsek, dał się słyszeć turkot kół nadjeżdżającego pojazdu. Wyjrawszy przez okno zobaczył zatrzymującą się przed szynkiem lekką bryczuszkę zaprzęzoną w trójkę dobrych koni. Z bryczki wysiadło jakichś dwóch mężczyzn: jeden blondyn, wysokiego wzrostu, drugi nieco niższy, czarniawy. Blondyn był w ciemnoniebieskiej czamarcie, czarniawy po prostu w pasiastym archaiku. Z daleka nadciągała jeszcze jakaś kiepska kolaska, pusta, ciągnięta przez cztery koniska o dziwnie długiej sierści, w podartych chomątach i w uprzęży z postronków. Blondyn zaraz wszedł po schodach na górę, podczas gdy czarny pozostawał jeszcze na dole i macał coś w bryczce, rozmawiając równocześnie ze służącym i dając znaki jadącej za nimi kolasce. Głos jego wydał się Cziczikowowi jakby trochę znajomy. W czasie gdy mu się przyglądał, blondyn zdążył już namacać drzwi i otworzyć je. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, szczupły na twarzy albo, jak to mówią, zblazowany, z ryżymi wąsikami. Z jego opalonej twarzy można było wywnioskować, że wiedział, co to takiego dym, jeżeli nie prochu, to przynajmniej tytoniu. Uprzejmie skłonił się Cziczikowowi, na co ten ostatni odpowiedział tym samym. W ciągu niewielu chwil zapewne nawiązałyby z sobą rozmowę i zaznajomili się jak należy, bo początek był już zrobiony, obaj prawie równocześnie wyrazili zadowolenie, że kurz na drodze zupełnie znikł po wczorajszym deszczu i teraz jechać chłodno i przyjemnie, gdy wszedł jego czarniawy towarzysz, zrzucił na stół czapkę z głowy i zamasyście wstrząsnął swymi czarnymi, gęstymi włosami. Był to zuch średniego wzrostu, bardzo ładnie zbudowany, o pełnych rumianych policzkach, z białymi jak śnieg zębami i czarnymi jak smoła bokobrodami. Świeży był jak krew z mlekiem; zdawało się, że zdrowie aż tryska mu z twarzy.

– Ba, ba, ba! – zawołał nagle, rozkładając ręce na widok Cziczikowa. – Cóż za spotkanie!

Cziczikow poznał Nozdriowa, tego samego, z którym jadł obiad u prokuratora i który w ciągu kilku minut doszedł do takiej poufałości z nim, że zaczął mu już mówić „ty”, mimo że Cziczikow ze swej strony nie dał mu do tego żadnego powodu.

– Dokąd jeździłeś? – mówił Nozdriow i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: – A ja, bracie, z jarmarku. Powinszuj mi, splukałem się do nitki! Czy dasz wiarę, że nigdy w życiu tak się nie splukałem? Toć ja cudzymi końmi przyjechałem! Spójrz przez okno! – Tu sam nachylił głowę Cziczikowa, tak że ten omal nie uderzył nią o framugę okna. – Widzisz, jaka nędza? Z ledwością dociągnęły, przekłęte; musiałem się przesiąść do jego bryczki. – Mówiąc to Nozdriow wskazał palcem na swego towarzysza. – Wy się jeszcze nie znacie? Mój szwagier Miżujew! Całe rano mówiliśmy z nim o tobie... „Zobaczysz, powiadam, że spotkamy Cziczikowa”. No, bracie, gdybyś wiedział, jakem się splukał. Czy dasz wiarę, że nie tylko cztery kłusaki przerznął, ale wszyscyutko. Toć nie mam przy sobie ani dewizki, ani zegarka... – Cziczikow spojrzał i zobaczył, że ten istotnie nie ma ani dewizki, i ani zegarka. Wydało mu się nawet, że jeden z jego bokobrodów jest mniejszy i nie tak gęsty jak drugi.

– A przecież, gdybym tylko miał dwadzieścia rubli w kieszeni – ciągnął Nozdriow – dwadzieścia, nie więcej, odegrałbym wszystko, to jest nie tylko że odegrałbym, ale, jakem uczciwy, trzydzieści tysięcy zaraz bym schował do pugilaresu.

– Tyś jednak i wtedy tak mówił – odpowiedział blondyn – a kiedy ci dałem pięćdziesiąt rubli, od razu żeś je przerznął!

– Nie przerznąłbym! Jak Boga kocham, nie przerznąłbym. Gdybym po parolu nie zwiększył stawki na tę przekłętą siódemkę, mógłbym cały bank rozbić.

– Jednak nie rozbiłeś – powiedział blondyn.

– Nie rozbiłem, dlatego że nie w porę zwiększyłem stawkę. A ty myślisz, że ten twój major dobrze gra?

– Dobrze czy niedobrze, jednak cię ograł.

– Wielkie rzeczy! – powiedział Nozdriow – tak to i ja go ogram. Nie, niech no on spróbuje grać dubletem, to ja wtedy zobaczę, zobaczę ja wtedy, co z niego za gracz! Za to, bracie Cziczikow, jakeśmy hulali przez pierwsze dni! Prawda, że jarmark był nadzwyczajny. Sami kupcy mówią, że nigdy nie było takiego zjazdu. Wszystko, co ode mnie ze wsi przywieźli, sprzedali po jak najlepszej cenie. Ech, bracie, ależ się hulało! Nawet teraz, jak sobie przypomnieć... niech diabli wezmą, powiadam ci, co za szkoda, że ciebie tam nie było! Wyobraź sobie, że o trzy wiorsty od miasta stał pułk dragonów. Czy dasz wiarę, że oficerowie, ilu ich tylko było, czterdziestu samych oficerów było w mieście... Jakeśmy, braciszku, zaczęli pić... sztabsrotmistrz Pocełujew... taki byczy chłop! wąsy, bracie, takie! Na *Bordeaux* mówi po prostu burdaszka. „Przynieś no, bracie – powiada – burdaszki!” Porucznik Kuwszynnikow... Ach, bracie, cóż za przemiły człowiek! To już, można powiedzieć, hulaka całą gębą. Ciągłeśmy byli razem. A jakiego wina dał nam Ponomariew! Trzeba ci wiedzieć, że to szubrawiec i w jego sklepie nic nie można brać, do wina miesza różne świństwa: drzewo sandałowe, spalony korek i nawet czarnym bzem, łajdak, zaciera; ale za to, jeśli już wyciągnie z odległego pokoiku, który się nazywa u niego specjalnym, jakąś butelczynę, to, bracie, po prostu jakbyś bujał w zaświatach. Szampana mieliśmy takiego... Czymże jest wobec niego gubernatorski? – po prostu kwasem. Wyobraź sobie, nie *Cliquot*, ale jakieś *Cliquotmatradura*, to znaczy – podwójne *Cliquot*. I jeszcze wyciągnął jedną *butelczynę francuskiego pod nazwą: Bonbon*. Zapach? – różyczka i wszystko, co chcesz. Aleśmy pohulali!... Przyjechał potem po nas jakiś książe, posłał do sklepu po szampana – nie ma ani jednej butelki w całym mieście, wszystko oficerowie wypili. Czy dasz wiarę, że ja sam przy obiedzie wypilem siedemnaście butelek szampana!

– No, siedemnastu butelek nie wypijesz – zauważył blondyn.

– Powiadam ci jak uczciwy człowiek, że wypilem – odpowiedział Nozdriow.

– Możesz sobie gadać, co chcesz, a ja ci powiadam, że nawet dziesięciu nie wypijesz.

– No, chcesz się założyć, czy wypiję?

– Po co się zakładać?

– No, postaw swoją broń, którą kupiłeś w mieście.

– Nie chcę.

– No, postaw, spróbuj!

– Nie chcę nawet próbować.

– Zostałbyś bez broni jak amen w pacierzu. Ech, bracie Cziczikow, powiadam ci, jak ja żałowałem, że ciebie nie było! Wiem, że nie mógłbyś się rozstać z porucznikiem Kuwszynnikowem. Jak wy byście się świetnie ze sobą dobrali! To nie to, co prokurator i wszystkie gubernialne sknery w naszym mieście, co to aż się trzęsą o każdą kopiejkę. Ten, braciszku, i w galbik, i w bancek, i we wszystko, co chcesz. Ech, Cziczikow, no i co by ci szkodziło przyjechać? Doprawdy świntuch jesteś, pastuch, żeś tak zrobił! Pocałuj mnie, kochanku, strasznie cię lubię! Miżujew, popatrz no, co za zrządzenie losu! Cóż on dla mnie albo ja dla niego? On przyjechał Bóg wie skąd, ja też tutaj mieszkam... A ile było, bracie, karet, i wszystko to *en gros*. W fortunę też się zabawiłem, wygrałem dwa słoiki pomady, filizankę porcelanową i gitarę; potem jeszcze raz postawiłem i przegrałem, niech to diabli, jeszcze o sześć rubli więcej. A jaki to, żebyś wiedział: kobieciarz z tego Kuwszynnikowa! Byliśmy z nim prawie na wszystkich balach. Jedna była taka wystrojona: miała na sobie rozmaite fiu-fiu i diabli wiedzą, czego na sobie nie miała... Myślę sobie

tylko: „Niech to diabli” A Kuwshyinnikow, c6z to za, bestia, przysiadł si6 do niej i po francusku sady jej takie komplementy... Czy dasz wiar6, że zwyczajnym babom nie przepuścił. On to nazywa: „korzystać z truskawki”. Ryb i jesiotr6w w6dzonych nazwozili wspaniałyech. Jednak przywoziłem jednego, dobrze, zem wpadł na pomysł, aby kupić, kiedy jeszcze były pieni6dze. A ty dok6d teraz jedziesz?

- A ja do jednego człowieka – rzekł Cziczikow.
- Co tam człowiek! Puść go kantem! Pojedziemy do mnie!
- Nie mog6, nie mog6, mam interes.
- O, zaraz interes! Też wymyślił! Ach, ty Opodeldoku Iwanowiczu!
- Naprawd6 mam interes, i to ważny.
- Zał6ż6 si6, że łzesz! No, powiedz tylko, do kogo jedziesz?
- No, do Sobakiewicza.

Tu Nozdriow wybuchn6ł tym dźwi6cznym śmiechem, jakim zanosi si6 tylko rześki, zdrowy człowiek, który pokazuje wszystkie aż do ostatniego, białe jak cukier z6by, kt6remu trz6s6 si6 i skac6 policzki, a s6siad za dwojgiem drzwi, w trzecim pokoju, zrywa si6 ze snu wytrzeszczaj6c oczy i m6wi: „A to go wzi6ło!”

– C6ż w tym śmiesznego? – powiedział Cziczikow, w pewnej mierze niezadowolony z tego śmiechu.

Ale Nozdriow śmiał si6 dalej na całe gardło, przygaduj6c:

- Oj, zlituj si6! Doprawdy, p6kn6 ze śmiechu!
- Nie ma w tym nic śmiesznego. Dałem mu słowo – powiedział Cziczikow.

– A toż ci życie zbrzydnie, kiedy przyjedziesz do niego: to po prostu kutwa! Przecież ja znam tw6j charakter. Srodze si6 omylisz, jeżeli spodziewasz si6 trafić tam na banczek i dobr6 butelk6 jakiego *Bon-bon*. Słuchaj, braciszku, do diabła z Sobakiewiczem! Pojedziemy do mnie! Jakim jesiotrem ci6 pocz6stuj6! Ponomariow, bestia, tak si6 kłaniał, powiada: „Tylko dla pana; cały jarmark, powiada, niech pan obszuka, a takiego pan nie znajdzie”. Straszny to jednak oszust. W oczy mu to m6wiłem. „Pan, powiadam, i nasz dostawca to największe łotry!” Śmieje si6 bestia i brod6 głady. Co dzień jedliśmy z Kuwshyinnikowem śniadanie w jego sklepie. Ach, bracie, byłbym ci6 zapomniał powiedzieć, wiem, że teraz si6 nie odczepisz, ale za dziesięć tysięcy nie oddam, z g6ry ci to m6wi6. Hej, Porfiry! – zawołał, podszedłszy do okna, na swego człowieka, który trzymał w jednej r6ce nożyk, a w drugiej kromk6 chleba z kawałkiem jesiotra, który udało mu si6 mimochodem urz6nać wyjmuj6c c6ś z bryczki.. – Hej, Porfiry! – wołał Nozdriow – przynieś no szczeniaka! Co za szczeniak! – ci6gn6ł zwracaj6c si6 do Cziczikowa. – Kradziony, własciciel nie chciał go oddać za największe skarby. Dawałem mu tarantowat6 kobyl6, kt6r6, pami6tasz, wymieniłem u Chwostyriewa...

– Cziczikow zreszt6 nigdy w życiu nie widział tarantowatej kobyl6 ani Chwostyriewa.

– Prosz6 wielmożnego pana, nic pan nie chce przekasić? – powiedziała stara podchodz6c akurat do niego.

– Nic. Ach, bracie, aleśmy pohulali! Zreszt6, daj kieliszek w6dki. Jak6 masz?

– Anyż6wk6 – odpowiedziała stara.

– No, dawaj anyż6wki! – rzekł Nozdriow.

– Daj no i mnie kieliszek! – powiedział blondyn.

– W teatrze jedna aktorka tak, kanalia, śpiewała jak kanarek! Kuwshyinnikow, który siedział obok mnie, powiada: „Tu, bracie, warto by skorzystać z truskawki!” Samych bud, myśl6, było z pi6ćdziesiat. Fenardi² przez cztery godziny obracał si6 jak wiatrak.

Tu wzi6ł kieliszek z r6k starej, kt6ra mu si6 za to nisko pokłoniła.

– A dawaj go tu! – zawołał zobaczywszy Porfirego wchodz6cego za szczeniakiem.

² Fenardi – słynny akrobata w latach dwudziestych XIX wieku.

Porfiry był ubrany tak samo jak pan, w jakiś watowany archałuk, ale trochę bardziej zatłuszczony.

– Dawaj go, kładź tu na podłogę!

Porfiry położył na podłodze szczeniaka, który rozciągnął się na wszystkich czterech łapach, wachał ziemię.

– Ależ szczeniak! – powiedział Nozdriow wzięwszy go ręką za karczek i podniósłszy do góry. Szczeniak wydał dość żaloszny skowyt.

– Tyś jednak nie zrobił tego, com ci mówił – powiedział Nozdriow zwracając się do Porfirego i oglądając uważnie brzuch szczeniaka – aniś nie pomyślał, żeby go wyiskać?

– Jakże, iskałem.

– A skądże pchły?

– Nijak nie wiem. Mogło się zdarzyć, że go jakoś z bryczki oblaży.

– Łziesz, łziesz, ani ci się śniło iskać; myślę, durniu, żeś jeszcze swoich napuścił. Obejrzyj no go, Cziczikow, popatrz, jakie flafory, dotknij no ręką.

– Ależ po co? I tak widzę; dobrego pomiotu! – odpowiedział Cziczikow.

– Nie, weź no do ręki, pomacaj flafory!

Cziczikow, żeby mu zrobić przyjemność, pomacał szczeniakowi uszy mówiąc:

– Tak, dobry będzie pies.

– A nos, czujesz, jaki zimny? Weź no ręką.

Nie chcąc go urazić, Cziczikow wziął szczeniaka za nos mówiąc:

– Dobry węch.

– Prawdziwy legawiec – ciągnął Nozdriow – przyznam się, że już dawno ostrzyłem sobie zęby na legawca. Masz, Porfiry, odnieś go!

Porfiry wzięwszy szczeniaka pod brzuch odniósł go do bryczki.

– Słuchaj, Cziczikow, stanowczo powinieneś teraz jechać do mnie, pięć wiorst wszystkiego, w mig przejedziemy, a stamtąd możesz sobie i do Sobakiewicza pojechać.

„A cóż? – pomyślał sobie Cziczikow – rzeczywiście, wstąpię do Nozdriowa. Czymże on gorszy od innych? Taki sam człowiek, a przy tym zgrał się. Zdolny, jak widać, do wszystkiego, więc będzie można za darmo coś od niego wyprosić”.

– Owszem, pojedę – powiedział – ale nie waż się zatrzymywać, czas mi drogi.

– Ano widzisz, kochanku! Tak to dobrze! Czekaj no! Pocałuję cię za to. – Tu Nozdriow ucałował się z Cziczikowem. – Doskonale, we trzech pojedziemy!

Nie, mnie to już puść, proszę – mówił blondyn – muszę jechać do domu.

– Głupstwa, głupstwa, bracie, nie puszczę.

– Doprawdy, żona będzie się gniewać, a ty teraz możesz przesiąść się na bryczkę pana.

– Nie, nie, nie! Nie ma gadania!

Blondyn był jednym z tych ludzi, w których charakterze można na pierwszy rzut oka dostrzec pewien upór. Nie zdążysz jeszcze ust otworzyć, a już gotowi się spierać i zdaje się, że nigdy się nie zgodzą na to, co wyraźnie przeciwstawia się ich sposobowi myślenia, że nigdy czegoś głupiego nie nazwą mądrym i że, w szczególności nie zgodzą się tańczyć tak, jak im ktoś zagra; a kończy się zawsze na tym, że w ich charakterze okaże się miękkość, że zgodzą się właśnie na to, czemu zaprzeczali, głupie nazwą mądrym i będą potem tańczyli, jak im kto zagra, że lepiej nie trzeba – słowem, dobrze zaczynają, ale kiepsko kończą.

– Bzdury! – powiedział Nozdriow w odpowiedzi na jakiś argument blondyna, nałożył mu czapkę na głowę i – blondyn udał się za nimi.

– Za wódeczkę wielmożny pan nie zapłacił... – powiedziała stara.

– A dobrze, dobrze, mateczko. Słuchaj no, szwagrze! Bądź łaskaw zapłacić. Nie mam w kieszeni ani kopiejki!

– Ile ci się należy? – zapytał szwagier.

– Ano cóż, proszę wielmożnego pana, osiemdziesiąt kopiejek wszystkiego – odpowiedziała stara.

– Łiesz, łiesz. Daj jej pół rubla, będzie miała aż nadto.

– Trochę przymało, proszę wielmożnego pana – powiedziała stara, jednak wzięła pieniądze z podziękowaniem i jeszcze z pośpiechem pobiegła otworzyć drzwi. Nie była stratna, bo zażądała cztery razy więcej, niż wódka była warta.

Podróźni usadowili się. Bryczka Cziczikowa jechała obok bryczki, w której siedział Nozdriow i jego szwagier, dlatego wszyscy trzej mogli swobodnie rozmawiać przez drogę. Za nimi podążała, ciągle pozostając w tyle, mała kolaska Nozdriowa, zaprzężona w chude cudze konie. Siedział w niej Porfiry ze szczeniakiem.

Ponieważ rozmowa, która wiodli między sobą podróżni, nie była zbyt interesująca dla czytelnika, lepiej zrobimy, jeżeli powiemy coś o samym Nozdriowie, któremu, być może, uda się odegrać niepoślednią rolę w naszym opowiadaniu.

Twarz Nozdriowa zapewne jest już trochę znana czytelnikowi. Niemało takich ludzi zdarzało się spotkać każdemu. Nazywają ich zuchami, słyną jeszcze w dzieciństwie i w szkole jako dobrzy koledzy i przy tym wszystkim bywają bardzo dotkliwie bici. W ich twarzach widać zawsze coś otwartego, szczerzego, junackiego. Szybko zawierają znajomości i nie zdążysz się obejrzeć, kiedy już ci mówią „ty”. Zaprzyjaźnią się, zdawałoby się, na całe życie; ale prawie zawsze się tak zdarzy, że zaprzyjaźniwszy się, pokłóci się z nimi człowiek tego samego wieczoru na przyjacielskiej bibce. Zawsze gaduły, hulaki, spryciarze, ludzie okazali. Nozdriow w trzydziestym piątym roku życia był zupełnie taki sam jak w osiemnastym i w dwudziestym; lubił pohulać. Małżeństwo zupełnie go nie zmieniło, tym bardziej że żona wkrótce przeniosła się na tamten świat pozostawiając dwoje dzieci, które mu zupełnie nie były potrzebne. Dziećmi jednak opiekowała się ładniutka niańka. W domu w żaden sposób nie mógł wysiedzieć dłużej niż dzień. Czujny jego nos wywahał o kilkadziesiąt wiorst, gdzie był jarmark z różnymi zjazdami i balami; w mgnieniu oka już tam był, kłócił się, robił zamieszanie przy zielonym stoliku, bo, jak wszyscy do niego podobni, miał żyłkę do kart. W karcięta, jakieś to już widzieli z pierwszego rozdziału, grał niezupełnie czysto i uczciwie, znając wiele różnych wolt i innych subtelności, i dlatego gra bardzo często kończyła się inną grą: albo kopano go butami, albo też robiono woltę jego gęstym i bardzo ładnym bokobrodem, tak że niekiedy wracał do domu tylko z jednym bokobrodem i to dość rzadkim. Ale jego zdrowe i pełne policzki były tak dobrej kompleksji i zawierały tyle sił żywotnych, że bokobrody szybko odrastały, nawet jeszcze ładniejsze niż dawniej. I, co najdziwniejsze ze wszystkiego, co tylko w Rosji może się zdarzyć, po jakimś czasie znowu spotykał się z tymi przyjaciółmi, którzy go poturbowali, i to spotykał się jakby nigdy nic, i on, jak się to mówi, nic, i oni nic.

Nozdriow był w pewnym sensie człowiekiem historycznym. Ani na jednym zebraniu towarzyskim, na którym był, nie obeszło się bez historii. Jakaś historia nieodzownie musiała się zdarzyć; albo żandarmi wyprowadzą go pod ręce z sali, albo własni jego przyjaciele zmuszeni będą wyrzucić. A jeżeli to się nie zdarzy, to jednak zawsze będzie coś takiego, co się komu innemu nigdy nie przytrafi: albo urznie się w bufecie tak, że się tylko śmieje, albo załże się tak okropnie, że w końcu sam zaczyna mieć skrupuły. I nałże zupełnie bez potrzeby. Opowie raptem, że miał konia jakiejś błękitnej albo różowej maści, i tym podobne brednie, tak że słuchacze w końcu wszyscy odchodzą mówiąc: „No, bracie, zdaje się, że niedługo już przez morze przeskoczysz”. Istnieją ludzie, którzy mają żyłkę do robienia innym świństw, czasem zupełnie bez powodu. Niejeden, na przykład, i to człowiek o wysokiej randze, o szlachetnym wyglądzie, z gwiazdą na piersiach, będzie wam ścisnął rękę, porozmawia z wami na tematy głębokie, dające do myślenia, a potem ni z tego, ni z owego, w jednej chwili, w waszych oczach zrobi wam świństwo. I robi świństwo tak, jak zwyczajny registrator kolegiálny, a wcale nie jak człowiek z gwiazdą na piersiach, rozmawiający na tematy dające do myślenia, tak że stoisz tylko i dziwisz się wzruszając ramionami, i nic więcej. Taką samą dziwną namiętność posiadał także Nozdriow. Im kto bardziej się do niego zbliżył, temu prędzej niż innym załazł za skórę. Puszczął plotki, od których głupsze trudno wymyślić, przez

niego małżeństwa nie dochodziły do skutku, rozbijał transakcje handlowe i wcale się nie uważał za waszego wroga; przeciwnie, jeżeli mu się trafiała okazja znowu was spotkać, znowu odnosił się przyjaźnie, a nawet mówił: „A to łajdak z ciebie – nigdy do mnie nie przyjedziesz”. Nozdriow pod wieloma względami był człowiekiem wszechstronnym, to jest wiekiem do wszystkiego. Zaraz gotów był z wami jechać, dokąd chcecie, choćby na kraj świata, przystąpić do jakiego wam się żywnie podoba interesu, zamienić wszystko jedno co, na wszystko, co chcecie. Broń, pies, koń – wszystko stanowiło przedmiot wymiany, ale bynajmniej nie w chęci zysku; wynikało to po prostu z jakiejś nieposkromionej bujności i zawadiactwa charakteru. Jeżeli mu się na jarmarku udało trafić na naiwnego i ograć go, kupował mnóstwo wszystkiego, co mu wpadło w oczy w sklepach: chomąta, trociczki, perkaliki, świece, chustki dla niańki, ogiera, rodzynki, srebrną miednicę, płótno holenderskie, mąkę pszenną, tytoń, pistolety, śledzie, obrazy, toczydło, garnki, buty, naczynia fajansowe – na ile tylko starczyło pieniędzy. Zresztą rzadko się zdarzało, żeby to było dowiezione do domu. Prawie tego samego dnia przechodziło w ręce innego szczęśliwego gracza, czasem nawet trzeba było dodać własną fajkę z kapciuchem i munsztukiem, a niekiedy nawet całą czwórkę razem ze wszystkim – z kolasą i ze stangretem, tak że sam właściciel w krótkim surduciku albo w archałuku udawał się na poszukiwanie jakiegoś przyjaciela, żeby skorzystać z jego ekwipażu. Taki oto był Nozdriow! Być może, iż nazwą go charakterem wypaczonym, powiedzą, że teraz już nie ma Nozdriowów. Niestety! nie będą mieli słuszności ci, którzy tak powiedzą. Nozdriow jeszcze długo będzie istniał na tym świecie. On jest wszędzie pomiędzy nami, może tylko inaczej ubrany; ale ludzie są lekkomyślnie nieprzenikliwi i człowiek inaczej ubrany wydaje im się innym człowiekiem.

Tymczasem trzy pojazdy zajechały już przed ganek domu Nozdriowa. W domu nie poczyniono żadnych przygotowań na ich przyjęcie. Pośrodku stołowego stały dwa drewniane kozły, i dwaj chłopcy stojąc na nich bielili ściany wyciągając jakąś nie kończącą się pieśń. Cała podłoga była opryskana farbą. Nozdriow natychmiast kazał chłopcom wynosić się precz z kozłami i wybiegi do drugiego pokoju wydać zarządzenia. Goście słyszeli, jak zamawiał obiad u kucharza; uświadomiwszy to sobie Cziczikow, który zaczynał już nabierać apetytu, doszedł do przekonania, że wcześniej niż o piątej nie zasiądą do stołu. Nozdriow po powrocie oprowadzał gości, żeby im pokazać wszystko, co miał, i w przeszło dwie godziny pokazał im absolutnie wszystko, tak że nic już więcej nie zostało do pokazania. Przede wszystkim poszli oglądać stajnię, gdzie widzieli dwie kobyły: jedną siwo-jabłkowitzą, drugą tarantowatą, potem gniadego ogiera, na pozór wcale nieokazałego, ale Nozdriow przysięgał, że zapłacił za niego dziesięć tysięcy.

– Dziesięciu tysięcy za niegoś nie dał – zauważył szwagier. – On i tysiąca niewart.

– Jak Boga kocham, dałem dziesięć tysięcy – powiedział Nozdriow.

– Możesz się zaklinać, ile chcesz – odpowiedział szwagier.

– No, chcesz, założymy się? – powiedział Nozdriow.

Szwagier nie chciał się zakładać.

Potem Nozdriow pokazał pustą stajnię, gdzie przedtem były również dobre konie. W tej samej stajni widzieli kozła, którego według starego zabobonu uważano za konieczne trzymać przy koniach i który, jak się zdawało, żył z nimi w zgodzie, spacerował im pod brzuchami jak u siebie w domu. Potem Nozdriow zaprowadził ich, żeby obejrzeni wilczka trzymanego na uwięzi. – Ależ wilczek! – powiedział – umyślnie karmię go surowym mięsem. Chciałbym, żeby był zupełnie dziki! – Poszli oglądać staw, w którym według zapewnień Nozdriowa były ryby tej wielkości, że dwaj ludzie z trudem je wyciągali, tu jednak krewniak nie ominął sposobności, by wyrazić swe powątpiewanie. – Ja ci, Cziczikow – powiedział Nozdriow – pokażę wspaniałą parę psów. Twardość zadnich łap po prostu wprawia w zdumienie, pysk: igła! – i zaprowadził ich do bardzo ładnie zbudowanego małego domku otoczonego dużym, ogrodzonym ze wszystkich stron podwórzem. Wszedłszy na podwórze zobaczyli tam rozmaite psy, o długiej sierści i o krótkiej sierści, wszystkich możliwych maści i odcieni: kasztanowate, czarne podpalane, siwo-nakrapiane, kasztanowato-pstrokate, ryżo-pstrokate, czarnouche, siwouche... Były tu wszystkie nazwy,

wszystkie tryby rozkazujące: Strzelaj, Wymyślaj, Szczekaj, Pożryj, Ugryź, Zagrzeb, Dopiekaj, Przypiekaj, Ruszaj, Nagroda, Dobrodziejka. Nozdriow był wśród nich zupełnie jak ojciec wśród rodziny. Wszystkie one zadarły natychmiast do góry ogony, zwane przez psiarzy prawidłami, pobiegły na spotkanie gości i zaczęły się z nimi witać. Dziesięć spośród nich położyło swe łapy na ramiona Nozdriowowi. Wymyślaj okazał taką samą przyjaźń Cziczikowowi i stanąwszy na tylnych łapach polizał go językiem w same usta, tak że Cziczikow zaraz splunął. Obejrzeni psy wprawiające w zdumienie twardością mięśni – dobre były psy. Potem poszli oglądać krymską sukę, która była już ślepa i wedle stów Nozdriowa powinna była niedługo zdechnąć, ale dwa lata temu była to bardzo dobra suka; obejrzeni i sukę – suka rzeczywiście była ślepa. Potem poszli oglądać młyn, gdzie brakowało latawki, do której przymocowuje się górny kamień, szybko obracający się na wrzecionie, latający, jak pięknie powiada chłop rosyjski.

– A tu zaraz będzie kuźnia! – powiedział Nozdriow.

Przeszedłszy jeszcze kawałek drogi, rzeczywiście zobaczyli kuźnię; obejrzeni i kuźnię.

– Tam na tym polu – powiedział Nozdriow wskazując palcem na pole – takie zatrzęsienie szaraków, że ziemi nie widać; sam własnymi rękami złapałem jednego za zadnie skoki.

– No, szaraka nie złapiesz ręką! – zauważył szwagier.

– A właśnie że złapałem, właśnie że złapałem! – odpowiedział Nozdriow. – Teraz pokażę ci – ciągnął zwracając się do Cziczikowa – granicę, gdzie kończy się moja ziemia.

Nozdriow poprowadził swych gości polem, na którym pełno było kęp. Goście musieli brnąć między ugorami i zabronowanymi zagonami. Cziczikow zaczynał odczuwać zmęczenie. W wielu miejscach stopy ich wyciskały wodę, tak nisko była położona miejscowość. Z początku wystrzegali się i stąpali ostrożnie, ale później, zobaczywszy, że to się na nic nie przyda, brnęli prosto, nie zważając, gdzie większe, a gdzie mniejsze błoto. Przeszedłszy spory kawałek drogi istotnie zobaczyli granicę, którą oznaczał słupek przy wąziutkim rowie.

– Oto granica! – powiedział Nozdriow – wszystko, co tylko widzisz po tej stronie, wszystko to moje, a nawet po tamtej cały ten las, który się tam niebieszczy, i wszystko, co jest za lasem – wszystko to moje.

– Kiedyż to ten las stał się twoim? – zapytał szwagier. – Czyżbyś go niedawno kupił? Przecież on nie był twój.

– Tak, kupiłem go niedawno – odpowiedział Nozdriow.

– Kiedyżeś go zdążył kupić tak prędko?

– Jak to, już trzy dni temu kupiłem i drogo dałem, niech to diabli wezmą!

– Przecież byłeś wtedy na jarmarku.

– Ach, ty gapo! Czyż nie można równocześnie być na jarmarku i kupić ziemię? No, ja byłem na jarmarku, a mój ekonom kupił beze mnie.

– Chyba że ekonom – powiedział szwagier, ale i tu wyraził powątpiewanie i pokręcił głową.

Goście wrócili do domu tą samą złą drogą. Nozdriow zaprowadził ich do swego gabinetu, w którym zresztą nie było widać ani śladu tego, co zwykle bywa w gabinetach, to jest książek albo papierów; wisiały tylko szable i dwie strzelby, jedna za trzysta, a druga za osiemset rubli. Szwagier, obejrząwszy je, tylko pokręcił głową. Potem zostały pokazane kindżały tureckie, a na jednym z nich przez omyłkę było wyryte: „Mistrz Sawielij Sybiriakow”. Potem została pokazana gościom katarynka. Nozdriow zaraz im zakręcił to i owo. Katarynka grała dość przyjemnie, ale w jej środku, zdaje się, coś się stało, bo mazurek kończył się pieśnią „Malborough na wojnę wyruszył”, a „Malborough na wojnę wyruszył” nieoczekiwanie kończył się jakimś dobrze znanym walcem. Nozdriow już dawno przestał kręcić, ale w katarynce jedna piszczałka była bardzo samodzielna, w żaden sposób nie chcąc się uciszyć; długo jeszcze potem świstała. Potem zostały pokazane fajki drewniane, gliniane, z pianki, opalone i nie opalone, obciążone zamszem i nie obciążone, cybuch z bursztynowym munsztukiem, niedawno wygrany, i kapciuch wyszyty przez jakąś hrabinę, która gdzieś na stacji pocztowej zakochała się w Nozdriowie po uszy i której rączki,

według jego słów, były *superflu*³ – słowo zapewne oznaczające dla niego najwyższy stopień doskonałości. Przekąsiwszy jesiotrem, około piątej usiedli do stołu. Obiad widocznie nie był w życiu Nozdriowa czymś najważniejszym, potrawy nie odgrywały zbyt wielkiej roli: to i owo się przypaliło, tamto całkiem nie ugotowało. Widocznie kucharz kierował się raczej jakimś natchnieniem i brał to, co mu pierwsze wpadło pod rękę. Jeżeli stał koło niego pieprz – dosypał pieprzu, jeżeli nawinęła się kapusta – kładł kapustę, pakował mleko, szynkę – słowem, groch z kapustą, byleby było gorące, to już jakiś smak pewno będzie. Za to Nozdriow dbał o wina; jeszcze nie podano zupy, a już nalał gościom po dużej szklance portwajnu i drugiej *Haut Sauternes*, bo w gubernialnych i powiatowych miastach nie sprowadzają zwyczajnego *Sauternes*. Potem Nozdriow kazał przynieść butelkę madery, od której lepszej nie pijał sam feldmarszałek. Madera, istotnie, aż paliła w ustach, bo kupcy, znając gust ziemian lubiących dobrą maderę, zaprawiali ją nielitościwie rumem, a niekiedy wlewali do niej i wody królewskiej, w nadziei, że rosyjskie żołądki wszystko wytrzymają. Potem Nozdriow kazał jeszcze przynieść jakąś specjalną butelkę, która, jak twierdził, była równocześnie i burgundem, i szampanem. Nalewał bardzo gorliwie w obie szklanki – i na prawo, i na lewo, i szwagrowi, i Cziczikowowi; Cziczikow zauważył jednak jakoś przelotnie, że Nozdriow sobie niewiele dolewał. To go skłoniło do ostrożności i gdy tylko Nozdriow jakoś się zagadał albo dolewał szwagrowi, natychmiast wylewał ze swej szklanki na talerz. Wkrótce przyniesiono na stół jarzębiak, który, zdaniem Nozdriowa, miał zupełnie smak śliwkowy, lecz w którym, o dziwo, potężnie czuć było siwuchę w całej jej mocy. Potem pili jakiś balsam noszący taką nazwę, że trudno ją było nawet zapamiętać, zresztą sam gospodarz za drugim razem nazwał go inaczej. Obiad już się dawno skończył i wina były wypróbowane, ale goście wciąż jeszcze siedzieli przy stole. Cziczikow nie chciał przy szwagrze mówić z Nozdriowem o najważniejszej materii. Bądź co bądź szwagier był człowiekiem postronnym, a przedmiot wymagał odosobnionej i przyjacielskiej rozmowy. Zresztą szwagier nie mógł być niebezpieczny, bo, zdaje się, miał dobrze w czubie i siedząc na krześle co chwila utykał nosem. Zauważywszy sam, że znajduje się w stanie mało obiecującym, zaczął w końcu wymawiać się do domu, ale głosem leniwym i powolnym, jakby kto, według rosyjskiego wyrażenia, obcęgami naciągał na konia chomąto.

– Ani mowy! nie puszczę! – powiedział Nozdriow.

– Nie, nie rób mi przykrości, mój drogi, doprawdy pojedę – mówił szwagier – sprawiasz mi wielką przykrość.

– Głupstwo, głupstwo! Zaraz zagramy w banczek.

– Nie, graj, bracie, sam, a ja nie mogę; żona będzie miała wielką pretensję, doprawdy; muszę jej opowiedzieć o jarmarku. Muszę, bracie, naprawdę muszę jej sprawić przyjemność. Nie, nie zatrzymuj mnie!

– A niech ją diabli, żonę!... ważne sprawy, w samej rzeczy, macie tam razem do załatwienia!

– Nie, bracie! Ona jest taka godna szacunku i wierna! Oddaje mi takie przysługi... czy dasz wiarę? mam łzy w oczach. Nie, nie. zatrzymuj mnie; jakem uczciwy, pojedę. Zapewniam cię o tym na moje sumienie.

– A niech sobie jedzie, co z niego za pożytek? – powiedział cicho Cziczikow do Nozdriowa.

– To prawda! – odrzekł Nozdriow – nie znoszę takiego mazgajstwa! – i dodał głośno: – No, niech cię diabli, jedź babcie się z żoną, ty fitiuku!⁴

– Nie, bracie, nie wymyślaj mi od fitiuków – odpowiedział szwagier – życie jej zawdzięczam. Taka naprawdę dobra, miła, takie względy okazuje... do łez mnie wzrusza. Zapyta, co widziałem na jarmarku, trzeba wszystko opowiedzieć... taka, doprawdy, miła.

– A jedź sobie, pleć jej trzy po trzy! Masz tu swoją czapkę!

– Nie, bracie, nie powinienes o niej tak się wyrażać, w ten sposób mnie samego, można powiedzieć, obrażasz, ona jest taka miła.

³ Superflu – zbyteczny.

⁴ Firiuk – Iowo obraźliwe dla mężczyzny, pochodzi od litery „fita”, uważanej przez niektórych za nieprzyzwoitą. (Przyp. autora.)

– No, to wynoś się do niej czym prędzej!

– Tak, bracie, pojedę; wybacz, że nie mogę zostać. Rad bym z całej duszy, ale nie mogę. – Szwagier długo jeszcze usprawiedliwiał się nie spostrzegając, że już dawno siedział w bryczce, dawno wyjechał za bramę i przed nim dawno były tylko puste pola.

Należy przypuszczać, że żona dowiedziała się niewielu szczegółów o jarmarku.

– Co za świntuch! – mówił Nozdriow stojąc przed oknem i patrząc na odjeżdżający pojazd. – O, jak to się powlókł! Przyprzegowy konik niezgorszy, już dawno chciałem go zahaczyć. Ale przecież z nim w żaden sposób nie można dojść do ładu. Fitiuk, po prostu fitiuk.

Po czym przeszli do pokoju. Porfiry przyniósł świecę i Cziczikow zauważył w rękach gospodarza talię kart, która nie wiadomo skąd się wzięła.

– A co, bracie – mówił Nozdriow ścisnąwszy boki talii palcami i wygiąwszy ją nieco, tak że banderola trzasnęła i odskoczyła – no, dla spędzenia czasu, trzymam bank, trzysta rubli!

Ale Cziczikow udał, że nawet nie słyszał, o co chodzi, i rzekł jakby sobie nagle przypominając:

– A! żeby nie zapomnieć, mam do ciebie prośbę.

– Jaka?

– Daj pierwszej słowo, że ją spełnisz.

– Ale co za prośba?

– No, daj słowo!

– Proszę bardzo.

– Słowo honoru?

– Słowo honoru.

– Oto jaka prośba: zapewne masz wielu zmarłych chłopów, którzy jeszcze nie są wykreśleni z rewizji?

– Mam, a co?

– Zapisz ich na mnie, na moje imię.

– A na co ci to?

– Potrzebne mi.

– Ale na co?

– No potrzebne... to już moja sprawa, jednym słowem potrzebne.

– No, pewnie już coś uknuł. Przyznaj się, co?

– Co miałem uknuć? Z takiego głupstwa nic nawet uknuć nie można.

– A na cóż ci oni?

– Och, jakiś ty ciekawy! Każde świństwo chciałbyś ręką pomacać i jeszcze powąchać!

– Ale dlaczego mi nie chcesz powiedzieć?

– A jakąż będziesz miał korzyść z tego, że będziesz wiedział? Po prostu przyszła mi taka fantazja.

– A więc, dopóki nie powiesz, nie zrobię tego.

– No widzisz, to już nieuczciwie z twojej strony. Dałeś słowo, a teraz cofasz.

– Jak sobie chcesz, ale nie zrobię tego, dopóki nie powiesz, na co?

„Co by mu takiego powiedzieć?” – pomyślał Cziczikow i po chwili namysłu oświadczył, że martwe dusze są mu potrzebne, żeby nabrać znaczenia w towarzystwie, że dóbr wielkich nie posiada, więc tymczasem choćby jakieś tam duszyczki.

– Łiesz, łiesz! – powiedział Nozdriow nie dając mu skończyć. – Łiesz, bracie!

Cziczikow sam spostrzegł, że wymyślił niezbyt zręcznie i pretekst jest dość słaby.

– No, więc powiem ci szczerzej – powiedział poprawiając się – tylko proszę cię, nie wygadaj się przed kim. Mam zamiar się żenić; ale trzeba ci wiedzieć, że ojciec i matka narzeczonej to strasznie ambitni ludzie. Doprawdy, takie mam kłopoty; żałuję, że się związałem, chcąc koniecznie, żeby narzeczony miał nie mniej niż trzysta dusz, a ponieważ mi brakuje prawie półtorej setki chłopów...

– No, łiesz! łiesz! – zawołał znów Nozdriow.

– Tym razem – powiedział Cziczikow – nawet tyle nie skłamałem – i pokazał wielkim palcem na małym najmniejszą cząstkę.

– Jezuita, jezuita! Głowę dam, że łżesz!

– Doprawdy, to już jest krzywdzące! Czymże ja jestem w samej rzeczy? Dlaczego mam koniecznie kłamać?

– No, przecież ja cię znam, przecież z ciebie wielki szubrawiec, pozwól to sobie powiedzieć po przyjacielsku! Gdybym był twoim zwierchnikiem, powiesiłbym cię na pierwszej gałęzi.

Cziczikow obraził się na taką uwagę. Każde wyrażenie trochę ordynarne albo obrażające przystojność było dla niego nieprzyjemne. Nie lubił nawet w żadnym wypadku pozwalać na zbyt rodzinne traktowanie siebie, chyba że osoba posiadała bardzo wysokie stanowisko. I dlatego teraz rzeczywiście się obraził.

– Jak Boga kocham, powiesiłbym – powtórzył Nozdriow – mówię ci to szczerze, nie żeby cię obrazić, ale po prostu mówię po przyjacielsku.

– Wszystko ma swoje granice – powiedział. Cziczikow z poczuciem godności. – Jeżeli chcesz się popisywać z podobnymi wyrażeniami, to idź do koszar. – A później dodał: – Kiedy nie chcesz podarować, to sprzedaj.

– Sprzedać! Ja przecież cię znam, przecież z ciebie szubrawiec, nie dasz mi za nie dobrej ceny!

– Ech, ale i ty dobryś sobie! Sam powiedz! Cóż to one, brylantowe są czy co?

– Tak już jest. Już ja cię znam.

– Zlitujże się, bracie, jakąż ty masz żydowską naturę! Powinien byś mi je po prostu podarować.

– Słuchaj, żeby ci dowieść, że nie jestem jakiś tam kutwa, nie wezmę za nie nic. Kup ode mnie ogiera, to ci je dam na przydatek.

– Zlitujże się, a na cóż mi ogier? – rzekł Cziczikow, prawdziwie zdumiony podobną propozycją.

– Jak to na co? Przecież ja zapłaciłem za niego dziesięć tysięcy, a tobie oddaję za cztery!

– Ale na cóż mi ogier! Nie trzymam stadniny.

– Ależ słuchaj, wciąż mnie nie rozumiesz: przecież ja wezmę od ciebie teraz tylko trzy tysiące, a pozostały tysiąc możesz mi później dopłacić.

– Ależ niepotrzebny mi ogier, niech go diabli!

– No to kup tarantowatą kobyłę.

– I kobyła też mi nie jest potrzebna.

– Za kobyłę i za siwego konia, któregoś widział, wezmę od ciebie tylko dwa tysiące.

– Ależ niepotrzebne mi konie.

– Sprzedasz je na pierwszym jarmarku, dostaniesz za nie trzy razy tyle.

– To sprzedaj je sam, jeżeli jesteś pewien, że dostaniesz trzy razy tyle.

– Wiem, że dostanę, ale chcę, żebyś ty również odniósł korzyść.

Cziczikow podziękował za dobre chęci i stanowczo wymówił się i od siwego konia, i od taramowatej kobyły.

– No to kup psy. Sprzedam ci taką parę, że po prostu – aż ciarki przechodzą po kościach! Ogar z wąsami, sierść sterczy niby szczecina. Beczkowatość żeber niepojęta; łapa giętka – ziemi nie dotyka.

– A na cóż mi psy? Nie jestem myśliwym.

– Ale ja bym chciał, żebyś miał psy. Słuchaj, jeśli już nie chcesz psów, to kup ode mnie katarynkę. Cudowna katarynka. Mnie samego, jakem uczciwy, kosztowała półtora tysiąca; tobie oddaję za 900 rubli.

– A na cóż mi katarynka? Nie jestem przecież Niemcem, żeby włączyć się z nią po drogach i wypraszać datki.

– Ale to nie taka katarynka, jaką Niemcy noszą. To organy; popatrz no tylko: cała mahoniowa. Ja ci ją jeszcze pokażę!

Tutaj Nozdriow, chwyciwszy Cziczikowa za rękę, zaczął go ciągnąć do drugiego pokoju i bohater nasz, chociaż wpierał nogi w podłogę i zapewniał, że wie już, co to za katarynka, musiał jeszcze raz posłuchać, jak to Malborough na wojnę wyruszył.

– Kiedy już nie chcesz za pieniądze, to wiesz co, dam ci katarynkę i wszystkie martwe dusze, jakie mam, a ty mi daj swą bryczkę i trzysta rubli dopłaty.

– No, jeszcze czego? A czymże ja pojedę?

– Dam ci inną bryczkę. Chodźmy do wozowni, pokażę ci ją. Kazesz ją tylko przemalować, i będzie cudo, a nie bryczka.

„Jakiś bies niespokojny go opętał!” – pomyślał sobie Cziczikow i postanowił za wszelką cenę uwolnić się od wszelkich bryczek, katarynek i wszystkich możliwych psów, mimo całą ich niepojętą beczkowatość żeber i giętkość łap.

– No, więc bryczka, katarynka i martwe dusze – wszystko razem.

– Nie chcę – raz jeszcze powiedział Cziczikow.

– Dlaczego nie chcesz?

– Dlatego, że po prostu nie chcę i basta.

– Doprawdy, jakież ty jesteś!... Widzę, że z tobą nie można tak, jak to bywa w zwyczaju pomiędzy dobrymi przyjaciółmi i kompanami... Od razu widać, żeś człowiek dwulicowy!

– Cóż to, głupi jestem czy co? Osądź sam, po cóż mam nabywać rzecz absolutnie mi niepotrzebną?

– No, już, proszę cię, nie mów. Teraz znam cię bardzo dobrze. Jesteś po prostu kanalia! No, słuchaj, chcesz, to zagramy w bancek? Stawiam na kartę wszystkich nieboszczyków i katarynkę.

– Ależ zdecydować się na bank, to znaczy zdawać się na niepewne – mówił Cziczikow, a jednocześnie spojrzał ukradkiem na karty, które miał w ręku Nozdriow. Obie talie wydały mu się nader podobne do fałszywych, a koszulki wyglądały bardzo podejrzanie.

– Dlaczegoż nie chcesz grać? – rzekł Nozdriow. – Nie ma żadnej wątpliwości! Niech ci się tylko poszczęści, możesz wygrać diabelnie dużo. Ot, masz! Jakie szczęście! – mówił rzucając karty dla wzbudzenia ochoty. – Co za szczęście! Co za szczęście! O, jak wali! Oto ta przeklęta dziewiątka, na którą liczyłem! Czulem, że zdradzi, ale już zamknawszy oczy pomyślałem sobie: „Niech cię diabli wezmą, zdradzaj, przeklęta!”

Gdy Nozdriow to mówił, Porfiry przyniósł butelkę. Lecz Cziczikow stanowczo wymówił się zarówno od gry, jak i od picia.

– Dlaczegoż nie chcesz grać? – rzekł Nozdriow.

– No, dlatego że nie mam chęci. W dodatku, mówiąc otwarcie, nie jestem wcale amatorem gry.

– Dlaczego nie jesteś amatorem?

Cziczikow wzruszył ramionami i dodał:

– Dlatego, że nie jestem.

– Jesteś łajdak!

– Cóż począć? Takim mnie Pan Bóg stworzył.

– Po prostu fitiuk! Myślałem dawniej, że jesteś choć trochę porządnym człowiekiem, a ty nie umiesz się zupełnie znaleźć. Z tobą nie można mówić jak z kimś bliskim... żadnej prostoty ani szczerości! Zupełny Sobakiewicz, taki sam łajdak!

– Ale za cóż ty mi wymyślasz? Cóż ja jestem winien, że nie gram? Sprzedaj mi tylko dusze, jeżeli już jesteś takim człowiekiem, co to trzęsie się nad lada głupstwem.

– Diabła łysego dostaniesz! Chciałem już oddać ci je za darmo, ale teraz nie dostaniesz! Żebyś mi trzy królestwa dawał, nie dam. Szalbierz taki, piecuch obrzydliwy! Odtąd nie chcę z tobą mieć nic do czynienia! Porfiry, biegnij, powiedz stajennemu, żeby nie dawał owsa jego koniom, niech jedzą siano.

Takiego zakończenia Cziczikow zupełnie się nie spodziewał.

– Żebyś mi się nigdy na oczy nie pokazywał! – powiedział Nozdriow.

Jednak pomimo takiej wymiany słów gość i gospodarz zjedli razem kolację, chociaż teraz już nie było na stole żadnych win o porządnym nazwach. Sterczała tylko jedna butelka jakiegoś cypryjskiego, które było, jak to mówią, kwasem pod każdym względem. Po kolacji Nozdriow rzekł do Cziczikowa odprowadzając go do bocznego pokoju, gdzie miał przygotowane posłanie:

– Masz tu posłanie! Nie chcę ci nawet życzyć dobrej nocy.

Po wyjściu Nozdriowa Cziczikow pozostał w jak najgorszym usposobieniu. Złościł się na siebie w duchu i wymyślał sobie za to, że tu przyjechał i nadaremnie czas tracił. Ale jeszcze bardziej wymyślał sobie za to, że rozmawiał z Nozdriowem o interesie. Postąpił nieostrożnie, jak dziecko, jak głupiec, bo sprawa nie była tego rodzaju, żeby mogła być zawierzona Nozdriowowi; Nozdriow to hultaj, Nozdriow może nakłamać, dodać, napleść Bóg wie co, powstaną jeszcze jakieś plotki – niedobrze, niedobrze. „Jestem po prostu dureń” – mówił sam do siebie. W nocy spał źle. Jakieś małe dokuczliwe owady gryzły go niezmiernie boleśnie, tak iż całą garścią drapał się w pogryzione miejsca dogadując: „A żeby was diabli wzięli razem z Nozdriowem!” Obudził się wczesnym rankiem. Pierwszą jego czynnością było, nałożywszy szlafrok i trzewiki, udać się przez podwórze do stajni i kazać Selifanowi, by w tej chwili zaprzęgał do bryczki. Wracając przez podwórze, spotkał Nozdriowa, który miał fajkę w zębach i również był w szlafroku.

Nozdriow powitał go przyjaźnie i zapytał, jak mu się spało.

– Tak sobie! – rzekł Cziczikow dość sucho.

– Co do mnie, bracie – mówił Nozdriow – to przez całą noc takie świństwo mi się śniło, że przykro mówić, a w ustach po wczorajszym jak gdyby szwadron kawalerii przenocował. Wyobraź sobie, śniło mi się, że mnie oćwiczili, aj, aj! I wyobraź sobie, kto? Nie zgadniesz w żaden sposób – sztabsrotmistrz Pocełujew razem z Kuwszynnikowem.

„Tak – pomyślał sobie Cziczikow – byłoby dobrze, gdyby cię tak sprali na jawie”.

– Jak Boga kocham! I to mocno! Budzę się, niech diabli wezmą, a tu w samej rzeczy coś szczypie, pewno pchły, wiemy. No, idź teraz ubrać się, a ja zaraz do ciebie przyjdę. Muszę tylko zwymyślać łajdaka ekonomę.

Cziczikow poszedł do pokoju, żeby się ubrać i umyć. Gdy potem wyszedł do jadalni, stało tam już na stole nakrycie do herbaty oraz butelka rumu. W pokoju widniały ślady wczorajszego obiadu i kolacji; szczotka, zdaje się, nawet nie tknęła podłogi, na której leżały okruchy chleba, a popiół z fajki widać było nawet na obrusie. Sam gospodarz, który nie omieszkał wkrótce wejść, nie miał na sobie pod szlafrokiem nic, prócz gołej piersi, na której wyrastała jakby broda. Trzymając w ręce cybuch i popijając herbatę, bardzo by się podobał malarzowi, który nie znosi panów ulizanych i ufryzowanych jak na szyldach fryzjerskich lub też ostrzyżonych, pod grzebyk.

– No, jak myślisz? – rzekł Nozdriow po chwili milczenia – chcesz grać o dusze?

– Powiedziałem ci już, bracie, że nie gram; kupić – owszem, kupię.

– Sprzedawać nie chcę, to nie jest po przyjacielsku. Nie będę się wdawał w diabli wiedzę jakie interesy. W banczek, to co innego. Przerzućmy choć jedną talię! Co?

– Powiedziałem już, że nie.

– I zamienić się nie chcesz?

– Nie chcę.

– Słuchaj, zagramy w warcaby; jeżeli wygrasz – wszystkie są twoje. Przecież ja mam dużo takich, które trzeba by wykreślić z rewizji. Hej, Porfiry, przynieś no tu szachownicę.

– Próżna fatyga, grać nie będę.

– Ależ to przecież nie bank, tutaj nie może być żadnego szczęścia lub oszustwa, wszystko zależy od umiejętności. Uprzedzam cię, że nie umiem grać zupełnie, chyba że dasz mi fory.

„A jeżeli usiądę – pomyślał sobie Cziczikow – i zagram z nim – w warcaby? W warcaby grywałem nieźle, a na jakiś podstęp puścić się tutaj będzie za trudno”.

– Proszę bardzo, niech i tak będzie, zagram w warcaby.

– Dusze idą po sto rubli!

– Dlaczego? Dość będzie, jeżeli pójdą po pięćdziesiąt.

– Nie, co to za stawka pięćdziesiąt? Lepiej będzie, gdy do tej sumy dołączę ci jakiegoś szczeniaka średniej wartości lub też złoty brelok z pieczętką do zegarka.

– Niech i tak będzie! – rzekł Cziczikow.

– Ileż for mi dajesz? – zapytał Nozdriow.

– A to z jakiej racji? Naturalnie, że nic nie daję.

– Daj mi przynajmniej dwa ruchy.

– Nie chcę, sam gram źle.

– Znamy was, wiemy, jak wy źle gracie! – rzekł Nozdriow wysuwając kamień.

– Oj, dawno już warcabów nie brałem do ręki! – mówił Cziczikow również wysuwając kamień.

– Znamy was, wiemy, jak wy źle gracie – rzekł Nozdriow posuwając kamień, a jednocześnie mankietem rękawa poruszył inny kamień.

– Oj, dawno już warcabów... E, e! A to co takiego, bracie? Cofnij no go w tył! – rzekł Cziczikow.

– Kogo?

– Ano kamień – powiedział Cziczikow i w tejże chwili ujrzał prawie przed samym nosem jeszcze inny, idący, zdaje się, na damę; a skąd się wziął. Bóg jeden wie. – Nie – rzekł Cziczikow wstając od stołu – z tobą niepodobna grać. Tak się nie chodzi, po trzy kamienie od razu!

– Dlaczego po trzy? To przez omyłkę. Jeden przesunął się przypadkowo; cofnę go, proszę bardzo.

– A ten drugi skąd się tu wziął?

– Jaki drugi?

– A ten, co idzie na damę?

– Masz tobie! to niby nie pamiętasz?

– Nie, bracie, rachowałem wszystkie ruchy i wszystko pamiętam; ty go dopiero teraz tu ulokowałeś. Jego miejsce – ot tu!

– Jak to, gdzie jego miejsce? – mówił Nozdriow czerwieniejąc. – Widzę, że ty, bracie, fantazjujesz!

– Nie, bracie, zdaje się, że to ty fantazjujesz, tylko bez powodzenia.

– Za kogo ty mnie uważasz? – mówił Nozdriow. – Czy ja będę oszukiwał?

– Za nikogo cię nie uważam, ale odtąd nigdy grać z tobą nie będę.

– Nie, nie możesz się wymawiać – mówił Nozdriow zapalczywie – gra jest zaczęta!

– Mam prawo wymówić się, dlatego że ty grasz nie tak, jak przystoi przyzwoitemu człowiekowi.

– Nie, kłamiesz, tego nie możesz powiedzieć!

– Nie, bracie, ty sam kłamiesz!

– Ja nie oszukiwałem, a ty wymówić się nie możesz; musisz skończyć partię!

– Do tego mnie nie zmusisz – powiedział Cziczikow z zimną krwią i podszedłszy do deski zmieszał kamienie.

Nozdriow poczerwieniał i podszedł do Cziczikowa tak blisko, że ten cofnął się o dwa kroki.

– Ja cię zmuszę do gry. To nic, żeś pomieszał kamienie. Pamiętam wszystkie ruchy. Ustawimy je tak, jak były.

– Nie, bracie, sprawa skończona, więcej z tobą grać nie będę.

– A więc nie chcesz grać?

– Sam widzisz, że z tobą niepodobna grać.

– Nie, powiedz bez ogródek, nie chcesz grać? – mówił Nozdriow podchodząc jeszcze bliżej.

– Nie chcę! – powiedział Cziczikow, jednakowoż podniósł obie ręce na wszelki wypadek bliżej twarzy, ponieważ rzeczywiście sytuacja robiła się gorąca. Przezorność ta była, zupełnie na miejscu, bo Nozdriow zamierzył się ręką... i bardzo łatwo mogłoby się zdarzyć, iż jeden z miłych i pełnych policzków naszego bohatera okryłyby się hańbą nie do zmycia! Lecz na szczęście Cziczikow odparowawszy uderzenie, chwycił Nozdriowa za obie zaczepne jego ręce i trzymał go mocno.

– Porfiry, Pawłuszka! – krzyczał Nozdriow w napadzie wściekłości, usiłując się wyrwać.

Słyszając te słowa Cziczikow, by nie robić dworskich ludzi świadkami gorszącej sceny, a zarazem czując, iż trzymanie Nozdriowa byłoby daremne, puścił jego rękę. W tej samej chwili wszedł Porfiry, a za nim Pawłuszka, chłopisko wielkie, z którym mieć do czynienia było niezbyt przyjemnie.

– Więc nie chcesz kończyć partii? – mówił Nozdriow. – Odpowiadaj bez ogródek!

– Partii dokończyć niepodobna – mówił Cziczikow i spojrział w okno. Ujrzał swą bryczkę, która stała zupełnie gotowa do drogi, a Selifan, zdaje się czekał na skinienie, by podjechać pod ganek, ale wydostać się z pokoju nie było żadnego sposobu: w drzwiach stało dwóch ogromnych durniów pańszczyźnianych.

– Więc nie chcesz kończyć partii? – powtórzył Nozdriow z twarzą płonąca jak ogień.

– Gdybyś grał, jak przystoi przyzwoitemu człowiekowi... lecz teraz nie mogę.

– A! więc nie możesz, łajdaku! Gdyś zobaczył, że to nie ty wygrywasz, to nie możesz! Bijcie go! – krzyczał w szale, zwracając się do Porfirego i Pawłuszki, a sam chwycił do ręki czereśniowy cybuch. Cziczikow zbladł jak płótno. Chciał coś rzec, lecz poczuł, – że wargi mu się poruszają bezdźwięcznie.

– Bijcie go! – krzyczał Nozdriow rwąc naprzód z czereśniowym cybuchem, zgorączkowany, spocony, jak gdyby podchodził pod niedostępną twierdzę. – Bijcie go! – krzyczał takim głosem, jakim podczas wielkiego szturmego krzyczy do swego plutonu: „Naprzód, chłopcy!” jakiś zdeterminowany porucznik, którego nierozsądna odwaga nabrała już takiego rozgłosu, że daje się specjalny rozkaz, by go trzymano za ręce podczas gorących akcji. Lecz porucznik już czuje zapal bitewny, wszystko kręci mu się młynkiem w głowie; widzi przed sobą Suworowa, przystępuje do wielkiej sprawy. „Naprzód, chłopcy!” – krzyczy i rwie naprzód, nie myśląc, że szkodzi już obmyślonemu planowi ogólnego szturmego, że miliony luf karabinowych wyglądają z niedostępnych strzelnic niebotycznych murów twierdzy, że jego bezsilny pluton wyleci w powietrze niby puch i że już świszczą fatalna kula, gotowa lada chwila zatkać krzykliwe gardło. Ale jeśli Nozdriow był podobny do straceńca porucznika szturmującego twierdzę, to twierdza, na którą szedł, w żaden sposób nie mogła uchodzić za niezdobytą. Przeciwnie, twierdza odczuwała taki strach, że dusza jej schowała się aż w pięty. Już krzesło, którym miał zamiar się bronić, zostało wyrwane z jego rąk przez pańszczyźniaków; już zmrużywszy oczy, na wpół żywy, przygotował się do spróbowania czerkieskiego cybucha swego gospodarza i Bóg wie, co by się z nim stało, lecz losy raczyły ocalić boki, ramiona i wszystkie dobrze wychowane części ciała naszego bohatera. Niespodziewanie zadźwięczały, niby spadłe z obłoków, brzęczące tony dzwoneczków, wyraźnie rozległ się turkot kół zajeżdżającego przed ganek pojazdu, a nawet aż w pokoju dało się słyszeć ciężkie chrapanie i ciężkie sapanie zgrzanych koni zatrzymanej trójki. Wszyscy mimo woli spojrzeli w okno; ktoś wąsaty, w na pół wojskowym surducie, wysiadał z pojazdu. Zapytawszy w przedpokoju o pana, wszedł w tej samej chwili, gdy Cziczikow nie zdołał jeszcze oprzytomnieć z przestachu i pozostawał w najbardziej oplakany położeniu, w jakim znajdował się kiedykolwiek śmiertelnik.

– Pozwól panowie zapytać, kto tu jest pan Nozdriow? – powiedział nieznajomy spoglądając z pewnym zdumieniem na Nozdriowa, który stał z cybuchem w garści, oraz na Cziczikowa, który zaledwie zaczynał przychodzić do siebie po dopiero co przeżytej przykłej sytuacji.

– Pozwoli pan zapytać przedtem, z kim mam zaszczyt? – rzekł Nozdriow podchodząc bliżej do niego.

– Kapitan-isprawnik.

– Czego pan sobie życzy?

– Przybyłem oznajmić panu o dostarczonym mi zawiadomieniu, że znajduje się pan pod sądem aż do wyroku w pańskiej sprawie.

– Co za brednie, w jakiej sprawie? – powiedział Nozdriow.

– Jest pan wmieszany w sprawę o zadanie obywatelowi ziemskiemu Maksymowowi po pijanemu zniewag osobistych za pomocą różeg.

– Pan kłamie! Nie widziałem na oczy obywatela ziemskiego Maksymowa.

– Łaskawy panie, pozwoli pan oznajmić sobie, że jestem oficerem. Może pan tak mówić do swego sługi, ale nie do mnie.

Tu Cziczikow nie czekając, co na to odpowie Nozdriow, czym prędzej złapał czapkę i poza plecami kapitana-isprawnika wymknął się na ganek, wsiadł do bryczki i kazał Selifanowi popędzać konie co tchu.

ROZDZIAŁ V

Trzeba przyznać, że bohater nasz złąkł się porządnie. Chociaż bryczka pędziła na złamanie karku, a wieś Nozdriowa dawno już znikła z oczu, zakryta polami, pochyłościami i wzgórkami, ciągle jeszcze oglądał się za siebie ze strachem, jakby oczekując, że lada chwila dopędzi go pogoń. Z trudnością chwycił oddech, a gdy spróbował przyłożyć rękę do serca, poczuł, iż skacze mu ono jak przepiórka w klatce. – A to mi sprawił łaźnię! Patrzcie go, takiego owakiego! – Tutaj posłał Nozdriowowi sporo ciężkich i mocnych życzeń; trafiały się nawet słowa bardzo nieładne. Cóż począć? Rosjanin, a w dodatku w afekcie! Przy tym sprawa nie była wcale zabawna. – Co tu gadać – mówił do siebie – gdyby isprawnik nie zdążył na czas, może bym już świata bożego nie oglądał! Przepadłbym jak bąbel na wodzie, bez najmniejszego śladu, nie pozostawiając po sobie potomstwa, nie dając przyszłym dzieciom ani majątku, ani uczciwego nazwiska! – Bohater nasz bardzo dbał o swoje potomstwo.

„Co za bezecny pan! – myślał Selifan – jeszcze takiego pana nie widział. Znaczy się, należałoby napluć mu w gębę za to wszystko! Lepiej nie daj jeść człowiekowi, a konia nakarmić powinieneś, bo koń lubi owies. To jego pożywienie. Co dla nas na ten przykład strawne, to dla niego owies, to jego pożywienie”.

Konie również, zdaje się, myślały o Nozdriowie nieprzychylnie. Nie tylko gniady i Asesor, lecz nawet tarantowaty był nie w humorze. Chociaż dostawał zawsze gorszy owies i Selifan nie inaczej wsypywał mu go do żłobu, jak wyrzekłszy uprzednio: „Ech ty, łajdaku!” – to jednak, bądź co bądź, był to owies, a nie zwyczajne siano; tarantowaty żuł go z zadowoleniem i od czasu do czasu wsuwał długi pysk w żłoby towarzyszków, żeby spróbować, jakie mają pożywienie, zwłaszcza gdy Selifana nie było w stajni; ale teraz samo siano... niedobrze; wszyscy byli niezadowoleni.

Lecz wkrótce wszystkim niezadowolonym przerwano ich rozmyślenia w sposób zupełnie nieoczekiwany. Wszyscy, nie wyłączając stangreta, oprzytomnieli i ocknęli się dopiero wtedy, gdy najechała na nich kolaska zaprzęzona w szóstkę koni i prawie nad ich głowami rozległy się okrzyki dam siedzących w kolasce, wymyślanie i pogroźki obcego woźnicy: – Ach ty, łotrze! Krzychałem ci przecie głośno: skręcaj, gawronie, na prawo! Pijanyś czy co? – Selifan czuł się winnym niedopatrzienia, ale ponieważ Rosjanin nie lubi przyznać się przed innym, że zawinił, zaraz wyrzekł z godnością, biorąc się pod boki: – A ty coś się tak rozpędził? Oczy w szynku zastawiłeś czy co? – Zaraz potem zaczął odsadzać bryczkę w tył, by uwolnić się w ten sposób z cudzej upręży, ale gdzie tam – wszystko się poplątało. Tarantowaty z ciekawością obwąchiwał swych nowych przyjaciół, którzy znaleźli się po obu jego bokach. Tymczasem panie, siedzące w kolasce, patrzyły na to wszystko z wyrazem przestachu w oczach i na twarzach. Jedna była staruszką, druga – młoda, szesnastoletnia, ze złocistymi włosami, bardzo zręcznie i miło przyczesanymi na małej główce. Ładniutki owal jej twarzy był zaokrąglony jak świeżutkie jajeczko i podobnie jak ono bielił się jakąś przezrocza białością, jak wtedy, gdy świeże, dopiero co zniesione, jest trzymane pod światło w smagłych rękach badającej je klucznicy i przepuszcza przez siebie promienie jaśniejącego słońca; delikatniutkie jej uszka również przeświecały, purpurowiejąc od przenikającego je ciepłego światła. Przy tym przestach w jej rozchylnych znieruchomiałych ustach; łzy w oczach – wszystko to było w niej tak miłe, że bohater nasz wpatrywał się w nią przez kilka chwil, nie zwracając najmniejszej uwagi na zamęt między końmi i woźnicami. – Odsądzasz czy nie, gawronie niżgorodzki! – wołał obcy woźnica. Selifan ściągnął w tył lejce, obcy woźnica

zrobił to samo, konie cokolwiek się cofnęły i potem znów się zderzyły przestępując uprząż. Przy tej okazji tarantowatemu tak się spodobała świeżo zawarta znajomość, że w żaden sposób nie chciał zejść z drogi, na którą zaniósł go nieprzewidziane losy, i położywszy pysk na szyi swego nowego przyjaciela, zdaje się, coś szeptał mu do ucha, zapewne straszne głupstwa, bo przyjezdny bez ustanku wstrząsał uszami.

Na to zamieszanie zdążyli jednak przybyć chłopci ze wsi, która leżała na szczęście niedaleko. Ponieważ dla chłopca podobne widowisko to istne błogosławieństwo boże, to samo co dla Niemca gazeta albo klub, więc wkrótce koło pojazdów stłoczył się cały tłum, we wsi pozostały tylko stare baby i maleńkie dzieci. Uprząż rozplataną; kilka szturchnięć w pysk zmusiło tarantowatego do cofnięcia się, słowem, konie rozdzielono i rozłączono. Lecz czy to przez złość, jaką poczuły przybyłe konie, że rozłączono je z przyjaciółmi, czy też po prostu przez głupotę – dość że jakkolwiek woźnica okładał je batem, nie ruszały się z miejsca i stały jak wryte. Uczynność chłopów wzrosła do niewiarygodnego stopnia. Jeden przez drugiego dawał rady: – Biegaj, Andriuszka, przyprowadź no prawego przyprzęgowego, a wujek Mitiaj niech wsiądzie do dyszlowego! Siadaj, wujku Mitiaj! – Suchy i długi, z rudą brodą wujek Mitiaj wlaź na dyszlowego i upodobnił się do wiejskiej dzwonnicy albo, lepiej, do żurawia, którym wyciąga się wodę ze studni. Woźnica uderzył konie, ale gdzie tam, nic nie pomógł wujek Mitiaj. – Stój, stój! – krzyczeli chłopci – siadajcie no, wujku Mitiaj, na przyprzęgowego, a na dyszlowego niech siada wujek Mintaj! – Wujek Mintaj, chłop barczysty, z czarną jak węgiel brodą i brzuchem podobnym do olbrzymiego samowara, w którym gotuje się wrzątek dla całego zziębniętego rynku, z ochotą siadł na dyszlowego, który ugiął się pod nim niemal aż do ziemi. – Teraz pójdzie! – krzyczeli chłopci. – Batem go, batem! Daj no batem temu bułanemu, co on się tak rozkracza jak koramora!⁵ – Lecz widząc, że sprawa nie posuwa się naprzód i żadne bicie nie pomaga, wujek Mitiaj i wujek Mintaj siedli na dyszlowego, a na przyprzęgowego posadzili Andriuszkę. Wreszcie woźnica straciwszy cierpliwość przepędził i wujka Mitiaja, i wujka Miniaja, i dobrze zrobił, dlatego że z koni szła taka para, jakby jednym tchem przejechały całą stację. Pozwolił im chwilkę odpocząć, po czym same ruszyły. Podczas całego tego zajścia Cziczikow przypatrywał się bardzo uważnie młodzietkiej nieznanym. Usiłował kilkakrotnie przemówić do niej, lecz jakoś było niezręcznie. Tymczasem panie odjechały, ładniutka główka o delikatnych rysach twarzy i cieniutka talia znikły niby widzenie i znów pozostała tylko droga, bryczka, trójka znanych czytelnikowi koni, Selifan, Cziczikow, równina i pustka okolicznych pól. Wszędzie, gdziekolwiek by to było w życiu, czy to wśród surowych, chropowato biednych, niechlujnie pleśniejących niskich jego warstw, czy to wśród monotonnie chłodnych i nudnie schludnych sfer wyższych, wszędzie, choćby raz jeden tylko, spotyka człowiek na swej drodze zjawisko niepodobne do niczego, co widział dotychczas, które choć raz wzbudzi w nim uczucie niepodobne do tych, które sążone mu odczuwać przez całe życie. Wszędzie, wbrew wszelkim smutom, z których splata się nasze życie, wesoło przemknęła jaśniejąca radość, jak niekiedy świetny pojazd ze złotą uprzężą, z końmi jak malowane, połyskujący blaskiem szkiele, nagle nieoczekiwanie przemknęła obok jakiejś zapomnianej ubogiej wioski, która nie widziała nic prócz wiejskiego wozu, i długo chłopci stoją z rozdziawionymi gębami, nie wkładając czapek, choć dawno już przemknęła i zniknęła cudny ekwipaż. Tak samo i blondynka nagle, w sposób zupełnie nieoczekiwany, zjawiała się w naszym opowiadaniu i tak samo znikła. Gdyby w tej chwili na miejscu Cziczikowa znalazł się jakiś młodzieniec dwudziestoletni, czy to huzar, czy student, czy też po prostu ktoś zaczynający dopiero swe życie, Boże! co by się tam w nim nie wzbudziło, nie poruszyło, nie przemówiło! Długo stałby odurzony na jednym miejscu, wlepiwszy bezmyślnie oczy w dal, zapomniawszy i o drodze, i o wszystkich oczekujących go wymówkach i burach za opóźnienie, zapomniawszy o sobie, o służbie, o świecie i o wszystkim na świecie.

⁵ Koramora – wielki, długi, niedołężny komar; niekiedy wlatuje do pokoju i sterczy gdzieś samotnie na ścianie. Można do niego spokojnie podejść i chwycić go za nogę, wówczas wiję się tylko i rozkracza, jak mówią na wsi. (Przyp. autora.)

Lecz bohater nasz był już w średnim wieku i miał charakter rozważnie oziębły. I on się zamyślił, i zadumał, ale pozytywniej, jego myśli były nie tak nieokreślone, a nawet po części bardzo roztropne. – Wspaniała kobietka! – powiedział otworzywszy tabakierkę i zażywszy tabaki. – Lecz właściwie, co w niej jest najładniejsze? Ładne jest to, że dopiero co, jak widać, ukończyła jakąś pensję albo instytut; że nie ma w sobie nic, jak się to mówi, babskiego, to jest tego, co jest w nich najbardziej nieprzyjemne. Jest teraz jak dziecko, wszystko jest w niej proste, powie to, co myśli, zaśmieje się, kiedy się jej zechce zaśmiać. Można z niej wszystko zrobić, może z niej być cud, a może wyjść nic dobrego, ba, wyjdzie nic dobrego... Niech tylko mamusie i ciotunie zabiorą się do niej. Przez rok tak ją napelnią wszelkim babstwem, że rodzony ojciec jej nie pozna. Znajdzie się skądś nadętość i afektacja; zacznie się poruszać według wyuczony cli wskazówek, zacznie sobie łamać głowę i myśleć, z kim, jak i ile trzeba rozmawiać, jak na kogo patrzeć, w każdej chwili będzie się bała, by nie powiedzieć więcej niż potrzeba, wreszcie zapłacze się w tym wszystkim i skończy się na tym, że będzie wreszcie kłamać przez całe życie, i wyjdzie z tego diabli wiedzą co! – Tutaj zamilkł na czas jakiś, po czym dodał: – Ciekawe, czyja to córka? Kim i jaki jest jej ojciec? Czy bogaty, szanowny obywatel, czy po prostu człowiek dobrze myślący, z kapitałem zdobyтым na urzędzie? Jednakże gdyby, przypuścmy, dziewczynie tej dać ze dwieście tysięcy posagu, mogłaby się stać kaskiem bardzo, bardzo łakomym. Mogłoby to stworzyć, że tak powiem, szczęście porządному człowiekowi. – Dwieście tysięcy tak kusząco zarysowało się w jego myślach, że zaczął się na siebie w duchu gniewać, dlaczego podczas rwetesu przy pojazdach nie wywiedział się od forysia albo woźnicy, kim są owe przejezdne panie. Jednak wkrótce ukazująca się wieś Sobakiewicza rozwiała jego myśli i kazała im powrócić do ich stałego przedmiotu.

Wieś wydała mu się dosyć duża; dwa lasy, brzozowy i sosnowy, stanowiły niby dwa skrzydła, jedno ciemniejsze, drugie jaśniejsze, z prawej i lewej strony; pośrodku widniał dom drewniany z facjatką, czerwonym dachem i ciemnoszarymi, a raczej burymi ścianami, dom z rodzaju tych, które u nas buduje się dla osad wojskowych i kolonistów niemieckich. Było widoczne, iż przy jego budowie architekt nieustannie walczył z gustem gospodarza. Budowniczy był pedantem i chciał symetrii, gospodarz – wygodny i widocznie wskutek tego zabił po jednej stronie wszystkie okna, a zamiast nich wywiercił jedno maleńkie, prawdopodobnie potrzebne dla ciemnego lamusa. Fronton również, pomimo usiłowań architekta, wypadł wcale nie pośrodku domu, bo gospodarz kazał wyrzucić jedną kolumnę z boku, tak że zamiast czterech, jak było planowane, znalazły się tylko trzy. Podwórze było otoczone mocnymi i niezmiernie grubymi drewnianymi sztachetami. Właściciel, jak się zdawało, bardzo dbał o trwałość. Na stajnie, szopy i kuchnie użyte zostały grube, ciężkie pnie, przeznaczone na wiekowe trwanie. Chaty chłopskie we wsi również zbudowane były nad podziw: nie było ociosanych ścian, wycinanych wzorów i innych wymysłów, za to wszystko było dopasowane ściśle i jak należy. Nawet studnia zrobiona była z tak mocnej dębiny, jakiej używa się tylko do budowy młynów i okrętów. Słowem, na co tylko Cziczikow spojrzał, wszystko było mocne, nie chwiejące się, pełne jakiegoś surowego, niezgrabnego porządku. Zajeżdżając przed ganek zauważył, jak wyrzały z okna, prawie jednocześnie, dwie twarze: kobieca w czepcu, wąska, długa jak ogórek, i męska – okrągła, szeroka jak tykwy mołdawskie, zwane gorlankami, z których w Rosji robi się bałałajki, dwustronne, lekkie bałałajki, ozdobę i uciechę dziarskiego dwudziestoletniego parobczaka, zalotnika i eleganta, mrugającego i pogwizdującego na białopierśne i białoszcyjne panny zbierające się, by posłuchać ich chichostrunnego ćwierkania. Obie twarze, wyrzawszy, natychmiast się schowały. Na ganek wyszedł lokaj w szarej kurtce z niebieskim stojącym kołnierzem i wprowadził Cziczikowa do sieni, dokąd wyszedł już sam gospodarz. Ujrawszy gościa powiedział zwięźle: – Proszę! – i wprowadził go do wnętrza domu.

Gdy Cziczikow spojrzał z ukosa na Sobakiewicza, ów wydał mu się bardzo podobny do niedźwiedzia średniej wielkości. Dla dopełnienia podobieństwa, frak jego był koloru całkiem niedźwiedziego, rękawy długie, pantalony długie, stopy stawał i krzywo, i na ukos, i bezustannie nadeptywał komuś na nogi. Twarz miał rozpaloną, gorącą, koloru, jaki nieraz miewa miedziana

dziesiątka. Wiadomo, że sporo jest na świecie takich twarzy, nad których obrobieniem przyroda nie zastanawiała się zbyt długo i nie używała żadnych dokładniejszych narzędzi, jako to: pilników, świderków i tak dalej, lecz po prostu rąbała co sił w garści. Machnęła toporem raz – wyszedł nos, machnęła drugi raz – wyszły usta, ogromnym świdrem wywierciła oczy i nie oskrobawszy, puściła w świat wyrzekłszy: żyje! Podobnie mocna i nad podziw trzymająca się kupy była postać Sobakiewicza; trzymał się bardziej ku dołowi niż ku górze, szyi wcale nie obracał i z racji tej nieobrotności rzadko patrzył na tego, z kim mówił, lecz przeważnie na róg pieca albo na drzwi. Kiedy przechodzili do jadalni, Cziczikow jeszcze raz spojrzął na niego z ukosa: niedźwiedź! istny niedźwiedź! Trzebaż w dodatku jeszcze jednego podobieństwa: nazywał się nawet Michaił Siemionowicz⁶. Znając jego zwyczaj nadeptywania na nogi, Cziczikow bardzo ostrożnie je stawiał i ustępował mu z drogi. Gospodarz, zdaje się, sam poczuwał się do winy i zaraz zapytał: – Czy nie uraziłem pana? –Lecz Cziczikow podziękował mówiąc, iż nic mu się jeszcze nie stało.

Wszedłszy do salonu Sobakiewicz wskazał na fotel mówiąc znowu: – Proszę! – Siadając Cziczikow spojrzął na ściany i na wiszące na nich obrazy. Na obrazach były same zuchy, wodzowie greccy sztychowani w całej okazałości: Maurokordatos w czerwonym mundurze i spodniach, w okularach na nosie, Kolokotronis, Miaulis, Kanaris. Wszyscy ci bohaterowie mieli takie grube uda i takie niesłychane wąsy, że patrzącemu ciarki przebiegały po skórze. Między silnymi Grekami, nie wiadomo jak i po co, ulokował się Bagration, szczuplutki, chudziutki, z maleńkimi sztandarami i armatkami u dołu, w bardzo wąziutkich ramkach. Potem znowu następowała bohaterka grecka, Bobelina, której – jedna noga wydawała się większa od całego korpusu tych wytwornisiów, co zapewniają współczesne salony. Gospodarz, będąc sam człowiekiem mocnym i zdrowym, chciał, zdaje się, żeby i jego pokój zdobili ludzie mocni i zdrowi. Obok Bobeliny, koło samego okna, wisiała klatka, z której wyglądał drozd ciemno upierzony, biało nakrapiany, również bardzo do Sobakiewicza podobny. Gość i gospodarz nie zdążyli jeszcze dwóch minut pomilczeć, gdy drzwi salonu otworzyły się i weszła pani domu, dama dość wysoka, w czepku ze wstążkami przefarbowanymi domową farbą. Weszła z godnością, trzymając głowę prosto jak palma.

– To moja Teodulia Iwanowna! – powiedział Sobakiewicz.

Cziczikow pochylił się do rączki Teodulii Iwanowny, którą ta prawie że wepchnęła mu w usta, przy czym miał sposobności zauważyć, iż ręce jej były myte w nastoju ogórkowym.

– Duszko, rekomenduję ci – ciągnął Sobakiewicz – Paweł Iwanowicz Cziczikow. Miałem honor poznać go u gubernatora! i poczmistrza.

Teodulia Iwanowna poprosiła Cziczikowa, by usiadł, powiedziawszy również: – Proszę! – i zrobiwszy ruch głową jak aktorka grająca królową. Po czym usiadła na kanapie, okryła się swą merynosową chustką i już więcej nie poruszyła ani okiem, ani brwią.

Cziczikow znowu podniósł oczy do góry i znowu ujrzał Kanarisa z grubymi udami i ogromnymi wąsami, Bobelinę i drozda w klatce.

W ciągu prawie całych pięciu minut wszyscy zachowywali milczenie; rozlegało się tylko stukanie drozda uderzającego dziobem w dno drewnianej klatki, skąd wylądował ziarenka zbożowe. Cziczikow raz jeszcze obrzucił okiem pokój i wszystko, co się w nim znajdowało – wszystko było trwałe, w najwyższym stopniu niezgrabne i jakoś dziwnie przypominało pana domu. W kącie salonu stało pękate biurko orzechowe na arcyniedorzecznych czterech nogach: istny niedźwiedź. Stół, fotele, krzesła, wszystko to nosiło na sobie tę samą cechę ciężkości i niepokoju, słowem, każde krzesło zdawało się mówić: „Ja również jestem Sobakiewiczem!” lub: „I ja jestem podobne do Sobakiewicza!”

– Mówiliśmy o panu u prezesa sądu, u Iwana Grigorijewicza – rzekł wreszcie Cziczikow widząc, że nikt nie decyduje się rozpocząć rozmowy – w ubiegły czwartek. Spędziliśmy tam czas bardzo mile.

⁶ Michaił Siemionowicz – ludowe przezwisko niedźwiedzia.

– Tak, nie było mnie wtedy u prezesa – odpowiedział Sobakiewicz.

– Wspaniały człowiek!

– Kto taki? – rzekł Sobakiewicz spoglądając na róg pieca.

– Prezes.

– No, być może, że to się panu tak wydało: tyle tylko, że mason, ale dureń, jakiego jeszcze nie było na świecie.

Cziczikow stropił się trochę tym nieco ostrym określeniem, lecz zaraz poprawiając się ciągnął dalej:

– Naturalnie, każdy ma jakąś słabośćkę, ale za to gubernator, co za wspaniały człowiek!

– Gubernator wspaniały człowiek?

– Nieprawdaż?

– Pierwszy w świecie rozbójnik!

– Jak to, gubernator – rozbójnik? – rzekł Cziczikow i zupełnie nie mógł zrozumieć, jak gubernator mógł być rozbójnikiem. – Przyznam się, iż nigdy by mi to nie przyszło do głowy – ciągnął dalej. – Pozwoli pan jednak zauważyć: jego postępowanie zupełnie na to nie wygląda; przeciwnie, jest w nim wiele łagodności. – Tu przytoczył nawet jako dowód własnoręcznie wyszywane sakiewki i pochwalił uprzejmy wyraz twarzy gubernatora.

– Nawet twarz rozbójnika! – rzekł Sobakiewicz. – Niech pan mu tylko da nóż i puści go na gościniec, zarżnie, za kopiejkę zarżnie! On i wicegubernator – to Gog i Magog.

„Nie, widocznie musi mieć z nimi na pieńku – pomyślał Cziczikow. – Pomówię z nim lepiej o policmajstrze, to zdaje się jego przyjaciel”.

– Zresztą co do mnie – powiedział – przyznam się, iż najbardziej ze wszystkich podoba mi się policmajster. Charakter taki prosty, otwarty, w twarzy widać coś szczerego.

– Łajdak! – rzekł z zimną krwią Sobakiewicz. – Sprzeda, oszuka i jeszcze zje obiad z panem. Znam ja ich wszystkich: same łajdaki; całe miasto takie. Łajdak na łajdaku jedzie i łajdakiem pogania. Wszyscy judasze. Jeden tam tylko jest porządny człowiek: prokurator; ale i ten, prawdę mówiąc, świnia.

Po tych chwalebnych, chociaż nieco zwięzłych biografiach Cziczikow zrozumiał, że o innych urzędnikach nie warto wspominać, i przypomniał sobie, że Sobakiewicz nie lubił się o nikim dobrze wyrażać.

– Cóż, duszko, pójdziemy na obiad – rzekła do Sobakiewicza jego małżonka.

– Proszę! – rzeki Sobakiewicz. Po czym podszedłszy do stołu, gdzie stały przekąski, obaj, gość i gospodarz, wypili, jak wypada, po kieliszku wódki i przekąsili tak, jak to robi cała szeroka Rosja, zarówno w mieście, jak i na wsi, to znaczy wszelakimi słonymi przysmakami oraz innymi pobudzającymi apetyt dobrodziejstwami i wszyscy popłynęli do jadalni: na przedzie, niby pływająca gęś, szła gospodyni. Niewielki stół był nakryty na cztery osoby. Na czwartym zjawiała się wkrótce, trudno powiedzieć dokładnie, co za jedna, pani czy panna, kuzynka, gospodyni czy też po prostu rezydentka; coś takiego około trzydziestki, bez czepka, w pstrej chustce. Są ludzie, którzy egzystują na świecie nie jako przedmioty, lecz jako postronne plamki albo kropki na przedmiocie. Siadają przeważnie na jednym i tym samym miejscu, głowę trzymają zawsze jednakowo, można by ich wziąć za mebel i pomyśleć, że usta te od samego urodzenia nie wydały ani słowa; ale za to w izbach czeladnych albo gdzieś w piwnicy okazuje się, że po prostu: ho, ho!

– Kapuśniak, duszko, dziś bardzo dobry – rzekł Sobakiewicz spróbowałszy kapuśniaku i nałożywszy sobie ogromny kawał niani, znanej potrawy, którą się podaje do kapuśniaku i która składa się z baraniego żołądka faszerowanego kaszą gryczaną, mózgiem i nóżkami. – Takiej niani – ciągnął zwracając się do Cziczikowa – w mieście pan nie dostanie; dadzą tam panu diabli wiedzą co!

– Stół gubernatora jest jednak niezły – rzekł Cziczikow.

– A czy pan wie, z czego się to wszystko robi? Kiedy pan się dowie, jeść się panu odechce.

– Nie wiem, jak się to przyrządza, nie mogę o tym wydawać sądu; ale kotlety wieprzowe i gotowana ryba były doskonałe.

– To się panu tylko tak zdawało. Wiem przecież, co oni kupują na targu. Taki kucharz, kanalia, co to się u Francuzów uczył, kupi kota, obedrze go ze skóry i podaje na stół zamiast zająca.

– Fi, co za nieprzyjemne rzeczy opowiadasz! – rzekła małżonka Sobakiewicza.

– Cóż, duszko! U nich to się tak robi, nie jestem temu winien, że u nich wszystkich tak się robi. Wszystko niepotrzebne, co nasza Akulka rzuca, za pozwoleniem, do szaflika z pomyjami, oni kładą do zupy – tak, do zupy! tu pakują!

– Zawsze opowiadasz przy stole coś takiego! – zauważyła znowu małżonka Sobakiewicza.

– Cóż, duszko – rzekł Sobakiewicz – gdybym to sam robił, to co innego, ale powiem ci prosto w oczy, że świństw jeść nie będę. Żaby, choćbyś ją oblepiła cukrem, nie wezmę do ust, ostrygi również do ust nie wezmę, wiem, do czego ostryga jest podobna. Niech pan weźmie baraniny – ciągnął dalej zwracając się do Cziczikowa – to barani bok z kaszą. To nie frykasy, które robią w pańskich kuchniach z baraniny, co przez cztery doby leżała na targu. Wszystko to wymyślili doktorzy Francuzi i Niemcy, powywieszałbym ich za to. Dietę wymyślili – leczą głosem! Że sami mają taką niemiecką chuderlawą naturę, wyobrażają sobie zaraz, że dadzą sobie radę z rosyjskim żołądkiem! Nie! to wszystko nie to, wszystko to wymysły, wszystko to... – Tu Sobakiewicz aż pokręcił gniewnie głową. – Gadają: oświata, oświata, a ta oświata... tfu! Powiedziałbym inaczej, ale przy stole nie wypada. U mnie co innego. U mnie, jeżeli wieprzowina – całego wieprza kładzie się na stół, baranina – dawać całego barana, gęś – to całą gęś! Wolę zjeść dwa dania, ale za to zjeść jak się należy, ile dusza zapagnie! – Sobakiewicz stwierdził to czynem: pół boku baraniego wpakował sobie na talerz, zjadł wszystko, poobgryzał, wyssał aż do ostatniej kosteczki.

„Tak – pomyślał Cziczikow – ten się zna na rzeczy”.

– U mnie inaczej – mówił Sobakiewicz ocierając ręce serwetką – u mnie nie tak jak u jakiegoś Pluszki, który ma osiemset dusz, a żyje i jada gorzej niż mój pastuch!

– Któż to taki ten Pluszkin? – zapytał Cziczikow.

– Łajdak! – odrzekł Sobakiewicz. – Taki kutwa, że trudno sobie wyobrazić. Kajdaniarze w więzieniu lepiej żyją niż on. Wszystkich ludzi wymorzył głodem.

– Doprawdy? – ze współczuciem podchwycił Cziczikow – powiada pan, że u niego dużo ludzi umiera?

– Mrą jak muchy.

– Czyżby jak muchy? Pozwoli pan, że zapytam: jak daleko od pana on mieszka?

– O pięć wiorst!

– O pięć wiorst! – wykrzyknął Cziczikow i uczył nawet lekkie bicie serca. – Czy kiedy się wyjeżdża z pańskiej bramy, będzie to w prawą stronę czy lewą?

– Nie radzę panu nawet znać drogi do tego psa! – rzekł Sobakiewicz. – Lepiej iść do jakiegoś nieprzyzwoitego miejsca niż do niego.

– Nie, ja zapytałem nie dla żadnych jakichś... tylko dlatego, że interesuje mnie poznawanie różnych miejscowości – odpowiedział na to Cziczikow.

Po boku baranim nastąpiły racuchy, z których każdy był o wiele większy od talerza, następnie indyk wielkości cielęcia, napchany różnymi przysmakami: jajkami, ryżem, wątróbkami i nie wiadomo czym jeszcze, co wszystko razem zalegało kamieniem w żołądku. Na tym się obiad zakończył; lecz gdy wstano od stołu, Cziczikow poczuł się cięższy o cały pud. Przeszli do salonu gdzie znalazły się konfitury na talerzyku – ni to gruszki, ni to śliwki, ni to inne owoce, których zresztą nie tknął ani gość, ani gospodarz. Gospodyni wyszła, aby nałożyć je i na inne talerzyki. Korzystając z jej nieobecności Cziczikow zwrócił się do Sobakiewicza, który, leżąc na fotelu, tylko postękiwał po takim sutym obiedzie i wydawał ustami jakieś niewyraźne dźwięki żegnając się i co chwila zakrywając usta ręką. Cziczikow zwrócił się do niego tymi słowami:

– Chciałbym z panem pomówić w pewnej sprawie.

– Oto jeszcze inne konfitury – rzekła gospodyni wracając z talerzykiem – rzodkiew gotowana w miodzie!

– Później – powiedział Sobakiewicz. – Idź teraz do swego pokoju, a my z Pawłem Iwanowiczem zrzucimy fraki i trochę odpoczniemy.

Gospodyni wykazała już gotowość posłania po piernaty i poduszki, lecz gospodarz rzekł: – Nie, nie, odpoczniemy w fotelach – i gospodyni wyszła.

Sobakiewicz z lekka pochylił głowę przygotowując się do wysłuchania, o co chodzi.

Cziczikow rozpoczął jakoś oderwanie, zatracił o całe państwo rosyjskie i z wielkim uznaniem odezwał się o jego wielkości; powiedział, że nawet starożytna monarchia rzymska nie była tak wielka i że cudzoziemcy słusznie się dziwią... Sobakiewicz wciąż słuchał pochyliwszy głowę. Że według ustaw istniejących w tym państwie, które nie ma sobie równego w sławie, dusze podane w rewizjach, skończywszy swoje ziemskie bytowanie, liczą się jednakowoż, aż do czasu podania nowych spisów rewizyjnych, na równi z żywymi, żeby w ten sposób nie obciążać urzędów mnóstwem drobiazgowych i bezużytecznych sprawozdań i nie komplikować i tak już bardzo skomplikowanego mechanizmu państwowego... Sobakiewicz wciąż słuchał pochyliwszy głowę – i że jednakowoż przy całej słuszności tego zarządzenia bywa ono dla wielu posiadaczy często uciążliwe, zmuszając do wnoszenia podatków jak gdyby za żywe przedmioty, i że on, Cziczikow, mając dla Sobakiewicza osobisty szacunek, byłby gotów częściowo wziąć na siebie ten rzeczywiście ciężki obowiązek. Co się tyczy głównej materii, Cziczikow wyrażał się bardzo ostrożnie; dusz nie nazywał martwymi, tylko – nie istniejącymi.

Sobakiewicz wciąż słuchał jak poprzednio, pochyliwszy głowę, i żeby choć coś podobnego do jakiegoś wyrazu pojawiło się na jego twarzy. Zdawało się, że ciało to zupełnie nie miało duszy lub też miało wcale nie tam, gdzie trzeba, lecz jak u nieśmiertelnego Kościeja, gdzieś za górami, okrytą tak grubą skorupą, że wszystko, co się tam poruszało na jej dnie, nie wywoływało absolutnie żadnego wstrząśnienia na powierzchni.

– A więc? – rzekł Cziczikow oczekując nie bez pewnego wzruszenia odpowiedzi.

– Panu są potrzebne martwe dusze? – zapytał Sobakiewicz zupełnie po prostu, bez najmniejszego zdziwienia, jak gdyby mowa była o zbożu.

– Tak – odrzekł Cziczikow i znowu złagodził wyrażenie dodając: – nie istniejące.

– Znajdą się, czemuż by nie... – rzekł Sobakiewicz.

– A jeżeli się znajdą, to panu niewątpliwie... będzie bardzo miło się ich pozbyć?

– Owszem, gotów jestem sprzedać – rzekł Sobakiewicz już podniósłszy cokolwiek głowę i miarkując, że kupujący widocznie musi w tym mieć jakąś korzyść.

„Niech to diabli! – pomyślał Cziczikow – ten mi już sprzeda je, nim zdołałem słówko pisać!” – I głośno powiedział: – A jakaż cena, na przykład? Choć zresztą to taki obiekt... że mówić o cenie jest nawet dziwnie.

– Ano, żeby nie żądać od pana za wiele, po sto rubli sztuka – rzekł Sobakiewicz.

– Po sto rubli! – zawołał Cziczikow otworzywszy usta i patrząc mu prosto w oczy, nie wiedząc, czy się przesłyszał, czy też ciężki z natury język Sobakiewicza, obróciwszy się nie tak jak należało, palnął co innego niż trzeba.

– Cóż, czy to dla pana za drogo? – wyrzekł Sobakiewicz, po czym dodał: – A jaka by była jednakowoż pańska cena?

– Moja cena! Musieliśmy się widocznie omylić jakoś lub też nie rozumiemy się wzajemnie, zapomnieliśmy, co stanowi obiekt. Ze swej strony z ręką na sercu proponuję: osiemdziesiąt kopiejek za duszę, to doskonała cena!

– Ech, też pan trafił – po osiemdziesiąt kopiejek!

– Cóż, moim zdaniem, uważam, że więcej nie można.

– Przecież nie sprzedają łapci.

– Zgodzi się pan jednak, przecież nie są to także ludzie.

– To pan myśli znaleźć takiego durnia, który by sprzedał panu dusze podane w rewizji po dwadzieścia kopiejek?

– Za pozwoleniem, dlaczego pan je nazywa podanymi w rewizji? Przecież dusze dawno zmarły, pozostał tylko nieuchwytny dźwięk. Zresztą, żeby nie wchodzić w dalsze rozmowy w tej dziedzinie, po półtora rubla, jeśli pan sobie życzy, dam, więcej nie mogę.

– Wstyd nawet wymieniać taką sumę! Niech pan się targuje, ale niech pan mówi cenę prawdziwą.

– Nie mogę, Michaile Siemionowiczu, proszę wierzyć mej uczciwości, nie mogę; a czego nie można zrobić, tego w żaden sposób zrobić nie można – mówił Cziczikow, dodał jednak jeszcze po pół rubla.

– Dlaczego pan skąpi? – rzekł Sobakiewicz – doprawdy, to niedrogo. Inny szubrawiec pana oszuka, sprzeda panu świństwo, a nie dusze; moje wszystkie jak zdrowy orzech, wszystkie wyborowe: jeśli nie rzemieślnik, to inny jaki zdrowy chłop. Niech pan popatrzy, oto na przykład stelmach Michiejew! Innych pojazdów nie robił, tylko na resorach. I to nie tak, jak to bywa moskiewska robota, na godzinę; jaka trwałość, sam i obije, i polakieruje!

Cziczikow otworzył usta z zamiarem zrobienia uwagi, że Michiejewa jednak nie ma już dawno na świecie; lecz Sobakiewicz; rozgadał się w najlepsze, znalazła się skądś swada i dar słowa.

– A Probka Stefan, cieśla? Daję głowę, jeśli pan znajdzie gdziekolwiek takiego chłopca. Co to był za siłacz! Gdyby służył w gwardii, Bóg wie, co by mu dali! Trzy arszyny i jeden werszek wzrostu!

Cziczikow chciał znowu zauważyć, że i Probki nie ma na świecie; lecz Sobakiewicza widocznie poniosło; popłynęły takie potoki wymowy, że trzeba było tylko słuchać.

– Miłuszkina, zdun, mógł postawić piec, w jakim pan chce domu. Maksym Tielatnikow, szewc: szyłem kolnie i już buty; buty takie, że tylko podziękować, i do gęby nie brał wódki. A Jeremiej Sorokoplechia! Ten jeden chłop stanie za wszystkich: handlował w Moskwie, samego czynszu przynosił pięćset rubli. Ot, co za ludzie! To nie to, co panu sprzeda jakiś tam Pluszkin!

– Ale pozwoli pan – rzekł wreszcie Cziczikow zdumiony tak obfitym potokiem słów, który, zdawało się, nie miał końca – dlaczego pan mi wymienia wszystkie ich zalety? Przecież teraz nie ma z nich żadnego pożytku, wszak to wszystko ludzie martwi. Martwym ciałem nawet płotu się nie podeprze, jak mówi przysłowie.

– Tak, naturalnie, że martwi – rzekł Sobakiewicz, jak gdyby opamiętawszy się i przypomniawszy sobie, że to w rzeczy samej są już ludzie martwi, potem jednak dodał: – Zresztą i to by można rzec – co z tych ludzi, którzy obecnie zaliczają się do żywych? Co to za ludzie? Muchy, a nie ludzie.

– Ci jednak istnieją, a tamci to tylko złudne mary.

– No, nie, nie złudne mary. Powiem panu, jaki był Michiejew, pan nie znajdzie takiego człowieka: kolos taki, że do tego pokoju nie wejdzie. Nie, to nie złudna mara! W barach siła, jakiej koń nie ma; chciałbym wiedzieć, gdzie pan w innym miejscu znajdzie takie złudne mary! – Ostatnie słowa wyrzekł już zwracając się do wiszących na ścianie portretów Bagationa i Kolokotronisa, jak to zwykle zdarza się rozmawiającym, gdy jeden z nich nagle, nie wiadomo dlaczego, zwraca się nie do tej osoby, do której odnoszą się jego słowa, lecz do przybyłego niespodzianie kogoś trzeciego, nawet zupełnie nieznanego, od którego wie, że nie usłyszy ani odpowiedzi, ani opinii, ani potwierdzenia, na którego jednak kieruje spojrzenie, jak gdyby prosząc go na pośrednika; a nieznanemu, zmieszany w pewnej chwili, nie wie, czy ma mówić w sprawie, o której nic nie słyszał, czy tak sobie postać spełniając obowiązek grzeczności, a potem odejść.

– Nie, nie mogę dać więcej niż dwa ruble – powiedział Cziczikow.

– Owszem, żeby pan nie miał do mnie pretensji, że żądam za drogo i nie chcę zrobić żadnego ustępstwa, owszem – po siedemdziesiąt pięć rubli za duszę, ale asygnatami, doprawdy tylko po znajomości.

„Co on sobie myśli, w samej rzeczy – pomyślał Cziczikow – bierze mnie za głupca czy co?” – i dodał potem głośno:

– Wydaje mi się to dziwne doprawdy; wygląda na to, że odgrywamy jakieś przedstawienie teatralne albo komedię, inaczej nie mogę sobie tego wyjaśnić... Pan jest, zdaje się, człowiekiem dość rozumnym, posiada pan wykształcenie. Wszakże obiekt po prostu: tfu, tfu! Co on jest wart? Komu potrzebny?

– Ale pan go kupuje, więc jest potrzebny.

Tu Cziczikow przygryzł wargi i nie znalazł odpowiedzi. Zaczął już mówić o jakichś okolicznościach rodzinnych, lecz Sobakiewicz odrzekł po prostu:

– Nie potrzebuję wiedzieć, jakie są pańskie stosunki: w sprawy rodzinne się nie wtrącam, to pańska sprawa. Potrzebne są panu dusze, ja je sprzedaję i pan będzie żałował, że ich nie kupił.

– Dwa rubelki – rzekł Cziczikow.

– Ech, doprawdy! Trzyma się pan jednego jak pijany płotu, jak powiada przysłowie; stanął pan na dwóch i ani rusz nie chce pan z nich zjechać. Niech pan poda prawdziwą cenę!

„No, bierz go diabli! – pomyślał Cziczikow – dodam temu kundlowi pół rubla na orzechy!”

– Owszem, dodam po pół rubla.

– Pozwoli pan, że również powiem swe ostatnie słowo: pięćdziesiąt rubli! Ze stratą doprawdy, nigdzie pan nie dostanie

takich doskonałych ludzi!

„Co za kułak!” – rzekł do siebie Cziczikow, po czym ciągnął dalej głośno, trochę rozgniewany:

– Cóż to znaczy... Jak gdyby to istotnie była jakaś poważna sprawa; dostanę gdzie indziej za darmo. Zbędzie mi ich każdy, i to z wielką chęcią, aby się jak najprędzej pozbyć. Chyba tylko głupiec będzie je trzymał przy sobie i płacił za nie podatki!

– Ale wie pan, że transakcje tego rodzaju, mówię to po przyjacielsku, między nami, nie zawsze są dozwolone, i niech ja albo kto inny o tym rozpowie, do takiego człowieka nikt nie będzie miał zaufania przy kontraktach lub zawieraniu jakichś korzystnych umów.

„Widzicie go, łajdaka, dokąd zmierza!” – pomyślał Cziczikow i zaraz wyrzekł z całkowicie zimną krwią:

– Jak pan sobie chce; kupuję nie dla jakichś celów, jak pan myśli, lecz tak sobie... ulegając własnej fantazji. Nie chce pan dwa i pół – żegnam!

„Ten się nie da zbić z tropu, nieustępliwy!” – pomyślał Sobakiewicz.

– No, Bóg z panem – rzekł – niech pan daje po trzydzieści i bierze je sobie!

– Nie, widzę, że pan nie chce sprzedać, żegnam pana!

– Ależ pozwól pan, pozwól! – rzekł Sobakiewicz nie wypuszczając jego ręki i nastąpiwszy mu na nogę, ponieważ bohater nasz zapomniał się ustrzec; za karę musiał teraz zasyczeć i podskoczyć na jednej nodze.

– Przepraszam pana! Zdaje się, że go uraziłem. Proszę, niech pan tu siada! Proszę! – Tu posadził go na fotelu dość nawet zgrabnie, jak niedźwiedź, który był już chowany u ludzi, umie fikać koziołki i robić różne sztuki na pytania: „A pokaż no, Misiu, jak to się baby kąpią?” albo też: „A jak to, Misiu, małe dzieci groch kradną?”

– Doprawdy, ja tylko czas na próżno tracę, śpieszy mi się.

– Niech pan posiedzi jeszcze chwilkę, zaraz panu powiem coś przyjemnego. – Tu Sobakiewicz przysiadł się bliżej i powiedział mu cicho do ucha, niby sekret:

– Chce pan – ćwiartkę?

– To znaczy dwadzieścia pięć rubli? Ani mowy! Nawet ćwierci ćwiartki nie dam, grosza nie dołożę.

Sobakiewicz zamilkł. Cziczikow również zamilkł. Milczenie trwało dwie minuty. Bagration z orlim nosem nader uważnie patrzył ze ściany na tę transakcję.

– Jakaż jest pańska ostatnia cena? – rzekł wreszcie Sobakiewicz.

– Dwa i pół.

– Doprawdy, dusza ludzka dla pana to tyle co funt kłaków.

– Niechże pan da po trzy ruble!

– Nie mogę.

– No, nie ma co z panem robić, niech już tak będzie! Strata co prawda, ale już taką mam pieską naturę, nie mogę nie sprawić przyjemności bliźniemu. Trzeba chyba sporządzić akt sprzedaży, aby wszystko było w porządku?

– Ma się rozumieć.

– No, to trzeba będzie jechać do miasta.

Tak więc dobili targu. Postanowili zaraz jutro być w mieście i sporządzić kontrakt sprzedaży. Cziczikow poprosił o spis chłopów. Sobakiewicz zgodził się chętnie, zaraz podszedł do biurka i własnoręcznie zaczął wypisywać wszystkich nie tylko z nazwiska, lecz nawet z wyszczególnieniem zalet.

A Cziczikow, nie mając co robić, zajął się, będąc z tyłu, obserwacją obszernej sylwety Sobakiewicza. Gdy spojrział na jego bary, szerokie jak u wiackich, niskich koni, i na nogi, podobne do żelaznych postumentów, które stawia się przy chodnikach, nie mógł nie zawołać w duchu: „Ech, ależ cię też Bóg obdarzył! Rzeczywiście, jak powiadają: niedobrze skrojony, ale mocno zszyty!... Czyś się już urodził jako taki niedźwiedź, czy też upodobniło cię do niedźwiedzia odludne życie, siewy zboża, klótnie z chłopami i przez to stałeś się tym, co nazywają kułakiem? Ale nie: myślę, że byłbyś taki sam, nawet gdyby cię wychowano modnie, puszczono w kurs, choćbyś mieszkał w Petersburgu, a nie na odludziu. Cała różnica w tym, że teraz pochłaniasz pół baraniego boku z kaszą, zakąsiwszy racuchem wielkości talerza, a wtedy jadłbyś kotlety z truflami. Teraz masz w swej władzy chłopów; jesteś dla nich dobry i naturalnie nie skrzywdzisz ich, bo są twoi – i tobie by było wtedy gorzej; a w tamtym wypadku miałbyś urzędników, których byś mocno poszturchiwał, połapawszy się, że to nie twoi pańszczyźniacy, albo byś skarb okradał! Nie, kto już jest kułakiem – ten się w dłoń nie rozegnie! A rozgiąć kułak na jeden lub dwa palce – wypadnie jeszcze gorzej. Niechby on tylko z lekka spróbował dotknąć szczytów jakiegokolwiek nauki, dałby się później, zająwszy poważniejsze stanowisko, we znaki wszystkim, którzy coś umieją naprawdę! I jeszcze powie później: »Pokażę ja im, co znaczą!« I wymyśli takie mądre rozporządzenie, że z niejednym będzie krucho! No, gdyby tak wszyscy byli kułakami!...”

– Notatka gotowa! – rzekł Sobakiewicz odwracając się.

– Gotowa? Niech pan pozwoli! – Cziczikow przebiegł ją oczami i zdziwił się jej akuracnością i ścisłością; rzeczowo było wpisane nie tylko rzemiosło, stan rodzinny i wiek, lecz nawet na marginesach znajdowały się osobne uwagi co do prowadzenia się, trzeźwości, słowem, miło było popatrzeć.

– Teraz poproszę o zadateczek! – rzekł Sobakiewicz.

– Na co panu zadateczek? Dostanie pan w mieście od razu wszystko!

– Jednak, wie pan, taki już zwyczaj – odrzekł Sobakiewicz.

– Nie wiem, jak panu dać: nie wziąłem ze sobą pieniędzy. Proszę, oto dziesięć rubli.

– Cóż znaczy dziesięć! Niech pan da przynajmniej pięćdziesiąt!

Cziczikow zaczął wymawiać się, że nie ma; lecz Sobakiewicz powiedział z taką pewnością, że Cziczikow ma przy sobie pieniądze, iż ten wyjął jeszcze paperek mówiąc:

– Proszę, oto jeszcze piętnaście, razem dwadzieścia pięć. Poproszę tylko o pokwitowanie.

– A na cóż panu pokwitowanie?

– Zawsze, wie pan, lepiej mieć. Nie znamy dnia ani godziny, wszystko się może zdarzyć.

– Dobrze, niech więc pan da tutaj pieniądze!

– Na co pieniądze? Oto mam je w ręce! Gdy tylko pan napisze pokwitowanie, dostanie je pan w tej chwili.

– Ale pozwoli pan, jakże mam pisać pokwitowanie? Trzeba wpierw widzieć pieniądze.

Cziczikow wypuścił z ręki pieniądze przeznaczone dla Sobakiewicza, który zbliżywszy się do stołu i nakrywszy je palcami lewej ręki, napisał na skrawku papieru, że zadatek w sumie dwudziestu pięciu rubli asygnatami państwowymi za sprzedane dusze otrzymał w całości. Po napisaniu pokwitowania raz jeszcze przejrzał asygnaty.

– Papierek coś stary! – powiedział oglądając jedną z nich pod światło – trochę podarty, no, ale między przyjaciółmi nie warto na to zważać.

„Kułak, kułak! – pomyślał sobie Cziczikow – i bestia w dodatku!”

– A płci żeńskiej pan nie chce?

– Nie, dziękuję.

– Wziąłbym niedrogo. Po znajomości rubelka za sztukę.

– Nie, płci żeńskiej nie potrzebuję.

– No, kiedy pan nie potrzebuje, to nie ma o czym mówić. Różne bywają gusty: jeden lubi popa, a drugi popadę, jak powiada przysłowie.

– Chciałbym jeszcze pana poprosić, żeby transakcja ta pozostała między nami – mówił Cziczikow żegnając się.

– To się rozumie samo przez się. Osób trzecich nie potrzeba; to, co w zaufaniu odbywa się między bliskimi przyjaciółmi, powinno zostać w ich przyjaźni. Żegnam pana. Dziękuję za odwiedzinę, proszę i nadal o nas nie zapominać; jeśli znajdzie się wolna godzinka, niech pan przyjedzie na obiad, na spędzenie czasu. Być może, znowu nadarzy się okazja do wzajemnych usług.

„Jeszcze czego! – myślał sobie Cziczikow sadowiąc się w bryczce. – Za martwą duszę zdarł po dwa i pół rubla, diabelski kułak!”

Był niezadowolony z zachowania się Sobakiewicza. Przecież bądź co bądź znajomy, widywali się i u gubernatora, i u policmajstra, a postąpił jak ktoś zupełnie obcy: wziął pieniądze za takie świństwo! Gdy bryczka wyjechała z podwórza, obejrzał się za siebie i zobaczył, że Sobakiewicz ciągle jeszcze stoi na ganku i, zdaje się, obserwuje, pragnąc wiedzieć, dokąd gość pojedzie.

– Łajdak, wciąż jeszcze stoi – powiedział przez zęby i kazał Selifanowi skrócić w stronę chłopskich chałup i pojechać tak, by pojazdu nie było widać od dworu. Miał ochotę wstąpić do Pluszki, u którego wedle słów Sobakiewicza ludzie marli jak muchy, ale nie chciał, by Sobakiewicz o tym wiedział. Gdy bryczka była już na końcu wsi, przywołał do siebie pierwszego napotkanego chłopca, który podniósłszy gdzieś na drodze ogromny, gruby kawał drewna, jak niestrudzona mrówka niósł go na ramieniu do swojej chałupy.

– Ej, ty tam? Jak tędy przejechać do Pluszki, tak, żeby nie koło dworu?

Chłop, zdaje się, był zaskoczony tym pytaniem.

– Cóż to, nie wiesz?

– Nie, proszę wielmożnego pana, nie wiem.

– Ech ty! A już siwizna na głowie! Nie znasz kutwy Pluszki tego, co ludzi źle karmi?

– A! połatany, połatany! – zawołał chłop. Do słowa „połatany” dodał jeszcze rzeczownik bardzo udatny, lecz nie używany w przyzwoitej rozmowie i dlatego go opuścimy. Można się zresztą domyślać, że wyrażenie było bardzo trafne, bo choć chłop już dawno znikł z oczu i ujechali spory kawałek drogi, Cziczikow jeszcze się uśmiechał siedząc w bryczce. Lud rosyjski wyraża się dosadnie! I gdy już opatrzy kogoś słówkiem, to przejdzie mu ono na rodzinę i potomstwo, pociągnie je on ze sobą na urząd i na emeryturę, do Petersburga i na kraj świata. I jakkolwiek byś potem kręcił i upiększał swe przezwisko, choćbyś kazał najemnym pisarczykom za opłatą wywieść je od starego książęcego rodu, nic nie pomoże: przezwisko samo przez się zakracze na całe swe wronie gardło i wyraźnie powie, skąd ptaszek wyleciał. To, co zostało celnie powiedziane, wszystko jedno jak zapisane, nie da się wyrębać siekierą. A już jak celne bywa to wszystko, co pochodzi z głębi Rosji, gdzie nie ma ani niemieckich, ani czuchońskich, ani żadnych innych plemion, tylko rdzenny, żywy i śmiały rozum rosyjski, co to nie szuka słowa po kieszeniach, nie wysiaduje go jak kwoka kurczęta, lecz przylepia od razu, niby paszport, na wieczne noszenie, i nie ma co później dodawać, jaki tam masz nos albo usta – jedną linią narysowany jesteś od stóp do głów!

Jak nieprzeliczone mnóstwo cerkwi, klasztorów z kopułami, głowicami, krzyżami rozsypało się po świętej, pobożnej Rosji, tak niezmierzone mnóstwo plemion, pokoleń, narodów tłoczy się,

pstrzy i miota po obliczu ziemi. I wszelki naród noszący w sobie zadatek siły, pełen twórczych zdolności, jaskrawej odmienności oraz innych darów Boga, na swój sposób odróżnił się każdy własnym swym słowem, którym określając jakikolwiek przedmiot odbija w wyrażeniu go część swego własnego charakteru. Znajomością serca ludzkiego i mądrym poznaniem życia odezwie się słowo Brytyjczyka, jak lekki wykwintniś błysnie i rozpadnie się niedługotrwałe słowo Francuza; pomysłowo przygotuje swoje nie dla każdego dostępne, rozumnie chude słowo Niemiec; lecz nie ma słowa, które by tak zamazyście, dziarsko wyrwało się z samego serca, które by kipiało i drgało takim życiem, jak celnie powiedziane słowo rosyjskie.

ROZDZIAŁ VI

Niegdyś, dawno, w latach mej młodości, w latach bezpowrotnie minionego dzieciństwa, wesoło mi było przybywać po raz pierwszy do nieznannej miejscowości; bez względu na to, czy to była wioska, biedne miasteczko powiatowe, sióło czy futuro – dziecinne, ciekawe spojrzenie odnajdywało w nim dużo ciekawych rzeczy. Każda budowla, wszystko, co nosiło na sobie ślady czegoś osobliwego, wszystko zastanawiało mnie i uderzało. Czy to murowany dom rządowy w znanym stylu, z połową okien fałszywych, sam samiuteńki, sterczący pośród drewnianej, ciosanej gromady parterowych mieszczkańskich domków, czy to okrągła regularna kopuła, cała obita arkuszową białą blachą, wzniesiona nad wybieloną jak śnieg nową cerkwią, czy rynek, czy frant powiatowy spotkany na mieście – nic nie wymykało się mojej świeżej, wrażliwej uwadze. Wsunąwszy nos z mego wozu podróznego patrzyłem na nie spotykany dotychczas krój jakiegoś surduta, na drewniane skrzynie z gwoździemi, z siarką żółcią w głębi, z rodzynekami i mydłem, ukazujące się w drzwiach sklepu warzywnego wraz ze słojami wyschniętych moskiewskich cukierków; patrzyłem na przechodzącego obok oficera piechoty, przeniesionego z Bóg wie jakiej guberni w powiatową nudę, i na kupca w burce syberyjskiej, jadącego dorozką – i podążałem w myśli za nimi, do ich biednego życia. Niech przejdzie urzędnik powiatowy – już się zamyślam: dokąd on idzie, czy na wieczór do jakiegoś kolegi, czy po prostu do swego domu, aby posiedziawszy z pół godziny na ganku, póki zmierzch całkiem nie zgęstnieje, zasiąść do wczesnej kolacji z matką, żoną, siostrą żony i całą rodziną, d o czym będą rozmawiali wtedy, gdy dziewczyna do posług, z monistem na szyi, lub chłopiec w grubej kurtce przyniesie już no zupie świecą łożową w odwiecznym lichtarzu domowym. Podjeżdżając do wsi jakiegoś obywatela ziemskiego spoglądałem ciekawie na wysoką, wąską dzwonnice lub też na szeroką, ciemną, starą cerkiew drewnianą. Wabiąco ukazywały się co chwila z daleka poprzez zieleń drzew czerwony dach i białe kominy dworu, a ja oczekiwałem niecierpliwie, kiedy zasłaniające go ogrody rozstąpią się na obie strony i dwór ukaże się cały, w swym wtedy jeszcze, ach! nie spopolitowanym wyglądzie, i starałem się podług niego odgadnąć, kto to taki ten obywatel., czy jest gruby, czy ma synów, czy też aż sześć córek – najmłodsza musiała być zawsze najpiękniejsza – śmiejących się dźwięcznym dziewczęcym śmiechem, zajętych zabawami, i czy one są czarnookie, a on sam czy jest jowialny, czy też nachmurzony jak ostatnie dni września, czy patrzy na kalendarz i mówi o nudnej dla młodości pszenicy i życie.

Teraz obojętnie podjeżdżam do każdej nieznannej wsi i obojętnie patrzę na jej spopolitowany wygląd; mój zobojętniały wzrok nie odczuwa przytulności, nie chce mi się śmiać i to, co w dawnych latach wywołałoby na twarzy wyraz ożywienia, śmiech i nieskończone rozmowy, prześlizguje się teraz obok mnie i obojętne milczenie zachowują moje nieruchome wargi. O, młodości. moja! moja świeżość!

Podczas gdy Cziczikow rozmyślał i śmiał się w duchu z przewiska, jakim chłopci obdarzyli Pluszki, nie zauważył, iż. wjechali do środka obszernej wsi z mnóstwem chat i ulic. Wkrótce jednak okazało mu to zauważyć porządne uderzenie, spowodowane przez ułożoną z drewnianych dylów jezdnię, wobec której miejski bruk był niczym. Dyle te niby klawisze fortepianu wznosiły się to do góry, to na dół, i nieostrożny jeździec zdobywał albo guza na ciemieniu, albo sińca na czole, lub też zdarzało mu się własnymi zębami odgryźć w sposób arcybolesny koniuszek własnego języka. We wszystkich budynkach wiejskich Cziczikow zauważył jakąś osobliwą zgrzybiałość:

bierwiona chat były czarne i stare; wiele dachów przeświecało jak sita; na niektórych pozostał tylko górny szczyt oraz żerdki po obu stronach, podobne do żeber. Zdaje się, że sami gospodarze zdjęli z nich poszycie i tarcice, rozumując i, rzecz prosta, słusznie, że nie chronią one chaty przed deszczem, a w pogodę i tak nawet kropla nie spadnie, więc po cóż się kwasić w chałupie, gdy jest tyle przestrzeni w karczmie i na gościńcu, słowem, gdzie dusza zapragnie. Okna w chatkach były bez szyb, niektóre były zatkane szmatą lub siermięgą; ganeczki z daszkami i balustradami, nie wiadomo z jakiego powodu dorabiane do niektórych chat rosyjskich, pokrzywiły się i szerniały wcale nie malowniczo. Za chatami ciągnęły się w wielu miejscach rzędy ogromnych stert zboża, stojących widocznie od dawna; kolor ich przypominał starą, źle wypaloną cegłę, na ich czubku rosło przeróżne świństwo, a nawet z boku uczepliły się krzaki. Zboże, jak widać, było pańskie. Spoza stert zboża i zniszczonych dachów w czystym powietrzu wznosiły się i ukazywały to z prawej, to z lewej strony, w miarę zwrotów robionych przez bryczkę, dwie cerkwie wiejskie, jedna obok drugiej: opustoszała drewniana i murowana, z poźółkłymi ścianami, poplamiona, splekana. Zaczęły się ukazywać poszczególne części dworu i wreszcie wyrżał cały w tym miejscu, gdzie przerwał się łańcuch chat, a zamiast nich ukazał się opuszczony ogród warzywny, obwiedziony niskim ogrodzeniem, miejscami wyłamanym. Ten dziwny budynek, długi, niepomnie długi, wyglądał jak jakiś zgrzybiały inwalida. Miejscami był parterowy, miejscami zaś jednopiętrowy; na ciemnym dachu, nie zawsze pewnie chroniącym jego starość, sterczały dwa belwedery, jeden naprzeciw drugiego, oba już nieco pochylone, pozbawione miejscami farby, niegdyś je pokrywającej. Ściany domostwa miejscami ukazywały nagą kratę podtynkową i, jak widać, ucierpiały sporo od różnych niepogod, dżdżów, wichrów i przemian jesiennych. Tylko dwa okna były otwarte, inne były zasłonięte okiennicami lub nawet zabite deskami. Owe dwa okna również niedowidziały, na jednym z nich ciemniał naklejony trójkąt z niebieskiego papieru od cukru.

Stary, obszerny, ciągnący się za domem ogród, wychodzący za wieś i przepadający w polu, zarośnięty i opustoszały, jak się zdawało, on jeden tylko urozmaicał tę obszerną wieś i tylko on był naprawdę malowniczy w swym zapuszczeniu. Zielonymi chmurami i nieregularnymi, drzącolistnymi kopułami leżały na horyzoncie nieba złączone wierzchołki swobodnie rozrosłych drzew. Biały, olbrzymi pień brzozy, pozbawiony wierzchołka odłamanego przez burzę lub nawałnicę, wznosił się z tego zielonego gąszczu i zaokrąglął w powietrzu jak regularna, marmurowa, lśniąca kolumna; krzywe, ostre złamanie, którym się kończył w górze zamiast kapitelu, ciemniało na jego śnieżnej białości jak czapka albo czarny ptak. Chmiel, głuszący w dole krzaki bzu, jarzębiny i leszczyny i przebiegający później po wierzchu całego parkanu, wybiegał w końcu w górę i do połowy oplatał złamaną brzozę. Dosięgnąwszy jej połowy zwieszał się stamtąd w dół i zaczynał już zaczepiać o wierzchołki innych drzew albo też wisiał w powietrzu, skracając w pierścienie swe cienkie, chwytne haczyki, lekko kołysane powiewem. Zielone, opromienione słońcem chaszczki rozstępowały się gdzieniegdzie i odsłaniały w swym wnętrzu nie oświetlone wgłębienie, ziejące jak ciemna paszcza; był ono całkowicie ocienione i ledwie-ledwie ukazywały się w czarnej jego głębi: biegnąca wąska dróżka, wywrócone balustrady, waląca się altanka, wypróchniały, stary pień wierzby, siwy krzew akacji, gęstą szczecina wysuwający spoza wierzby zeschnięte w tej strasznej głuszy, poplątane i pokrzyżowane liście i gałęzie, i wreszcie młoda gałąź klonu wyciągająca z boku swe liście-łapy; czasami pod jeden z nich dostawało się Bóg wie jakim sposobem słońce i czyniło go nagle przezroczystym i ognistym, cudownie jaśniejącym w tej gęstej ciemności. Z boku, w samym końcu ogrodu, kilka wysokich, wyższych od innych osin wznosiło ogromne wronie gniazda na swych drzących wierzchołkach. Niektóre osiny miały odłamane, lecz niezupełnie oderwane gałęzie, które zwisały w dół wraz z zeschniętymi liśćmi. Słowem, wszystko było w swym opuszczeniu piękne, jak nie wymyśli ani natura, ani sztuka, ale jak bywa tylko wtedy, gdy nagromadzoną, częstokroć bez sensu, pracę ludzką przyroda uzupełni ostatnim dotknięciem dłuta, ciężkie masy uczyni lżejszymi, zniszczy brutalną regularność i nędzne szwy, poprzez które przegląda nie osłonięty, nagi plan, i da cudne ciepło temu wszystkiemu, co stworzone zostało w chłodzie wymierzonej czystości i schludności.

Zrobiwszy jeszcze jeden czy dwa zakręty, bohater nasz znalazł się wreszcie przed samym domem, który wydał mu się teraz jeszcze smutniejszy. Zielona pleśń już pokryła zbutwiałe drzewo w ogrodzeniu i we wrotach. Gromada budynków: izb czeladnych, stodół, piwnic, wyraźnie butwiejących, zapełniała podwórze, koło nich i na prawo i na lewo widać było wrota do innych podwórz. Wszystko mówiło, że niegdyś prowadzono tu gospodarstwo na wielką skalę, teraz jednak wyglądało to ponuro. Nie: było można zauważyć nic, co by ożywiało obraz: ani otwierających się drzwi, ani ludzi wychodzących skądś – żadnych żywych trosk i kłopotów domowych! Tylko główne wrota były otwarte, i to dlatego, że wjechał chłop z naładowanym wozem pokrytym rogożą; chłop ten jak gdyby umyślnie pokazał się po to, żeby ożywić to wymarłe miejsce, w innym czasie i one były zamknięte na głucho, ponieważ na żelaznym skoblu wisiała kłódka-olbrzym. Przy jednym z budynków Cziczikow wkrótce zauważył jakąś postać, która zaczęła się kłócić z chłopem przybyłym na wozie. Długo nie mógł rozpoznać, jakiej płci była ta postać: baba czy chłop. Ubiór jej był zupełnie nieokreślony, bardzo podobny do kobiecego okrycia; na głowie rodzaj kołpaka, jaki noszą wiejskie kobiety dworskie; głos tylko wydawał się za ochrypy jak na kobietę: „Oj, baba!” – pomyślał sobie Cziczikow i zaraz dodał: „Oj, nie!” – Naturalnie, że baba! – rzekł wreszcie przypatrzawszy się uważniej. Postać ze swej strony patrzyła nań równie uważnie. Zdaje się, że gość był dla niej osobliwością, bo obejrzała nie tylko jego, lecz i Selifana oraz konie, poczynając od ogona aż do pysków. Z wiszących u jej pasa kluczy i dlatego, że wymyślała chłopu słowami dość sromotnymi, Cziczikow wywnioskował, że jest to zapewne klucznica.

– Słuchajcie no, matko – rzekł wychodząc z bryczki – czy pan?...

– Nie ma w domu – przerwała klucznica nie czekając końca pytania i po chwili dodała – a czego pan potrzebuje?

– Mam interes...

– Niech pan idzie do pokojów! – rzekła klucznica odwróciwszy się i pokazawszy mu plecy zawalane mąką, z wielką dziurą nieco niżej.

Wszedł do szerokiej ciemnej sieni, z której powiało chłodem jak z piwnicy. Z sieni dostał się do pokoju również ciemnego, zaledwie rozjaśnionego światłem pochodzącym z szerokiej szczeliny, znajdującej się u dołu drzwi. Otworzywszy te drzwi, znalazł się wreszcie w pełnym świetle i zdumiał się na widok nieporządku, jaki zastał. Zdawało się, że w domu odbywa się mycie podłóg i tutaj na pewien czas zgromadzono całe umeblowanie. Na jednym stole stało nawet złamane krzesło, a obok niego zegar z zatrzymanym wahadłem, do którego pajak dorobił już pajęczynę. Tutaj również stała przysunięta bokiem do ściany szafa ze starym srebrem, karafkami i chińską porcelaną. Na biurku inkrustowanym mozaiką z masy perłowej, która miejscami już powypadała i pozostawiła po sobie tylko żółciutkie kanaliki wypełnione klejem, leżało mnóstwo różnych różności: stos drobno zapisanych papierków, przyciśniętych pozieleniałym przyciskiem marmurowym z jajeczkiem na wierzchu, jakaś starodawna książka w skórzanej oprawie, z czerwonymi brzegami, zupełnie wyschnięta cytryna wielkości orzecha laskowego, złamana poręcz od fotela, kieliszek z jakimś płynem i trzema muchami, nakryty listem, kawałek laku, kawałek podniesionej gdzieś szmatki, dwa pióra zawalane atramentem, wyschnięte jak od suchot, zupełnie pożółkła wykałaczką, którą gospodarz dłużył sobie w zębach może jeszcze przed najazdem Francuzów na Moskwę.

Na ścianach ponawieszano bardzo ciasno i bez sensu kilka obrazów i długi, pożółkły sztych wyobrażający jakąś bitwę, z ogromnymi bębniami, krzyzącymi żołnierzami w trójkątnych kapeluszach i tonącymi końmi, bez szkła, wstawiony w mahoniową ramę z cieniutkimi pasemkami brązu i krążkami również z brązu po rogach. Obok połowę ściany zajmował ogromny, poczerniały obraz malowany olejno, wyobrażający kwiaty, owoce, rozcięty arbuz, pysk dzika i kaczkę wiszącą głową na dół. Ze środka sufitu zwisał zyrandol w płóciennym pokrowcu, który z powodu kurzu stał się podobny do jedwabnego kokonu, w którym siedzi gąsienica. W kącie pokoju była zwalona na podłodze kupa tego, co podlejsze i niegodne leżenia na stołach. Co mianowicie znajdowało się na

kupie, trudno było orzec, ponieważ pokrywał ją kurz w takiej obfitości, że ręce każdego, kto jej dotknął, stawały się podobne do rękawiczek; najbardziej rzucał się w oczy odłamany kawałek drewnianej łopaty i stara podeszwa od buta. Nie można by w żaden sposób powiedzieć, że w tym pokoju mieszka żywa istota, gdyby nie świadczyła o jej przebywaniu stara, znoszona szlafmyca, leżąca na stole. Podczas gdy Cziczikow przyglądał się dziwnemu urządzeniu pokoju, otworzyły się boczne drzwi i weszła ta sama klucznica, którą spotkał na podwórzu. Lecz tu spostrzegł, że był to raczej klucznik niż klucznica: przynajmniej klucznica nie goli brody, a ten, przeciwnie, golił, i to zdaje się dość rzadko, bo cały jego podbródek oraz dolna część policzka podobne były do zgrzebła z drutu żelaznego, którym czyści się konie w stajni. Cziczikow, nadawszy swej twarzy wyraz pytający, oczekiwał z niecierpliwością, co mu powie klucznik. Klucznik również ze swej strony czekał, co mu powie Cziczikow. Wreszcie ten ostatni, zadziwiony tą dziwną niepewnością, zdecydował się zapytać:

– Cóż pan? U siebie czy gdzie?

– Gospodarz jest tutaj – rzekł klucznik.

– Gdzie? – powtórzył Cziczikow.

– Cóż to, dobrodzieju, ślepi jesteście czy co? – rzekł klucznik. – Owa! A przecież gospodarz to ja!

Tutaj bohater nasz mimo woli cofnął się i popatrzył na niego uważnie. Zdarzało mu się widywać niemało ludzi różnego rodzaju, takich nawet, jakich mnie i czytelnikowi nigdy się nie zdarzyło ujrzeć; lecz takiego jeszcze nie widział. Twarz jego nie miała w sobie nic osobliwego, była prawie taka sama jak twarze wielu chuderlawych starców, tylko podbródek wysuwał mu się naprzód tak daleko, że musiał go wciąż zakrywać chustką, żeby go nie opluć; jego maleńkie oczki nie zgasty jeszcze i spod krzaczastych brwi biegły jak myszy, gdy wysunąwszy z ciemnych nor ostre pyszczki, nastroszywszy uszy i ruszając wąsem, wypatrują, czy nie ukrył się jakiś kot lub też chłopczyk figlarz, i podejrzliwie wachają powietrze. O wiele bardziej godny uwagi był jego strój: żadne sposoby, żadne starania nie pozwoliłyby dociec, z czego sporządzony był jego szlafrok. Rękawy oraz przednie poły do tego stopnia zawałały się i zatłuściły, że stały się podobne do juchtu, z którego robi się buty; z tyłu zamiast dwóch dyndały mu cztery poły, z których strzępami wylażała wata. Na szyi miał zawiązane coś, czego niepodobna było rozpoznać: pończocha, onucka czy nabrusznik z pewnością jednak nie halsztuk. Słowem, gdyby Cziczikow spotkał go tak przystrojonego gdzieś przy drzwiach cerkiewnych, prawdopodobnie dałby mu miedziaka. Ku pochwalę bowiem naszego bohatera trzeba powiedzieć, że serce miał współczujące i w żaden sposób nie mógł się powstrzymać, aby biedakowi nie dać miedziaka. Ale przed nim stał nie biedak, przed nim stał obywatel ziemski. Obywatel ten miał przeszło tysiąc dusz i niechby kto znalazł innego, u którego byłoby tyle zboża w mące i ziarnie lub po prostu w brogach, u którego by piwnice, spichrze i suszarnie zawałone były taką masą płótna i sukna, skór baranich wyprawionych i surowych, suszonymi rybami, wszelkim warzywem albo inną żywnością. Gdyby ktoś zajrzał do niego na gospodarskie podwórze, gdzie było przygotowane na zapas drzewo i narzędzia, nigdy nie używane – wydałoby mu się, że znalazł się na drewnianym rynku w Moskwie, dokąd codziennie udają się przezorne teściowe i świekry, z kucharkami z tyłu, po zakupy gospodarskie, gdzie bieleją góry wszelkiego drzewa, rżniętego, rąbanego, toczonego i plecionego; becзки, cebry, szafliki, maźnice, konwie z dziobkami i bez dziobków, kobiałki, faski, ochlice, w których baby składają mokrą bieliznę, skrzyneczki z cienkiej i giętej osiny; łubka z plecionej kory brzoźowej i wiele wszystkiego, co idzie na potrzeby bogatej i biednej Rosji. Na cóż, pomyślałby kto, było potrzebne Pluszkinowi takie zatrzęsienie podobnych wyrobów? Przez całe życie nie można by tego zużytkować nawet w dwóch takich jak jego majątkach – ale jemu i tego wydawało się za mało. Nie zadowolając się tym, codziennie chodził po ulicach swej wsi, zaglądał pod mostki, pod dyle – i wszystko, co mu wpadło w ręce: stara podeszwa, babska ścierka, gwóźdź żelazny, gliniana skorupa – wszystko to taszczył do siebie i składał na ową kupę, którą Cziczikow zauważył w kącie pokoju. „O, już rybak wyszedł na połów!” – mówili chłopci widząc go idącego po łup. I rzeczywiście po

jego przejściu nie trzeba było zamiatać ulicy: przejeżdżającemu oficerowi zdarzyło się zgubić ostrogę – ostroga ta w jednej chwili dostawała się na wzmiankowaną kupę; jeżeli baba, zagapiwszy się jakoś przy studni, zapomniiała wiadra, ściągał wiadro. Zresztą, gdy chłop zauważył go i przyłapał na gorącym uczynku, Pluszkin się nie spierał i oddawał zagrabioną rzecz; lecz gdy tylko trafiła na kupę, wtedy nie było już sposobu. Przysięgał, iż rzecz jest jego własnością, że kupił ją wtedy a wtedy, tam a tam, lub też dostał po dziadku. W pokoju swym podnosił z podłogi wszystko, co zobaczył: kawałek laku, świstek papieru, pióro – wszystko to kładł na biurku lub na oknie.

A przecież były czasy, że Pluszkin był tylko skrzętnym gospodarzem! Miał żonę, rodzinę i sąsiedzi przyjeżdżali do niego na obiad, by posłuchać go, uczyć się od niego gospodarowania i mądrego skąpstwa. Wszystko toczyło się zwawo i szło ustalonym trybem: poruszały się młyny, pracowały folusze, wytwórnice sukna, warsztaty stolarskie, przędzalnie; wszędzie wglądało baczne oko gospodarza, który niby pracowity pajak krzątał się niespokojnie, ale roztropnie po wszystkich zakątkach swej gospodarskiej pajęczyny. W rysach jego twarzy nie odzwierciedlały się zbyt silne uczucia, lecz w oczach widać było rozum; w słowach jego czuło się doświadczenie i znajomość świata i gość słuchał go z przyjemnością; uprzejma i rozmowna gospodyni służyła z gościnności; na spotkanie wychodziły dwie córki o milej powierzchowności, obie jasnowłose i świeże jak róże; wybiegał syn, dziarski chłopak, i całował się ze wszystkimi, mało zważając na to, czy gość rad był temu, czy nie. W domu otwarte były wszystkie okna; antresole były zajęte na mieszkanie dla nauczyciela Francuza, który świetnie się golił i był doskonałym strzelcem: przynosił zawsze na obiad cietrzewie lub kaczkę, a czasem same tylko jajka wróble, z których zamawiał jajecznicę dla siebie, bo nikt więcej w całym domu jej nie jadał. Na antresoli mieszkała również jego kompatriotka, wychowawczyni obu panien. Gospodarz zjawiał się do stołu w surducie, nieco znoszonym, lecz schludnym, łokcie były w porządku, nigdzie najmniejszej łatki. Ale dobra gospodyni zmarła; część kluczy, a z nimi i drobnych kłopotów przeszła na niego. Pluszkin stał się bardziej niespokojny i, jak wszyscy wdowcy, bardziej podejrzliwy i skąpy. Na starszej córce Aleksandrze Stiepanownie nie mógł polegać i miał słuszną przyczynę, bo Aleksandra Stiepanowna uciekła wkrótce ze sztabrotmistrzem Bóg wie jakiego pułku kawalerii i wzięła z nim gdzieś naprędce w wiejskiej cerkwi ślub, wiedząc, iż ojciec nie znosi oficerów z powodu dziwnego uprzedzenia, że jakoby wszyscy wojskowi to karciarze i utracjusze. Ojciec posłał jej na drogę przekleństwo, ale o ściganie jej się nie troszczył. W domu zrobiło się jeszcze bardziej pusto. U właściciela coraz wyraźniej zaczęło występować skąpstwo; siwizna bielejąca we włosach, wierna skąpstwa przyjaciółka, pomogła mu się jeszcze bardziej rozwinąć; nauczyciel Francuz został zwolniony, dlatego że synowi czas było iść na służbę państwową, *madame* została przepędzona, ponieważ okazało się, że nie była bez winy w porwaniu Aleksandry Stiepanowny. Syn wysłany do miasta gubernialnego, aby w sądach poznał, zdaniem ojca, rzetelną służbę, zamiast tego zaciągnął się do pułku i napisał do ojca już po zaciągnięciu się, prosząc o pieniądze na umundurowanie; zupełnie naturalne, że dostał to, co się pospolicie nazywa figą. Wreszcie ostatnia córka, przebywająca w domu, zmarła i starzec pozostał sam jako jedyny stróż, opiekun i władca swych bogactw. Samotne życie dało obfity pokarm skąpstwu, które, jak wiadomo, posiada wilczy apetyt i im więcej pożera, tym bardziej staje się nienasycone; ludzkie uczucia, które i tak nie były w Pluszkinie zbyt głębokie, stawały się z każdą chwilą płytsze i co dzień ubywało coś tej zużytej ruinie. Zdarzyło się, że w tym okresie syn, jak gdyby umyślnie dla potwierdzenia opinii ojca o wojskowych, zgrał się w karty; Pluszkin posłał mu z całego serca przekleństwo ojcowskie i nigdy już nie interesował się, czy syn istnieje na świecie, czy nie. Z każdym rokiem zamykały się coraz to nowe okna we dworze, wreszcie pozostały tylko dwa, z których jedno, jak już czytelnik widział, zaklejone było papierem; z każdym rokiem Pluszkin coraz bardziej tracił z oczu główne działy gospodarki i drobiazgowo jego uwaga zwracała się na papierki i piórka, które zbierał w swym pokoju; stawał się coraz bardziej niedostępny w stosunku do kupców, którzy przyjeżdżali do niego po produkty gospodarskie. Kupcy targowali się, targowali i w końcu całkiem go porzucili, rzekłszy, że to diabeł, a nie człowiek; siano i zboże gnęło, brogi i stogi zamieniały się po prostu w gnój, choćby kapustę

na nich sadzić; mąka w piwnicach zamieniła się w kamień i trzeba ją było rąbać; sukna, płótna i materiałów domowych strach było dotknąć: rozpadały się w proch. Sam już zapomniał, ile czego posiada, i pamiętał tylko, że w takim a takim miejscu szafy znajduje się karafeczka z resztką jakiejś nalewki, na której sam zrobił znaczek, żeby nikt w złodziejski sposób nie mógł jej wypić, oraz gdzie leżało jakieś piórko lub pieczętka. A tymczasem w gospodarstwie dochód zbierany był jak dawniej: tyleż daniny musiał przynosić chłop, taką samą ilość orzechów obowiązana była dostarczyć każda baba, tyleż postawów sukna musiała utkać każda tkaczka – wszystko to zwalano do składów i wszystko to stawało się zgnilizną i łachmanem; i sam Pluszkin stał się wreszcie łachmanem człowieka. Aleksandra Stiepanowna przyjeżdżała dwa razy z małym synkiem, próbując coś wydostać; widocznie obozowe życie ze sztabrotmistrzem nie było tak pociągające, jak się wydawało przed ślubem. Pluszkin koniec końców przebaczył jej i dał nawet malutkiemu wnuczkowi do zabawy jakiś guzik leżący na stole, ale pieniędzy nie dał. Innym razem Aleksandra Stiepanowna przyjechała z dwoma malcami i przywiozła placek do herbaty i nowy szlafrok, bo ojczulek miał taki szlafrok, że nie tylko nieprzyjemnie było patrzeć, ale nawet wstyd. Pluszkin popieścił wnuków i posadziwszy jednego na prawym, drugiego na lewym kolanie, pohuśtał ich zupełnie tak samo, jakby jechali na koniu, placek i szlafrok przyjął, lecz córce absolutnie nic nie dał; z tym też Aleksandra Stiepanowna odjechała.

A więc taki oto obywatel ziemski stał przed Cziczikowem. Trzeba powiedzieć, że podobne zjawisko rzadko się trafia w Rosji, gdzie wszystko skłonne jest raczej rozszerzać się niż kurczyć, i bywa ono. ty m bardziej rażące, gdy tuż w sąsiedztwie nawinie się obywatel hulający ile wlezie, z całego rosyjskiego junactwa i wielkopaństwa, przepalający, jak się to mówi, życie na wylot. Nieświadomy przejezdny w zdumieniu zatrzyma się na widok jego siedziby, zastanawiając się, co to za księżę udzielnny znalazł się niespodziewanie pośród małych, ciemnych dziedziców: jego białe murowane domy wyglądają jak pałace z niezliczonym mnóstwem kominów, belwederów, chorągiewek, otoczone czeredą oficyn i różnych pomieszczeń dla przyjezdnych gości. Czego tam nie ma u niego! Teatry, bale; przez całą noc jaśnieje ozdobiony światłami, kagańcami, rozbrzmiewający odgłosem muzyki ogród. Połowa guberni strojnie i wesoło spaceruje pod drzewami i nikt nie widzi nic dzikiego, groźnego w tym gwałtownym oświetleniu, gdy z gęstwiny drzew teatralnie wyskakuje rozjaśniona sztucznym światłem gałąź pozbawiona swej jaskrawej zieloności, a w górze, ciemniejsze i surowsze, dwadzieścia razy groźniejsze wydaje się nocne niebo; surowe wierzchołki drzew szumiąc liśćmi daleko w górze, tonąc głęboko w nieprzeniknionym mroku, oburzają się na ten fałszywy blask oświetlający na dole ich korzenie.

Pluszkin stał już od kilku chwil nie mówiąc ani słowa, a Cziczikow ciągle jeszcze nie mógł zacząć rozmowy wytrącony z równowagi wyglądem zarówno gospodarza, jak tego wszystkiego, co znajdowało się w jego pokoju. Długo nie przychodziło mu do głowy, jakimi by słowami wyjaśnić przyczynę swych odwiedzin. Chciał już wyrazić się w ten sposób, że zasłyszawszy o jego cnocie i rzadkich zaletach duszy uznał za swój obowiązek osobiście złożyć mu swe uszanowanie, lecz połapał się czując, że tego byłoby nadto. Rzuciwszy z ukosa spojrzenie na wszystko, co znajdowało się w pokoju, poczuł, iż słowo: cnota i rzadkie zalety duszy z powodzeniem można zastąpić słowami: oszczędność i porządek. Dlatego też, przeinaczywszy w ten sposób swe postanowienie, rzekł, że nasłuchawszy się o oszczędności Pluszkina i jego rzadkiej umiejętności zarządzania majątkami, uznał za swój obowiązek poznać go i osobiście złożyć mu swe uszanowanie. Można by, naturalnie, podać inny, lepszy powód, lecz nic innego nie przyszło mu do głowy.

Na to Pluszkin zamamrotał coś nie przez zęby, bo zębów nie miał, co mianowicie, nie wiadomo, lecz prawdopodobnie sens był taki: „A niech cię diabli wezmą z twoim uszanowaniem!” Ponieważ jednak gościnność tak bardzo jest u nas w modzie, że nawet kutwa nie potrafi wykroczyć przeciwko jej prawom, Pluszkin dodał zaraz nieco wyraźniej: – Uprzejmie proszę siadać! Od dawna nie widziałem gości, ale trzeba przyznać, mały z nich widzę pożytek. Wprowadzono arcynieprzyzwoity zwyczaj jeżdżenia jeden do drugiego, a w gospodarstwie upadek... a tu trzeba

jeszcze ich koniom dać siana! Jestem już dawno po obiedzie, w dodatku kuchnię mam taką obrzydliwą, a komin całkiem się rozwalił; zacznie się rozpalać, jeszcze się pożaru narobi.

„Aha, to tak! – pomyślał sobie Cziczikow – dobrze jednak, że u Sobakiewicza machnął racucha i kawał boku baraniego.”

– I taka głupia historia, że siana ani na lekarstwo w całym gospodarstwie! – ciągnął Pluszkin. – I doprawdy, skądby je brać? Ziemi niewiele, chłop leniwy, nie lubi pracować, myśli tylko, jakby do karczmy... tylko patrzeć, a pójdzie się na starość z torbami.

– Mówiono mi jednakże – zauważył dyskretnie Cziczikow – że pan ma przeszło tysiąc dusz.

– A kto to mówił? Trzeba było pluć w oczy temu, kto to mówił. To jakiś kpiarz, chciał z pana widocznie zażartować. Bajają oto, że mam tysiąc dusz, a spróbuj przeliczyć, nic nie naliczysz! W ciągu ostatnich trzech lat przekłeta gorączka wymorzyła mi niemało chłopstwa.

– Co pan mówi! I wielu wymorzyła? – zawołał ze współczuciem Cziczikow.

– O tak, wielu wynieśli.

– Pozwoli pan zapytać, ilu?

– Osiemdziesiąt dusz.

– Chyba nie?

– Nie będę przecie kłamał, mój panie.

– Pozwoli pan jeszcze zapytać, wszak dusze te, jak przypuszczam, liczy pan od czasu podania ostatniej rewizji?

– Dałby Bóg – rzekł Pluszkin – ale od tego czasu zbiera się ze sto dwadzieścia sztuk.

– Doprawdy? Całe sto dwadzieścia? – zawołał Cziczikow i aż trochę otworzył usta ze zdziwienia.

– Za stary jestem, żeby kłamać, idzie mi już siódmy krzyżyk! – rzekł Pluszkin. Widocznie obraził się tym radosnym prawie okrzykiem. Cziczikow spostrzegł, że podobna obojętność dla cudzego zmartwienia naprawdę jest nieprzyzwoita, dlatego też westchnął zaraz i rzekł, że mu żywo współczuje.

– Ba, współczucia się do kieszeni nie włoży – rzekł Pluszkin. – Mieszka oto blisko mnie kapitan, diabli wiedzą, skąd się wziął, powiada, że kuzyn. „Wujaszku, wujaszku” – mówi i całuje w rękę, a gdy zacznie wyrażać swoje współczucie, to ryku takiego narobi, że uszy trzeba zatykać. Cały czerwony na twarzy, okowitą widocznie rozpił się na śmierć. Puścił pewno pieniądze będąc oficerem lub też wycygała ją aktorka z teatru, więc teraz współczuje!

Cziczikow pośpieszył z wyjaśnieniem, iż współczucie jego jest innego rodzaju niż kapitana i że gotów jest dowieść tego nie pustymi słowami, lecz czynem, i bez ogródek, nie odkładając sprawy, wyraził zaraz gotowość przyjęcia na siebie obowiązku płacenia podatków za wszystkich chłopów zmarłych wskutek tak nieszczęśliwych wydarzeń. Propozycja ta, zdaje się, zdumiała ogromnie Pluszkiną. Wytrzeszczył oczy patrząc długo na Cziczikowa i wreszcie zapytał:

– Czy pan aby nie służył w wojsku?

– Nie – odrzekł Cziczikow dość chytrze – służyłem w urzędzie.

– W urzędzie – powtórzył Pluszkin i jął żuć wargami, jak gdyby coś jadł. – Ale jakże to, przecież to dla pana strata?

– Aby zadowolić pana, jestem gotów nawet na stratę.

– Ach, ojcie! Dobrodzieju mój! – zawołał Pluszkin, nie zauważywszy z uciechy, że z nosa wyjrzała mu tabaka wcale nie malowniczo, niby gęsta kawa, a otwarte poły szlafroka ukazywały odzież nie bardzo odpowiednią do oglądania. – Sprawił pan radość starcowi! Ach, Boże ty mój! Ach, moi patronowie święci... – Dalej Pluszkin nie mógł nawet mówić. Lecz nie minęła nawet minuta, a radość, jak momentalnie pojawiła się na jego drewnianej twarzy, tak samo momentalnie znikła i twarz przybrana zwykły swój zatroskany wyraz. Otarł się nawet chustką i zwinawszy ją w kłębek zaczął nią wodzić po górnej wardze.

– Jakże to, za pozwoleniem pańskim, aby pana nie rozgniewać, pan podejmuje się płacić za nich co rok podatki? A pieniądze mnie pan będzie dawać czy też skarbowi?

– My to tak urządzimy: spiszymy na nich kontrakt kupna, jak gdyby oni byli żywi i pan mi ich sprzedał.

– A, kontrakt kupna... – rzekł Pluszkin, zamyślił się i znowu zaczął żuć wargami. – Przecie taki kontrakt to jednak wydatek. Kanceliści są tacy bez sumienia! Dawniej można to było załatwić półrublem miedzią i workiem mąki, a teraz posyłaj całą podwodę kaszy i jeszcze czerwony papierek musisz dodać – taka to chciwość grosza! Nie rozumiem, dlaczego duchowieństwo nie zwróci na to uwagi, przemówiłby który do serca zbawczym słowem. Przecie słowem bożym można skruszyć nie wiem kogo, przecie, co tu gadać, słowu bożemu nikt się nie oprze.

„No, sądzę, że ty byś się oparł” – pomyślał Cziczikow i powiedział zaraz, że z szacunku dla niego gotów jest przyjąć nawet koszty transakcji na swój rachunek.

Usłyszawszy, że nawet koszty transakcji Cziczikow bierze na siebie, Pluszkin doszedł do wniosku, że gość musi być bardzo głupi i tylko udaje, że był na służbie cywilnej, a na pewno był oficerem i latał za aktorkami. Przy tym wszystkim nie mógł jednak ukryć swego rozradowania i życzył wszelkiej pomyślności: nie tylko jemu, lecz i jego dzieciom, nie zapytał, czy je ma, czy też nie. Podszedłszy do okna Pluszkin zapukał palcami w szybę i krzyknął: – Hej, Proszka! – Po chwili słyhać było, że ktoś wbiegł zadyszany do sieni, długo krzątał się tam i stukał butami, wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Proszka, chłopiec trzynastoletni, lecz w takich ogromnych butach, iż stąpając omal nie powyciągał z nich nóg. Dlaczego Proszka miał takie wielkie buty, można się zaraz dowiedzieć: u Pluszkinia dla całej służby dworskiej, ile jej było w domu, była przeznaczona jedna para butów, która stale znajdowała się w sieni. Każdy przywołany na pańskie pokoje pędził zwykle przez całe podwórze na bosaka, lecz wchodząc do sieni wkładał buty i dopiero wtedy wchodził do pokoju. Wychodząc z pokoju znowu zostawiał buty w sieni i szedł dalej na własnych podszewkach. Gdyby kto wyjrzał z okna jesienią, zwłaszcza gdy rankami zaczynają się małe przymrozki, toby zobaczył, jak cała służba dworska wykonywała takie susy, że nie wiadomo, czy potrafiłyby je wykonać w teatrze najbardziej dziarski tancerz.

– Niech no pan popatrzy, co za gęba! – rzekł Pluszkin do Cziczikowa, wskazując palcem na twarz Proszki. – Głupi jak stołowe nogi, a spróbuj pan coś położyć, zaraz ukradnie! No, powiedz, głupsze, po coś przyszedł? Powiedz, po co? – Tu zamilkł na chwilę, na co Proszka odpowiedział również milczeniem. – Nastaw samowar, słyszysz? Masz, weź klucz, oddaj Mawrze, żeby poszła do piwnicy. Tam na półce jest suchar z placka, który przywiozła Aleksandra Stiepanowna, niech go podadzą do herbaty!... Stójże, dokąd to? Cymbale! Ech, ty cymbale!... Diabeł ci wlał w nogi czy co? Pierwej wysłuchaj: myślę, że suchar popsuł się trochę z wierzchu, to niech oskrobie go nożem, a okrusów niech nie wyrzuca, ale zanieś do kurnika. A uważaj, bracie, ty nie wchodź mi czasem do piwnicy, inaczej to ja cię, wiesz, miotełką brzoźową dla smaku! Wiem, jaki masz doskonały apetyt, więc żeby był jeszcze lepszy! Spróbuj no wejść do piwnicy, a tymczasem ja będę z okna patrzył. Nie można im w niczym zawierzyć – ciągnął zwracając się do Cziczikowa, kiedy Proszka wyniósł się już razem ze swymi butami. Po czym zaczął patrzeć podejrzliwie również i na Cziczikowa. Podobnie niezwykła wspaniałomyślność zaczęła mu się wydawać nieprawdopodobna i pomyślał sobie: „Przecież, diabli go wiedzą, może to po prostu fanfaron jak te wszystkie łotrzyki; nałże, nałże, byle się wygadać, napić herbaty, a potem sobie pojedzie!” Więc też dla ostrożności i chcąc go trochę wybadać, powiedział, że nieźle by było zrobić kontrakt jak najprędzej, dlatego że człowiek niepewny jest dnia ani godziny: dziś żyje, a jutro – Bóg raczy wiedzieć.

Cziczikow wyraził gotowość dokonania tego w tej chwili, zażądał tylko wykazu wszystkich chłopów.

To uspokoiło Pluszkinia. Widać było, że namyślał się, by coś zrobić, i rzeczywiście, wzięwszy klucze zbliżył się do szafy i otworzywszy drzwiczki, długo grzebał się pomiędzy szklankami i filiżankami, wreszcie rzekł: – Nie mogę znaleźć, a miałem doskonały likierek, jeżeli tylko nie wypili! Wszystko tacy złodzieje! A, czy to nie on czasem? – Cziczikow ujrzał w jego ręce karafeczkę, całą w kurzu, niby w kaftaniku. – Jeszcze nieboszczka robiła – ciągnął Pluszkin –

złodziejka klucznica zapchała go gdzieś i nawet nie zakorkowała, kanalia. Nalazło tam szczypawek i różnego świństwa, ale ja wszystkie śmieci wyrzuciłem i jest czyściutki, naleję panu kieliszek.

Lecz Cziczikow postarał się wymówić od takiego likieru, powiedział więc, że już pil i jadł.

– Pił pan już i jadł! – rzekł Pluszkin. – Tak, naturalnie, człowieka z dobrego towarzystwa zaraz można poznać: nie je, a jest najedzony; a jakiś taki złodziejaszek, zaraz go karmić... Przyjeżdża taki kapitan: „Wujaszku, powiada, daj mi co zjeść!” A ja dla niego jestem taki sam wujaszek, jak on dla mnie dziadek. U siebie w domu pewno nie ma co jeść, to się wałęsa! Prawda, panu potrzebny jest wykazik tych wszystkich trutniów! Jakże! Pamiętam, że ich wszystkich spisał na osobnym papierku, aby przy pierwszym podaniu, rewizji dać ich do skreślenia.

Pluszkin nałożył okulary i zaczął grzebać w papierach. Rozwiązując przeróżne zwitki poczęstował gościa taką masą kurzu, że ten kichnął. Wreszcie wyciągnął całkowicie zapisany papierek. Chłopskie nazwiska oblepiły go gęsto jak mszyce. Byli tam różni: i Paramonow, i Pimienow, i Pantalejmonow, wyjrzał nawet jakiś Grzegorz Dojeżdżaj-nie-dojedziesz; wszystkich było przeszło stu dwudziestu. Cziczikow uśmiechnął się na widok takiej ilości. Schowawszy kartkę do kieszeni, zwrócił uwagę Pluszkinowi, że trzeba będzie w celu sporządzenia aktu kupna jechać do miasta.

– Do miasta? Jakże to?... A dom jak zostawić? Przecież moi ludzie to albo złodzieje, albo gałgany. W biały dzień tak okradną, że kaftana nie będzie na czym powiesić.

– Czy pan tam nie ma kogo znajomego?

– A kogo? Wszyscy moi znajomi albo pomarli, albo przestali się ze mną znać. Ach, co ja mówię! Jak to nie mam? mam! – zawołał. – Przecież sam prezes jest moim znajomym, przyjeżdżał do mnie dawnymi laty. Jakżebym mógł go nie znać! Byliśmy na jednej stacji, razem po płotach łaziliśmy! Znajomy! Jeszcze jaki znajomy! Czyby tak nie napisać do niego?

– A naturalnie, że do niego!

– Jakże, taki znajomy! W szkole byliśmy przyjaciółmi. I po tej twarzy drewnianej nagle prześliznął się jakiś ciepły promień, wyraziło się nie uczucie, lecz jakieś blade odbicie uczucia, zjawisko podobne do nieoczekiwanego ukazania się tonącego na powierzchni wody, co powoduje radosny okrzyk w tłumie, który obstał brzeg. Lecz na próżno uradowani bracia i siostry rzucają z brzegu linę i czekają, czy nie ukażą się znowu plecy lub zmęczone walką ręce – tonący wypłynął po raz ostatni. Wszędzie głucho i jeszcze okropniejsza i bardziej pusta staje się potem uspokojona powierzchnia milczącego żywiołu. Podobnie twarz Pluszkina w chwilę po tym, jak przelotnie przemknęło po niej uczucie, stała się jeszcze bardziej nieczuła i odrażająca.

– Leżała tu na stole ćwiartka czystego papieru – powiedział – ale nie wiem, gdzie się zapodziała. Moi ludzie to takie łajdaki! – Tu jął zaglądać pod stół i do szuflad, szukał wszędzie, aż wreszcie krzyknął: – Mawra, Mawra! – Na wezwanie zjawiała się kobieta z talerzem w ręku, na którym leżał znany już czytelnikowi suchar. Przyszło między nimi do następującej rozmowy:

– Gdzieś podziała papier, łajdaczko?

– Jak Boga kocham, proszę wielmożnego pana, nic nie widziałam, tylko ten mały kawałek, którym wielmożny pan raczył przykryć kieliszek.

– A ja po twoich oczach widzę, żeś zwędziła.

– A na co bym miała zwędzić? Przecie żadnego pożytku z niego nie mam, nie umiem pisać.

– Łzesz, zaniósłaś pałamarzowi, on tam liznął trochę nauki, toś mu zaniósła.

– A toć pałamarz, jak zechce, to dostanie sobie papieru. Potrzebny mu tam pański papierek!

– Poczekaj no, na sądzie ostatecznym diabli przypieką cię za to żelaznymi widłami! Zobaczysz, jak cię przypieką!

– A za co będą przypiekać, kiedym nie brała do ręki pańskiej ćwiartki. Prędzej już inną jakąś babską słabość, ale złodziejstwa to mi nikt jeszcze nie wymawiał.

– A przypieką cię diabli! Powiedzą: „Masz, łajdaczko, za to, żeś pana oszukiwała” – i gorącymi widłami przypieką!

– A ja powiem: „Nie ma za co! Jak Boga kocham, nie ma za co, nie brałam...” O, leży tam na stole, zawsze wielmożny pan po próznicy gada!

Pluszkin rzeczywiście ujrzał ćwiartkę, zastanowił się chwilę, pożuł wargami i rzekł:

– No, cóż tak gębę rozpuściła? Patrzenie ją, jaka obraźliwa. Powiedz jej słowo, a ona odpowie dziesięć. Idź no, przynieś ognia, trzeba zapieczętować list. Czekać no! Złapiesz świeczkę łożową; łój to rzecz, która się łatwo topi, spali się – i nie ma go, tylko strata, przynieś mi lepiej łuczywo!

Mawra odeszła, a Pluszkin, siadłszy na fotelu i wzięwszy pióro do ręki, długo jeszcze obracał ćwiartkę na wszystkie strony, rozmyślając, czyby nie można było oddzielić od niej ósemki, wreszcie upewniwszy się, że to niemożliwe, umoczył pióro w kałamarzu z jakimś zapleśniałym płynem i mnóstwem much na dnie i zaczął pisać stawiając litery podobne do nut muzycznych, co chwila powstrzymując drżączkę ręki, która skakała po całym papierze, lepiąc skąpo wiersz do wiersza i nie bez żalu myśląc o tym, że zostanie jeszcze dużo białego miejsca.

I do takiej nędzy, małostkowości, takiego plugastwa mógł stoczyć się człowiek! Mógł się tak zmienić! Czy to prawdopodobne? Wszystko jest prawdopodobne, wszystko może się stać z człowiekiem. Teraźniejszy ognisty młodzieniec odskoczyłby z przerażeniem, gdyby mu pokazano jego portret, kiedy będzie stary. Zabierajcie więc ze sobą na drogę, wychodząc z łagodnych lat młodości w surowy, okrutny wiek męski, zabierajcie ze sobą wszystkie ludzkie drgania, nie zgubcie ich po drodze, już ich później nie odnajdziecie. Groźna i straszna jest nadchodząca starość i nic już wam nie zwróci. Mogiła bywa od niej litościwsza, na mogile napiszą: tu pochowano człowieka, ale nic nie odczytasz w chłodnych, nieczułych rysach nieludzkiej starości.

– A czy pan nie ma jakiegoś przyjaciela – powiedział Pluszkin – któremu by się przydały zbiegłe dusze?

– To pan ma i zbiegłe? – zapytał szybko Cziczikow, ocknąwszy się.

– W tym właśnie rzecz, że mam. Zięć wywiadywał się. Powiada, że ślad po nich zaginał, ale to przecież wojskowy, majster od brzdąkania ostrogami, a gdyby tak pochodzić po sądach...

– A ile ich będzie?

– Zbierze się koło siedemdziesięciu.

– Doprawdy?

– Jak Boga kocham, tyłu! Przecie ode mnie co rok uciekają. Strasznie żarłoczni ludzie, z próżniactwa nabrali zwyczaju, obżerania się, a ja sam nie mam co jeść... Cokolwiek by mi zapłacono, to wziąłbym za nich. Niech pan poradzi swemu przyjacielowi, przecie gdyby tylko z dziesięciu się odnalazło, to już kawał grosza. Przecie dusza rewizyjna kosztuje pięćset rubli.

„Nie, tego nawet powąchać przyjacielowi nie pozwolimy” – rzekł do siebie Cziczikow i zaraz wyjaśnił, że takiego przyjaciela się nie znajdzie, że same koszty w związku z tą sprawą będą wynosiły więcej; kto się bowiem prawuje, ręki z kieszeni nie wyjmuje, ale jeżeli Pluszkin rzeczywiście jest tak przyciśnięty do muru, to on, Cziczikow, powodowany współczuciem, gotów jest dać... ale to taka drobnostka, że o niej nie warto mówić.

– A ile by pan dał? – zapytał Pluszkin i cały aż się zatrząsł; ręce mu zadrżały jak żywe srebro.

– Dałbym po dwadzieścia pięć kopiejek za duszę.

– A jak pan kupuje, za gotówkę?

– Tak, pieniądze natychmiast.

– Tylko zlituj się pan nad moją nędzą i daj pan po czterdzieści kopiejek.

– Łaskawco – rzekł Cziczikow – zapłaciłbym nie tylko po czterdzieści kopiejek, ale i po pięćset rubli. Z przyjemnością bym zapłacił, dlatego że sam widzę – szanowny, zacny starzec cierpi przez własną poczciwość.

– Tak, jak Boga kocham, tak, to prawda – rzekł Pluszkin pochyliwszy głowę i pokiwawszy nią ze skrucą – to wszystko przez poczciwość.

– Widzi pan, od razu zrozumiałem pański charakter. A więc dlaczego bym nie miał zapłacić po pięćset rubli, ale... nie jestem w stanie; pięć kopiejek, proszę bardzo, mogę dodać, aby każda dusza wyniosła w ten sposób po trzydzieści kopiejek.

– No, jak pan sobie chce, ale niech pan doda choć po dwie kopiejki.

– Dwie kopiejki dodam, proszę bardzo. Ile ich pan tam ma? Mówi pan, zdaje się, siedemdziesiąt?

– Nie, wszystkich razem będzie siedemdziesiąt osiem.

– Siedemdziesiąt osiem, siedemdziesiąt osiem, po trzydzieści kopiejek za duszę, to będzie... – tu nasz bohater namyślał się jedną sekundę, nie dłużej, i rzekł nagle: – ...to będzie dwadzieścia cztery ruble dziewięćdziesiąt sześć kopiejek! – Był mocny w arytmetyce. Natychmiast zmusił Pluszkina do napisania pokwitowania i wypłacił mu pieniądze, które ten wziął w obie ręce i zaniósł do biurka z taką ostrożnością, jak gdyby niósł jakiś płyn i obawiał się, że lada chwila może go rozlać. Podszedłszy do biurka obejrzał raz jeszcze pieniądze i włożył je również nadzwyczaj ostrożnie do szkatułki, gdzie prawdopodobnie sądzone im było zostać pogrzebanymi aż do chwili, kiedy ojciec Karp i ojciec Polikarp, dwaj duchowni jego wsi, pogrzebią jego samego ku nieopisanej radości zięcia i córki, a być może i kapitana, który podawał się za jego krewnego. Schowawszy pieniądze Pluszkin siadł na fotelu i już, zdaje się, nie mógł znaleźć tematu do rozmowy.

– Co to, pan już chce odjechać? – zapytał zauważywszy lekki ruch, który Cziczikow zrobił, aby wyciągnąć z kieszeni chusteczkę do nosa.

Pytanie to przypomniało mu, że istotnie nie było celu dłużej marudzić.

– Tak, czas na mnie! – rzekł biorąc kapelusz.

– A herbatka?

– Nie, herbatki napiję się chyba kiedy indziej.

– Jak to? Kazałem nastawić samowar. Przyznam się otwarcie, że nie jestem amatorem herbaty; napój drogi, a i cena cukru podniosła się niemiłosiernie. Proszka! nie trzeba samowara! Suchar odnieś Mawrze, słyszysz? Niech go położy na to samo miejsce albo nie, daj go tutaj, już ja sam zaniosę. Żegnam, niech pana Bóg błogosławi! A list niech pan odda prezesowi. Tak! Niech przeczyta, to mój stary znajomy. Jakże! Razem się wychowaliśmy!

Następnie dziwaczne to zjawisko, ten skurczony starzec odprowadził go, po czym natychmiast kazał zamknąć wrota; później obszedł piwnice i składy, aby sprawdzić, czy są na miejscu stróże, którzy stali na wszystkich rogach, waląc drewnianymi łopatkami w puste beczułki zamiast w żelazną blachę; potem zajrzał do kuchni, gdzie pod pozorem spróbowania, czy ludzie dobrze jedzą, najadł się porządnie kapuśniaku i kaszy i zwymyślawszy wszystkich aż do ostatniego za złodziejstwo i złe prowadzenie się, powrócił do swego pokoju. Pozostawszy sam, pomyślał nawet o tym, jakby się odwdzińczyć Cziczikowowi za taką naprawdę bezprzykładną wspaniałomyślność. „Podaruję mu – pomyślał sobie – zegarek kieszonkowy; to jest przecie dobry, srebrny zegarek, a nie żaden tombakowy albo z brązu; trochę zepsuty, ale on go sobie naprawi; to człowiek jeszcze młody, potrzebny mu zegarek kieszonkowy, żeby się spodobać narzeczonej. Albo nie – dodał po pewnym namyśle – zapiszę mu go lepiej w testamencie, żeby o mnie pamiętał po mojej śmierci.”

Lecz nasz bohater nawet bez zegarka był w jak najlepszym usposobieniu. Taki nieoczekiwany nabytek był prawdziwym podarunkiem. W samej rzeczy, co tu gadać, nie tylko martwe dusze, ale i zbiegłe, i razem przeszło dwustu ludzi! Naturalnie, podjeżdżając do wsi Pluszkina przeczuwał już, że będzie jaka taka zdobycz, ale takiego zysku się nie spodziewał. Przez całą drogę był niezwykle wesół, pogwizdywał, grał wargami, przyłożywszy pięść do ust, jak gdyby grał na trąbce, i wreszcie zaczął jakąś pieśń do tego stopnia niezwykłą, że sam Selifan słuchał, słuchał, a potem, pokiwawszy z lekka głową rzekł: – Patrzcie no, jak to pan śpiewa! – Gdy podjeżdżali do miasta, panował już gęsty zmrok. Światła i cienie pomieszały się i wyglądało to, jakby przedmioty pomieszały się również. Pstry szlaban nabrał jakiegoś nieokreślonego koloru; zdawało się, że wąsy stojącego na warcie żołnierza są umieszczone na czole, o wiele wyżej niż oczy, a nosa jakby całkiem nie było. Turkot i wstrząsy pozwoliły zauważyć, że bryczka wjechała na bruk. Latarni jeszcze nie zapalono, tylko gdzieś zaczęły się ukazywać światła w oknach, a w zaułkach i w zakamarkach odbywały się sceny i rozmowy, nieodłączne od tej pory dnia we wszystkich miastach, gdzie znajduje się dużo żołnierzy, woźniców, robotników i stworzeń specjalnego gatunku, o wyglądzie

dam, w czerwonych szalach i trzewiakach bez pończoch, które niby nietoperze przemykają się na skrzyżowaniach ulic. Cziczikow nie dostrzegał ich, nie dostrzegał nawet wielu szczuplutkich urzędników z laseczkami, którzy prawdopodobnie wracali do domów ze spaceru za miastem. Z rzadka dochodziły do jego uszu jakieś, zdaje się, kobiece okrzyki: „Kłamiesz, pijaku, nigdy nie pozwalalam mu na takie grubiaństwo!” albo: „Nie bij się, andrusie, ale chodź do cyrkułu tam ci dowiodę...” – Słowem, takie wyrazy, które nagle, jak wrzątkiem, oblewają jakiegoś rozmarzonego dwudziestoletniego młodziana, gdy ten powracając z teatru ma w głowie hiszpańską ulicę, noc, cudną postać kobiecą w puklach i z gitarą. Czego tam nie ma w jego głowie i o czym nie marzy! Jest w siódmym niebie, zajechał w gościnę do Schillera – i nagle rozlegają się nad nim, niby grom, fatalne słowa i widzi, że znowu znalazł się na ziemi, a nawet na placu Siennym, a nawet w pobliżu szynku, i znowu roztacza przed nim wszystkie swe powaby życia codzienne.

Wreszcie bryczka, po dokonaniu porządnego skoku, wpadła, niby do jamy, we wrota hotelu i Cziczikow został przyjęty przez Pietrka, który jedną ręką przytrzymał poły swego surduta, ponieważ nie lubił, by się rozchodziły, a drugą zaczął pomagać panu przy wysiadaniu z bryczki. Wybiegł również numerowy ze świecą w rękę i serwetą na ramieniu. Czy Pietrek ucieszył się z przyjazdu pana, nie wiadomo, w każdym razie mrugnęli na siebie z Selifanem i jego surowa zazwyczaj powierzchowność tym razem jak gdyby rozjaśniła się nieco.

– Długo raczył pan podróżować – rzekł numerowy oświetlając schody.

– Tak – rzekł Cziczikow wszedłszy na schody. – No, a co u ciebie słychać?

– Chwalić Boga – rzekł numerowy z ukłonem. – Wczoraj przyjechał jakiś wojskowy, porucznik, zajął szesnasty numer.

– Porucznik?

– Nie wiadomo kto, z Riazania, konie gniade.

– Dobrze, dobrze, sprawuj się dobrze i nadal! – rzekł Cziczikow i wszedł do swego pokoju.

Przechodząc przez przedpokój, pokręcił nosem i rzekł do Pietrka:

– Mógłbyś przynajmniej okna otworzyć!

– A tociem je otwierał! – rzekł Pietrek i skłamał. Zresztą pan też wiedział, że skłamał, ale nie chciał się sprzeczać. Czuł silne zmęczenie po odbytej podróży. Zażądał kolacji jak najłżejszej, złożonej tylko z prosięcia, rozebrał się natychmiast i dostawszy się pod kołdrę, zasnął mocno, twardo, zasnął w cudowny sposób, w jaki śpią tylko ci szczęśliwcy, co nie znają ani hemoroidów, ani pluskiew, ani też zbyt silnych skłonności umysłowych.

ROZDZIAŁ VII

Szczęśliwy podróżny, który po długiej, nudnej podróży, z jej zimnem, słą, błotem, niewyspanymi nadzorcami stacyjnymi, brzęczeniem dzwoneczków, reperacjami, kłótniami, woźnicami, kowalami i wszelkiego rodzaju hultajstwem podróżnym, ujrzy nareszcie znajomy dach z pędzącymi naprzeciw światełkami i ukażą mu się znane pokoje, usłyszcy radosny okrzyk ludzi wybiegających na spotkanie, hałas i bieganinę dzieci oraz uspokajające, ciche słowa, przerywane palącymi pocałunkami, mogącymi usunąć z pamięci wszystko, co smutne. Szczęśliwy człowiek, który ma rodzinę i taki ką, lecz biada kawalerowi!

Szczęśliwy pisarz, który pomijając charaktery nudne, wstrętne, rażące swą smutną rzeczywistością, zbliża się do charakterów wykazujących wysoką godność człowieka; który z wielkiego odmetu obrazów wirujących przed nim codziennie, wybrał tylko nieliczne wyjątki, który nie sprzeniewierzył się ani razu podniosłemu tonowi swej liry, nie zniżył się ze swych wyżyn do biednych, nędznych swych współbraci, i nie dotykając ziemi, cały zatapiał się w swych daleko od niej oderwanych i wspaniałych obrazach. Jego szczęśliwy los podwójnie godzien jest zazdrości: przebywa on pośród nich jak pośród własnej rodziny; a równocześnie sława jego rozbrzmiewa daleko i potężnie. Upajającym kadzidłem zaćmił oczy ludzkie; pochlebił im cudownie, ukrywając to, co w życiu jest smutne, i ukazując im człowieka pięknego. Wszyscy klaszcząc w ręce biegną za nim, mkną za jego tryumfalnym rydwanem. Nazywają go wielkim światowym poetą, szybującym wysoko ponad innymi geniuszami świata, jak orzeł szybuje ponad innym wysokolotnym ptactwem. Na sam dźwięk jego nazwiska drzenie ogarnia młode zapalne serca; łyzy przez niego wywołane błyszczą we wszystkich oczach... Nie ma nikogo równej mu siły – on jest Bogiem! Ale nie taka jest dola i inny bywa los pisarza, który ośmielił się wydobyć na wierzch wszystko to, co ustawicznie ma się przed oczami, a czego nie dostrzegają oczy obojętne – całe okropne, wstrząsające trzęsawisko drobiazgów oplatających nasze życie, całą otchłań zimnych, małostkowych, powszednich charakterów, od których roi się nasza ziemską, niekiedy tak gorzka i nudna droga – i który ośmielił się potęgą swego nieubłaganego dłuta ukazać je wszystkim plastycznie i jaskrawo! Nie zbierze on okłasków narodu, nie ujrzy łez uznania i jednomyślnego zachwyty wstrząśniętych przezeń dusz; nie wybiegnie mu na spotkanie szesnastoletnia dziewczyna z zawróconą głową i w bohaterskim uniesieniu; nie utonie on w słodkim upojeniu dźwięków przezeń wydobytych; nie uniknie wreszcie sądu współczesnych, obłudnie nieczułego sądu współczesnych, który wypiastrwane przezeń dzieła nazwie nikczemnymi i płaskimi i wyznaczy mu wzgardzony ką w szeregu pisarzy znieważających ludzkość, nada mu cechy wyobrażonych przezeń bohaterów, odbierze mu i serce, i duszę i boski ogień talentu. Albowiem sąd współczesnych nie przyzna, że równie cudowne są szkła odbijające słońce, jak i oddające ruchy niedostrzegalnych owadów; albowiem sąd współczesnych nie przyzna, że trzeba wielkiej głębi duchowej, aby rozjaśnić obraz wzięty ze wzgardzonego życia i wnieść go jako perłę stworzenia; albowiem sąd współczesnych nie przyzna, że wzniosły, natchniony śmiech godzien jest stanąć na równi obok wzniesłego lirycznego wzruszenia i że cała przepaść dzieli go od grymasów jarmarcznego błazna! Nie uzna tego sąd współczesnych i obróci wszystko na naganę i hańbę nieznanego pisarza; jak samotny podróżnik pozostanie on na środku drogi, bez uznania, bez zrozumienia, bez współczucia. Srogi jest jego los i gorzko odczuje on swe osamotnienie.

Długo jeszcze nakazała mi cudowna potęga iść pod rękę z mymi dziwnymi bohaterami, oglądać cały rozpedzony ogrom przepływającego życia, oglądać je poprzez widoczny dla świata śmiech i poprzez niewidoczne, ukryte przed nim łzy! Daleki jeszcze ten czas, gdy natchnienie tryśnie z innego źródła, unosząc się jak groźna burza z obleczonego w święte przerażenie i blask rozdziału, i ludzie zdjęci trwożnym drżeniem usłyszą wspaniały grzmot innych słów...

W drogę! w drogę! Precz z nabiegającą na czoło zmarszczką i surową posepnością twarzy! Od razu i nagle zanurzmy się w życiu z całym jego bezdźwięcznym zgielkiem i dzwoneczkami i popatrzmy, co robi Cziczikow.

Cziczikow zbudził się, wyprostował ręce i nogi i poczuł, że wyspał się dobrze. Poleżawszy na wznak ze dwie minuty, pstryknął palcami i przypomniał sobie z twarzą rozjaśnioną, że ma obecnie bez mała czterysta dusz. Zaraz też zerwał się z łóżka i nie popatrzywszy nawet na swe oblicze, które kochał szczerze i w którym, jak się zdaje, znajdował, iż podbródek jest najponętniejszy, ponieważ bardzo często chwalił się nim przed którymkolwiek z przyjaciół, zwłaszcza podczas golenia. „Popatrz no – mawiał zwykle, gładząc go dłonią – jaki ja mam podbródek: zupełnie okrągły!” Lecz teraz nie spojrzął ani na podbródek, ani na twarz, tylko po prostu, tak jak stał, obuł safianowe z różnokolorowymi obwódkami buty, którymi dzielnie handluje miasto Torżok dzięki inklinacjom rosyjskiej natury do szlafroka, i po szkocku, tylko w szarej krótkiej koszuli, zapominając o swej powadze i stateczności średniego wieku, wykonał dwa skoki po pokoju, przytupując dość zręcznie piętami. Potem natychmiast zabrał się do pracy: zatarł ręce przed szkatułką z takim zadowoleniem, z jakim zaciera je przybyły na śledztwo nieprzekupny sąd ziemski, kiedy podchodzi do zakąsek, i zaraz wydobyl ze szkatułki papiery. Chciał jak najprędzej załatwić wszystko nie zwlekając. Postanowił sam sporządzić kontrakty i przepisać je, aby nic nie płacić kancelistom. Tok urzędowy znał znakomicie i żwawo postawił wielkimi literami: tysiąc osiemset taki a taki rok, po czym drobnymi: ja obywatel ziemski taki a taki, i wszystko, co trzeba. W ciągu dwóch godzin wszystko było gotowe. Gdy potem spojrzął na owe arkusiki, na chłopów, którzy istotnie byli niegdyś chłopami, pracowali, orali, pili, furmanili, oszukiwali panów lub też, być może, byli po prostu dobrymi chłopami, opanowało go jakieś dziwne, dla niego samego niezrozumiałe uczucie. Każda notatka miała jak gdyby jakiś osobliwy charakter, a przez to jak gdyby sami chłopci nabierali właściwego sobie charakteru. Chłopci należący do Koroboczki wszyscy prawie mieli przydomki i przezwiska. Notatka Pluszkina odznaczała się zwięzłością; często postawione były tylko początkowe sylaby imion oraz imion ojca, a dalej dwie kropki. Rejestr Sobakiewicza zadziwiał niezwykłą ścisłością i gruntownością; ani jedna zaleta chłopca nie została opuszczona. O jednym było powiedziane: „dobry stolarz”, do innego było dopisane: „zna się na rzeczy i wódki do ust nie bierze”. Oznaczone też było grutnownie, kto go rodził i jakiego prowadzenia się byli ojciec i matka, jeden tylko, jakiś Fiedotow, miał dopisane: „ojciec nie wiadomo kto, a urodził się z dziewczki dworskiej Kapitoliny, ale dobrych obyczajów i nie złodziej”. Wszystkie te szczegóły nadawały im pozór jakiejś szczególnej świeżości: zdawało się, jak gdyby ci chłopci wczoraj jeszcze żyli. Patrząc długo na ich nazwiska, Cziczikow rozczulił się w głębi duszy i wyrzekł wzdychając: – Ojczulkowie kochani, iluż was tu natkali! Cóżście wy, moi kochani, porabiali na tym świecie? Jakżeście sobie dawali radę? – I oczy jego mimochodem zatrzymały się na jednym nazwisku. Był to znany nam Piotr Sawiehew Nieszanuj-Koryto, należący niegdyś do obywatelki ziemskiej Koroboczki. Cziczikow znowu nie wytrzymał i rzekł: – Ech, jaki długi, na całym wierszu się rozwalili! Czy byłeś majstrem, czy też po prostu chłopem i jaką śmiercią skończyłeś? Czy w karczmie, czy też pośrodku drogi przejechała cię, drzemiącego, furmanka? Probka Stefan, cieśla, trzeźwość wzorowa. A, to on, Stefan Probka, ów olbrzym, co to i do gwardii by się nadał! Może wszystkie gubernie przewędrował z toporem za pasem i butami na ramieniu, zjadał chleba za grosz i za dwa ryby suszonej, a w trzosie, kto wie, za każdym razem przynosił do domu po sto rubli, a może i carski papierek⁷ zaszywał w parciane portki albo też wtykał za

⁷ Carski papierek – banknot wartości tysiąca rubli.

cholewę. Gdzie też cię dopadło? Możesz się wgramolił dla większego zysku pod samą kopułę cerkiewną, a możesz i na sam krzyż polazł, pośliznąłeś się na rusztowaniu, wyrznąłeś o ziemię i tylko jakiś stojący obok ciebie wujek Michaił, poskrobawszy się w głowę wyrzekł: „Ech, Wanta! Co też ci do głowy strzeliło!” – i sam, przewiązawszy się sznurem, polazł na twoje miejsce. Maksym Tielatnikow, szewc! He, szewc! Pijany jak szewc, powiada przysłowie. Znam cię, znam, kochanku, to powiem ci całe twoje dzieje: uczyłeś się u Niemca, który was wszystkich karmił, walił pocięgiem po plecach za nieakuratność i nie wypuszczał na ulicę poswawolić, i byłeś po prostu cudo, a nie szewc, i nie mógł się ciebie nachwalić Niemiec w rozmowie z żoną albo z kamratem. A oto, jak się skończyła ta twoja nauka: „A teraz postawię sobie własny domek, rzeknę, ale nie tak jak Niemiec, co to za kopiejkami się uganiam, zbogacę się od razu”. I oto dawszy panu porządną daninę, założyłeś sklepik, nabrałeś mnóstwo obstalunków i zacząłeś pracować. Dostałeś gdzieś za pół darmo nadgniłej skóry i zyskałeś, co prawda, dwa razy tyle na każdym bucie, ale po dwóch tygodniach twoje buty popękały i zostałeś zwymyślany od ostatnich. I oto twój sklepik opustoszał, a ty zacząłeś popijać i poniewierać się po rynsztokach, dogadując: „Doprawdy, źle jest na świecie! Rosjanin nie może żyć, wciąż Niemcy przeszkadzają”. A to co za chłop? Jelizawiet Wróbel? A bodaj cię... baba! Skąd ona się tu wzięła? Łajdak Sobakiewicz i tu musiał naciągnąć! – Cziczikow miał słuszność, rzeczywiście była to baba. Skąd się tam znalazła, nie wiadomo, ale wpisana była tak chytrze, że z daleka można ją było wziąć za chłopca, a nawet imię kończyło się na literę „T”, to znaczy nie Jelizawiet, ale Jelizawiet. Cziczikow jednak nie przyjął tego do wiadomości i natychmiast ją wykreślił – Grzegorz Dojeżdżaj-nie-dojedziesz. A ty coś był za jeden? Możesz być furmanem i dobrawszy trójkę do plecionej z wikliny kibitki, wyrzekłszy się na zawsze domu, rodzinnego legowiska, poszedłeś włóczyć się po jarmarkach z kupcami? Czy na drodze oddałeś Bogu duszę, czy też zakatrupili cię własni przyjaciele z powodu jakiejś grubej żołnierki o czerwonych policzkach, czy też jakiemuś leśnemu włóczędze spodobały się twoje skórzane rękawice i trójka krępych, lecz mocnych koników, czy też, być może, sameś leżąc na pryczy długo myślał, myślał i ni z tego, ni z owego zawróciłeś do karczmy, a potem prosto w przerebłę – i bywajcie zdrowi. Ech, ty nasz narodzie rosyjski! Nie lubisz umierać zwyczajną śmiercią! A cóż wy, moi kochani – ciągnął przenosząc wzrok na papierek, gdzie były odnotowane zbiegłe dusze Pluszki – jesteście niby to żywi, ale tyle z was pożytku, co i ze zmarłych. Gdzież to was teraz noszą wasze prędkie nogi? Źle wam było u Pluszki czy też po prostu z własnej ochoty wałęsacie się po lasach i obdzieracie podróżnych? Siedzicie w turmach czy też przystąpiliście do nowych panów i orzecie ziemię? Jeremiasz Kariakin, Nikita Wołokita, syn jego Antoni Wołokita – ci, to już z przezwiska widać, że dobrzy biegacze. Popow, człowiek dworski, widocznie piśmienny, myślę, że noża do rąk nie wziął, tylko w uczciwy sposób zabrał się do złodziejstwa. Lecz już isprawnik schwytał cię, bezpaszportowca. Na przesłuchaniu trzymasz się dziarsko. „Czy jesteś?” – powiada isprawnik wrzepiwszy ci przy tej okazji jakieś mocne słówko. „Takiego a takiego dziedzica” – odpowiadasz śmiało. „Skądęś się tu wziął?” – powiada isprawnik. „Jestem wypuszczony na zarobek” odpowiadasz bez zająknięcia. „Gdzie masz paszport?” „U gospodarza, mieszczanina Pimienowa”. „Przywołać tu Pimienowa. Ty jesteś Pimienow?” „Pimienow”. „Czy on ci dawał swój paszport?” „Nie, nie dawał mi żadnego paszportu”. „Czego łzesz?” – powiada isprawnik dodając jeszcze jakieś mocne słówko. „Tak jest – odpowiadasz śmiało – nie dawałem mu paszportu, dlatego że przyszedłem późno do domu, oddałem go na przechowanie dzwonnikowi Antypowi Prochorowi.” „Przywołać dzwonnika! Dawał ci paszport?” „Nie, nie otrzymałem od niego żadnego paszportu”. „Czego znowu łzesz? – powiada isprawnik wzmacniając mowę jakimś mocniejszym słówkiem – gdzie masz paszport?” „Miałem go – powiadasz przebiegle – ale widać musiałem go jakoś upuścić w drodze”. „A szynel żołnierski – powiada isprawnik, dogodziwszy ci znowu jakimś mocniejszym słówkiem – gdzie masz paszport?” „Miałem go – z miedziakami?” „Wcale nie – powiada nie zbity z tropu – złodziejstwem się nigdy nie trudniłem”. „A dlaczego szynel znaleziono u ciebie?” „Skąd ja mogę wiedzieć, widocznie ktoś przyniósł”. „Ach, ty bestio, bestio! – powiada isprawnik, kiwając głową i biorąc się pod boki. – Zakujcie no mu nogi w dyby i odprowadźcie go

do więzienia”. „Proszę bardzo, z przyjemnością” – odpowiadasz. I oto wyjąwszy z kieszeni tabakierkę, częstujesz przyjaźnie jakichś dwóch inwalidów zakuwających cię w dyby i rozpytujesz ich, jak dawno wyszli z wojska i na jakiej byli wojnie. I oto żyjesz sobie w więzieniu, podczas gdy sąd prowadzi twoją sprawę. I sąd pisze: przenieść cię z Carewokokszajska do więzienia w takim a takim mieście, a tamten sąd napisze znowu: przenieść cię do jakiegoś Wiesiegońska, a ty przenosisz się z więzienia do więzienia i powiadasz, oglądając nowe miejsce zamieszkania: „Nie ma co, wiesiegońskie więzienie jest czystsze; tam jest przestronnie, nawet w babki można grać, no i towarzystwo liczniejsze!” Abakum Fyrow. A ty znowu, bracie, co? Gdzie, w jakich stronach się wałęsasz? Czy poniosło cię nad Wołgę i pokochałeś wolne życie przystając do burłaków?... – Tutaj Cziczikow zatrzymał się i zamyślił trochę. – Nad czymże się zamyślił? Czy nad losem Abakuma Fyrowa, czy też tak po prostu zamyślił się nad sobą, jak się zamyśla każdy Rosjanin, każdego wieku, stanu i urzędu, kiedy pomyśli o wirze szerokiego życia? I w rzeczy samej, gdzie jest obecnie Fyrow? Hula rozgłośnię i wesoło na zbożowej przystani, rozliczywszy się z kupcami. Na kapeluszu kwiaty i wstążki, weseli się cała burłacka wataha żegnając się z kochankami i żonami, wysokimi, zgrabnymi, w monistach i wstążkach; korowody, pieśni, cały plac wre, a tragarze tymczasem wśród okrzyków, wymysłów i przynagleń, zaczepiając sobie hakiem dziewięciopudowy wór na plecy, sypią z szumem groch i pszenicę w głębokie krypy, zwalają wory owsa i kaszy, a w oddali widnieją na całym placu kupy zwalonych w piramidę, jak kule armatnie, worków i cały ten arsenał zbożowy wygląda potężnie, aż przeładuje się go na głębokie barki i nieskończona flotylla powędruje gęsiego wraz z krą wiosenną. Tam to napracujecie się, burłacy! I razem, jak poprzednio hulaliście i szaleli, weźmiecie się do pracy w pocie czoła, ciągnąc szleje w takt nieskończonej, jak sama Rosja, pieśni.

– Ehe, he! dwunasta godzina! – rzekł wreszcie Cziczikow spojrzawszy na zegarek. – Cóż ja się tak guzdrzę? Żeby to jeszcze przynajmniej jakaś sprawę załatwiać, a tu ni z tego, ni z owego najpierw uczepliły się mnie jakieś bzdurstwa, a potem zacząłem rozmyślać. Jakież ze mnie głupiec, doprawdy! – Wyrzekłszy to, swój szkocki strój zastąpił europejskim, zacisnął mocniej sprzączkę na swym pełnym brzuchu, skropił się wodą kolońską, wziął do ręki ciepłą czapkę i udał się do hipoteki, by dokonać aktu kupna. Śpieszył nie dlatego, że się bał spóźnić – spóźnienia się nie bał, bo prezes był dobrze znajomym i mógł na jego życzenie przedłużyć lub skrócić godziny urzędowania, podobnie jak starożytny Homerowy Zeus, który przedłużał dni i szybko zsyłał noce, kiedy trzeba było przerwać walkę miłych mu bohaterów lub dać im możliwość jej dokończenia; ale Cziczikow chciał już możliwie najszybciej doprowadzić sprawę do końca; dopóki to się nie stało, czuł się niespokojnie i było mu nieporęcznie. Przychodziło mu na myśl, iż bądź co bądź dusze są niezupełnie prawdziwe i że w podobnych wypadkach należy takie brzemie szybko zrzucić z ramion. Nie zdołał jeszcze wyjść na ulicę, rozmyślając o tym wszystkim, a jednocześnie dźwigając na ramionach niedźwiedzie kryte brunatnym sukniem, gdy na rogu zaułka zetknął się z jegomościem, również w niedźwiedziach krytych brunatnym sukniem i w ciepłej czapce z nausznikami. Jegomość wydał okrzyk – był to Maniłow. Natychmiast wzięli się wzajemnie w objęcia i z pięć minut stali na ulicy w takim położeniu. Pocałunki z obu stron były tak silne, iż obu przez cały niemal dzień bolały przednie zęby. Na twarzy Maniłowa z uciechy pozostały tylko nos i usta, oczy zupełnie znikły. Z jaki kwadrans trzymał obiema rękami rękę Cziczikowa i strasznie ją zagrzał. W jak najsztelniejszych i jak najmiłszych zwrotach opowiedział, jak to on biegł uściskać Pawła Iwanowicza; oracja została zakończona komplementem, jaki wypada powiedzieć chyba pannie, którą się prowadzi do tańca. Cziczikow otworzył usta, nie wiedząc jeszcze, jak ma podziękować, gdy nagle Maniłow wydobyl spod futra papier zwinięty w rulonik i przewiązany różową wstążeczką i bardzo zręcznie podał go dwoma palcami.

– Co to?

– Chłopkowie.

– Ach! – Zaraz otworzył rulonik, przebiegł wzrokiem i zadziwił się czystością i pięknnością charakteru pisma. – Ślicznie napisane – rzekł – nie trzeba nawet przepisywać. W dodatku jeszcze obwódka naokoło! Któż to zrobił tak zręcznie obwódkę?

– No, niech już pan lepiej nie pyta – rzekł Maniłow.

– Pan?

– Żona.

– Ach, mój Boże! Doprawdy, wstyd mi, że narobiłem tyle subiekcji.

– Dla Pawła Iwanowicza niczym są wszelkie subiekcje.

Cziczikow skłonił się z wdzięcznością. Maniłow dowiedziawszy się, że Cziczikow idzie do urzędu w celu sporządzenia aktu, wyraził gotowość towarzyszenia mu. Przyjaciele wzięli się pod ręce i poszli razem. Przy każdym najmniejszym nawet wzniesieniu, górcie lub stopniu Maniłow podtrzymywał Cziczikowa i omal że nie podnosił go ręką, dodając z przyjemnym uśmiechem, iż w żaden sposób nie może dopuścić, by Paweł Iwanowicz uderzył się w nóżkę. Cziczikow był zakłopotany nie wiedząc, jak dziękować, bo czuł, że był nieco przyciężki. Wśród ciągłych wzajemnych grzeczności doszli wreszcie do placu, gdzie znajdowały się instytucje rządowe; wielki dwupiętrowy murowany dom, całkiem biały jak kreda, prawdopodobnie celem usymbolizowania czystości duchowej mieszczących się w nim urzędów. Inne gmachy na placu wielkością swą nie odpowiadały murowanemu domowi. Były to: budka strażnicza, przed którą stał żołnierz z karabinem, dwie albo trzy knajpy dorożkarskie i wreszcie długie parkany ze znanymi napisami, nagryzmołonymi węglem i kredą; nic więcej nie znajdowało się na tym pustym lub, jak u nas mówią, pięknym placu. Z okien pierwszego i drugiego piętra od czasu do czasu wysuwały się nieprzekupne głowy kapłanów Temidy i chowały się natychmiast, widocznie w tym czasie zwierzchnik wchodził do pokoju. Przyjaciele nie weszli, lecz wbiegli po schodach, ponieważ Cziczikow, pragnąc umknąć podtrzymywania ze strony Maniłowa, przyspieszał kroku. Maniłow zaś ze swej strony również pędził naprzód, usiłując nie pozwolić Cziczikowowi się męczyć – i dlatego byli obaj mocno zdyszani, kiedy weszli do ciemnego korytarza. Wzroku ich nie uderzyła czystość ani korytarza, ani pokojów. Wówczas nie troszczono się o nią jeszcze i to, co było brudne, pozostawało takim nie nabierając pociągającej powierzchowności. Temida przyjmowała gości po prostu, jak stała, w negliżu i w szlafroku. Należałoby opisać izby kancelaryjne, przez które przechodzili nasi bohaterowie, lecz autor żywi wielką obawę w stosunku do urzędów. Jeżeli zdarzyło mu się przechodzić przez nie, nawet przy ich najbardziej świetnym i uszlachetnionym wyglądzie, zawsze starał się przebiec je możliwie najszybciej, ze spuszczonej pokornie oczami, dlatego też zupełnie nie wie, jak tam wszystko rozwija się i kwitnie. Bohaterowie nasi widzieli dużo papieru i brulionowego, i do czystopisów, pochylone głowy, szerokie karki, fraki, surduty gubernialnego kroju, a nawet wprost jakąś jasnoszarą kurtkę, odcinającą się dość ostro, która przekrzywiwszy głowę na bok i prawie położywszy ją na papierze, pisała żwawo i zamasyście jakiś protokół w sprawie odebrania ziemi lub opisu majątku, zagrabionego przez jakiegoś poczciwego obywatela, który spokojnie pomimo stanu oskarżenia dożywał swych lat, doczekawszy się i dzieci, i wnuków pod osłoną sądu; dawały się słyszeć urywkami krótkie zdania, wypowiedane głosem ochrypłym: „Fiedosieju Fiedosiejewiczu, pozwoli pan sprawę nr 368!” „Zawsze musi pan gdzieś zapodziać korek od rządowego kałamarza!” Niekiedy głos bardziej wyniosły, niewątpliwie jednego ze zwierzchników, rozlegał się nakazując: „Masz, przepisz, a jak nie, to zdejmę ci buty i posiedzisz sześć dni bez „jedzenia”. Pióra sprawiały taki hałas, jakby kilka wozów z chrustem przejeżdżało przez las, zawałony na ćwierć arsyzyna uschłymi liśćmi.

Cziczikow i Maniłow podeszli do pierwszego stołu, gdzie siedziało dwóch urzędników w bardzo jeszcze młodym wieku.

– Pozwolą panowie zapytać, gdzie tu się załatwia akty kupna?

– A czego panowie sobie życzą? – spytali obaj urzędnicy odwracając się.

– Mam złożyć podanie.

– A co pan takiego kupił?

- Chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie się załatwia akty, tu czy gdzie indziej?
- Proszę najpierw powiedzieć, co pan kupił i za jaką cenę, wówczas powiemy, gdzie; bo tak, to nie wiadomo.

Cziczikow od razu spostrzegł, że urzędnicy byli po prostu ciekawi, jak wszyscy młodzi urzędnicy, oraz chcieli nadać sobie i swym funkcjom więcej wagi i znaczenia.

- Słuchajcie, moi drodzy – rzekł – wiem bardzo dobrze, że wszystkie sprawy sprzedaży, bez względu na cenę, znajdują się w jednym miejscu, i dlatego proszę was o pokazanie nam tego stołu; a jeśli nie wiecie, co się tu u was dzieje, to zapytamy innych.

Urzędnicy nic na to nie odpowiedzieli, tylko jeden z nich wskazał palcem w kąt pokoju, gdzie za stołem siedział jakiś starszek znaczący jakieś papiery. Cziczikow i Maniłow przeszli pomiędzy stołami wprost na niego. Stary pracował nader pilnie.

- Pozwoli pan zapytać – rzekł Cziczikow kłaniając się – czy tutaj załatwia się akty kupna?

Stary podniósł oczy i wyrzekł powoli:

- Tu nie załatwia się aktów kupna.
- Gdzie więc?
- To w wydziale transakcyj.
- A gdzie jest ten wydział transakcyj?
- To u Iwana Antonowicza.
- A gdzie jest Iwan Antonowicz?

Starzec wskazał palcem w inny kąt pokoju. Cziczikow i Maniłow udali się do Iwana Antonowicza. Iwan Antonowicz zdołał już zapuścić żurawia w tył i obejrzał ich z ukosa, lecz w tejże chwili jeszcze uważniej zatopił się w pisaniu.

- Pozwoli pan zapytać – rzekł Cziczikow kłaniając się – czy tu jest wydział transakcyj?

Iwan Antonowicz, jak gdyby wcale nie słyszał, zagłębił się zupełnie w papierach nic nie odpowiadając. Widać było od razu, że to człowiek w poważnym wieku, a nie żaden młody papla i wiercipięta. Iwan Antonowicz, zdaje się, miał już dobrze po czterdziestce; włosy jego były czarne, gęste, cały środek twarzy występował mu naprzód i wchodził w nos, słowem, była to twarz, którą nazywa się pospolicie zakazaną gębą.

- Pozwoli pan zapytać, czy tu jest wydział transakcyj? – rzekł Cziczikow.

– Tutaj – rzekł Iwan Antonowicz, odwrócił swą zakazaną gębę i znowu wziął się do pisania.

– Mam taką oto sprawę: zakupiłem u różnych posiadaczy tutejszego powiatu chłopów na przesiedlenie; kontrakt gotowy, pozostaje tylko potwierdzić go.

- Sprzedawcy obecni?

– Niektórzy są tutaj, od innych są pełnomocnictwa.

- Podanie pan przyniósł?

– Przyniosłem i podanie. Chciałbym... muszę się śpieszyć... Czy nie można by na przykład sprawy załatwić dziś?

– Akurat, dzisiaj!... Dzisiaj nie można – rzeki Iwan Antonowicz. – Trzeba jeszcze sprawdzić, czy nie ma sprzeciwów.

– Zresztą co do tego, aby sprawę przyśpieszyć, to Iwan Grigorijewicz, prezes, jest moim wielkim przyjacielem...

– Ale Iwan Grigorijewicz nie jest sam jeden na świecie; są jeszcze inni – rzekł surowo Iwan Antonowicz.

Cziczikow zrozumiał przymówkę zamkniętą w słowach Iwana Antonowicza i rzekł:

- I inni nie zostaną pokrzywdzeni; sam służyłem, znam się na tym...

– Niech pan idzie do Iwana Grigorijewicza – rzekł Iwan Antonowicz głosem nieco uprzejmiejszym. – Niech on wyda dyspozycje komu należy, a z naszej strony nie będzie przeszkód.

Cziczikow wyjąwszy z kieszeni asygnatę położył ją przed Iwanem Antonowiczem, czego ten zupełnie nie zauważył i zaraz nakrył asygnatę książką. Cziczikow już mu ją chciał wskazać, lecz Iwan Antonowicz ruchem głowy dał poznać, że nie trzeba.

– On panów zaprowadzi na audiencję – rzekł Iwan Antonowicz, skinął głową i jeden z kapłanów znajdujących się w tym samym miejscu, składający z taką gorliwością ofiary Temidzie, iż pękły mu oba rękawy i od dawna wylażała mu stamtąd podszewka, za co też dostał w swoim czasie rangę registratora kolegijskiego, usłużył naszym znajomym, jak niegdyś Wergiliusz usłużył Dantemu, i zaprowadził ich do gabinetu, gdzie stał tylko szeroki fotel, a na nim przy stole, za zwierciadłem sprawiedliwości⁸ i dwiema grubymi księgami siedział sam prezes, jak słońce. W tym miejscu nowy Wergiliusz uczuł taką nabożną cześć, że nie ośmielił się postawić tam nogi i zawrócił ukazując swe plecy wytarte jak rogoża, z przylepionym gdzieś kurzym piórkiem. Wszedłszy do sali audiencyjnej zauważyli, że prezes nie był sam, obok niego siedział Sobakiewicz zupełnie zasłonięty zwierciadłem. Przyjście gości wywołało okrzyk; rządowy fotel został odsunięty z hałasem, Sobakiewicz również wstał z krzesła i można go było zobaczyć w całej okazałości z jego długimi rękami. Prezes wziął Cziczikowa w objęcia i w sali audiencyjnej rozległy się pocałunki; zapytali się wzajemnie o zdrowie, okazało się, że każdego z nich boli w krzyżu, co zresztą zaraz zostało przypisane siedzącemu trybowi życia. Prezes, zdaje się, był już przez Sobakiewicza powiadomiony o kupnie, bo zaczął składać gratulacje, co z początku trochę zmieszało naszego bohatera, zwłaszcza gdy zobaczył, że i Sobakiewicz, i Maniłow, obaj sprzedawcy, z którymi sprawa była załatwiona poufnie, stoją teraz do siebie twarzą w twarz. Podziękował jednak prezesowi i zwracając się do Sobakiewicza, zapytał:

– A jak pańskie zdrowie?

– Dziękować Bogu, nie mogę się uskarżać – rzekł Sobakiewicz.

Rzeczywiście, nie było się na co uskarżać. Żelazo prędzej mogłoby się przeziębici i kaszlać niż ten nad podziw sformowany ziemianin.

– Tak, pan zawsze służył z dobrego zdrowia – rzekł prezes – nieboszczyk ojciec pański również był mocnym człowiekiem.

– Tak, sam jeden chadzał na niedźwiedzia – odpowiedział Sobakiewicz.

– Mnie się jednak zdaje – rzekł prezes – że pan by również dał niedźwiedziowi radę, gdyby pan zechciał stanąć przeciwko niemu.

– Nie, nie dałbym rady – odrzekł Sobakiewicz – nieboszczyk był ode mnie mocniejszy. – I wzdychając ciągnął: – Nie, ludzie teraz są już nie tacy; wziąć chociażby moje życie, co to za życie? Tak to sobie jakoś...

– Czegóż panu w życiu brakuje? – rzekł prezes.

– Niedobrze, niedobrze! – rzekł Sobakiewicz pokręciwszy głową. – Niech pan sam osądzi, Iwanie Grigorijewiczu, idzie mi piąty krzyżyk, nie chorowałem ani razu; żeby choć gardło zabolalo albo czyrak wyskoczył... Nie, to nie wyjdzie na dobre! Kiedyś będę musiał za to zapłacić. – Tu Sobakiewicz pogrążył się w melancholii.

„Niech go!... – pomyśleli jednocześnie Cziczikow i prezes – ma się na co skarżyć!”

– Mam do pana liścik – rzekł Cziczikow wyjmując z kieszeni list Pluszkina.

– Od kogo? – zapytał prezes i rozpieczętowany krzyknął: – A, od Pluszkina! Jeszcze się dotąd kołata po świecie? Ot, losy! A taki był rozumny, bogaty człowiek! A teraz...

– Pies! – rzekł Sobakiewicz. – Łotr, wszystkich ludzi wymorzył..

– Proszę, bardzo proszę – rzekł prezes przeczytawszy list – mogę być pełnomocnikiem. Kiedy pan chce mieć dowód prawny, teraz czy później?

– Teraz – rzekł Cziczikow – będę pana nawet prosił, o ile możliwości, dziś, dlatego że chciałbym jutro wyjechać z miasta; przyniosłem kontrakty oraz podanie.

– Wszystko to bardzo ładnie, tylko, jak pan chce, ale my pana nie wypuścimy tak prędko. Kontrakty będą dziś, a pan z nami jednak trochę zostanie. Zaraz wydám rozporządzenie – rzekł i otworzył drzwi do izby kancelaryjnej, całej wypełnionej przez urzędników, którzy byli podobni do

⁸ W oryginale: *zercalo* – trójgraniasty pryzmat z wrytymi na jego płaszczyznach ustawami Piotra Wielkiego.

pracowitych pszczoł rozsypanych po plastrach, jeżeli tylko plastry mogą być podobne do spraw kancelaryjnych. – Czy jest Iwan Antonowicz?

– Jest! – odezwał się głos z zewnątrz.

– Proszę go tu zawołać!

Znany już czytelnikowi Iwan Antonowicz, zakazana gęba ukazał się w sali audiencyjnej kłaniając się z szacunkiem.

– Niech pan weźmie, Iwanie Antonowiczu, te wszystkie kontrakty.

– Iwanie Grigorijewiczu, niech pan nie zapomni – podchwycił Sobakiewicz – że trzeba będzie co najmniej po dwóch świadków z każdej strony. Niech pan pośle zaraz do prokuratora; to próżniak i na pewno teraz siedzi w domu; wszystko robi za niego adwokat Zołotucha, największy łapownik w świecie. Zarządzający szpitalami też próżniak i zapewne jest w domu, jeżeli nie pojechał gdzie na karty; jest ich tam wielu jeszcze bliżej: Truchaczewski, Bieguszkina, wszystko to niepotrzebnie łązi po świecie!

– Właśnie, właśnie – rzekł prezes i zaraz posłał po nich woźnego.

– Jeszcze pana poproszę – powiedział Cziczikow – żeby pan posłał po pełnomocnika pewnej właścicielki ziemskiej, z którą również zawarłem umowę, po syna protopopa, ojca Cyryla; on tu u pana pracuje.

– Naturalnie, pośle się i po niego – powiedział prezes – wszystko zostanie załatwione, a urzędnikom niech pan nic nie daje; proszę pana o to. Moi przyjaciele nie powinni płacić. – Powiedziawszy to wydał zaraz Iwanowi Antonowiczowi jakieś rozporządzenie, które temu widocznie się nie spodobało. Kontrakty wywarły, zdaje się, dobre wrażenie na prezesie, szczególnie gdy zobaczył, że zakupy były poczynione na sumę blisko stu tysięcy rubli. Przez kilka chwil patrzył w oczy Cziczikowowi z wyrazem wielkiego zadowolenia i w końcu powiedział:

– A więc tak! A więc to tak, Pawle Iwanowiczu! A więc wszedł pan w posiadanie.

– Wszedłem w posiadanie – odpowiedział Cziczikow.

– Zaczyna się! Doprawdy, zaczyna się!

– Ja też sam widzę, że zaniejszej sprawy nie mógłbym przedsięwziąć. Jakkolwiek by było, ale cel człowieka wciąż jeszcze jest nieokreślony, dopóki się nie stanie w końcu twardą stopą na trwałych zasadach, a nie na jakiejś wolnomyślniej chimerze młodości. – Tu, bardzo na miejscu, zwymyślał za liberalizm wszystkich młodych ludzi. Ale szczególne, że w jego słowach była wciąż jakaś niepewność, jakby równocześnie mówili do siebie: „Ech, bracie, łziesz, i to bardzo!” Nawet nie spojrzął na Maniłowa i Sobakiewicza obawiając się dostrzec coś na ich twarzach. Ale niepotrzebnie się obawiał: twarz Sobakiewicza ani drgnęła, a Maniłow, oczarowany frazesem, z zadowoleniem potrzasał tylko potwierdzająco głową, zapadłszy w taki stan, w jakim znajduje się miłośnik muzyki, gdy śpiewaczka zakasowała skrzypce biorąc tak wysoki ton, jakiego nie wyda nawet ptasie gardło.

– Czemuż pan nie powie Iwanowi Grigorijewiczowi – odezwał się Sobakiewicz – co mianowicie pan zakupił? A pan, Iwanie Grigorijewiczu, czemu nie zapyta, co było przedmiotem kupna? Co za ludzie! Po prostu złoto! Przecież ja sprzedałem panu nawet stelmacha Michiejewa.

– Co, czyżby i Michiejewa pan sprzedał? – powiedział prezes. – Znam stelmacha Michiejewa, doskonały majster; przerobił mi powóz. Tylko, przepraszam, jak to... Przecież pan mi mówił, że on umarł...

– Kto, Michiejew umarł? – powiedział Sobakiewicz, bynajmniej nie zmieszany. – To jego brat umarł, a on żywiuteńki i zdrowszy teraz niż dawniej. W tych dniach wyszykował taką bryczkę, że nawet w Moskwie by takiej nie zrobili. On by właściwie powinien robić tylko dla cesarza.

– Tak, Michiejew to świetny majster – powiedział prezes – i nawet się dziwię, jak pan mógł się z nim rozstać.

– Żeby to tylko jeden Michiejew! A Probka Stefan, cieśla, Miłuszkow, zdun, Tielatnikow Maksym, szewc – toć wszyscy odeszli, wszystkich sprzedałem! – A gdy prezes zapytał, dlaczego odeszli, skoro byli ludźmi niezbędnymi dla domu i dobrymi metrami, Sobakiewicz odpowiedział

machnąwszy ręką: – A tak, po prostu strzeliło mi coś do głowy: „Dobrze, powiadam, sprzedam” – no i sprzedałem przez głupotę! – Potem opuścił głowę, jakby się sam poczuwał do winy i dodał: – Siwy już człek, a dotąd nie nabrał rozumu.

– Ale przepraszam. Pawle Iwanowiczu – powiedział prezes – jakże to kupuje pan chłopów bez ziemi? Czy na przesiedlenie?

– Na przesiedlenie.

– No, na przesiedlenie to inna sprawa. A w jakie strony?

– Do... chersońskiej guberni.

– O, tam dobra ziemia! – powiedział prezes i wyraził się z dużym uznaniem o bujności tamtejszej roślinności. – A ziemi pod dostatkiem?

– Pod dostatkiem, tyle, ile potrzeba dla zakupionych chłopów.

– Rzeka czy staw?

– Rzeka. Zresztą jest i staw. – Powiedziawszy to Cziczikow spojrział niechętnie na Sobakiewicza i chociaż Sobakiewicz był po dawnemu nieruchomy, ale wydało mu się, jakby na jego twarzy było wypisane: „Oj, łżesz! Bardzo wątpliwe, czy jest rzeka i staw, a nawet i ziemia!”

Podczas tej rozmowy zaczęli się powoli schodzić świadkowie: znany już czytelnikowi prokurator-mrugacz, zarządzający szpitalami, Truchaczewski, Bieguszkin i inni, wedle słów Sobakiewicza, niepotrzebnie łączy po świecie. Wielu z nich Cziczikow zupełnie nie znał; brakujący i nie nadający się byli natychmiast zastąpieni przez miejscowych urzędników. Przyprawiono nie tylko syna protopopa, ojca Cyryła, ale nawet i samego protopopa. Każdy świadek podpisał się ze wszystkimi swymi tytułami i rangami: ten biegłym charakterem pisma, ów kulfonami, jeszcze inny, po prostu, omal że nie do góry nogami, wpisując takie litery, jakich nigdy nawet nie widziano w rosyjskim alfabecie. Znany nam Iwan Antonowicz załatwił wszystko bardzo prędko, kontrakty były wpisane, ostemplowane, wprowadzone do księgi i tam gdzie należy, z wyliczeniem połowy procentu i opłaty za ogłoszenie w „Wiadomościach” i Cziczikow musiał zapłacić bardzo niewiele. Prezes nawet kazał wziąć od niego tylko połowę należności, a druga, nie wiadomo w jaki sposób, została zaliczona na rachunek jakiegoś innego petenta.

– A więc – powiedział prezes, gdy wszystko zostało skończone – pozostaje tylko pokropić transakcję.

– Jestem gotów – powiedział Cziczikow. – Od pana tylko zależy oznaczenie czasu. Grzechem by było z mojej strony, gdybym dla tak miłego towarzystwa nie odkorkował paru butelek szampana.

– Nie, pan to źle zrozumiał, szampitra sami postawimy – powiedział prezes – to nasza powinność, nasz obowiązek. Pan jest naszym gościem, my powinniśmy pana podejmować. Wiecie co, panowie? Na razie tak zrobimy: pójdziemy wszyscy, jak tu jesteśmy, do policmajstra; to nasz cudotwórca. Wystarczy, żeby tylko mrugnął przechodząc obok rybnych straganów albo piwniczki, a co za przekąski będziemy mieli! A przy tej okazji i wiścika.

Od takiej propozycji nikt się nie mógł uchylić. Świadkowie na samo wspomnienie rybnych straganów poczuli apetyt; wszyscy natychmiast chwycili za czapki i kapelusze i sesja została zakończona. Kiedy przechodzili przez kancelarię. Iwan Antonowicz, zakazana gęba, skłoniwszy się grzecznie, powiedział po cichutku do Cziczikowa:

– Nakupił pan chłopów za sto tysięcy, a za fatygę dał pan tylko jeden biały papier.

– Ale co to za chłop! – odpowiedział na to również szeptem Cziczikow. – Najgorsi i najędźniejsi ludzie, nawet połowy niewarci.

Iwan Antonowicz zrozumiał, że gość był twardego charakteru i więcej nie da.

– A po czemu kupił pan dusze od Pluszki? – szepnął mu do drugiego ucha Sobakiewicz.

– A po co pan Wróbla dopisał? – powiedział mu w odpowiedzi na to Cziczikow.

– Jakiego Wróbla? – zapytał Sobakiewicz.

– Ano babę, Jelizawietę Wróbel, i jeszcze postawił pan na końcu literę „t”.

– Nie, żadnego Wróbla nie dopisywałem – powiedział Sobakiewicz i odszedł do innych gości.

Goście przyszli w końcu tłumnie do domu policmajstra. Policmajster istotnie był cudotwórcą. Gdy tylko się dowiedział, o co chodzi, natychmiast zawołał rewirowego, dzielnego chłopca w lakierowanych butach i, zdaje się, szepnął mu raptem dwa słowa do ucha, i tylko dodał: „rozumiesz?” a już tam w drugim pokoju, podczas gdy goście rżnęli w wista, zjawiły się na stole wyż, jesiotry, łosoś, kawior prasowany, kawior świeżo solony, śledzie, sterlety, sery, wędzone ozory, wędzony jesiotr – wszystko to pochodziło z rybnych straganów. Później zjawiły się dodatki, wyroby kuchni pana domu: pieróg z głowizną, gdzie włożono chrząstki i filety dziewięciopudowego jesiotra, inny pieróg faszerowany grzybami, paszteciki, obwarzanki, maślane bułeczki. Policmajster był niejako ojcem i dobroczyńcą miasta. Pośród obywateli czuł się zupełnie jak pośród rodziny, a do sklepów i restauracji wchodził jak do własnej spiżarni. W ogóle był, jak się to mówi, na swoim miejscu i doskonale wniknął w swe obowiązki. Nawet trudno było zdecydować, czy on był stworzony dla stanowiska czy stanowisko dla niego. Tak mądrze kierował sprawami, że miał dwa razy większe dochody niż wszyscy jego poprzednicy, a równocześnie zaskarbił sobie sympatię całego miasta. Przede wszystkim kupcy bardzo go lubili, a mianowicie za to, że nie był dumny; i rzeczywiście, chrzczył im dzieci, kumał się z nimi i chociaż równocześnie mocno z nich zdzierał, ale jakoś nadzwyczaj zręcznie. I po ramieniu poklepie, i roześmieje się, i poczęstuje herbatą, obieca nawet sam przyjść zagrać w warcaby, rozpyta o wszystko: jak tam interesiki, i to, i owo; jeśli się dowie, że dzieciak jakoś niedomaga, to i lekarstwo doradzi, słowem, porządny chłop! Przejedzie się powozikiem, dopatrzy porządku, a jednocześnie rzeknie słówko temu i owemu: „Cóż, Michieicz! Warto by kiedyś dokończyć partyjkę”. „Tak, Aleksy Iwanowiczu – odpowiadał ten zdejmując czapkę – warto by”. „No, bracie Ilio Paramonyczu, przyjdź no do mnie obejrzeć kłusaka. Może się ścigać z twoim, a zaprzęgnij no i swego, spróbujemy”. Kupiec, który był zwariowany na punkcie kłusaka, uśmiechał się na to ze szczególną, jak to się mówi, ochotą i gładząc brodę mówił: „Spróbujemy, Aleksy Iwanowiczu!” Nawet wszyscy subiekci, zwykle zdjąwszy wtedy czapki, spoglądali po sobie z zadowoleniem, jakby chcieli powiedzieć: „Aleksy Iwanowicz to dobry człowiek!” Słowem, policmajster zdołał zyskać sobie zupełną popularność i zdanie kupców było takie, że Aleksy Iwanowicz chociaż weźmie, ale już na pewno cię nie wyda”.

Zauważywszy, że przekąska gotowa, policmajster zaproponował gościom zakończenie wista po śniadaniu i wszyscy udali się do pokoju, z którego dolatywał od dawna zapach w miły sposób łechcący nozdrza gości i dokąd Sobakiewicz już dawno zaglądał przez drzwi, upatrzywszy z daleka jesiotra, postawionego z boku na dużym półmisku. Goście wypiwszy po kieliszku wódki ciemnooliwkowego koloru – jaki miewają tylko syberyjskie kryształki, z których w całej Rosji robią pieczęcie – ze wszystkich stron przystąpili z widelcami do stołu i zaczęli, jak to się mówi, uzewnętrzniać swe charaktery i skłonności zabierając się to do kawioru, to do łososa, to do sera. Sobakiewicz, ominąwszy bez najmniejszego zainteresowania wszystkie te drobiazgi, przysunął się do jesiotra i podczas gdy tamci pili, rozmawiali i jedli, trochę więcej niż w kwadrans spałaszował go całego, tak że gdy policmajster przypomniał sobie o nim i powiedział: – Jakże panom będzie smakował ten twór przyrody? – podszedł z widelcem do niego razem z innymi, ujrzał, że z tworu pozostał tylko ogon; a Sobakiewicz zrobił taką minę, jakby to wcale nie on, i podszedłszy do talerza, który stał dalej od innych, brał na widelec jakąś suszoną małą rybkę. Załatwiwszy się z jesiotrem Sobakiewicz usiadł na fotelu i już więcej nie jadł, nie pił, tylko przymrużał oczy i mrugał. Policmajster, zdaje się, nie lubił żałować wina, toastom nie było końca. Pierwszy toast wypito, jak czytelnicy być może sami się domyślają, za zdrowie nowego chersońskiego ziemianina; potem za pomyślność jego chłopów i szczęśliwe przesiedlenie, potem za zdrowie jego przyszłej, urodziwej żony, co wywołało miły uśmiech na ustach, i zaczęto usilnie prosić, żeby został w mieście chociaż na dwa tygodnie.

– Nie, Pawle Iwanowiczu! Jak pan sobie chce, ale wychodzi na to, że pan tylko pokój oziębła. Za próg i z powrotem! Nie, niech Pan z nami spędzi jakiś czas! Ożenimy pana. Prawda, Iwanie Grigorijewiczu, ożenimy go?

– Ożenimy, ożenimy! – podchwycił prezes. – Choćby się pan opierał rękami i nogami, ożenimy pana! Nie, drogi panie, kiedy pan tu się dostał, to już trudna rada. Z nami nie ma żartów.

– Cóż? po co się opierać rękami i nogami – powiedział Cziczikow z uśmiechem – żeniaczka nie taka straszna... żeby tylko była narzeczona.

– Będzie i narzeczona! Jakżeby nie? Wszystko będzie, wszystko, co pan chce!...

– A skoro będzie...

– Brawo, zostaje! – zawołali wszyscy – hura! wiwat Paweł Iwanowicz! hura! – I wszyscy z kieliszkami w ręku podeszli do niego, żeby się trącić, Cziczikow trącił się ze wszystkimi. – Nie, nie, jeszcze! – mówili gorliwsi i znowu się tręcili, potem podeszli trzeci raz się trącać, tręcili się i trzeci raz. W niedługim czasie wszystkim zrobiło się niezwykle wesoło. Prezes, który był przemitym człowiekiem, gdy się rozweselił, kilka razy ścisnął Cziczikowa powiedziawszy w wylewności serdecznej: – Duszo ty moja! mamciu moja! – i nawet strzeliwszy palcami zaczął wokoło niego tańczyć przyśpiewując znaną pieśń: „Ach, ty taki i owaki, kamariński chłopie!” Po szampanie odkorkowali węgierskie, które dodało jeszcze więcej animuszu i rozweseliło towarzystwo. O wiście zupełnie zapomnieli; spierali się, krzyczeli, mówili o wszystkim, o polityce, nawet o wojskowości, wypowiadali wolne myśli, za które w innym czasie sami by zerznęli skórę własnym dzieciom. Rozstrzygnięto zaraz mnóstwo najbardziej skomplikowanych zagadnień. Cziczikow nigdy się nie czuł taki wesół, zdawało mu się, że już jest prawdziwym chersońskim ziemianinem, mówił o różnych melioracjach, o gospodarce trójpolowej, o szczęściu, i pomyślności dwojga dusz i zaczął deklamować Sobąkiewiczowi list wierszem Wertera do Szarlotty, na co ten tylko mrugał oczami siedząc w fotelu, bo po jesiotrze odczuwał wielką ochotę do snu. Cziczikow zauważywszy wreszcie sam, że zaczął już trochę zanadto sobie pozwalać, poprosił o konie i skorzystał z powozu prokuratora. Stangret prokuratora, jak się okazało w drodze, był to chłopak doświadczony, bo powoził tylko jedną ręką, a drugą, wyciągnąwszy ją w tył, podtrzymywał pana. W ten sposób Cziczikow w powozie prokuratora dojechał do swego hotelu, gdzie długo jeszcze plótł, co mu ślina na język przyniosła: jasnowłosa narzeczona z rumieńcem i dołkiem na prawym policzku, chersońskie wsie, kapitały. Selifan otrzymał nawet te i owe dyspozycje gospodarskie, żeby zebrał wszystkich przesiedlonych chłopów i wywołał wszystkich po nazwisku. Selifan słuchał w milczeniu bardzo długo, po czym wyszedł z pokoju powiedziawszy Pietrkowi: – Idź rozebrać pana! – Pietrek zabrał się do ściągania z pana butów i omal nie ściągnął go razem z nimi na podłogę. Ale w końcu buty zostały zdjęte, pan się rozebrał jak trzeba i pokręciwszy się jakiś czas w łóżku, które niemiłosiernie skrzypiało, zasnął zupełnie jak chersoński obywatel ziemski. A Pietrek tymczasem wyniósł na korytarz pantaloney i borówkowy frak „z iskrą” i rozwiesiwszy go na drewnianym wieszadle, zaczął trzepać i czyścić szczotką, napełniając kurzem cały korytarz. Szykując się już zdjąć frak z wieszadła, spojrzął z galerii w dół i zobaczył Selifana wracającego ze stajni. Zamienili spojrzenia i natychmiast zrozumieli się wzajemnie: pan poszedł spać, można by zajrzeć tu i ówdzie. Natychmiast odniósłszy do pokoju frak i pantaloney, Pietrek zszedł na dół i obaj poszli razem nie mówiąc jeden drugiemu nic o celu wyprawy i gawędząc po drodze o czymś zupełnie postronnym. Spacer odbyli niedaleki. Przeszli tylko na drugą stronę ulicy do domu stojącego naprzeciwko hotelu i weszli w niziutkie, szklane, zakopcone drzwi prowadzące prawie do suterenu, gdzie przy drewnianych stołach siedziało już liczne i różnorodne towarzystwo: i z ogolonymi brodami, i z nie ogolonymi, i w kożuchach bez wierzchu, i po prostu w koszulach, a niektórzy nawet w grubych szynelach. Co tam robił Pietrek z Selifanem, Bóg raczy wiedzieć, ale po godzinie wyszli stamtąd trzymając się za ręce, zachowując zupełne milczenie, okazując jeden drugiemu wielką pieczołowitość i ostrzegając się wzajemnie przed różnymi węglami. Ręka w rękę, nie wypuszczając się z uścisku, cały kwadrans wdrapywali się na schody, w końcu przewyciężyli je i weszli. Pietrek zatrzymał się chwilę przed swoim niziutkim łóżkiem, rozmyślając, jak się ma położyć, i położył się zupełnie na poprzek, tak że nogi pozostały na podłodze. Selifan również położył się na tym samym łóżku, umieściwszy głowę na brzuchu Pietrka i zapomniawszy, że powinien spać wcale nie tu, ale, być może, w izbie czeladnej, jeżeli nie w stajni przy koniach. Obaj

zasnęli natychmiast i zaczęli chrapać niezmiernie grubo, na co pan z sąsiedniego pokoju, odpowiadał przenikliwym nosowym świstem. Wkrótce potem wszystko się uspokoilo i hotel zapadł w głęboki sen; tyłka w jednym okienku widać było jeszcze światło, tam gdzie mieszkał jakiś przyjezdny z Riazania porucznik, widocznie wielki amator; butów, bo zamówił już sobie cztery pary i bez ustanku przymierzał piątą. Kilka razy podchodził do łóżka z tym, żeby buty zdjąć i położyć się, ale w żaden sposób nie mógł: buty istotnie były dobrze uszyte; i długo jeszcze porucznik podnosił nogę i oglądał nad podziw świetnie skrojony obcas.

ROZDZIAŁ VIII

Zakupy Cziczikowa stały się tematem rozmów. Zaczęto w mieście mówić, dyskutować, zastanawiać się nad tym, czy warto kupować chłopów na przesiedlenie. Wiele dyskusji wykazywało doskonałą znajomość rzeczy. „Naturalnie – mówili niektórzy – co do tego nie ma dwóch zdań: w południowych guberniach istotnie ziemia jest dobra i żyzna; ale jak tam będzie chłopom Cziczikowa bez wody? Przecież tam nie ma żadnej rzeki”. „To jeszcze nic, że nie ma wody, to jeszcze nic, Stiepanie Dmitrijewiczu, ale przesiedlenie to niepewna rzecz. Wiadomo, jaki chłop jest: na nowej ziemi, i do tego jeszcze ma się zająć uprawą roli, i nic nie ma – ani chałupy, ani zabudowań – ucieknie, jak dwa razy dwa cztery, weźmie nogi za pas i tyłeś go widział”. „Nie, Aleksy Iwanowiczu, przepraszam, przepraszam, nie zgadzam się z tym, co pan mówi, że chłop Cziczikowa ucieknie. Rosjanin zdatny jest do wszystkiego i przywyknie do każdego klimatu. Posłać go choćby na Kamczatkę i dać mu tylko ciepłe rękawice, uderzy w ręce, siekierę w garść i pójdzie stawiać sobie nową chałupę”. „Ale nie wziął pan pod uwagę, Iwanie Grigorijewiczu, ważnej rzeczy, nie zapytał pan jeszcze, jakich chłopów ma Cziczikow. Zapomniał pan, że przecież dobrego człowieka właściciel ziemski nie sprzedaje; gotów jestem dać głowę, jeżeli chłop Cziczikowa nie jest złodziejem i pijanicą w najgorszym gatunku, wałkoniem i urwipołciem”. „Tak, tak, z tym się zgadzam, to prawda, nikt nie sprzedaje dobrych ludzi i chłopci Cziczikowa są pijanicami, ale trzeba wziąć pod uwagę, że w tym właśnie tkwi pierwiastek moralny, właśnie w tym. Teraz to gałgany, a przesiedliwszy się na nową ziemię mogą stać się nagle doskonałymi poddanymi. Było już sporo takich przykładów: po prostu na świecie, a w historii również”. „Nigdy, nigdy – mówił zarządzający fabrykami rządowymi – niech mi pan wierzy, nigdy tak być nie może, bo chłop Cziczikowa będą teraz mieli dwóch potężnych wrogów. Pierwszy wróg to bliskość guberni małoryjskich, gdzie, jak wiadomo, jest wolna sprzedaż wódki. Zapewniam pana, że w dwa tygodnie rozpiją się i będą do niczego. Drugi wróg to już samo przyzwyczajenie do włóczęgowskiego życia, którego z pewnością nabiorą chłopci podczas przesiedlenia. Trzeba by chyba, żeby Cziczikow ciągle miał ich na oczach i żeby ich trzymał żelazną ręką, żeby ich karał za byle głupstwo, i to nie polegając na innych, ale żeby sam osobiście, tam gdzie należy, dał i w zęby, i po karku”. „Po cóż Cziczikow ma sam sobie tym zawracać głowę i dawać po karku? Może sobie znaleźć rządcę”. „Akurat! znajdzie pan rządcę; wszystko to łotry!” „Dlatego łotry, że panowie nie zajmują się interesami”. „To prawda! – podchwyciło wielu innych. Niechby tylko panowie choć trochę znali się na gospodarstwie i umieli oceniać ludzi. Tacy zawsze będą mieli dobrych rządców”. Ale zarządzający powiedział, że za mniej niż pięć tysięcy nie można znaleźć dobrego rządcy. Prezes natomiast powiedział, że można znaleźć i za trzy tysiące. Lecz zarządzający rzekł: „Gdzie pan go znajdzie? chyba u siebie w nosie?” Ale prezes odparł: „Nie, nie w nosie, ale w tutejszym powiecie, a mianowicie: Piotr Pietrowicz Samojułow. Oto rządca, jaki jest potrzebny dla chłopów Cziczikowa!” Wielu kłopotowało się bardzo położeniem Cziczikowa i trudność przesiedlenia tak wielkiej ilości chłopów nadzwyczajnie ich przestraszyła; zaczęli się mocno obawiać, żeby nie było buntu pośród takiego niespokojnego narodu, jakim są chłopci Cziczikowa. Na to policmajster zauważył, że buntu nie ma co się obawiać, że dla zapobieżenia mu istnieje władza isprawnika, że choćby nawet isprawnik sam nie pojechał, tylko posłał zamiast siebie swoją czapkę, to sama ta czapka zapędzi chłopów aż do miejsca ich osiedlenia. Wielu wyraziło swe zdanie co do tego, jak wykorzenić niespokojnego ducha, który ogarnął chłopów Cziczikowa. Zdania były różnorodne:

były takie, które już nazbyt trąciły wojennym okrucieństwem i surowością, czy aby nie zbyt; były jednak i takie, które tchnęły łagodnością. Poczmistrz zauważył, że Cziczikow powinien to sobie mieć za święty obowiązek, iż może się stać dla swych chłopów pewnego rodzaju ojcem i, że wedle jego mniemania, może nawet wprowadzić zbawienną oświatę, i przy tej sposobności wyraził się z wielkim uznaniem o lancasterowskiej metodzie wzajemnego nauczania.

W ten sposób rozumowano i mówiono w mieście i wielu, powodowanych sympatią, nawet osobiście komunikowało Cziczikowowi niektóre z tych rad; zalecali nawet konwój celem bezpiecznego zaprowadzenia chłopów na miejsce ich osiedlenia. Cziczikow dziękował za rady, zapewniał, że przy sposobności nie zapomni z nich skorzystać, a od konwoju zdecydowanie się wymówił, twierdząc, że jest on zupełnie niepotrzebny, że kupieni przez niego chłopci są szczególnie spokojnego charakteru, odnoszą się jak najprzychylniej do przesiedlenia i że buntu wśród nich w żadnym wypadku być nie może.

Wszystkie te opinie i rozumowania wywołały jednak najlepsze skutki, jakich tylko Cziczikow mógł się spodziewać. Rozeszły się mianowicie pogłoski, że jest on ni mniej, ni więcej tylko milionerem. Mieszkańcy miasta i tak, jak to już widzieliśmy w pierwszym rozdziale, serdecznie polubili Cziczikowa, a teraz po tych pogłoskach polubili go jeszcze serdeczniej. Zresztą, prawdę mówiąc, wszystko to byli ludzie dobrzy, żyli ze sobą zgodnie, odnosili się do siebie bardzo przyjaźnie i rozmowy ich nosiły piętno jakiejś szczególnej prostoduszności i zażyłości: „Drogi przyjacielu Ilio Iliczu!... Słuchaj, bracie Antypatrze Zacharijewiczu! Załgałeś się, najdroższy Iwanie Grigorijewiczu!” Mówiąc do poczmistrza, który nazywał się Iwan Andriejewicz, zawsze dodawano: „Szprechen zi dejcz⁹. Iwanie Andriejewiczu?” Słowem, wszystko było bardzo po familijnemu. Wielu było nie bez wykształcenia: prezes sądu znał na pamięć „Ludmiłę” Żukowskiego, która wtedy była jeszcze ostatnią nowością, i po mistrzowsku recytował wiele ustępów, szczególnie: „Bór usnął, śpi dolina i słowo: „Słuchaj!”, tak że naprawdę zdawało się, jakby dolina spała; dla większego podobieństwa nawet mrużył wtedy oczy. Poczmistrz zajmował się raczej filozofią, czytał bardzo gorliwie, nawet po nocach. „Nocne myśli” Younga i „Klucz do tajemnic natury” Eckartshausena, z których robił bardzo długie notatki; ale jakiego rodzaju były te notatki, tego nikt nie wiedział. Zresztą był to człowiek dowcipny, kwiecisty w mowie i lubił, jak się sam wyrażał, okraszać mowę. A okraszał mowę mnóstwem rozmaitych dodatków, jako to: „Panie dobrodzieju, jakiś tam taki owaki, wie pan, rozumie pan, może pan sobie wyobrazić, poniekąd, że tak powiem, pewnego rodzaju” itp., którymi sypał jak z rękawa; okraszał również mowę dość zręcznie mruganiem i przymrużaniem jednego oka, co razem nadawało bardzo zjadliwy charakter jego satyrycznym aluzjom. Inni byli także, mniej lub więcej, ludźmi oświeconymi: ten czytał Karamzina, ów „Wiadomości Moskiewskie”, a niektórzy nawet w ogóle nic nie czytali. Jeden był tym, co nazywają ciepłymi kluskami, to jest człowiekiem, którego trzeba było podnosić szturchańcem do każdej rzeczy; inny po prostu leniwcem, który leży, jak powiadają, całe życie na boku i którego nawet daremnie by było podnosić; nie wstanie w żadnym razie. Co do powierzchowności, wiadomo, wszystko to byli ludzie okazali, suchotnika nie było między nimi żadnego. Wszyscy byli tego rodzaju, którym żony w tkliwych rozmowach, odbywanych na osobności dawały nazwy: grubaska, tłuscioszka, dzbanuszka, grzybka, kiki, żuzu, itp. Ale na ogół byli to ludzie dobrzy, pełni gościnności, i człowiek, który z nimi spróbował chleba i soli albo przesiedział wieczór przy wiście, stawał się bliskim, tym bardziej Cziczikow ze swoimi czarującymi cechami charakteru i obejściem, naprawdę znający wielką tajemnicę podobania się. Tak go polubili, że nie widział sposobu wyrwania się z miasta, wciąż tylko słyszał: „Choćby tydzień, jeszcze tylko tydzień niech pan pobędzie z nami. Pawle Iwanowiczu!” – słowem, był, jak się to mówi, noszony na rękach. Ale nieporównanie bardziej godne uwagi było wrażenie (przedmiot najwyższego podziwu!), jakie wywarł Cziczikow na damach. Żeby to trochę wyjaśnić, trzeba by dużo powiedzieć o samych damach, o ich towarzystwie, namalować, jak się to mówi,

⁹ Zniekształcone: *sprechen Sie deutsch* – czy mówi pan po niemiecku? (w oryginale fonetycznie).

żywymi barwami ich duchowe zalety; ale to dla autora jest bardzo trudne. Z jednej strony powstrzymuje go bezgraniczny szacunek dla małżonek dygnitarzy, a z drugiej strony... z drugiej strony, po prostu trudno. Damy miasta N. były... nie, nie mogę w żaden sposób; odczuwam po prostu onieśmielenie. W damach miasta N. najbardziej godne uwagi było to... To aż dziwne, pióro zupełnie się nie porusza, jakby miało w sobie ołów. Tak więc już być musi: opis ich charakterów trzeba widocznie pozostawić temu, kto posiada żywsze barwy i większą ich ilość na palecie; a nam wypadnie powiedzieć zaledwie kilka słów o zewnętrznym wyglądzie i o tym, co jest bardziej powierzchowne. Damy miasta N. były tym, co się nazywa – dobrze się prezentującymi, i pod tym względem można je było śmiało dać za wzór innym. Co do tego, jak się znaleźć, utrzymać dobry ton, zachować etykietę, mnóstwo najsztubtelniejszych przepisów przyzwoitości, a w szczególności dostosować się do mody aż do najmniejszych drobiazgów, pod tym względem wyprzedziły nawet damy petersburskie i moskiewskie. Ubierały się z wielkim smakiem, rozjeżdżały po mieście w kolaskach, jak kazała ostatnia moda, z tyłu kołysał się lokaj i liberia ze złotymi galonami. Bilet wizytowy, choćby był napisany na dwójce treflowej albo na karowym asie, był niezmierną świętością. Z powodu niego dwie damy, wielkie przyjaciółki, a nawet krewne, pogniwały się zupełnie, mianowicie o to, że jedna z nich jakoś zwlekała z rewizytowaniem drugiej. I chociaż później mężowie i krewni starali się je pogodzić, nic nie pomogło, okazało się, że wszystko można na świecie zrobić, tylko jednego nie można: pogodzić dwóch dam, które się pogniwały o zwleknięcie z rewizytą. Tak więc obie damy zachowały wzajemną niechęć, według wyrażenia miejskiego świata. W związku z zajmowaniem pierwszych miejsc zdarzało się również mnóstwo bardzo mocnych scen, wpajających niekiedy mężom całkowicie rycerskie, wielkoduszne pojęcia o obronie czci. Do pojedynków naturalnie pomiędzy nimi nie dochodziło, bo wszyscy byli cywilnymi Urzędnikami, ale za to jeden drugiemu starał się robić wstręty, gdzie tylko było można, co, jak wiadomo, niekiedy bywa gorsze od wszelkich pojedynków. W obyczajach damy miasta N. były surowe, pełne szlachetnego oburzenia przeciwko wszelkiemu zepsuciu i wszelkim pokusom, piętnowały bez najmniejszej litości wszelką słabość. Jeśli zaś zdarzyło się im coś, co nazywają tym i owym, to zdarzało się to potajemnie, tak że na zewnątrz najmniejszy pozór nie zdradzał, co się dzieje, cała godność zostawała zachowana i sam mąż, jeśli nawet widział t o i o w o albo słyszał o t y m, odpowiadał krótko i rozsądnie: co komu do tego? Należy jeszcze wiedzieć, że damy miasta N. odznaczały się, podobnie jak wiele dam petersburskich, niezwykle ostrożnością i przyzwoitością w słowach i wyrażeniach. Nigdy nie mówiły: wysmarkałam się, spociłam się, splunęłam, ale: ulżyłam swemu nosowi, użyłam chusteczki. W żadnym wypadku nie można było powiedzieć: ta szklanka albo ten talerz śmierdzi. Nawet nie można było powiedzieć nic takiego, co by na to naprowadzało, mówiły natomiast: ta szklanka źle się sprawuje albo coś w tym rodzaju. Żeby jeszcze bardziej uszlachetnić język rosyjski, prawie połowa słów była zupełnie usunięta z rozmowy i dlatego bardzo często trzeba było się uciekać do francuszczyzny; ale za to po francusku, to inna sprawa: używano tam takich słów, które były znacznie mocniejsze od wyżej wspomnianych. A więc oto co można powiedzieć o damach miasta N., mówiąc powierzchownie. Ale jeżeli zajrzeć głębiej, to naturalnie ukaże się wiele innych rzeczy, ale to bardzo niebezpiecznie zaglądać głębiej w serca dam. A więc poprzestając na rzeczach powierzchownych będziemy opowiadać dalej. Dotychczas wszystkie damy jakoś mało mówiły o Cziczikowie, oddając mu zresztą zupełną sprawiedliwość co do gładkości światowych manier; ale od czasu, gdy rozeszły się pogłoski o jego milionowej fortunie, znalazły się i inne zalety. Zresztą damy wcale nie były interesowne: wszystkiemu winno słowo „milioner”, nie sam milioner, tylko właśnie to słowo; bo w samym brzmieniu tego słowa, niezależnie od worka z pieniędzmi, zawarte jest coś takiego; co działa i na łajdaków, i na ni takich, ni owakich, i na porządnych ludzi, słowem, działa na wszystkich. Milioner ma ten przywilej, że może oglądać podłość zupełnie bezinteresowną, czystą podłość, nie opartą na żadnej rachubie. Jest wielu takich, którzy wiedzą bardzo dobrze, że nic nie dostaną od niego i nie mają najmniejszej podstawy do tego, żeby dostać, ale koniecznie chcą chociaż zabiec mu drogę, chociaż uśmiechnąć się, chociaż zdjąć kapelusz, chociaż wprosić się

gwałtem na obiad, na który będzie zaproszony milioner. Nie można powiedzieć, żeby damy uczuły delikatną skłonność do podłości; jednak w wielu salonach zaczęto mówić otwarcie, że naturalnie Cziczikow nie jest najpiękniejszy, ale za to taki, jakim powinien być mężczyzna, że gdyby był trochę grubszy albo pełniejszy na twarzy, to już by było nieładnie. Przy tym wyrażano się jakoś ubliżająco o chudych mężczyznach, że są niczym więcej jak czymś w rodzaju wykałaczkii, a nie człowieka. W toaletach damskich zjawiały się różne dodatki. W sklepach zrobiło się zamieszanie, omal że nie tłok; wyglądało to na festyn, tak wiele nazjeżdżało się pojazdów. Kupcy zdumieli się widząc, jak kilka sztuk materiałów przywiezionych przez nich z jarmarku i nie sprzedanych z powodu ceny, która się wydawała wygórowaną, poszło nagle w kurs i zostało rozkupione na wyścigi. Podczas nabożeństwa zauważono, że jedna z dam miała u dołu sukni taki tren, że rozcapierzał ją na pół cerkwi, aż znajdujący się tam komisarz cyrkułu kazał się ludziom odsunąć dalej, to jest bliżej kruchty, żeby przypadkiem nie pogniotła się toaleta jej wysokości. Nawet sam Cziczikow nie mógł w pewnej mierze nie zauważyć takiego zainteresowania. Raz powróciwszy do domu znalazł u siebie na stole list; skąd i kto go przyniósł, w żaden sposób nie można było się dowiedzieć; numerowy powiedział, że przyniesiono go i nie kazano mówić, od kogo. List zaczynał się bardzo zdecydowanie, a mianowicie tak: „Nie, muszę napisać do Ciebie!” Potem była mowa o tym, że istnieje ukryta sympatia pomiędzy duszami; ta prawda była poparta kilku kropkami zajmującymi prawie połowę wiersza. Potem następowało kilka myśli, bardzo godnych uwagi ze względu na ich słusność, tak że uważamy prawie za konieczne wypisać je: „Czymże jest nasze życie? Doliną, w której zamieszkała gorycz. Czym jest świat? Nieczułym tłumem ludzi”. Następnie pisząca nadmieniała, że oblewa łzami wiersze tkliwej matki, której już od dwudziestu pięciu lat nie ma na świecie; Cziczikow był zapraszany na pustynię, żeby na zawsze porzucił miasto, gdzie ludzie w dusznych zamknięciach nie korzystają z powietrza; zakończenie listu wyrażało nawet zdecydowaną rozpacz i kończyło się takimi wierszami:

Gruchając smutno, powie
Synogarlica biała:
Ona cię aż do śmierci
Kochała i w gorzkich łzach skonała.

W ostatnim wierszu nie była zachowana stopa metryczna, ale to zresztą nic: list był napisany zgodnie z duchem owego czasu. Nie było również podpisu: ani imienia, ani nazwiska, ani nawet miesiąca i daty. Tylko w postscriptum było dodane, że jego serce powinno odgadnąć piszącą i że na balu u gubernatora, mającym się odbyć jutro, będzie obecna i sama autorka.

To go bardzo zainteresowało. W anonimie było tak wiele czegoś kuszącego i podniecającego ciekawość, że przeczytał list po raz drugi i po raz trzeci, i w końcu powiedział: – Ciekawe jednak, kim by mogła być pisząca! – Słowem, sprawa, jak widać, stała się poważna; więcej niż godzinę wciąż myślał nad tym, w końcu rozłożywszy ręce i opuściwszy głowę powiedział: – A list napisany bardzo, bardzo kwieście! – Potem, rozumie się samo przez się, list został zwinięty i położony do szkatułki w sąsiedztwie jakiegoś afisza i zaproszenia na ślub, od siedmiu lat pozostających w tym samym miejscu. Trochę później przyniesiono mu zaproszenie na bal do gubernatora – rzecz całkiem zwykła w miastach gubernialnych: gdzie gubernator, tam i bal, inaczej w żaden sposób nie będzie należnej miłości i szacunku ze strony szlachty.

Wszystko postronne zostało natychmiast odłożone i odsunięte i wszystko zostało skoncentrowane na przygotowaniach do balu, bo też rzeczywiście było wiele zachęcających i podniecających powodów. Dlatego zapewne od stworzenia świata nikt nie użył tyle czasu na toaletę. Cała godzina była poświęcona wyłącznie oglądaniu twarzy w lustrze. Próbował jej nadać mnóstwo rozmaitych wyrazów: to poważny i stateczny, to szanowny, lecz nieco uśmiechnięty, to po prostu szanowny bez uśmiechu; oddał też do lustra kilka ukłonów wraz z niejasnymi dźwiękami trochę podobnymi do francuskich, chociaż po francusku Cziczikow wcale nie umiał. Nawet zrobił

sobie samemu mnóstwo miłych niespodzianek, poruszył brwią i ustami i wykonał nawet jakiś ruch językiem; słowem, czego się nie robi, jeśli się jest samym, czując przy tym, że się jest ładnym, a do tego będąc pewnym, że nikt nie zagląda przez szparę. W końcu z lekka trzepnął się w podbródek powiedziawszy: – Ach, ty mopsie! – i zaczął się ubierać. Jak najpogodniejszy nastrój nie opuszczał go przez cały czas ubierania się; nakładając podwiązki albo zawiązując halsztuk szurgał nogami i kłaniał się ze szczególną zrećnością, i chociaż nigdy nie tańczył, wykonał *entrechat*. To *entrechat* spowodowało małe niewinne następstwo: zadrżała komoda i ze stołu spadła szczotka.

Jego ukazanie się na balu wywołało niezwykle poruszenie. Wszyscy bez wyjątku wyszli na jego spotkanie, ten z kartami w ręku, ów w najbardziej interesującym punkcie rozmowy powiedziawszy: – A sąd ziemski odpowiada na to... – ale co takiego odpowiada sąd ziemski, to już odłożył na bok i śpieszył z powitaniem do naszego bohatera: – Paweł Iwanowicz! Ach, mój Boże, Paweł Iwanowicz! Kochany Paweł Iwanowicz! Szanowny Pawle Iwanowiczu! Drogi Pawle Iwanowiczu! więc i pan tutaj. Pawle Iwanowiczu! Oto on, nasz Paweł Iwanowicz! Niech pan pozwoli się uścisnąć, Pawle Iwanowiczu! Dawajcie no go tutaj, niech go mocno ucałuję, mego drogiego Pawła Iwanowicza! – Cziczikow od razu poczuł się w objęciach kilku osób. Jeszcze nie zdążył się wydostać z objęć prezesa, gdy już się znalazł w objęciach policmajstra; policmajster oddał go zarządzającym szpitalami; zarządzający szpitalami – dzierżawcy wódczanemu, dzierżawca wódczany architektowi... Gubernator, który wtedy stał przy damach i trzymał w jednej ręce paperek od cukierka, a w drugiej pieska bolońskiego, rzucił na podłogę i paperek, i pieska, także piesek aż zaskowyczał; słowem, gubernator okazał niezwykle rozradowanie i wesołość. Nie było tu twarzy, na której by się nie malowało zadowolenie albo przynajmniej odbicie powszechnego zadowolenia. Widuje się to na twarzach urzędników podczas inspekcji powierzonych im stanowisk, odbywanej przez przyjezdnego zwierzchnika, gdy już minął pierwszy strach, zobaczyli, że wiele rzeczy mu się podoba i że sam raczył w końcu zażartować, to jest wypowiedzieć z miłym uśmiechem kilka słów. W odpowiedzi na to dwa razy więcej śmieją się otaczający go blisko urzędnicy; śmieją się z całej duszy ci, którzy zresztą stali nieco dalej od zwierzchnika i dość kiepsko usłyszeli wypowiedziane przez niego słowa, i w końcu stojący daleko przy drzwiach, przy samym wyjściu, jakiś policjant, który jak żyje nie śmiał się i dopiero co pokazywał zebranemu tłumowi pięść, i ten, zgodnie z nieodmiennymi prawami odbicia, wyraża na swej twarzy jakiś uśmiech, chociaż ten uśmiech bardziej podobny jest do tego, jakby ktoś miał kichnąć po mocnej tabace. Bohater nasz odpowiedział wszystkim i każdemu z osobna i czuł jakąś niezwykłą zrećność: oddawał ukłony na prawo i na lewo, swoim zwyczajem nieco na ukos, ale zupełnie swobodnie, tak że wszystkich oczarował. Damy zaraz otoczyły go błyszczącą girlandą, przynosząc ze sobą całe obłoki wszelkiego rodzaju woni: jedna pachniała różami, od drugiej zalatywało wiosną i fiołkami, trzecia cała na wskroś była przesiąknięta rezedą: Cziczikow tylko podnosił nos do góry i wąchał. W ich strojach było gustu co niemiara: muśliny, atłasy, jedwabie były w tak bladych, modnych kolorach, że nie można było nawet znaleźć dla nich nazwy, tak daleko posunęła się subtelność gustu. Szarfy i bukietki kwiatów widniały tu i tam na toaletach w jak najbardziej malowniczym nieładzie, chociaż nad tym nieładem niemało napracowała się głowa. Lekkie stroiki na głowach trzymały się tylko na uszach i zdawało się, że każdy z nich mówił: „Oj, uleczę, szkoda tylko, że nie uniosę ze sobą tej pięknej damy!” Talie były obciśnięte i miały bardzo mocne i miłe dla oczu kształty (należy zaznaczyć, że w ogóle wszystkie damy miasta N. były nieco pełne, ale sznurowały się tak misternie i posiadały tak miłe maniery, że otyłości w żaden sposób nie można było zauważyć). Wszystko u nich było obmyślane i przewidziane z niezwykłą przezornością; szyja, ramiona były odsłonięte akurat tyle, ile trzeba, broń Boże nie więcej; każda obnażała swe wdzięki dotąd, dopóki we własnym przekonaniu czuła, że zdolne są zgubić człowieka; reszta była ukryta z niezwykłym smakiem: albo jakiś leciutki halsztuczek ze wstażki lżejszej od ciasteczka, znanego pod nazwą całuska, eterycznie obejmował i owiewał szyję, albo na ramionach, spod stanika wystawały maleńkie ząbkowane wypustki z cienkiego batystu, znane pod nazwą skromnostek. Te skromnostki ukrywały z przodu i z tyłu to, co już nie mogło człowieka zgubić, a równocześnie

kazały podejrzewać, że tam właśnie mieściła się zguba. Długie rękawiczki nie były naciągnięte do samych rękawów, lecz z rozmysłem pozostawiały obnażone ponętne części ramion, powyżej łokcia, które u wielu dam tchnęły godną zazdrości świeżością i pulchnością; niektórym damom cienkie skórkowe rękawiczki pękły nawet przy próbie posunięcia ich wyżej – słowem, zdawało się, jakby na wszystkim było wypisane: nie, to nie gubernia, to stolica, to sam Paryż! Tylko gdzieniegdzie sterczał jakiś nie widziany nigdzie na świecie czepek albo jakieś omal że nie pawie pióro, na przekór wszystkim modom, według własnego gustu. Ale już inaczej nie można, taka jest właściwość miasta gubernialnego; nieodzownie musi się czymś zblamować. Cziczikow stał przed nimi i myślał: „Któraż to z nich jest autorką listu?” I wysunął nos naprzód; ale w sam nos trącił go szereg łokci, wyłogów, rękawów, końców wstążek, pachnących szmizetek i sukien. Galopada pędziła na złamanie karku: poczmistrzowa, isprawnik, dama z niebieskim piórem, dama z białym piórem, gruziński ksiązę Czipchajchilidzew, urzędnik z Petersburga, urzędnik z Moskwy, Francuz Coucou, Perchunowski, Berebendowski – wszystko zerwało się i popędziło...

– No, zaczęło się na całego! – wyrzekł Cziczikow cofnąwszy się i gdy tylko damy siadły na miejsca, zaczął się znowu im przyglądać, chcąc z wyrazu twarzy i oczu odgadnąć, która była autorką; ale ani z wyrazu twarzy, ani z wyrazu oczu nie można było odgadnąć, która była autorką. Wszędzie było widać coś ledwie-ledwie dostrzegalnego, coś nieuchwytnie subtelnego, o! jakże subtelnego!... „Doprawdy – powiedział sobie Cziczikow – kobiety to takie stworzenia...” Tu nawet machnął ręką: „Po prostu nie ma co mówić! Spróbuj no tylko opowiedzieć albo oddać to wszystko, co im przebiega po twarzy, te wszystkie minki, aluzje... po prostu nic nie oddasz. Same ich oczy to takie bezgraniczne królestwo, do którego człowiek przyjechał – i przepadł! Już go się stamtąd ani obcęgami, ani niczym nie wyciągnie. – No, spróbuj na przykład wypowiedzieć tylko ich blask: wilgotny, aksamitny, cukrowy. Bóg wie, jakiego tam jeszcze nie ma! I szorstki, i miękki, a nawet całkiem omdlały, albo, jak niektórzy mówią, upojny, albo bez upojenia, ale jeszcze gorzej niż upojny, tak schwyty za serce i pociągnie po całej duszy jak smyczkiem. Nie, po prostu nie można słów znaleźć: galancka połowa rodu ludzkiego i nic więcej!”

Przepraszam! Zdaje się, że z ust naszego bohatera sfrunęło słówko usłyszane na ulicy. Cóż robić? Takie już w Rosji położenie pisarza! Zresztą, jeżeli słowo z ulicy dostało się do książki, winien jest nie pisarz, ale czytelnicy, a przede wszystkim czytelnicy z wyższych sfer: od nich pierwszych nie można usłyszeć ani jednego porządnego rosyjskiego słowa, a francuskimi, niemieckimi i angielskimi, kto wie, może obdarzą w takiej ilości, że będzie aż za wiele, i to obdarzą nawet z zachowaniem wszelkich możliwych sposobów wymawiania – po francusku przez nos i gardłowo, po angielsku ptasim głosem i nawet zrobią ptasią minę i wyśmieją tych, którzy nie będą umieli zrobić ptasiej miny; i tylko niczym rosyjskim nie obdarzą, chyba że przez patriotyzm wybudują sobie na letniku chatę w rosyjskim stylu. Oto jacy są czytelnicy z wyższych sfer, a za nimi wszyscy zaliczający siebie do wyższych sfer! A równocześnie co za wymagania! Chcą koniecznie, żeby wszystko było napisane jak najbardziej surowym, czystym i szlachetnym słowem, chcą, żeby język rosyjski sam nagle spadł z obłoków, opracowany należycie, i żeby im siadł prosto na język, a oni by tylko otworzyli usta i wystawili go. Naturalnie, dobra sobie jest żeńska połowa rodu ludzkiego; ale szanowni czytelnicy, trzeba przyznać, bywają jeszcze lepsi.

A Cziczikow tymczasem nie mógł w żaden sposób zdecydować, która z dam była autorką listu. Spróbował uważnie się przyjrzeć, zobaczył, że i ze strony dam również było wyrażone coś takiego, co równocześnie zsyłało i nadzieję, i słodkie męczarnie sercu biednego śmiertelnika, tak że w końcu powiedział: – Nie, w żaden sposób nie można zgadnąć! – To jednak bynajmniej nie zepsuło pogodnego nastroju, w jakim się znajdował. Niewymuszenie i zręcznie wymieniał z niektórymi damami miłe słówka, podchodził do tej i owej drobnym kroczeniem albo, jak to mówią, drobił nóżkami, jak zwykle robią mali zalotni staruszkowie na wysokich obcasach, zwani mysimi ogierkami, bardzo zręcznie kręcący się koło dam. Podrobiwszy z dość zręcznymi obrotami na prawo i na lewo, zaraz szurgnął nóżką podobną do króciutkiego ogonka albo przecinka. Damy były bardzo zadowolone i nie tylko że odnalazły w nim mnóstwo uprzejmości i grzeczności, lecz nawet

zaczęły odnajdować w jego twarzy coś wspaniałego, coś marsowego i wojennego, co, jak wiadomo, bardzo się kobietom podoba. Nawet zaczęły się już trochę kłócić z jego powodu: zauważywszy, że zatrzymywał się zwykle przy drzwiach, niektóre na wyścigi śpieszyły zająć krzesło bliżej drzwi i gdy jednej udało się to zrobić wcześniej, omal że nie wynikła nieprzyjemna scysja, i wielu, pragnącym zrobić to samo, podobna czelność wydała się nazbyt wstrętą.

Cziczikow tak się zajął rozmową z damami, a właściwie damy tak go zajęły i zawróciły mu głowę swymi rozmowami, sypiąc mnóstwem jak najdowcipniejszych i jak najsubtelniejszych alegoryj, które wciąż trzeba było odgadywać, na skutek czego aż mu pot wystąpił na czoło – że zapomniał spełnić obowiązek grzeczności i podejść przede wszystkim do pani domu. Przypomniawszy sobie o tym dopiero wówczas, gdy usłyszał głos samej gubernatorowej, stojącej przed nim już od kilku minut. Gubernatorowa powiedziała uprzejmym i nawet nieco figlarnym tonem, z miłym ruchem głowy: – A, Pawle Iwanowiczu, więc to tak!... – Nie mogę ściśle przytoczyć słów gubernatorowej, ale powiedziano coś, co pełne było wielkiej uprzejmości, w takim duchu, w jakim wypowiadają się damy i kawalerowie w powieściach naszych wielkoświatowych pisarzy, chętnie opisujących salony i chwalcących się znajomością dobrego tonu, w duchu mniej więcej takim, że czyżby tak owładnięto pańskim sercem, że nie ma w nim już więcej miejsca ani nawet najciaśniejszego kącika dla bezlitośnie przez pana zapomnianych. Bohater nasz natychmiast zwrócił się do gubernatorowej i już gotów był dać jej odpowiedź, zapewne niczym nie gorszą od tych, jakie dają w modnych powieściach Zwońscy, Lińscy, Lidinowie, Greminowie i rozmaici dzielni, wojskowi, gdy podniósłszy niespodzianie oczy zatrzymał się nagle, jakby ogłuszony uderzeniem.

Stała przed nim nie tylko gubernatorowa: trzymała ona pod rękę młodziutką, szesnastoletnią panienkę, świeżutką blondynkę o delikatnych i ładnych rysach twarzy, ostrej bródce i czarująco zaokrąglonym owalu twarzy, jaką malarz wzięby na model do Madonny i jaka rzadko się trafia w Rosji, gdzie wszystko lubi się pokazywać w wielkich rozmiarach, wszystko, co tylko jest: i góry, i lasy, i stopy, i twarze, i usta, i nogi; tę samą blondynkę, którą spotkał w drodze jadąc od Nozdriowa, gdy, przez głupotę stangretów czy też koni, ich pojazdy tak dziwnie się zetknęły zaplątawszy się uprzężą i wujek Mitiaj z wujkiem Mintajem zabrali się do rozplątywania ich. Cziczikow tak się zmieształ, że nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa do rzeczy i wybełkotał diabli wiedzą co, czego by w żadnym razie nie powiedział ani Gremin, ani Zwoński, ani Lidin.

– Pan jeszcze nie zna mojej córki? – powiedziała gubernatorowa – Pensjonarka, dopiero co ukończyła nauki.

Odpowiedział, że miał już szczęście nieoczekiwanie zapoznać się, spróbował jeszcze dodać coś niecoś, ale to coś niecoś całkiem się nie udało. Gubernatorowa powiedziawszy kilka słów, odeszła wreszcie z córką na drugi koniec sali do innych gości, a Cziczikow wciąż jeszcze stał bez ruchu na jednym i tym samym miejscu jak człowiek, który wesoło wyszedł na ulicę, żeby się przejść, z oczami gotowymi patrzeć na wszystko i nagle zatrzymał się nieruchomo, przypomniawszy sobie, że czegoś zapomniał i wówczas już nie może być nic głupszego od takiego człowieka; w jednej chwili wyraz bez troski znika z jego twarzy; stara się sobie przypomnieć, czego właściwie zapomniał: czy nie chusteczki? ale chusteczka jest w kieszeni; czy nie pieniądze? ale pieniądze też są w kieszeni, wszystko, zdawałoby się, ma przy sobie, a tymczasem jakiś niewiadomy duch szepcze mu do uszu, że czegoś zapomniał. I oto spogląda już z roztargnieniem i niespokojnie na poruszający się przed nim tłum, na przejeżdżające ekwipaże, na kaszkiety i broń przechodzącego pułku, na szyld i niczego dobrze nie widzi. Tak samo Cziczikow stał się nagle obcy wszystkiemu, cokolwiek się działo wkoło niego. Równocześnie z wonnych damskich ust skierowało się ku niemu mnóstwo aluzji i pytań przenikniętych na wskroś delikatnością i uprzejmością: „Czy wolno nam, biednym mieszkankom ziemi, być tak śmiałymi, żeby zapytać pana, o czym marzy?” „Gdzie są te szczęśliwe miejsca, po których błądzi myśl pana?” „Czy można poznać imię tej, która pograżyła pana w tę słodką dolinę zamyślenia?” Lecz on odpowiedział na wszystko zupełną nieuwagą i miłe zwroty wpadły jak w wodę. Był nawet do tego stopnia niegrzeczny, że wkrótce odszedł od nich w

inną stronę, chcąc wypatrzeć, dokąd poszła gubernatorowa ze swoją córeczką. Lecz damy, zdaje się, nie chciały go opuścić tak prędko, każda w duchu postanowiła użyć wszelkiej możliwej broni, tak niebezpiecznej dla naszych serc, i puścić w ruch wszystko, co było najlepszego. Należy zauważyć, że niektóre damy, mówię „niektóre”, to nie znaczy, że wszystkie, mają małą słabość: jeżeli spostrzegą u siebie coś szczególnie ładnego, czoło, usta czy też ręce, to już myślą, że najładniejsza część ich twarzy zaraz pierwsza się wszystkim rzuci w oczy i wszyscy nagle jednym głosem powiedzą: „Popatrzcie, popatrzcie, jaki ona ma piękny grecki nos!” albo: „Jakie klasyczne, czarujące czoło!” Ta zaś, która ma ładne ramiona, z góry jest przekonana, że wszyscy młodzi ludzie bezwarunkowo wpadną w zachwyt i oczywiście zaczną mówić, kiedy przejdzie koło nich: „Ach, jakie ta ma cudne ramiona!” a na twarz, włosy, nos, czoło nawet nie spojrzą, a jeżeli już spojrzą, to jak na coś postronnego. W taki sposób myślą niektóre damy. Każda dama przyrzekła sobie w duchu, że będzie możliwie najbardziej czarująca w tańcu i pokaże w pełnym blasku niezwykłość tego, co ma w sobie najniezwykłego. Poczmiistrzowa, walcząc, z taką omdłością pochyliła na bok głowę, że istotnie czuło się coś niezmiernego. Pewna bardzo miła dama – która przyjechała bynajmniej nie z zamiarem tańczenia z powodu, jak się sama wyraziła, *incommodité*¹⁰ w postaci wrzodziarki na prawej nodze, wskutek czego była zmuszona włożyć aksamitne buciki – nie wytrzymała jednak i zrobiła kilka obrotów w aksamitnych bucikach, żeby poczmiistrzowa naprawdę za wiele nie zaczęła o sobie mniemać.

Ale wszystko bynajmniej nie wywarło przewidywanego wrażenia na Cziczikowie. Nawet nie patrzył na obroty wykonywane przez damy, lecz bez ustanku stawał na palcach, żeby obserwować ponad głowami, gdzie też mogła się podziać interesująca, blondynka; schylał się również i, wypatrując pośród ramion i pleców, w końcu doszukał się i zobaczył ją siedzącą razem z matką, nad którą majestatycznie kołysał się jakiś wschodni turban z piórem. Zdawało się, że chce je wziąć szturmem; czy podzielał tak na niego wiosenny nastrój, czy też popychał go ktoś z tyłu, dość że zdecydowanie przeciskał się naprzód nie zważając na nic; dzierżawca wódczany otrzymał od niego takiego szturchańca, że zachwiał się i ledwie się utrzymał na jednej nodze, gdyby nie to, naturalnie przewróciłby sobą cały szereg; poczmiistrz również się cofnął i popatrzył na Cziczikowa ze zdumieniem zmieszonym z dość subtelną ironią, lecz on na nich nie spojrzał; widział tylko blondynkę w oddali, naciągającą długą rękawiczkę i niewątpliwie umierającą z chęci frunięcia po posadzce. A już tam z boku cztery pary wybijały mazura; obcasy dziurawiły podłogę i pewien sztabkapitan pracował i duszą, i ciałem, i rękami, i nogami, wykręcając takie pas, jakich nawet we śnie nie zdarzyło się nikomu wykręcać. Cziczikow prześliznął się obok mazura prawie że na obcasach i sunął wprost do tego miejsca, gdzie siedziała gubernatorowa z córeczką. Jednak podszedł do nich bardzo nieśmiało, nie drobił tak dziarsko i fircykowato nogami, nawet się nieco zmieszał i we wszystkich jego ruchach ujawniła się jakaś niezręczność.

Nie można powiedzieć na pewno, czy istotnie w naszym bohaterze zbudziło się uczucie miłości; wątpliwe nawet, czy panowie tego rodzaju, to jest niezbyt tłuści, jednak i nie chudzi, zdolni są do miłości; ale w tym wszystkim było coś tak dziwnego, coś takiego czego sam nie mógł sobie wytłumaczyć: wydało mu się, jak to sobie później sam uświadomił, że cały bal z całym swoim gwarem i szumem oddalił się gdzieś na kilka chwil; skrzypce i trąby przygrywały gdzieś za górami i wszystko zaciągnęło się mgłą, podobną do niedbale namalowanego tła na obrazie. I z tego mglistego, byle jak naszkicowanego tła jasno i wyraźnie wyłaniały się tylko delikatne rysy powabnej blondynki: jej owalnie zaokrąglona twarzyczka, jej cieniutka talia, jaką miewają tylko pensjonarki w pierwszych miesiącach po ukończeniu pensji, biała, prawie skromna sukienka, lekko i zręcznie obejmująca jej młode zgrabne ciało, które rysowało się jakimiś czystymi liniami. Zdawało się, że cała była podobna do jakiejś zabawki starannie wytoczonej z kości słoniowej: tylko ona jedna bielą i odcinała się, przejrzysta i jasna, od mętnego i nieprzejrzanego tłumu.

¹⁰ *Incommodité* – niewygoda.

Widocznie tak już bywa na świecie; widocznie i Cziczikowowie na kilka chwil w życiu stają się poetami; ale słowo poeta będzie tu już za wiele mówiło. W każdym razie poczuł się zupełnie czymś w rodzaju młodego człowieka, omal że nie huzarem. Zobaczywszy obok pań wolne krzesło, natychmiast je zajął. Rozmowa z początku się nie kleiła, ale później jakoś to poszło; zaczął się nawet zagalopowywać, ale... tu, ku wielkiemu żalowi, trzeba zauważyć, że ludzie stateczni i zajmujący poważne stanowiska są jakoś trochę ciężkawi w rozmowach z damami; mistrzami od tego są panowie porucznicy, a w żadnym razie nie wyżej rangi kapitańskiej. Jak oni to robią. Bóg ich raczy wiedzieć; wydaje się, że nawet niezbyt oryginalne rzeczy mówią, a panna, w tym rzecz właśnie, aż się kołysze na krześle ze śmiechu; radca stanu zaś Bóg wie co opowie: zacznie się rozwodzić, że Rosja jest bardzo obszernym państwem, albo palnie komplement, który naturalnie został obmyślony dość dowcipnie, ale strasznie pachnie książką; jeżeli zaś powie coś śmiesznego, to sam nieporównanie więcej się śmieje niż ta, która go słucha. Zostało to zaznaczone tu po to, żeby czytelnicy wiedzieli, dlaczego blondynka zaczęła ziewać podczas opowiadania naszego bohatera. Bohater jednak zupełnie tego nie dostrzegał opowiadając mnóstwo miłych rzeczy, które zdarzało mu się już wygłaszać w podobnych wypadkach w różnych miejscach, a mianowicie: w sibirskiej guberni u Sofrona Iwanowicza Bezpiecznego, gdzie była wówczas córka jego Adelajda Sofronowna z trzema szwagierkami: Marią Gawriłowną, Aleksandrą Gawriłowną i Adelgejdą Gawriłowną; u Fiodora Fiodorowicza Pieriekrojewa w riazkańskiej guberni; u Froła Wasilijewicza Pobiedonosnego w penzeńskiej guberni i u jego brata Piotra Wasiljewicza, gdzie była jego szwagierka Katarzyna Michajłowna i jej stryjeczne siostry: Róża Fiodorowna i Emilia Fiodorowna; w wiackiej guberni u Piotra Warsonofijewicza, gdzie była siostra jego synowej Pelagia Jegorowna z siostrzenicą Zofią Rościszlawowną i z dwiema ciotecznymi siostrami: Zofią Aleksandrowną i Maklaturą Aleksandrowną.

Wszystkim damom zupełnie się nie spodobało takie obejście Cziczikowa. Jedna z nich umyślnie przeszła obok niego, żeby mu to dać poznać, i nawet dość niedbale zaczepiła blondynkę grubym trenem swej sukni, a szarfą, która fruwała wkoło jej ramion, pokierowała tak, że ta musnęła ją końcem po twarzy; równocześnie z tyłu poza nim jedne z damskich ust wraz z zapachem fiołków wydały dość uszczypliwą i jadowitą uwagę. Lecz on albo nie słyszał, albo udał, że nie słyszy, dość że to było nieładnie, bo opinię dam należy sobie cenić: co do tego sam uznał swą winę, ale dopiero potem, a więc za późno.

Oburzenie pod każdym względem słuszne ukazało się na wielu twarzach. Jakkolwiek wielkie było znaczenie towarzyskie Cziczikowa, chociaż był milionerem i w jego twarzy malowało się coś wspaniałego, a nawet marsowego i wojennego, jednak są rzeczy, których damy nie przebaczą nikomu, kimkolwiek by był winowajca, a wówczas po prostu koniec i kropka! Istnieją wypadki, w których kobieta, jakkolwiek bezsilna i słabego charakteru w porównaniu z mężczyzną, staje się nagle twardsza nie tylko od mężczyzny, ale i od wszystkiego, co istnieje na świecie. Lekceważenie, okazane przez Cziczikowa prawie nieumyślnie, zaprowadziło pomiędzy damami na nowo zgodę, która już była na skraju przepaści z powodu zuchwałego zawładnięcia krzesłem. W wypowiedzianych przez niego niespodzianie jakichś suchych, zwyczajnych słowach dopatrzyły się uszczypliwych aluzji. Na domiar złego ktoś z młodzieży skomponował na miejscu satyryczny wiersz na tańczące towarzystwo, bez czego, jak wiadomo, prawie nigdy się nie obchodzi na gubernialnych balach. Wiersz ten natychmiast został przypisany Cziczikowowi. Oburzenie rosło i damy zaczęły o nim mówić w różnych kątach w jak najniekorzystniejszy sposób, a biedna pensjonarka była zupełnie unicestwiona i wyrok na nią został już podpisany.

A tymczasem bohatera naszego oczekiwała arcynieprzyjemna niespodzianka: podczas gdy blondynka ziewała, a on opowiadał jej rozmaite, w różnych czasach mające miejsce historyjki i nawet zatracił o greckiego filozofa Diogenesa, z ostatniego pokoju ukazał się Nozdriow. Czy wyrwał się z bufetu, czy z małego zielonego salonu, gdzie gra była grubsza niż w zwyczajnego wista, czy z własnej woli, czy też wyrzucony, dość że się zjawił wesoły, rozradowany, schwyciwszy pod rękę prokuratora, którego zapewne już jakiś czas ciągnął ze sobą, bo biedny

prokurator skierowywał na wszystkie strony swoje gęste brwi, jakby obmyślając sposób uniknięcia tej przyjacielskiej wędrówki pod rękę. W samej rzeczy była ona nieznośna. Nozdriow nabrawszy animuszu po dwóch szklankach herbaty, naturalnie nie bez rumu, łągał niemilosiernie. Zauważywszy go jeszcze z daleka, Cziczikow zdecydował się nawet na ofiarę, to jest na opuszczenie swego godnego zazdrości miejsca, żeby o ile możności najspieszniej się oddalić; to spotkanie nie wróżyło mu nic dobrego. Ale jak na złość w tej samej chwili nawinął się gubernator okazując niezwykłą radość, że znalazł Pawła Iwanowicza, i zatrzymał go prosząc, żeby był sędzią w jego sporze z dwiema damami o to, czy miłość kobieca jest trwała, czy nie; a tymczasem Nozdriow już go zobaczył i szedł prosto na niego.

– A, chersoński obywatel, chersoński obywatel! – krzyczał podchodząc i zanosząc się od śmiechu, od którego trzęsły się jego świeże, rumiane jak wiosenna róża policzki. – Cóż? Dużoś nieboszczyków uhandlował? Wie pan, wasza ekscelencjo – wrzeszczał dalej zwróciwszy się do gubernatora – on handluje martwymi duszami! Jak Boga kocham! Słuchaj, Cziczikow! Mówię ci to po przyjacielsku, wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi i jego ekscelencja jest tu obecny – ja bym cię powiesił, jak Boga kocham, ja bym cię powiesił!

Cziczikow po prostu nie wiedział, co się z nim dzieje.

– Czy pan da wiarę, ekscelencjo – ciągnął Nozdriow – jak on mi powiedział: „Sprzedaj mi martwe dusze”, omal nie pękłem ze śmiechu. Przyjeżdżam tutaj, mówią mi, że zakupił za trzy miliony chłopów na przesiedlenie. Jakie tam przesiedlenie! Toć on kupował u mnie nieboszczyków: Słuchaj, Cziczikow, ty jesteś bydlę, jak Boga kocham, bydlę! Ot i jego ekscelencja jest tu obecny... nieprawdaż, prokuratorze?

Ale prokurator i Cziczikow, i sam gubernator tak się mieszało, że nie wiedzieli zupełnie, co odpowiedzieć, a tymczasem Nozdriow na nic nie zważając ciągnął dalej swe na pół pijane przemówienie:

– Już ty, bracie, ty, ty... nie odejdę od ciebie, dopóki się nie dowiem, po coś kupował martwe dusze. Słuchaj, Cziczikow, przecież doprawdy powinno ci być wstyd; wiesz sam, że nie masz lepszego przyjaciela ode mnie. Ot i jego ekscelencja jest tu obecny... nieprawdaż, prokuratorze? Pan nie uwierzy, wasza ekscelencjo, jak my do siebie jesteśmy przywiązani, to jest po prostu, gdyby pan powiedział, ot, ja tu stoję, a pan by powiedział: „Nozdriow, powiedz prawdę, kto ci jest droższy, rodzony ojciec czy Cziczikow?” Powiem: „Cziczikow, jak Boga kocham...” Pozwól, mój drogi, że ci dam buziaka. Niech mi pan pozwoli, wasza ekscelencjo, ucałować go. Tak, Cziczikow, już mi się nie sprzeciwiaj, pozwól mi wycisnąć jednego buziaczka na twoim śnieżnobiałym policzku!

Nozdriow został tak odtrącony ze swoim buziaczkiem, że omal nie upadł na ziemię. Wszyscy od niego odeszli i nie słuchali go więcej; jednakże jego słowa o kupnie martwych dusz zostały wygłoszone na całe gardło i przy akompaniamencie tak głośnego śmiechu, że zwróciły uwagę nawet tych, którzy znajdowali się w najdalszych kątach salonu. Ta nowina wydała się tak dziwna, że wszyscy się zatrzymali z jakimś drewnianym, głupio pytającym wyrazem twarzy. Cziczikow zauważył, że wiele dam mrugnęło do siebie porozumiewawczo z jakimś złośliwym, jadowitym uśmieszkiem i w wyrazie twarzy niektórych widać było coś dwuznacznego, co jeszcze powiększyło jego zmieszanie. Że Nozdriow był zawołanym łgarzem, o tym wiedzieli wszyscy, i nie było rzadkością usłyszeć od niego zupełny nonsens; ale śmiertelnik, doprawdy trudno nawet pojąć, jak ten śmiertelnik jest stworzony: żeby nie wiem jak trywialna była nowina, byleby tylko była nowiną, koniecznie ją musi zakomunikować drugiemu śmiertelnikowi, choćby tylko po to, żeby powiedzieć: „Widzi pan, jakich łgarstw nagadali!” A drugi śmiertelnik z przyjemnością nadstawi ucha, chociaż później sam powie: „Ależ to zupełnie wierutne kłamstwo, niegodne najmniejszej uwagi!” I zaraz potem uda się na poszukiwanie trzeciego śmiertelnika, żeby opowiedziawszy mu, razem z nim zawołać ze szlachetnym oburzeniem: „Co za wierutne kłamstwo!” I to koniecznie musi obejść całe miasto, i wszyscy śmiertelnicy, ilu ich tylko jest, muszą się koniecznie nagadać do syta, a potem przyznają, że to nie jest godne uwagi i nie warto o tym mówić.

To błahe na pozór zajście wyraźnie rozstroiło naszego bohatera. Jakkolwiek głupie są słowa głupca, jednak wystarczają niekiedy, żeby stropić człowieka rozumnego. Zaczął się czuć niezręcznie, niedobrze, zupełnie tak, jakby ślicznie wyczyszczonym butem wdepnął nagle w brudną, cuchnącą kałużę; słowem – niedobrze, niedobrze! Próbował nie myśleć o tym, starał się czymś zająć, rozerwać, zasiadł do wista, ale wszystko potoczyło się jak krzywe koło: dwa razy wyszedł w cudzy kolor i zapomniawszy, że po trzeciej nie biją, rozpedził się i przebił własną lewą. Prezes w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak Paweł Iwanowicz, który tak dobrze i, można powiedzieć, tak subtelnie rozumie grę, mógł popełnić podobne błędy i zaprzepaścić nawet jego pikowego króla, na którego, jak się wyrażał, liczył jak na Boga. Naturalnie poczmistrz i prezes, i nawet sam policmajster, jak to bywa, zaczęli żartować z naszego bohatera, że czy aby się nie zakochał i że niby wiemy, iż serduszko Pawła Iwanowicza kuleje, i wiemy, przez kogo postrzelone; ale wszystko to bynajmniej go nie pocieszało, pomimo że próbował i uśmiechać się, i odcinać. Przy kolacji również zupełnie nie był w stanie się rozruszać. Pomimo, że towarzystwo przy stole było bardzo miłe i Nozdriowa już dawno wyprowadzono, bo nawet damy zauważyły w końcu, że jego postępowanie stawało się nazbyt skandaliczne. Podczas kotyliona usiadł na podłodze i zaczął chwytać tańczących za poły, co według wyrażenia dam było Bóg wie do czego podobne. Kolacja była bardzo wesoła, wszystkie twarze, widniejące przed potrójnymi kandelabrami, kwiatami, cukrami i butelkami, jaśniały najzupełniej niewymuszonym zadowoleniem. Oficerowie, damy, fraki – wszyscy stali się uprzejmi aż do obrzydliwości. Mężczyźni zrywali się z krzesel i odbierali od służących półmiski, żeby z niezwykłą zręcznością podać je damom. Pewien pułkownik podał damie talerz z sosem na końcu obnażonej szpady. Starsi panowie, pomiędzy którymi siedział Cziczikow, głośno dysputowali zagryzając argumenty rybą albo wołowiną, obficie maczaną w musztardzie, i dysputowali na tematy, w których on zawsze brał udział; lecz teraz przypominał człowieka zmęczonego albo roztrzęsionego daleką drogą, któremu nic nie przychodzi do głowy i który nie jest w stanie wnikać w żadną sprawę. Nawet nie doczekał końca kolacji i odjechał do siebie nieporównanie wcześniej, niż miał zwyczaj odjeżdżać.

Tam, w tym tak znanym czytelnikom pokoiku, zastawionym komodą i z wyglądającymi z kątów karaluchami, stan jego myśli i ducha był tak samo niespokojny, jak niespokojny był fotel, na którym siedział. Nieprzyjemnie, niewyraźnie było mu na sercu, tkwiła w nim jakaś uciążliwa pustka. „Niech diabli wezmą wszystkich, którzy wymyślili te bale! – mówił do siebie ze złością. – No, z czego się, głupcy, cieszycie? W guberni nieurodzaje, drożyzna, a oni bale! To mi dopiero sztuka, wystroili się w babskie szmatki! Wielka rzecz, niektóre nakładły na siebie' z tysiąc rubli! A przecież to kosztem własnego sumienia. Toć wiadomo, po co ludzie biorą łapówki i obciążają grzechem swe sumienia: po to, żeby mieć na szal dla żony albo na różne jakieś robrony czy też lichu wie, jak to się nazywa! A dlaczego? Żeby jakaś lafirynda Sidorowna nie powiedziała, że poczmistrzowa miała ładniejszą suknię, no i dlatego być tysiąc rubli! Krzyczą: »Bal, bal, wesołość! Bal to po prostu świństwo, nie w rosyjskim duchu, nie w rosyjskiej naturze, diabli wiedzą, co to takiego: człowiek dorosły, pełnoletni, nagle wyskoczy cały na czarno, obciążony, obskubany jak półdiabłę, i dalejże dreptać nogami. Niejeden nawet, stojąc z kimś w parze, rozmawia z kimś innym o ważnej sprawie, a równocześnie nogami, jak ten kozioł, esy-floresy na prawo i na lewo... Wszystko to przez małpiarstwo, wszystko to przez małpiarstwo! Że Francuz mając czterdzieści lat jest takim samym dzieciakiem jak wtedy, kiedy miał piętnaście, więc i my tak samo! Nie, doprawdy... po każdym balu, rzeczywiście, jakbym jakiś grzech popełnił. Nawet nie chce się o nim wspomnieć. W głowie po prostu nic nie zostaje, jak po rozmowie ze światowym człowiekiem: wszystkiego nagada, wszystkiego z lekka dotknie, powie wszystko, co zaczerpnął z książek barwnie, ładnie, ale żeby choć cośkolwiek z tego zostało? I widzi się później, że rozmowa z prostym kupcem, który zna tylko swój fach, ale zna dobrze i z własnego doświadczenia, więcej jest warta niż wszystkie te grzechotki. No i cóż można z tego balu wycisnąć? No, gdyby na przykład jakimś pisarzowi przyszło do głowy opisać tę scenę tak, jak ona wygląda? I w książce również byłaby tak samo bezsensowna jak w naturze. Cóż to takiego jest: coś moralnego czy niemoralnego?

Po prostu diabli wiedzą, co to takiego! Człowiek splunie i zamknie książkę”. Tak niechętnie wyrażał się Cziczikow o balach w ogóle; ale tu, zdaje się, wchodził w grę inny powód oburzenia. Głównym powodem zgryzoty był nie bal, lecz to, że się skompromitował, że nagle ukazał się wszystkim Bóg wie w jakim świetle, że odegrał jakąś dziwną, dwuznaczną rolę. Naturalnie, spojrzawszy na to okiem rozsądnego człowieka widział, że to wszystko głupstwo, że głupie słowo nic nie znaczy, zwłaszcza teraz, kiedy najważniejsza sprawa jest już załatwiona jak należy. Ale człowiek jest dziwny; rozgoryczyła go mocno nieprzychylność tych, których sam nie szanował i o których ostro się wyrażał, szkalując ich próżność i stroje. Było to dla niego tym bardziej przykre, że jasno rozpatrzywszy sprawę widział, iż powód do tego dał po części sam. Na siebie jednak nie rozgniewał się i pod tym względem miał naturalnie słuszość. Wszyscy mamy tę maleńką słabość, że lubimy siebie trochę oszczędzać i staramy się raczej znaleźć jakiegoś bliźniego, na którym by można skrupić swą złość, na przykład służącego urzędnika, który jest od nas zależny i w porę się nawinął, żonę i w końcu krzeselko, które się rzuca, diabli wiedzą gdzie, aż pod drzwi, tak że odpadnie od niego poręcz i oparcie – niech wie, co to takiego gniew. Tak samo Cziczikow niedługo znalazł bliźniego który poniósł na swych barkach wszystko, co tylko mogła mu przypisać złość. Tym bliźnim był Nozdriow i nie ma co mówić został zwymyślany, jak chyba tylko jakiś spryciarz sołtys albo woźnica bywa zwymyślany przez jakiegoś wszędobylskiego, doświadczonego kapitana, a niekiedy i generała, co oprócz wielu wyrażen, które się stały klasycznymi, dodaje jeszcze wiele nieznanym, wynalezionym przez niego samego. Cały rodowód Nozdriowa został wymieniony i wielu spośród członków jego rodziny z linii wstępnej mocno ucierpiało.

Ale podczas gdy tak siedział na swym twardym fotelu dręcząc się myślami i bezsennością, częstując epitetami Nozdriowa z całą jego rodziną, a przed nim paliła się łojowa świeczka, której knot dawno już pokrył się czarną czapką kopcju grożąc lada chwila zagaśnięciem, i spoglądała na niego z okna ślepa, ciemna noc gotowa posinięć od nadchodzącego świtu, i gdzieś daleko przekrzykiwały się koguty, i w zupełnie nie uśpionym mieście, być może, włókł się gdzieś w postrzępionym szynelu jakiś nieborak nie wiadomo jakiego stanu i rangi, znający tylko jedną (niestety!) aż nazbyt wydeptaną przez rosyjski zawadiacki lud drogę – w tym samym czasie na drugim końcu miasta działo się coś, co miało pogorszyć niemiłą sytuację naszego bohatera. Mianowicie oddalonych ulicach i zaułkach miejskich turkotał bardzo dziwny ekwipaż, którego nazwanie nastęrczałoby kłopot. Nie był podobny ani do tarantasa, ani do kolaski, ani do bryczki, przypominał raczej pyzaty, wydęty arbuż, postawiony na kołach. Policzki tego arbuza, to jest drzwiczki, noszące ślady żółtej farby, zamykały się bardzo kiepsko z powodu złego stanu klamek i zamków byle jak związanych postronkami. Arbuż był napęczniony perkalikowym poduszkami w kształcie kapciuchów, wałków i po prostu poduszek, napchany workami z chlebem, kołaczami, kukielkami i rogalikami z parzonego ciasta. Pieróg z kurą i pieróg z kapustą wyglądały nawet na zewnątrz. Tylna ławeczka była zajęta przez osobę pochodzenia lokajskiego, w kurtce z pstrego samodziąłu, z zapuszczoną brodą, przetykaną z lekka siwizną – osobę znaną pod nazwą „człowiek”. Hałas i szcęk żelaznych klamek z zardzewiałych gwintów rozbudził na drugim końcu miasta stróża nocnego, który podniósłszy swą halabardę rozespany krzyknął na całe gardło: – Kto idzie? – ale zobaczywszy, że nikt nie szedł, tylko z daleka słychać było turkot, złapał na swym kołnierzu jakieś zwierzę, podszedł do latarni i zabił je natychmiast na paznokciu, po czym odstawwszy halabardę znów zasnął zgodnie z obyczajami swego rycerskiego zakonu. A tymczasem konie upadały na przednie kolana, bo nie były podkute, przy tym widocznie nie były obeznane z wygodnym miejskim brukiem. Zrobiwszy jeszcze kilka zakrętów z ulicy w ulicę landara skręciła wreszcie w ciemny zaułek koło malej cerkwi parafialnej Nikoły na Niedotyczkach i zatrzymała się przed bramą domu protopopowej. Z bryki wylazła dziewczyna w chustce na głowie, w kaftaniku i zabębniła w bramę pięściami tak mocno jak mężczyzna (sługa w kurtce samodziąłowej został dopiero później ściągnięty za nogi, bo spał kamiennym snem). Psy zaczęły szczekać i brama otworzywszy się połknęła w końcu, chociaż z trudem, ten niezdatny twór podróżny. Ekwipaż wjechał w ciasne podwórze, zawalone drwami, kurnikami i różnymi

komórkami. Z ekipażu wysiadła dziedziczka; tą dziedziczką była obywatelka ziemska, sekretarzowa kolegiarna Koroboczka. Staruszka wkrótce po odjeździe naszego bohatera popadła w taki niepokój z powodu przypuszczalnego oszustwa z jego strony, że nie przespawszy trzech nocy z rzędu, postanowiła jechać do miasta, nie bacząc na to, że konie nie były podkute, i tam dowiedzieć się na pewno, po czemu są martwe dusze i czy się aby, broń Boże, nie oszukała sprzedając je, być może, za pół darmo. Jakie skutki wywołał ten przyjazd, czytelnik może się dowiedzieć z pewnej rozmowy, która odbyła się pomiędzy pewnymi dwiema damami. Rozmowa ta... lecz lepiej niech ta rozmowa odbędzie się w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ IX

Z rana, nawet przed czasem, który w mieście N. wyznaczono na wizyty, z drzwi pomarańczowego drewnianego domu z mansardą i błękitnymi kolumnami wyfrunęła dama w eleganckiej salopie w kratkę, odprowadzana przez lokaja w płaszczu z kilkoma pelerynkami i złotym galonem na okrągłym, lśniącym kapeluszu. Dama z niezwykłym pośpiechem wskoczyła natychmiast po spuszczonej stopniu do stojącej przy podjeździe kolaski. Lokaj natychmiast zamknął drzwiczki za damą, podniósł stopień i uchwyciwszy się rzemieni z tyłu kolaski, zawołał do stangreta: – Ruszaj! – Dama wiozła dopiero co usłyszaną nowinę i czuła nieprzewyciężoną potrzebę podzielenia się nią czym prędzej. Co chwila wyglądała przez okno i ku niewypowiedzianej złości widziała, że wciąż jeszcze pozostaje połowa drogi. Każdy dom wydawał się jej dłuższy niż zazwyczaj: biały murowany przytułek z wąziutkimi oknami ciągnął się niezwykle długo, tak że ostatecznie nie wytrzymała, żeby nie powiedzieć: – Przeklęty budynek końca nie ma! – Stangret już dwa razy otrzymał polecenie: – Prędzej, prędzej, Andriuszka! Nieznośnie długo dzisiaj jedziesz – Wreszcie cel został osiągnięty. Kolasa zatrzymała się przed parterowym domem ciemnoszarego koloru, również drewnianym, z białymi drewnianymi płaskorzeźbami nad oknami, z wysoką drewnianą kratą tuż przed oknami i wąskimi sztachetami, za którymi znajdujące się cienkie drzewka pobielają od nie schodzącego z nich miejskiego kurzu. Z okien wyglądały doniczki z kwiatami, papuga huśtająca się w klatce, uczepiona dziobem o kółko, i dwa pieski, śpiące na słońcu. W domu tym mieszkała serdeczna przyjaciółka przybyłej damy. Autor jest w wielkim kłopotcie, jak ma nazwać obie damy, tak żeby się na niego nie rozgniewały, jak się gniewały niegdyś. Nazwać nazwiskiem zmyślonym – niebezpiecznie. Jakikolwiek by się imię wymyśliło, z pewnością znajdzie się w jakimś kącie naszego państwa, Bogu dzięki rozległego, ktoś noszący je i z pewnością pogńiewa się na śmierć, zacznie mówić, że autor umyślnie przyjeżdżał potajemnie, żeby się o wszystkim dowiedzieć, kim on jest i w jakim kożuszkuchodzi, i do jakiej Agrafieny Iwanowny się zaleca, i co lubi zjeść. A nazwać podług rangi, Boże uchroni, jeszcze niebezpieczniej. Teraz u nas wszystkie rangi i wszystkie stany są tak podrażnione, że wszystko, cokolwiek wydrukowano w książce, wydaje im się aluzją osobistą. Widocznie już coś takiego jest w powietrzu. Wystarczy tylko powiedzieć, że w pewnym mieście jest człowiek głupi, a uznają to już za osobisty przytyk; wyskoczy nagle jakiś pan o wzbudzającej szacunek powierzchowności i zawoła: „Przecież ja również jestem człowiekiem, a więc również jestem głupi”, słowem, od razu zmiarkuje, w czym rzecz. Dlatego też w celu uniknięcia tego wszystkiego będziemy nazywali damę, do której przyjechała inna dama z wizytą, tak, jak ją prawie jednogłośnie nazywano w mieście N., a mianowicie damą miłą pod każdym względem. Tę nazwę zyskała sobie w sposób rzetelny, bo niczego nie zaniedbała, żeby być w najwyższym stopniu uprzejmą. Chociaż, naturalnie, przez uprzejmość przebija niekiedy ach, jakże dziwna przewrotność charakteru kobiecego! i chociaż niekiedy w jej uprzejmym słowie kryła się ach, jakże ostra szpilka! a już uchroni Boże, co wrzało w jej sercu przeciwko tej, która ją jakoś w czymś prześcignęła! Ale wszystko to było osłonięte najlepszymi manierami, jakie tylko bywają w mieście gubernialnym. Każdy ruch wykonywała z wdziękiem, nawet lubiła wiersze, nawet umiała niekiedy pochylać głowę po marzycielsku i wszyscy byli co do tego zgodni, że to naprawdę dama miła pod każdym względem. Druga dama, to znaczy przyjezdna, nie posiadała takiej wielostronności charakteru i dlatego będziemy ją nazywali: damą tylko miłą. Przyjazd gościa zbudził pieski śpiące na słońcu:

kudłatą Adèle, bez ustanku płaczącą się we własnej sierści, i pieska Potpourri na cieniutkich nóżkach. Oba ze szczekaniem poniosły swe zwinięte w obarzanki ogony do przedpokoju, gdzie przybyła dama zdejmowała salopę i pozostała w sukni o modnym deseni i kolorze oraz w długim boa na szyi – jaśmin zapachniał w całym pokoju. Zaledwie dama miła pod każdym względem dowiedziała się o przyjeździe damy tylko miłej, natychmiast wybiegła do przedpokoju. Damy schwyciły się za ręce, ucałowały się i wydały okrzyk, jaki wydają pensjonarki spotykające się wkrótce po ukończeniu pensji, kiedy mamusie nie zdążyły im jeszcze wyjaśnić, że ojciec jednej jest biedniejszy i niższy rangą niż ojciec drugiej. Pocałunek był głośny, bo pieski znowu zaczęły szczekać, za co zostały trzepnięte chusteczką, i obie damy udały się do salonu, naturalnie błękitnego, z kanapą, owalnym stołem i nawet parawanikiem obitym pluszem. Za nimi pobiegła warcząc kudłata Adèle i wysoki Potpourri na cieniutkich nóżkach. – Tutaj, tutaj, ot tu, w tym kąciku! – mówiła pani domu sadowiąc gościa w rogu kanapy. – O tak! o tak! Proszę, oto poduszka! – powiedziawszy to wepchnęła jej za plecy poduszkę, na której był wyszyty włóczką rycerz w taki sposób, w jaki zawsze się ich wyszywa na kanwie: nos wyszedł jak schody, a usta czworokątne. – Jakże się cieszę, że pani... Słyszę, że ktoś podjechał, i myślę sobie, kto by to mógł być tak wcześniej? Parasza mówi: „Wicegubernatorowa”, a ja mówię: „No, znowu przyjechała, głupia, naprzykrzać się” – miałam ochotę już powiedzieć, że mnie nie ma w domu...

Przyjezdna dama chciała już przystąpić do rzeczy i zakomunikować nowinę, ale okrzyk, jaki równocześnie wydała dama miła pod każdym względem, nadał nagle inny kierunek rozmowie.

– Jaki wesolutki perkalik! – zawołała dama miła pod każdym względem patrząc na suknię damy tylko miłej.

– Tak, bardzo wesolutki. Praskowia Fiodorowna znajduje jednak, że lepiej by było, żeby kratka była mniejsza i żeby kropki nie były brązowe, tylko błękitne. Jej siostrze przysłano materialik, coś tak czarującego, że po prostu nie można wypowiedzieć! Niech pani sobie wyobrazi: paseczki takie wąziutkie, jakie z trudem może stworzyć wyobraźnia, tło błękitne i między paseczkami wciąż oczka i łapki, oczka i łapki, oczka i łapki... Słowem, cudowne! Można śmiało powiedzieć, że niepodobnego nie było jeszcze na świecie.

– Droga pani, ależ to pstre.

– Ach, nie, nie pstre!

– Ach, pstre!

Należy zauważyć, że dama miła pod każdym względem była po części materialistką skłoną do negacji i powątpiewania i odrzucała w życiu bardzo wiele.

Tu dama tylko miła wyjaśniła, że to całkiem nie pstre, i zawołała:

– Ale, wiesz pani, falbanek już się nie nosi.

– Jak to nie nosi?

– Zamiast nich festoniki.

– Ach, festoniki to nieładne!

– Festoniki, tylko festoniki; pelerynka z festoników, na rękawach festoniki, naramienniki z festoników, u dołu festoniki, wszędzie festoniki.

– Nieładne, Zofio Iwanowno, jeżeli tylko festoniki.

– To miłe, Anno Grigorijewno, nie do wiary miłe: szyje się po dwie pliseczki, szeroki odstęp, i u góry... Ale to jeszcze nic, dopiero się pani zdziwi, powie pani, że... Czy da pani wiarę: staniki są jeszcze dłuższe, z przodu w klin, którego szpic przechodzi wszelkie granice; całą suknię marszczy się naokoło, jak bywało dawniej przy krynolinach, nawet z tyłu podkłada się trochę waty, żeby była zupełna belfam¹¹.

– No, to już po prostu, przyznam się!... – powiedziała dama miła pod każdym względem zrobiwszy ruch głową z poczuciem godności.

– Tak, rzeczywiście, to już, przyznam się!... – odpowiedziała dama tylko miła.

¹¹ Zniekształcone: *belle femme* – piękna kobieta o bujnych kształtach (w oryginale fonetycznie).

– Jak pani sobie życzy, ale ja za nic w świecie nie będę tego naśladowała.
– Ja również... Doprawdy, kiedy pomyśleć, do czego nieraz dochodzi moda... nie, to do niczego niepodobne. Wyprosiłam od siostry wykrój umyślnie, dla śmiechu; moja Melania zabrała się do szycia.

– A więc pani ma wykrój ? – zawołała w podnieceniu dama miła pod każdym względem.

– Naturalnie, siostra mi przywiozła.

– Droga pani, niech pani mi go da, proszę na wszystkie świętości.

– Ach, dałam słowo Praskowii Fiodorownie. Chyba po niej.

– Któż by nosił po Praskowii Fiodorownie? To by już było nazbyt dziwne z pani strony, gdyby pani obcym dawała pierwszeństwo przed swoimi.

– Ależ ona jest poza tym moją ciotką.

– Bóg raczy wiedzieć, jaka to tam ciotka dla pani; ze strony męża... Nie, Zofio Iwanowno, nawet nie chcę słyszeć; to wygląda na to, jakby mnie pani chciała obrazić... Widocznie już się pani naprzykrzyłam, widocznie chce pani zupełnie zerwać ze mną znajomość.

Biedna Zofia Iwanowna całkiem nie wiedziała, co ma począć. Zdawała sobie sprawę, między jakie silne dwa ognie się dostała. Masz tobie! a to się pochwaliła! Gotowa była pokłuć igłą głupi swój język.

– No, a cóż nasz zachwycający? – powiedziała tymczasem dama miła pod każdym względem.

– Ach, mój Boże! cóż ja tak siedzę przed panią! A to dopiero! Wie pani, Anno Grigorijewno, z czym do pani przyjechałam? – Tutaj przyjezdnej damie dech zaparło, słowa jak jastrzębie gotowe były puścić się w pogoń jedno za drugim, i trzeba było do tego stopnia być nieludzką jak jej szczerą przyjaciółką, żeby się zdecydować ją powstrzymać.

– Jakkolwiekby go pani wychwalała i wywyższała – mówiła z większym ożywieniem niż zwykle – powiem po prostu mu to w oczy, że jest nikczemnym człowiekiem, nikczemnym, nikczemnym, nikczemnym!

– Ale niech pani tylko posłucha, co pani opowiem...

– Rozpuszczono pogłoski, że jest ładny, a on wcale nieładny, wcale nieładny, i jego nos... to jeden z najnieprzyjemniejszych nosów.

– Ale niechże pani pozwoli, niechże pani pozwoli sobie opowiedzieć... droga Anno Grigorijewno, niechże pani pozwoli opowiedzieć! Toż to cała historia, rozumie pani: cała historia, skonapel istuar¹² – mówiła przyjezdna dama z wyrazem prawie rozpaczony i po prostu błagalnym głosem. Nie zawadzi spostrzec, że do rozmowy naszych dam było wplątanych dużo słów cudzoziemskich, a niekiedy nawet całe zdania francuskie. Ale jakkolwiek autor pełen jest czci dla tych zbawiennych korzyści, jakie daje Rosji język francuski, jakkolwiek pełen jest czci dla chwalebego zwyczaju naszych wyższych sfer towarzyskich posługiwania się nim przez cały dzień, rozumie się, z głębokiego uczucia miłości ojczyzny, mimo to wszystko autor w żaden sposób nie może się zdecydować na wprowadzenie do swego rosyjskiego poematu zdania w jakimkolwiek obcym języku. A więc, będziemy ciągnęli po rosyjsku.

– Cóż to za historia?

– Ach, moja najdroższa Anno Grigorijewno, gdyby pani mogła sobie wyobrazić sytuację, w jakiej się znalazłam! Niech pani sobie wyobrazi, przychodzi dzisiaj do mnie protopopowa, protopopowa, żona ojca Cyryła, i co pani powie? Nasze niewiniątka, nasz przyjezdny, to dopiero gagatek!

– Jak to, czyżby on i protopopowej robił kure?¹³

– Ach, Anno Grigorijewno, gdyby tylko tyle, to by jeszcze nic. Niech pani tylko posłucha, co mi opowiedziała protopopowa. Przyjechała do niej, powiada, obywatelka ziemska Koroboczka, wystraszona i błąda jak śmierć, i opowiada, i to jak opowiada, niech pani tylko posłucha, to zupełnie jak w romansie: nagle, o głuchej północy, kiedy już wszystko spało w domu, rozlega się

¹² Zniekształcone: *ce qu'on appelle histoire* – oto historia co się zowie (w oryginale fonetycznie).

¹³ Przekręcone wyrażenie francuskie *faire la cour* – asystować, umizgać się.

stuk do bramy, najokropniejszy, jaki tylko można sobie wyobrazić. Ktoś krzyczy: „Otwórzcie, otwórzcie, bo jak nie – to bramę wyłamiemy!...” Jakże się to pani podoba? Jakże po tym wszystkim wygląda nasz zachwycający?

– A cóż to za jedna ta Koroboczka? Czyżby młoda i ładna?

– Bynajmniej, stara baba.

– Ach, cudownie! A więc zabrał się do staruszki... No, w takim razie nasze damy mają dobry gust, miały też w kim się zakochać!

– Ależ nie, Anno Grigorijewno, zupełnie co innego, niż pani przypuszcza. Niech pani sobie tylko wyobrazi, że zjawia się uzbrojony od stóp do głów jak Rinaldo Rinaldini i żąda: „Niech pani sprzeda, powiada, wszystkie dusze, które umarły!” Koroboczka odpowiada bardzo rozsądnie, mówiąc: „Nie mogę ich sprzedać, bo są martwe”. „Nie, powiada, one nie są martwe, to moja, powiada, rzecz wiedzieć, czy są martwe, czy nie, one nie są martwe, nie są martwe, krzyczy, nie są martwe”; słowem, zrobił straszną awanturę; cała wieś się zbiegła, dzieci płaczą, wszyscy krzyczą, nikt nikogo nie może zrozumieć, po prostu orer¹⁴, orer, orer... Pani nie może sobie wyobrazić, Anno Grigorijewno, jakem się zlekła, kiedy usłyszała to wszystko. „Proszę pani, mówi do mnie Maszka, niech pani spojrz w lustro, jaka pani blada”. „Nie mam czasu na lustro, powiadam, muszę jechać opowiedzieć o wszystkim Annie Grigorijewnie”. Natychmiast kazałam zaprząć do kolaski; stangret Andriuszka pyta mnie, dokąd jechać, a ja nie mogę słowa wymówić, patrzę mu prosto w oczy jak głupia; przypuszczam, że pomyślał sobie, iż zwariowałam. Ach, Anno Grigorijewno! – Gdyby tylko pani mogła sobie wyobrazić, jakem się przelekła!

– To jednak dziwne – powiedziała dama miła pod każdym względem – co by takiego mogły znaczyć te martwe dusze? Przyznam się, że nic z tego nie rozumiem. Już drugi raz słyszę o tych martwych duszach; a mój mąż twierdzi, że Nozdriow kłamie; coś niecoś musi w tym być prawdy.

– Ale niech pani sobie wyobrazi, Anno Grigorijewno, w jakim się znalazłam położeniu, kiedy usłyszała. „I teraz, powiada Koroboczka, nie wiem, co mam robić. Zmusił mnie, powiada, do podpisania jakiegoś fałszywego papieru, rzucił piętnaście rubli asygnatami; jestem, powiada, niedoświadczona, samotna wdowa, o niczym nie wiem...” To dopiero zdarzenie! Ale gdyby pani chociaż trochę mogła sobie wyobrazić, jak ja się przestraszyłam!

– Jak pani uważa, ale tu nie chodzi o martwe dusze, w tym się kryje coś innego.

– Ja również tak sędzę – rzekła nie bez zdziwienia dama tylko miła i uczuła mocne pragnienie dowiedzenia się, co by takiego mogło się w tym kryć. Powiedziała nawet z namysłem: – A cóż, zdaniem pani, w tym się kryje?

– No, a jak pani przypuszcza?

– Jak ja przypuszczam? Przyznam się, że jestem zupełnie wytrącona z równowagi.

– Jednakże chciałabym wiedzieć, co pani myśli o tym wszystkim?

Ale miła dama nie znalazła żadnej odpowiedzi. Umiała się tylko lękać, ale żeby zrobić jakieś roztropne przypuszczenie, do tego całkowicie była niezdolna i dlatego bardziej niż każda inna potrzebowała czulej przyjaźni i rad.

– A wie pani, co to takiego te martwe dusze? – zapytała dama miła pod każdym względem, a jej przyjaciółka na te słowa cała zamieniła się w słuch: nastawiła uszki, uniosła się prawie nie siedząc i nie dotykając kanapy i pomimo iż była nieco ciężka, stała się nagle szczuplejsza, podobna do lekkiego puchu, który tylko patrzeć. Jak pofrunie w powietrze za lada podmuchem.

Tak rosyjski dziedzic, amator psów i myśliwy, podjeżdżając do lasu, z którego ma lada chwila wyskoczyć wypłoszony przez naganiaczy zając, zamienia się cały wraz ze swym koniem i podniesionym harapem w jedno zastygłe мгновение, w proch, do którego lada chwila przyłożą ogień. Cały wpił się oczami w zamglone powietrze i już na pewno doścignie zwierza, już on mu się da we znaki, nieodczepny, choćby się przeciw niemu podniósł cały sypiący śniegiem step, rzucający mu srebrzyste gwiazdy w usta, w wąsy, w oczy, w brwi i w bobrową czapkę.

¹⁴ Zniekształcone: *horreur* – okropność (w oryginale fonetycznie).

– Martwe dusze... – wyrzekła dama miła pod każdym względem.
– Co, co? – podchwyciła w najwyższym podnieceniu dama tylko miła.
– Martwe dusze!...
– Ach, niechże pani mówi, na Boga!
– To po prostu wymyślono tylko dla zamydlenia oczu, a oto w czym rzecz: on chce wykraść córkę gubernatora.

Ten wniosek rzeczywiście był najmniej oczekiwany i pod każdym względem niezwykły. Miła dama usłyszawszy to skamieniała na miejscu, zbladła jak śmierć i istotnie złękła się nie na żarty.

– Ach, mój Boże! – zawołała plasnawszy w ręce – tego bym już w żaden sposób nie mogła przypuścić.

– A ja, przyznam się, jak tylko pani otworzyła usta, od razu pojęłam, w czym rzecz – odpowiedziała dama miła pod każdym względem.

– Jakież jest wobec tego, Anno Grigorijewno, wychowanie w instytucie! A to mi niewiniątko!

– Jakie tam niewiniątko! Słyszałam, jak mówiła takie rzeczy, że po prostu sił mi nie starczy, żeby je wypowiedzieć.

– Wie pani, Anno Grigorijewno, że po prostu serce się rozdziera, kiedy się widzi, do czego doszła niemoralność.

– Mężczyźni potracili dla niej głowy. A co do mnie, to przyznam się, że nic w niej takiego nie widzę... Nieznośnie zmanierowana.

– Ach, droga pani Anno Grigorijewno! To kamienny posąg! I żeby miała choć trochę wyrazu.

– Ach, jaka zmanierowana! Boże, jaka zmanierowana! Kto ją tego nauczył, nie wiem; ale nie widziałam jeszcze kobiety, która by miała tyle pretensjonalności.

– Kochanie! to kamienny posąg, w dodatku blada jak śmierć.

– Ach, co pani mówi, Zofio Iwanowno, różuje się bezbożnie.

– Ach, co znowu, Anno Grigorijewno, to kreda, kreda, najczystsza kreda.

– Droga pani, siedziałam obok niej, różu na palec grubości i odpada jak tynk kawałkami. To matka ją tego nauczyła, sama kokietka, a córeczka jeszcze prześcignie mamę.

– O, przepraszam, niech pani złoży, jaką pani chce przysięgę, a ja gotowa jestem w tej chwili wyrzec się dzieci, męża, całego majątku, jeżeli ona ma na twarzy choćby odrobinę, choćby ździebko, choćby cień jakiegoś różu!

– Ach, co pani mówi, Zofio Iwanowno! – powiedziała dama miła pod każdym względem i klasnęła w ręce.

– Ach, jaka pani jest, doprawdy, Anno Grigorijewno! Ze zdumieniem patrzę na panią! – powiedziała miła dama i również klasnęła w ręce.

Ale czy to się nie wyda czytelnikowi dziwne, że damy nie zgadzały się ze sobą co do tego, co widziały prawie równocześnie? Rzeczywiście jest na świecie wiele takich rzeczy, które posiadają taką właściwość: jeżeli na nie spojrzy jedna dama, wydadzą się zupełnie białe, a gdy spojrzy druga, wydadzą się czerwone, czerwone jak borówka.

– A oto jeszcze jeden dowód, że jest blada – ciągnęła miła dama – pamiętam jak teraz, że siedzę obok Maniłowa i mówię do niego: „Niech pan popatrzy, jaka ona blada!” Doprawdy trzeba być tak głupim jak nasi mężczyźni, żeby się nią zachwycić. A nasz zachwycający... Ach, jaki on mi się wydał wstrętny! Nie może pani sobie wyobrazić, Anno Grigorijewno, do jakiego stopnia wydał mi się wstrętny.

– Tak, jednakże znalazły się pewne damy, które nie były dla niego obojętne.

– Ja, Anno Grigorijewno? O, tego już nigdy nie może pani o mnie powiedzieć, nigdy, nigdy!

– Ależ ja nie mówię o pani, czyż prócz pani nie ma nikogo?

– Nigdy, nigdy, Anno Grigorijewno! Niech mi pani pozwoli zwrócić sobie uwagę, że znam siebie bardzo dobrze; chyba że ze strony jakichś innych dam, które odgrywają rolę nieprzystępnych.

– O, niech pani wybaczy, Zofio Iwanowno! Niech mi pani pozwoli sobie powiedzieć, że mnie się podobne historie nigdy nie przytrafiały. Możliwe, że komu innemu, ale nie mnie, niech mi pani pozwoli zwrócić sobie na to uwagę.

– O co się pani obraża? Przecież tam były i inne damy, były nawet takie, które pierwsze zajęły krzesło przy drzwiach, żeby siedzieć bliżej niego.

No, już po takich słowach, wypowiedzianych przez miłą damę, powinna była niechybnie nastąpić burza; ale, o dziwo, obie damy, nagle przycichły i zupełnie nic nie nastąpiło. Miła pod każdym względem dama przypominała sobie, że wykrój modnej sukni nie znajduje się jeszcze w jej rękach, a dama tylko miła spostrzegła, że nie zdążyła się jeszcze dowiedzieć żadnych szczegółów dotyczących odkrycia zrobionego przez jej szczerą przyjaciółkę, i dlatego zgoda nastąpiła bardzo prędko. Zresztą nie można powiedzieć, żeby obie damy miały w swej naturze potrzebę sprawiania przykrości, i w ogóle w ich charakterach nie było nic złego, tylko tak nieznacznie w czasie rozmowy sama przez się powstawała chęćka ukłucia się nawzajem; po prostu dla przyjemności wsunie jedna drugiej przy okazji jakieś żywsze słówko: naści, weź! zjedźże sobie! Różne potrzeby miewają serca zarówno płci męskiej, jaki żeńskiej.

– Nie mogę jednak pojąć tego – powiedziała dama tylko miła – jak Cziczikow, człowiek przyjezdny, mógł zdecydować się na tak zuchwały krok. Niemożliwe, żeby nie miał pomocników.

– A czy pani sądzi, że ich nie ma?

– A któż by, zdaniem pani, mógł mu pomagać?

– Ano, choćby Nozdriow.

– Czyżby Nozdriow?

– A cóż? Przecież stać go na to. Wie pani, on rodzzonego ojca mógłby sprzedać albo, jeszcze lepiej, przegrać w karty.

– Ach, mój Boże, jakich interesujących nowin dowiaduję się od pani! Nigdy bym nie mogła przypuścić, żeby i Nozdriow był zamieszany w tę historię!

– A ja zawsze przypuszczałam.

– Doprawdy, kiedy się pomyśli, co to się na tym świecie dzieje; no, czyż można było przypuszczać, kiedy, pamięta pani, Cziczikow dopiero co przyjechał do naszego miasta, że on tu narobi takich historii? Ach, Anno Grigorijewno, gdyby pani wiedziała, jak ja się przelekłam! Gdyby nie pani życzliwość i przyjaźń... doprawdy, byłam już na skraju przepaści... co robić? Moja Maszka widzi, że jestem blada jak śmierć. „Proszę pani, powiada, pani jest blada jak śmierć”. „Maszka, powiadam, nie mam na to teraz czasu”. To dopiero zdarzenie! A więc i Nozdriow jest tu wmieszany! No, wieszuję!

Miła dama miała wielką ochotę dowiedzieć się dalszych szczegółów dotyczących porwania, to znaczy: o której godzinie itd., ale za wiele jej się zachciało. Dama miła pod każdym względem wymówiła się tym, że nie wie. Nie umiała kłamać. Zrobić jakieś przypuszczenie – to co innego, ale i to tylko w tym wypadku, gdy przypuszczenie opierało się na wewnętrznym przekonaniu; ale jeżeli już poczuła wewnętrzne przekonanie, to umiała wtedy bronić swego zdania i niechby spróbował jakiś frant-adwokat słynący darem przekonywania innych, niech no by spróbował tutaj się posprzeczać; zobaczyłby, co to znaczy wewnętrzne przekonanie!

Że obie damy były w końcu zupełnie przekonane o tym, co przedtem uważały tylko za przypuszczenie, w tym nie ma nic dziwnego. My, mądrzy ludzie, jak sami siebie nazywamy, postępujemy prawie tak samo, na dowód czego służą nasze uczone rozprawy. Najpierw uczone poczyna sobie w nich jak lizus, zaczyna nieśmiało, z umiarkowaniem, zaczyna od najniewinniejszego pytania: czy aby nie stąd? czy nie od takiego zakątka otrzymał nazwę taki a taki kraj? albo: czy ten dokument nie pochodzi z innych, późniejszych czasów? albo: czy przez ten naród nie należy rozumieć takiego a takiego narodu? Cytuje niezwłocznie tych i owych starożytnych pisarzy i gdy tylko zobaczy jakieś napomknienie albo po prostu coś, co mu się wydało napomknieniem, zaraz zaczyna galopować i nabiera śmiałości, bez ceremonii rozmawia ze starożytnymi pisarzami, zadaje im pytania i nawet sam na nie odpowiada, zupełnie zapominając o

tym, że zaczął od nieśmiałego przypuszczenia; wydaje mu się, że to widzi, że to jest jasne – i rozprawa kończy się słowami: a więc to tak było! A więc oznaczało taki naród! A więc z takiego punktu widzenia należy patrzeć na daną materię! Polem ogłosi to z katedry – i nowo odkryta prawda rusza w świat zdobywając sobie zwolenników i wielbicieli. Gdy obie damy tak trafnie i dowcipnie rozstrzygnęły tę zawiłą sprawę, do salonu wszedł prokurator ze swą wiecznie nieruchomą fizjonomią, gęstymi brwiami i mrugającym okiem. Damy, przerywając sobie wzajemnie, zaczęły go informować o wszystkich wypadkach, opowiedziały o kupnie martwych dusz, o zamiarze porwania córki gubernatora i zupełnie go zbiły z pantafelów, tak że chociaż stał w dalszym ciągu na jednym i tym samym miejscu, mrugał lewym okiem i uderzał chusteczką po brodzie strzepując stamtąd tabakę, ale zupełnie nic nie mógł zrozumieć. W takim więc stanie pozostawiły go damy i udały się każda w swoją stronę robić ruch w mieście. To przedsięwzięcie udało im się spełnić w ciągu pół godziny z minutami. Miasto zostało gruntownie poruszone; wszystko się ruszyło z miejsca i żeby choć ktokolwiek mógł coś z tego zrozumieć! Damy tak umiały wszystkim zakręcić w głowie, że wszyscy, a w szczególności urzędnicy, przez jakiś czas trwali w oszołomieniu. Położenie ich w pierwszej chwili było podobne do położenia ucznia, któremu wcześniej zbudzeni koledzy wsadzili podczas snu do nosa finfę, to jest paperek napełniony tabaką. Wciągnąwszy przez sen całą tabakę do nosa z gorliwością właściwą śpiącemu, budzi się, zrywa, patrzy jak głupi, wytrzeszczając oczy na wszystkie strony, i nie może sobie zdać sprawy, gdzie jest, co się z nim dzieje, a dopiero potem rozpoznaje oświetlone ukośnym promieniem słońca ściany, śmiech kolegów ukrytych po kątach i zaglądnący w okno poranek z rozbudzonym lasem, dźwięczącym tysiącami ptasich głosów i z rozświetloną rzeczka, tu i ówdzie przepadającą lśniącoymi zakrętami pośród cienkich trzin, całą zasypaną nagimi dzieciakami wzywającymi do kąpieli – i dopiero potem czuje wreszcie, że ma w nosie finfę. Zupełnie takie samo było w pierwszej chwili położenie obywateli i urzędników miasta. Każdy stanął jak baran, wytrzeszczywszy oczy. Martwe dusze, gubernatorska córka i Cziczikow bardzo dziwnie poplątali im się w głowach; i dopiero później, po pierwszym oszołomieniu, jak gdyby zaczęli odróżniać jedno od drugiego, zaczęli żądać wyjaśnień i gniewać się, widząc, że sprawa w żaden sposób nie chce się wyjaśnić. Cóż to za historia w samej rzeczy, cóż to za historia z tymi martwymi duszami: Nie ma żadnej logiki w martwych duszach, jakże to kupować martwe dusze? gdzie się znajduje taki głupiec? i za jakie, u licha, pieniądze będzie je kupował? i po kiego licha, na co mu się przydadzą te martwe dusze? i dlaczego jest w to wmieszana córka gubernatora? Jeżeli chciał ją porwać, to po cóż w tym celu kupować martwe dusze? A jeżeli kupować martwe dusze, to po co porwać gubernatorską córkę? czy chciał jej te martwe dusze podarować, czy co? Co za brednie, doprawdy, rozpuszczono po mieście? Co to za zwyczaj taki, że nie zdąży się człowiek odwrócić, a tu już nagadają bzdur, i żeby w tym był choć jakikolwiek sens... Jednakże rozniosło się to, a więc musiał być jakiś powód! Jakimż powodem mogą być martwe dusze? Nie ma w tym żadnego powodu. Wychodzi na to, że po prostu plotą androny, banialuki, bzdury, nonsensy? To po prostu diabli wiedzą co!... Słowem, zaczęto plotkować, plotkować, całe miasto zaczęło mówić o martwych duszach i córce gubernatora, o Cziczikowie i martwych duszach, o córce gubernatora i Cziczikowie i wszystko, co żyło, ruszyło się z miejsca. Jak wichur zerwało się dotychczas pozornie drzemające miasto! Powyłaziły z nor wszystkie susły i leniwe leżące po kilka lat w domu w szlafrokach, zwalając winę to na szewca, który uszył za ciasne buty, to na krawca, to na pijaka stangreta. Wszyscy ci, którzy już dawno pozrywali wszelkie znajomości i znali się tylko, jak to mówią, z panami Uwaliszynem i Poleżajewem (doskonałe terminy, pochodzące od czasowników „poleżeć” i „uwalić się”, mające u nas w Rosji duży obieg, zarówno jak zdanie: pojechać do Sapiehy i Chrapowickiego, oznaczające wszelkie kamienne sny na boku, na wznak i we wszystkich innych pozycjach, z chrapaniem, ze świstaniem przez nos i innymi akcesoriami). Wszyscy ci, których nie można było wyciągnąć z domu nawet zaproszeniem na pięćsetrublową zupę rybną z dwuarszynowymi czeczugami i wszelkimi roztopiającymi się w ustach kulebiakami; słowem, okazało się, że miasto jest i ludne, i duże, i zamieszkałe jak należy. Pokazali się jacyś Sysoj

Pafnudjewicz i Macdonald Karłowicz, o których nigdy nie słyszano; w salonach zaczął sterczeć ktoś bardzo długi z przestrzeloną ręką, tak wysokiego wzrostu, jakiego nigdy nie widziano. Na ulicach ukazały się kryte powoziki, nieznane kałamaszki, bryczuszki, linijki – i zagotowało się jak w kotle. W innym czasie i w innych okolicznościach podobne pogłoski, być może, wcale nie zwróciłyby na siebie uwagi; ale miasto N. już od dawna nie otrzymywało żadnych wiadomości. Nie zdarzyło się nawet w ciągu ostatnich trzech miesięcy nic takiego, co w stolicach nazywają komerażami, co, jak wiadomo, jest dla miasta tym samym, co dowóz we właściwym czasie zapasów żywnościowych. W miejskich plotkach powstały nagle dwie sprzeczne wersje i utworzyły się nagle dwie wrogie partie: męska i żeńska. Męska partia, głupsza, zwróciła uwagę na martwe dusze. Żeńska zajęła się wyłącznie porwaniem córki gubernatora. W partii tej, należy to zauważyć na chwałę dam, było nieporównanie więcej ładu i roztropności. Takie już widać ich przeznaczenie, żeby były dobrymi i roztropnymi gospodyniami. Wszystko u nich przybrało wkrótce żywy i określony charakter, oblekło się w jasne i oczywiste formy, wyjaśniło się, oczyściło, słowem, wyszedł całkiem skończony obrazek. Okazało się, że Cziczikow już od dawna był zakochany, że widzieli się w ogrodzie przy świetle księżycy, że gubernator nawet wydałby za niego córkę, dlatego że Cziczikow jest bogaty jak Żyd, gdyby nie jego żona, którą porzucił (skąd się dowiedzieli, że Cziczikow był żonaty? – tego nikt nie wiedział), i że żona, cierpiąca z powodu beznadziejnej miłości, napisała wzruszający list do gubernatora, i że Cziczikow widząc, iż ojciec i matka nigdy się nie zgodzą, zdecydował się na porwanie. W innych domach opowiadano nieco inaczej: że Cziczikow nie ma żadnej żony, ale jako człowiek przebiegły i działający z rozmysłem postanowił w celu otrzymania ręki córki zacząć od matki i miał z nią tajemny związek miłosny i że później oświadczył się o rękę córki; ale matka bojąc się, żeby nie dopuścić do występku przeciw religii, i czując w duszy wyrzuty sumienia, odmówiła mu stanowczo, i że dlatego właśnie Cziczikow zdecydował się na porwanie. Łączyły się z tym różne wyjaśnienia i poprawki, w miarę jak pogłoski docierały w końcu do najgłośniejszych zaułków. W Rosji zaś niższe sfery bardzo lubią mówić o plotkach ze sfer wyższych, dlatego też zaczęto o tym Wszystkim mówić w takich domach, gdzie na oczy nie widziano i nie znano Cziczikowa, zaczęto wiele dodawać i jeszcze więcej wyjaśniać. Przedmiot stawał się z każdą chwilą bardziej interesujący, przybierał z każdym dniem bardziej wykończone formy, aż wreszcie w tej wykończonej formie dotarł do uszu gubernatorowej. Gubernatorowa, jako matka rodziny, jako pierwsza w mieście dama, w końcu jako dama nie podejrzewająca nic podobnego uczuła się bardzo dotknięta podobnymi historiami i wpadła w oburzenie słuszne pod każdym względem. Biedna blondynka zniosła najnieprzyjemniejsze tête-à-tête, jakie kiedykolwiek zdarzało się mieć szesnastoletniej panience. Polały się potoki pytań, badań, wymówek, gróźb, wyrzutów, upomnień, tak że dziewczątko uderzyło w płacz, szlochało i nie mogło zrozumieć ani słowa; szwajcar otrzymał jak najsurowszy rozkaz nie przyjmowania Cziczikowa o żadnej porze i pod żadnym pozorem.

Zrobiwszy swoje w stosunku do gubernatorowej, damy zabrały się do męskiej partii, pragnąc ją przeciągnąć na swoją stronę i twierdząc, że martwe dusze to wymysł, użyty tylko po to, żeby oddalić wszelkie podejrzenia i pomyślniej dokonać porwania. Wielu spośród mężczyzn nawróciło się i przyłączyło do ich partii, mimo iż narazili się na ostre wymówki swych kolegów, którzy im nawymyślali od bab i spódnic – przezwiska, jak wiadomo, bardzo obraźliwe dla płci męskiej..

Ale jakkolwiek bronili się i sprzeciwiali mężczyźni, jednak w ich partii nie było takiego ładu, jak w żeńskiej. Wszystko było u nich jakieś nieczułe, nieociosane, niezgrabne, nieładne, niezręczne, niedobre; w głowie zamęt, harmider, zawikłanie, nieporządek w myślach – słowem, zaznaczyła się we wszystkim licha natura mężczyzny, natura grubo ciosana, niezdolna ani do gospodarstwa, ani do głębokiej wiary, nieufna, leniwa, pełna nieustannych wątpliwości i wiecznej bojaźni. Mówili, że wszystko to bzdury, że porwanie córki gubernatora to rzecz raczej huzarska niż obywatelska, że Cziczikow tego nie robi, że baby kłamią, że baba to tak jak worek: co do niego wrzucić, to i niesie; że najważniejsza rzecz, na którą trzeba zwrócić uwagę, to martwe dusze, które zresztą diabli wiedzą, co oznaczają, ale że w nich kryje się jednak coś bardzo podłego i brzydkiego.

Dlaczego mężczyznom się zdawało, że było w nich zawarte coś podłego i brzydkiego, zaraz się dowiemy. Do guberni był wyznaczony nowy generał-gubernator, zdarzenie, jak wiadomo, wprowadzające urzędników w stan obawy: zaczęły się przeniesienia, szykany, zmywania głowy i różne urzędowe zupki, którymi zwierzchnik częstuje swych podwładnych. Ano, cóż, myśleli urzędnicy, jeżeli on się tylko dowie, że w ich mieście krążą takie oto głupie pogłoski, to z tego jednego powodu może się rozżłościć na śmierć. Zarządzający szpitalami pobladł nagle; wyobraził sobie ni z tego, ni z owego. Bóg wie co: czy przez słowa *m a r t w e d u s z e* nie należy rozumieć chorych, umarłych w znacznej ilości w szpitalach i w innych miejscach skutkiem zabójczej gorączki, przeciwko której nie przedsięwzięto odpowiednich środków, i czy Cziczikow nie jest urzędnikiem z kancelarii generała-gubernatora, wysłanym w celu przeprowadzenia tajnego śledztwa? Zakomunikował o tym prezesowi. Prezes odpowiedział, że to bzdury, a potem nagle sam zbladł zadawszy sobie pytanie: a co, jeżeli dusze, kupione przez Cziczikowa, są istotnie martwe? A on dopuścił do zawarcia kontraktu na nie i do tego jeszcze sam odegrał rolę pełnomocnika Pluszki; niech to dojdzie do wiadomości generała-gubernatora, cóż wtedy? Nic więcej nie zrobił, tylko powiedział o tym temu i owemu i nagle pobladł i ten, i ów; strach jest zaraźliwszy od dżumy i udziela się w jednej chwili. Wszyscy nagle odnaleźli w sobie takie grzechy, jakich nawet nie było. Słowa *m a r t w e d u s z e* brzmiały tak nicokreślenie, że zaczęto nawet podejrzewać, czy nie ma tu jakiej aluzji do pośpiesznie pogrzebanych ciał na skutek dwóch niedawno mających miejsce wypadków. Pierwszy wypadek zdarzył się z jakimiś solwyczegodzki kupcami, którzy przyjechali do miasta na jarmark i urządzili po targu bibkę dla swych przyjaciół, kupców ustsysolskich – bibkę na rosyjski sposób z niemieckimi wymysłami: z orszadami, z ponczami, z balsamami itp. Bibka, jak to bywa, zakończyła się bójką. Solwyczegodzcy zatłukli na śmierć ustsysolskich, chociaż i od nich dobrze oberwali pod boki, pod żebra i po krzyżach, co świadczyło o niezmiernej wielkości pięści, w jakie byli zaopatrzeni nieboszczycy. Jeden ze zwycięzców miał nawet, jak się wyrażali wojownicy, całkiem rozkwaszoną trąbę, to znaczy zupełnie zmiażdżony nos, tak że nie zostało go na twarzy ani na pół palca. Kupcy przyznali się do winy tłumacząc, że się trochę rozdokazywali. Krążyły pogłoski, jakoby każdy zapłacił od głowy po cztery carskie papierki; zresztą sprawa to nazbyt ciemna; na podstawie przeprowadzonych badań i śledztwa okazało się, że ustsysolskie zuchy zmarły skutkiem zaczadzenia, dlatego też pochowano ich jako zaczadzonych. Drugi wypadek, który się zdarzył niedawno, był następujący: rządowi chłopci ze wsi Wszawa-Pycha, połączywszy się z takimi samymi chłopami ze wsi Borówki i Zadirajłowo, starli jakoby z oblicza ziemi policję ziemską w osobie ławnika sądu ziemskiego, niejakiego Drobiażkina; że jakoby policja ziemska, to jest ławnik Drobiażkin, znalazł upodobanie w nazbyt częstych przyjazdach do ich wsi, co w pewnych wypadkach równa się epidemicznej gorączce, a przyczyną tego było, że policja ziemska, będąc miękkiego serca, miał słabość do wiejskich bab i dziewczyn. Zresztą nie wiadomo na pewno, chociaż chłopci w zeznaniach wyrazili się po prostu, że policja ziemska był lubieżny jak kot i że już nieraz go ostrzegali, a raz nawet wypędzili gołego z jakiejś chałupy, gdzie się zakradł. Naturalnie policja ziemska godzien był kary za sercową słabość, jednakże chłopów zarówno z Wszawej-Pychy, jak również i z Zadirajłowa nie można było uniewinnić za samosąd, jeżeli istotnie uczestniczyli w zabójstwie. Ale sprawa była niejasna, policję ziemską znaleziono na drodze, mundur czy też surdut policji ziemskiej był gorszy od szmaty, a już fizjonomii nawet rozpoznać nie było można. Sprawa przechodziła od sądu do sądu i trafiła wreszcie do Izby, gdzie najpierw poufnie zdecydowano w tym sensie: ponieważ nie wiadomo, kto mianowicie spośród chłopów brał udział, a jest ich wielu, Drobiażkin zaś jest nieboszczykiem i niewielki by miał z tego pożytek, gdyby nawet wygrał sprawę, a chłopci jeszcze żyją, więc bardzo im zależy na wyroku na ich korzyść; wskutek tego tak postanowiono: ławnik Drobiażkin sam był winien niesprawiedliwie uciskając chłopów z Wszawej-Pychy i Zadirajłowa, a umarł, wracając samami, na skutek ataku apoplektycznego. Zdawałoby się, że sprawa była załatwiona gładko; ale urzędnicy, nie wiadomo dlaczego, zaczęli przypuszczać, że pewno o te martwe dusze teraz chodzi. Zdarzyło się, jakby umyślnie, że wtedy gdy panowie urzędnicy i tak znajdowali się w kłopotliwym

położeniu, nadeszły do gubernatora od razu dwa papiery urzędowe. W jednym była mowa, że według otrzymanych informacji i doniesień znajduje się w ich guberni fałszerz pieniędzy ukrywający się pod różnymi nazwiskami i żeby niezwłocznie zarządzo jak najsurowsze poszukiwania. Drugi papier zawierał zawiadomienie gubernatora z sąsiedniej guberni o zbiegłym rozbójniku i że jeżeli się ukaże w ich guberni jakiś człowiek podejrzany, nie okazujący żadnych świadectw ani paszportów, to zatrzymać go natychmiast. Te dwa papiery oszołomiły wszystkich. Dawne wnioski i domysły zostały zupełnie obalone. Naturalnie w żaden sposób nie można było przypuścić, żeby tu się cośkolwiek odnosiło do Cziczikowa, jednakże kiedy się wszyscy trochę namyślili, kiedy sobie przypomnieli, że właściwie nie wiedzą, kim w samej rzeczy jest Cziczikow, że on sam o sobie mówił bardzo niejasno, opowiadał, co prawda, że ucierpiał na służbie w imię prawdy, ale przecież wszystko to jest jakieś niejasne i kiedy sobie przy tym przypomnieli, że wyraził się nawet, iż ma wielu wrogów godzących na jego życie, zamyślili się jeszcze bardziej: a więc jego życie było w niebezpieczeństwie, a więc musiał przecież zrobić coś takiego... a któż to taki w samej rzeczy? Naturalnie, nie można pomyśleć, żeby on mógł podrabiać pieniądze, a tym bardziej być rozbójnikiem, wygląda na porządnego człowieka, ale przy tym wszystkim, kimże on mógł być w samej rzeczy? I oto panowie urzędnicy zadali sobie teraz pytanie, które powinni byli zadać sobie na początku, to znaczy w pierwszym rozdziale naszego poematu. Postanowiono wybadać trochę tych, od których dusze były kupione, żeby przynajmniej dowiedzieć się, co to za kupno i co właściwie należy rozumieć przez martwe dusze, i czy nie wyjawiał komu, choćby niechcący, choćby jakoś półsłówkami, swoich prawdziwych zamiarów, i czy nie powiedział komuś, kim jest. Przede wszystkim zwrócono się do Koroboczki, ale od niej niewiele się dowiedziano: ano kupił za piętnaście rubli i pierze też kupuje, i wiele wszystkiego obiecał zakupić, dostawia też słoninę dla rządu i dlatego na pewno oszust, bo już był jeden taki, który kupował pierze i dostawiał słoninę dla rządu, i wszystkich oszukał, a protopopową okpił więcej niż na sto rubli. Wszystko, co później mówiła, było powtórzeniem prawie jednego i tego samego i urzędnicy przekonali się tylko, że Koroboczka była po prostu głupią starą babą. Maniłow odpowiedział, że za Pawła Iwanowicza gotów ręczyć jak za samego siebie, że oddałby cały swój majątek, żeby mieć setną część zalet Pawła Iwanowicza, i w ogóle wyrażał się o nim jak najpochlebniej, dorzuciwszy kilka myśli o przyjaźni i sympatii, już z przymrużonymi oczami. Myśli te, rzecz prosta, w dostatecznym stopniu wytłumaczyły tkliwość jego serca, ale nie wyjaśniły urzędnikom sedna rzeczy. Sobakiewicz odpowiedział, że Cziczikow, jego zdaniem, to porządny człowiek, i że chłopów sprzedał mu na wybór, i to ludzi pod każdym względem żywych, ale że nie ręczy za to, co się może zdarzyć na przyszłość, że jeżeli powymierają w drodze przy trudnościach przesiedlenia, to nie jego wina, to zależy tylko od Boga, a gorączek i różnych śmiertelnych chorób jest na świecie sporo i zdarzają się wypadki, że całe wsie wymierają. Panowie urzędnicy uciekli się do jeszcze jednego środka, niezbyt szlachetnego, którym jednak niekiedy trzeba się posługiwać, a mianowicie pośrednio, przez różne lokajskie znajomości, rozpytali ludzi Cziczikowa, czy nie znają jakich szczegółów dotyczących się dawniejszego życia i sytuacji ich pana; ale usłyszeli również niewiele. Od Pietrka poczuli tylko zapach niewietrzonego pokoju, a od Selifana dowiedzieli się, że pan był na służbie rządowej i służył dawniej na komorze celnej, nic więcej. Ta klasa ludzi posiada bardzo dziwny zwyczaj. Jeżeli ich zapytać o coś po prostu, nigdy sobie nie przypomną, nie przyjdzie im nic do głowy, a nawet wprost odrzekną, że nie wiedzą, a jeżeli zapytać o coś innego, zaraz zaczną gadać o tamtym i opowiedzą z takimi szczegółami, o jakich nawet nie chcesz wiedzieć. Wszystkie badania przeprowadzone przez urzędników wskazały tylko na to, że na pewno zupełnie nie wiedzą, kto to taki Cziczikow, a jednak Cziczikow stanowczo musiał kimś być. Postanowili w końcu ostatecznie rozmówić się na ten temat i zdecydować przynajmniej, co i jak mają robić i jakie środki przedsięwziąć, i kim on jest właściwie: czy takim człowiekiem, którego trzeba złapać i zamknąć jako nieprawomyślnego, czy też takim, który sam może złapać i zamknąć ich wszystkich jako nieprawomyślnych. Postanowiono specjalnie w tym celu zebrać się u policmajstra, znanego już czytelnikom ojca i dobroczyńcy miasta.

ROZDZIAŁ X

Zebrawszy się u policmajstra, znanego już czytelnikom ojca i dobroczyńcy miasta, urzędnicy mieli okazję oznajmić sobie nawzajem, że aż pochudli od tych trosk i obaw. Istotnie, nominacja nowego generała-gubernatora i te otrzymane papiery o tak poważnej treści i te Bóg wie jakie pogłoski – wszystko to pozostawiło wyraźne ślady na ich twarzach i fraki wielu spośród nich zrobiły się wyraźnie luźne. Wszyscy zmizernieli, i prezes schudł, i zarządzający szpitalami schudł, i prokurator schudł, i jakiś Siemion Iwanowicz, nigdy nie nazywany z nazwiska i noszący na wskazującym palcu pierścień, który pokazywał damom, nawet i ten schudł. Naturalnie znaleźli się, jak to wszędzie bywa, ci i owi spośród odważnych, którzy nie tracili równowagi ducha; ale było ich bardzo niewiele, jeden tylko poczmistrz. On jeden zachowywał spokój i zawsze w podobnych wypadkach miał zwyczaj mówić: „Znamy was, generałów-gubernatorów! Was może się ze trzech albo ze czterech zmieni, a ja oto już trzydzieści lat, panie dzieju, siedzę na jednym miejscu”. Na to zazwyczaj odpowiadali inni urzędnicy: „Łatwo ci, szprechen zi dejcz, Iwanie Andrieiczu, tak mówić; masz zajęcie pocztowe: przyjąć i wysłać ekspedycję; oszukasz, chyba kończąc urządowanie o godzinę wcześniej albo weźmiesz coś od spóźniającego się kupca za przyjęcie listu w godzinach pozabiurowych, albo wyślesz jakąś przesyłkę, której nie wolno przesyłać – w takich warunkach, rozumie się, każdy byłby święty. Ale niech no diabeł zacznie co dzień nawijać ci się pod rękę, tak że nawet nie chcesz brać, a on sam wciska. U ciebie, ma się rozumieć, jeszcze pół biedy; masz tylko jednego syna; a tu, bracie, Praskowii Fiodorowie równie tak Pan Bóg błogosławi, że co rok to prorok; albo Praskuszka, albo Pietruszka, wtedy tobyś, bracie, inaczej zaśpiewał!” – Tak mówili urzędnicy, a czy rzeczywiście można oprzeć się diabłu, o tym sądzić nie jest rzeczą autora. Na zebranej tym razem naradzie nie można było zauważyć, jak to powiadają, ni sensu, ni kadensu. W ogóle jakoś nie nadajemy się do oficjalnych zebrań. Na wszystkich naszych zebraniach, począwszy od gromadzkich zebrań chłopskich aż do wszelakich możliwych uczonych i tym podobnych komitetów, jeżeli na nich nie ma kogoś, kto by wszystkim pokierował, panuje wielki chaos. Trudno nawet powiedzieć, dlaczego tak jest; widocznie już taki naród, a udają się tylko zgromadzenia publiczne, które ustanowiono w tym celu, żeby wypić albo zjeść obiad, jak to bywa w klubach i rozmaitych kasynach na niemiecką modłę. Ale chęćka jest zawsze, choćby do wszystkiego. Ni z tego, ni z owego, niech tylko wiatr powieje, założymy nagle towarzystwa dobroczynności, opieki i licha wie jakie. Cel będzie piękny, a przy tym wszystkim nic z tego nie wyjdzie. Być może, pochodzi to stąd, że jesteśmy z siebie bardzo kontenci na samym początku i uważamy już, że wszystko zostało zrobione. Na przykład przystępując do stworzenia jakiegoś towarzystwa dobroczynności dla biednych i ofiarowawszy znaczne sumy, natychmiast dla uczczenia tak chwalebego postępu wydajemy obiad dla wszystkich dygnitarzy miejskich, naturalnie za połowę ofiarowanych sum; za resztę wynajmuje się zaraz dla komitetu wspaniałe mieszkanie z opalem i stróżami, za czym z całej sumy pozostaje dla biednych pięć i pół rubla, a i tu co do podziału tej sumy nie wszyscy członkowie się ze sobą zgadzają i każdy wypycha jakąś swoją protegowaną. Zresztą zebrana w danej chwili narada była całkiem innego rodzaju: zwołano ją z konieczności. Nie o jakichś tam biednych ani o kogoś obojętnego chodziło, sprawa dotyczyła każdego urzędnika osobiście, sprawa dotyczyła nieszczęścia grożącego wszystkim jednakowo, a więc z natury rzeczy powinno być więcej jednomyślności, solidarności. Ale przy tym wszystkim wyszło diabli wiedzą co. Nie mówiąc już o różnicy zdań właściwej wszystkim naradom,

w opiniach zebranych ujawniło się jakieś niepojęte niezdecydowanie. Jeden mówił, że Cziczikow jest fałszerzem banknotów i później sam dodawał: „A może i nie jest fałszerzem”; drugi twierdził, że to urzędnik z kancelarii generała-gubernatora, i natychmiast wyrażał powątpiewanie: „A zresztą diabli go wiedzą, na czole przecież nie ma wypisane”. Przeciwno domysłowi, czy to czasem nie przebrany rozbójnik, powstali wszyscy, stwierdzono, że oprócz powierzchowności, która sama przez się wzbudzała zaufanie, w jego słowach również nie było nic takiego, co by wskazywało na awanturniczą przeszłość. Nagle poczmistrz, który przez kilka minut trwał w jakiejś zadumie, czy to skutkiem natchnienia, które go nagle ogarnęło, czy też skutkiem czegoś innego, niespodzianie zawołał:

– Wiecie, panowie, kto to taki?

Głos, jakim to wypowiedział, miał w sobie coś wstrząsającego, tak że zmusił wszystkich razem do okrzyku:

– A kto?

– To, proszę panów, panie dzieju, nikt inny, tylko kapitan Kopiejkin!

A gdy wszyscy zaraz chórem zapytali:

– A któż to taki ten kapitan Kopiejkin? – poczmistrz powiedział:

– A więc panowie nie wiecie, kto to taki kapitan Kopiejkin?

Wszyscy odpowiedzieli, że nie mają pojęcia, kto to taki kapitan Kopiejkin.

– Kapitan Kopiejkin – powiedział poczmistrz otworzywszy swą tabakierę tylko do połowy, w obawie, żeby ktoś z sąsiadów nie wetknął tam swych palców, o których czystości poczmistrz powątpiewał, a nawet miał zwyczaj dogadywać: „Wiemy, ojczulku, wy tam, być może, licho wie gdzie kładziecie palce, a tabaka to rzecz wymagająca czystości” – ...kapitan Kopiejkin – powtórzył, już zażywszy tabaki – a toż to przecież, jeśli już mam panom powiedzieć, będzie arcyzajmujący dla jakiegoś pisarza cały poemat w swoim rodzaju.

Wszyscy obecni oświadczyli, iż pragną poznać tę historię albo, jak się wyraził poczmistrz, „arcyzejmujący dla pisarza cały poemat w swoim rodzaju”, i poczmistrz tak zaczął:

OPOWIEŚĆ O KAPITANIE KOPIEJKINIE

– Po kampanii roku dwunastego, panie dobrodzieju – tak zaczął poczmistrz, mimo iż w pokoju był nie jeden dobrodziej, ale aż sześciu – po kampanii roku dwunastego wraz z rannymi przysłano także kapitana Kopiejkina. Czy to pod Krasnem, czy pod Lipskiem, dość na tym, że możecie sobie panowie wyobrazić, oderwało mu rękę i nogę. No, wtedy jeszcze żadne rozporządzenia o rannych, rozumiecie panowie, nie były wydane; ten jakiś tam kapitał inwalidzki ustanowiono, możecie sobie panowie wyobrazić, poniekąd znacznie później. Kapitan Kopiejkin widzi: trzeba pracować, tylko że rękę ma, rozumiecie, lewą. Zajechał do domu ojca, wywiedzieć się, co i jak; ojciec powiada: „Nie mam cię czym karmić, ja – możecie sobie panowie wyobrazić – sam ledwie na chleb zarobię”. A więc mój kapitan Kopiejkin postanowił udać się, panie dobrodzieju, do Petersburga, żeby prosić cara o jakąś monarszą łaskę: „że, niby, tak a tak, poniekąd, że tak powiem, narażalem życie, przelewałem krew...” No jakoś tam, wiecie, z taborami czy też z furgonami rządowymi, słowem, panie dobrodzieju, dowlókl się jakoś do Petersburga. No, możecie sobie panowie wyobrazić, jakiś tam taki sobie kapitan Kopiejkin znalazł się nagle w stolicy, do której, że tak powiem, nie ma podobnej na całym świecie! Nagle ukazuje mu się świat, że ta powiem, jako pewnego rodzaju pole życia, taka, rozumiecie bajkowa Szeherazada. Nagle jakiś tam, możecie sobie wyobrazić, Newski Prospekt albo tam jakaś Grochowa, niech to diabli! Albo tam jakaś Litiejna; tam znowu jakiś taki szpikulec¹⁵ w powietrz mosty tam wiszą diabli wiedzą jak, możecie sobie panów wyobrazić, bez żadnego, że tak powiem, zaczepienia; słowem Semiramida, panie dobrodzieju, i basta! Wpadł na pomysł, żeby sobie wynająć mieszkanie, ale wszystko to strasznie człeka kasa franki, portierey, diabelstwo takie, rozumiecie, dywany, panie dobrodzieju, istna Persja... słowem – można

¹⁵ Mowa o iglicy na gmachu Admiralicji.

powiedzieć, depce się po pieniądzach. Idziesz sobie po prostu ulicą, a nos już czuje, że pachnie tam tysiącami; a cały bank asygnacyjny mojego kapitana Kopiejkina, rozumiecie panowie, składa się z jakich dziesięciu pięciorubłówek i odrobiny srebra... No, jakoś tam się urządził w rewelskiej restauracji za rubla dziennie; obiad – kapuśniak, kawałek wołowiny... Widzi – nie ma co długo popasać. Rozpytał się, gdzie się ma zwrócić. Powiadają mu, jest, by tak rzec, wyższa komisja, urząd, rozumiecie panowie, taki jakiś, z naczelnikiem generałem *en chef* takim a takim. A cesarza, trzeba wam wiedzieć, nie było jeszcze w tym czasie w stolicy, wojska, możecie sobie panowie wyobrazić, nie wróciły jeszcze z Paryża, wszystko było za granicą. Mój Kopiejkin wstawszy wcześniej oskrobał sobie lewą ręką brodę – bo płacić cyrulikowi, to by przyprawiło poniekąd o koszta, wciągnął na siebie mundurek i na swoim szcudle, możecie sobie panowie wyobrazić, poszedł do samego naczelnika komisji, do magnata. Rozpytał się, gdzie mieszka naczelnik. „Tam” – powiadają i pokazują mu dom na bulwarze Pałacowym. Chałupeczka, rozumiecie panowie, chłopska: szybki w oknach, możecie sobie wyobrazić, jak lustra półtorasążniowe, tak że wazy i wszystko, co tylko w pokojach, wydaje się jakby było na zewnątrz; można by, że tak powiem, sięgnąć ręką z ulicy; ściany wyłożone drogocennym marmurem, metalowe ozdoby, pierwsza lepsza metalowa klamka od drzwi taka, że przedtem, rozumiecie panowie, trzeba pobiec do sklepiku, kupić za grosz mydła, że dwie godziny szorować nim ręce i dopiero wtedy można się do niej dotknąć – słowem, lakier na wszystkim taki, że po prostu można stracić głowę. Już choćby szwajcar wygląda jak jakiś generalissimus: wyzlacana buława, hrabiowska fizjonomia, niczym jakiś odkarmiony spaśny mops; batystowy kołnierzyk, niech to diabli! Mój Kopiejkin dokuśtykał jakoś na swym szcudle do sali audiencyjnej, skulił się tam sobie w kąciku, żeby nie trącić łokciem, możecie sobie panowie wyobrazić, jakiejś Ameryki albo jakichś Indyj... takiej wyzłoconej, że tak powiem, wazy porcelanowej. No, rozumie się, że się tam wystął do woli, bo, możecie sobie panowie wyobrazić, przyszedł o tym czasie, kiedy generał, że się tak wyrażę, dopiero wstał z łóżka i kamerdyner zapewne przyniósł mu jakiś srebrny ceberek do różnego tam, rozumiecie, takiego obmywania się. Czeka mój Kopiejkin cztery godziny, aż tu wychodzi dyżurny urzędnik i powiada: „Pan generał zaraz wyjdzie do sali audiencyjnej”. A w pokoju już ludzi jak bobu na talerzu. I wszystko to nie jacyś tam ludzie zależni, jak my, wszystko to dygnitarze czwartej albo piątej klasy, pułkownicy, a gdzieniegdzie nawet gruby makaron lśni na epoletach – słowem, generalicja taka. Nagle w sali, rozumiecie panowie, zrobiło się leciutkie zamieszanie, jakieś eteryczne takie, subtelne. Ktoś syknął tu i ówdzie: „Cisza” – zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wchodzi magnat. No... możecie sobie panowie wyobrazić: mąż stanu! Na twarzy, że tak powiem... no, odpowiednio do stanu, rozumiecie... panowie. Wszyscy w sali wyciągnęli się, rozumie się, jak struna, każdy czeka, drży, oczekuje rozstrzygnięcia, że się tak wyrażę, losu. Minister czy tam magnat podchodzi do jednego, do drugiego: „Pan w jakiej sprawie, pan w jakiej sprawie, pan czego sobie życzy, jaką pan ma sprawę?” W końcu, panie dobrodzieju, do Kopiejkina. Kopiejkin zebrawszy odwagę: „Tak a tak, ekscelencjo: krew przelewałem, straciłem, poniekąd, rękę i nogę, nie mogę pracować, ośmielałem się prosić monarszej łaski”. Naczelnik widzi: człowiek o szcudle i prawy rękaw pusty, przyczepiony do munduru. „Dobrze, powiada, niech się pan dowie w tych dniach”. Mój Kopiejkin wychodzi niemal zachwycony. Już choćby to, że miał zaszczyt uzyskać audiencję, że się tak wyrażę, u magnata pierwszej rangi; a po drugie, że oto wreszcie rozstrzygnie się, w pewnym sensie, sprawa emerytury.

W takim animuszu, możecie sobie panowie wyobrazić, kuśtyka po chodniku. Wstąpił do restauracji „Pałkińskiej” wypić kieliszek wódki, zjadł obiad, panie dobrodzieju, w „Londynie”, kazał sobie podać kotlecik z kaparami, pularde z rozmaitymi frykasami; poprosił o butelkę wina, wieczorem poszedł do teatru – słowem, puścił się na całego, że tak powiem. Na chodniku widzi: idzie jakaś zgrabna Angielka niby jakiś łabędź, możecie sobie panowie wyobrazić. Mój Kopiejkin, krew w nim, rozumiecie, zagrała, pobiegł na swym szcudle, dryp-dryp, za nią... „E nie – pomyślał – lepiej później, kiedy dostanę emeryturę; teraz już coś za bardzo się rozochociłem”. Po trzech, czterech dniach zjawia się, panie dobrodzieju, na komisję, do ministra, doczekał się wyjścia

magnata. „Tak i tak, powiada, przyszedłem, powiada, dowiedzieć się o zarządzeniu waszej wysokowielmożności, jako że z powodu chorób i ran, jakie otrzymałem...” i tak dalej, rozumiecie panowie, w odpowiednim stylu. Magnat, wyobraźcie sobie panowie, od razu go poznał. „A, powiada, dobrze, powiada, na razie nic panu więcej nie mogę powiedzieć, tylko to, że musi pan poczekać na przyjazd cesarza; wówczas na pewno będą wydane odnośne zarządzenia dotyczące rannych, a bez monarszej woli, że tak powiem, nic zrobić nie mogę”. Ukłon – i bywaj zdrów. Kopiejkin, rozumiecie panowie, wyszedł jak zmyty. Już myślał, że zaraz jutro dadzą mu pieniądze. „Naści, kochanku, pij i baw się”; a tu zamiast tego – czekaj, a w dodatku nawet termin nie oznaczony. Otóż odszedł od drzwi osowiwały jak pudel, którego kucharz oblał wodą: i ogon podwinął pod siebie, i uszy opuścił. „Nie – myśli sobie – pójdę jeszcze raz, wytłumaczę, że ostatni grosz przejadam, że jak nie wspomóżecie, umrę, że tak powiem, z głodu”. Słowem, znowu, panie dobrodziejku, przychodzi na bulwar Pałacowy. „Nie wolno – powiadają mu – nie przyjmuje, proszę przyjść jutro”. Na drugi dzień – to samo; a szwajcar nawet na niego nie chce spojrzeć. A tu tymczasem z pięćorubłówek, rozumiecie, już mu tylko jedna pozostała w kieszeni. Jadł przedtem kapuśniak, wołowiny kawaleczek; a teraz kupi w sklepiku jakiegoś tam śledzia albo kiszony ogórek i chleba za dwa grosze, słowem – głoduje biedaczysko, a tu apetyt po prostu wilczy. Przechodzi koło jakiejś takiej restauracji – kucharz tam, możecie sobie panowie wyobrazić, cudzoziemiec, taki Francuz z wygoloną gębą, bieliznę ma na sobie holenderską, fartuch pod względem białości można by niejako porównać ze śniegiem, robi jakieś tam finzerw¹⁶, kotleciki z truflami, słowem – takie arcysupe delikates¹⁷, że po prostu samego siebie można by zjeść z apetytu. Albo przejdzie koło Milutyńskich sklepów: tam z okna wygląda, by tak rzec, łośoś taki, wisienki po pięć rubli sztuczka, arbuz-olbrzym, dyliżans taki, wysunął się z okna i, że tak powiem, szuka głupiego, który by zapłacił sto rubli – słowem, na każdym kroku pokusa i, że tak powiem, ślinka idzie do ust, a tu – czekaj tatka latka. Więc możecie sobie panowie wyobrazić, co za położenie: z jednej strony, że tak powiem – łośoś i arbuz, a z drugiej podają mu wciąż to samo danie: „jutro”. Wreszcie, że się tak wyrażę, stracił biedaczysko cierpliwość, postanowił, żeby tam nie wiem co, szturm przypuścić, rozumiecie panowie. Doczekał się u podjazdu, aż nadszedł jakiś inny petent i, rozumiecie, z jakimś generałem wśliznął się ze swoim szczudłem do sali audiencyjnej. Magnat, jak zwykle, wychodzi: „Pan w jakiej sprawie? pan w jakiej sprawie? A! – powiada ujrzawszy Kopiejkina – przecież mówiłem już panu, że musi pan czekać decyzji”. „Niech pan się zlituje, ekscelencjo, nie mam, że tak powiem, na kawałek chleba...” „Cóż robić? Nic dla pana nie mogę zrobić; niech pan się postara tymczasem sam sobie radzić; niech pan sobie sam poszuka środków utrzymania”. „Ależ, ekscelencjo, jakie środki utrzymania mogę zdobyć, nie mając ręki ani nogi”. „Ale przyzna pan – powiada dygnitarz – ja nie mogę pana utrzymywać, poniekąd, swoim kosztem; mam wielu rannych, wszyscy mają te same prawa... Niech się pan uzbroi w cierpliwość. Przyjedzie cesarz, mogę panu dać słowo honoru, że jego łaska monarsza pana nie ominie”. „Ależ, ekscelencjo, ja nie mogę czekać” – powiada Kopiejkin, i to poniekąd dość ordynarnie. Magnat, rozumiecie panowie, zaczął się już złościć. Rzeczywiście: naokoło pełno generałów, każdy oczekuje decyzji, rozkazów; sprawy, że tak powiem, ważne, państwowe, nie cierpiące zwłoki, każda chwila droga, a tu uczeplił się jakiś intruz. „Daruje pan – powiada – nie mam czasu... czekają na mnie sprawy ważniejsze od pańskich”. Daje mu do zrozumienia, poniekąd delikatnie, że już najwyższy czas, by się wyniósł. A mój Kopiejkin – głód, rozumiecie panowie, przycisnął go nie na żarty. „Jak pan uważa, ekscelencjo, powiada, a ja nie ruszę się z miejsca, póki pan nie wyda rozporządzenia”. No... możecie sobie panowie wyobrazić... odpowiedzieć w ten sposób magnatowi, któremu wystarczy palcem kiwnąć – a wylecisz jak z procy, że nawet sam diabeł cię nie odnajdzie... Przecież jeżeli komuś z nas odpowie w taki sposób urzędnik niższy o jedną rangę – to już grubiaństwo. No a tu – cóż za dystans, dystans jaki: generał *en chef* i jakiś tam kapitan Kopiejkin! 90 rubli i zero! Generał, rozumiecie panowie, nic, tylko spiorunował go wzrokiem, i to jakim wzrokiem! Od takiego wzroku

¹⁶ Zniekształcone: *aux fines herbes* – sos sporządzony z aromatycznych jarzyn i korzeni (w oryginale fonetycznie).

¹⁷ Zniekształcone: *soupe délicacèsse* – wykwintna zupa (w oryginale fonetycznie).

duśa ci w pięty ucieknie. A mój Kopiejkin, możecie sobie panowie wyobrazić, ani drgnie, stoi jak słup. „Cóż to pan?” – powiada generał i wziął go, jak to mówią, do galopu. Zresztą, prawdę powiedziawszy, obszedł się z nim jeszcze dość łaskawie. Inny by mu takiego strachu napędził, że przez parę dni widziałby wszystko do góry nogami, a ten powiedział tylko: „Dobrze, powiada, skoro tu panu za drogo żyć i nie może pan w stolicy czekać spokojnie na decyzję o pańskim losie, to odeślę pana ciupasem. Zawołać, powiada, feldjegra! odstawić go na miejsce zamieszkania!” A feldjeger już tam, rozumiecie panowie, stoi za drzwiami. Chłopisko jakieś długie na trzy arszyny, łapę ma, możecie sobie panowie wyobrazić, już przez naturę stworzoną do grzmocenia woźniców – słowem, dentysta taki... A więc go, niebożatko, na wózek i z feldjegrem. „No – myśli, Kopiejkin – przynajmniej nie trzeba opłacać kosztów przejazdu, dobre i to”. Jedzie sobie, panie dobrodzieju, z feldjegrem i jadąc z feldjegrem niejako, że tak powiem, rozmyśla sobie: „Skoro generał powiada, żeby sam sobie poszukał środków utrzymania i sam sobie radził – dobrze, powiada, ja, powiada, znajduję środki!” No, jak go tam odstawili na miejsce i dokąd mianowicie przywieźli, tego zupełnie nie wiadomo. Tak oto, rozumiecie panowie, słuchy o kapitanie Kopiejkinie utonęły w rzece zapomnienia, w tej jakiejś tam Lecie, jak ją poeci nazywają. Ale czekajcie, panowie, tu właśnie dopiero się zaczyna, można powiedzieć, wątek opowiadania. A więc, gdzie się podział Kopiejkin, nie wiadomo; ale nie minęły, możecie sobie panowie wyobrazić, dwa miesiące, jak w rizańskich lasach pojawiła się szajka rozbójników i hersztem tej szajki był, panie dobrodzieju, nie kto inny...

– Zaczekaj no, Iwanie Andrieiczu – przerwał mu nagle policmajster – przecież sam powiedziałeś, że kapitan Kopiejkin nie ma ręki i nogi, a Cziczikow...

Tu poczmistrz wydał okrzyk i palnął się z całej siły ręką w czoło, nazwawszy siebie publicznie przy wszystkich cielęcina. Nie mógł zrozumieć, jak podobna okoliczność nie przyszła mu na myśl na samym początku opowiadania, i przekonał się o słuszności przysłowia: „Rosjanin mądry poniewczasie”, jednak po chwili zaczął kręcić i próbował się wywinąć mówiąc, że w Anglii mechanika jest bardzo udoskonalona, że, jak wiadomo z gazet, ktoś wynalazł takie drewniane nogi, iż za dotknięciem niewidzialnej sprężynki nogi te nosiły człowieka Bóg wie gdzie, tak że go potem nie można było nawet nigdzie odnaleźć.

Ale nikt nie chciał wierzyć, że Cziczikow był kapitanem Kopiejkinem, i wszyscy uważali, że poczmistrz za bardzo się zagalopował. Zresztą inni ze swej strony również nie dali się zapędzić w kozi róg i naprowadzeni dowcipnym domysłem poczmistrza zabrnęli omal że nie dalej. Pośród wielu w swoim rodzaju roztropnych przypuszczeń jedno było takie – dziwne to nawet powiedzieć: czy czasem Cziczikow nie jest przebrany Napoleonem, że Anglik od dawna zazdrości, iż Rosja niby jest tak wielka i rozległa, że nawet kilka razy ukazywały się karykatury wyobrażające Rosjanina rozmawiającego z Anglikiem: Anglik stoi i trzyma z tym psa na smyczy, a przez psa należy rozumieć Napoleona! Uważaj, niby, powiada, niechby tylko coś nie tak, jak ja chcę, to zaraz wypuszczę na ciebie tego psa. I oto teraz, być może, wypuścili go z wyspy św. Heleny i właśnie teraz oto przekrada się do Rosji, niby to Cziczikow, a w samej rzeczy wcale nie Cziczikow.

Naturalnie, uwierzyć w to urzędnicy nie uwierzyli, ale jednak zamyślili się i, rozpatrując tę sprawę każdy z osobna, znaleźli, że twarz jego, jeżeli Cziczikow odwróci się i stanie bokiem, jest bardzo podobna do portretu Napoleona. Policmajster, który służył podczas kampanii roku 1812 i na własne oczy widział Napoleona, również musiał przyznać, że ten bynajmniej nie był wyższy od Cziczikowa i że Napoleon pod względem budowy również, nie można powiedzieć, żeby był nazbyt tłusty, ale też i nie chudy. Być może, niektórzy czytelnicy nazwą wszystko to nieprawdopodobnym, autor również, żeby im dogodzić, gotów wszystko to nazwać nieprawdopodobnym, ale niestety, wszystko odbyło się właśnie tak, jak zostało opowiedziane, co jest bardziej zdumiewające, iż miasto było położone nie na odludziu, lecz przeciwnie, niedaleko od obu stolic. Zresztą należy pamiętać, iż wszystko to działo się wkrótce po chwalebny wypędzeniu Francuzów. Wówczas wszyscy nasi ziemianie, urzędnicy, kupcy, subiekci, wszyscy piśmienni, a nawet niepiśmienni, stali się przynajmniej na osiem lat zagorzałymi politykami. „Wiadomości Moskiewskie” i „Syn Ojczyzny” były zaczytywano niemiłosiernie i do ostatniego czytelnika dochodziły w strzępach

niezdatnych do żadnego użytku. Zamiast pytać: „Po czemu, ojczulku, sprzedaliście miarę owsa? Jak się polowało wczoraj na ponowie?” mówiono: „A co tam piszą w gazetach? Czy nie wypuścili czasem Napoleona z wyspy?” Kupcy bardzo się tego obawiali, bo w zupełności wierzyli w przepowiednie pewnego proroka, już od trzech lat siedzącego w więzieniu. Prorok przyszedł nie wiadomo skąd, w łapciach i w kozuchu bez pokrycia, zalatującym zgniłymi rybami, i obwieścił, iż Napoleon jest antychrystem i trzymają go na kamiennym łańcuchu za sześcioma ścianami i siedmioma morzami, ale że później rozerwie łańcuch i zawładnie całym światem. Prorok za przepowiednię dostał się, jak się należy, do więzienia, niemniej jednak zrobił swoje i kupcom całkiem pomieszał w głowie. Jeszcze długo, nawet przy najkorzystniejszych umowach, udając się do restauracji w celu zapicia herbatą targu, gwarzyli kupcy o antychryście. Wielu spośród urzędników i dobrze urodzonej szlachty również mimo woli myślało o tym i zarażeni mistycyzmem, który, jak wiadomo, był wtedy bardzo w modzie, dopatrywali się w każdej literze, z których się składało słowo Napoleon, jakiegoś szczególnego znaczenia; wielu odkryło w nim nawet apokaliptyczne cyfry. A więc nic dziwnego, że urzędnicy mimo woli się nad tym zamyślili, wkrótce jednak spostrzegli się, widząc, że wyobraźnia ich już nazbyt galopuje i że wszystko to jakoś nie wygląda na prawdę. Myśleli, myśleli, tłumaczyli, tłumaczyli i zdecydowali w końcu, że nie zawadziłoby jeszcze porządnie rozpytać Nozdriowa. Ponieważ on pierwszy poruszył sprawę martwych dusz i pozostawał, jak powiadają, w jakichś bliskich stosunkach z Cziczikowem, a więc niewątpliwie wie coś o jego życiu, toteż warto się przekonać, co powie Nozdriow.

Dziwni ludzie ci panowie urzędnicy, a z nimi wszystkie inne zawody: przecież wiedzieli doskonale, że Nozdriow jest łgarzem i że nie można wierzyć ani jednemu jego słowu, nawet w najdrobniejszej rzeczy, a mimo to zwrócili się właśnie do niego. No i poradź tu z takim człowiekiem! nie wierzy w Boga, a wierzy, że jeżeli go zaswędzi nos, to na pewno umrze; nie zwróci uwagi na utwór poety, jasny jak dzień, cały przeniknięty harmonią i wysoką mądrością prostoty, a przyczepi się właśnie do tego, gdzie jakiś zuch napięcie, napłaczę, wykoślawi, powykrzywia naturę, i to mu się spodoba, i zacznie krzyżeć: oto właśnie, oto prawdziwa znajomość tajemnic serca! Przez całe życie ma za nic doktorów, a kończy na tym, że zwróci się wreszcie do baby, która leczy zamawianiem i spluwaniem, albo jeszcze lepiej, sam wymyśli jakiś dekolt nie wiadomo z jakiego świństwa, który. Bóg wie dlaczego, wyda mu się właśnie środkiem na jego chorobę. Naturalnie, można po części usprawiedliwić panów urzędników ich rzeczywiście kłopotliwym położeniem. Tonący, powiadają, chwyta się małej słomki i nie ma wtedy rozwagi, żeby pomyśleć, że na słomce może pojechać wierzchem chyba mucha, a on sal waży niemal cztery pudy, jeżeli nawet nie całe pięć; ale opuszcza go wtedy rozwaga i chwyta się słomki. Tak samo i nasi panowie uchwycili się w końcu Nozdriowa. Policmajster natychmiast napisał do niego kartkę zapraszając go na wieczór, i rewirowi w butach z wysokimi cholewami, z ujmującym rumieńcem na policzkach, popędził niezwłocznie, podtrzymując szpadę, co tchu do mieszkania Nozdriowa. Nozdriow był zajęty poważnie pracą; całe cztery dni już nie wychodził z pokoju, nikogo nie wpuszczał i obiad podawano mu przez okienko – słowem, schudł i zzieleniał. Praca wymagała wielkiej uwagi: polegała ona na podbieraniu z kilkudziesięciu tuzinów kart jednej talii, albo najlepszej, której można by zaufać jak najwierniejszemu przyjacielowi. Roboty zostawało jeszcze co najmniej na dwa tygodnie. Przez cały ten czas Porfiry miał czyścić małemu brysiowi pępek specjalną szczoteczką i myć go trzy razy na dzień mydłem. Nozdriow bardzo się rozgniewał, że mu zakłócono jego samotność; najpierw wyprawił rewirowego do diabła, ale kiedy przeczytał w kartce horodniczego, że może się trafić gratka, bo spodziewają się wieczorem jakiegoś nowicjusza, zmiękł natychmiast, szybko zamknął pokój na klucz, ubrał się byle jak i ruszył do nich. Zeznania, świadectwa i przypuszczenia Nozdriowa stały w tak jaskrawej sprzeczności z przypuszczeniami panów urzędników, że i ostatnie ich domysły zostały obalone. Stanowczo był to człowiek, dla którego wątpliwości w ogóle nie istniały: i o ile u nich można było zauważyć chwiejność i bojaźliwość w stawianiu przypuszczeń, o tyle u niego zdecydowanie i pewność. Odpowiadał na wszystkie punkty nawet się nie zająknawszy i oświadczył, że Cziczikow nakupił martwych dusz za

kilka tysięcy i że on sam mu sprzedał, ponieważ nie widzi przyczyny, żeby mu nie sprzedać; na pytanie, czy Cziczikow nie jest szpiegiem i czy się nie stara coś zwąchać, Nozdriow odpowiedział, że jest szpiegiem, że jeszcze w szkole, gdzie się z nim razem uczył, nazywali go podglądaczem i że na to koledzy, a w tej liczbie i on, trochę go poturbowali, tak że trzeba było potem przystawić do samych tylko skroni dwieście czterdzieści pijawek, to jest chciał powiedzieć: czterdzieści, ale dwieście jakoś samo się powiedziało. Na pytanie, czy Cziczikow nie jest fałszerzem pieniędzy, odpowiedział, że jest fałszerzem, i przy tej okazji opowiedział anegdotę o niezwykłej zręczności Cziczikowa: jak władze dowiedziawszy się, że w jego domu znajdowało się dwa miliony fałszywych asygnat, opieczętowały jego dom i postawiły wartę, przy każdych drzwiach po dwóch żołnierzy, i jak Cziczikow przez jedną noc wszystkie asygnaty poprzemieniał, tak że na drugi dzień, kiedy zdjęto pieczęcie, przekonano się, że wszystkie asygnaty były prawdziwe. Na pytanie, czy rzeczywiście Cziczikow miał zamiar porwać córkę gubernatora i czy to prawda, że on sam miał mu pomagać i brać w tym udział, Nozdriow odpowiedział, że pomagał i że gdyby nie on, to nic by się nie udało. Tu połapał się, widząc, że skłamał całkiem niepotrzebnie i mógł w ten sposób ściągnąć na siebie biedę, ale już w żaden sposób nie zdołał powstrzymać języka. Zresztą nawet trudno było, bo same się narzucały tak interesujące szczegóły, że w żaden sposób nie można się było wyrzec: została wymieniona nawet wieś, gdzie znajdowała się ta cerkiew parafialna, w której miał się odbyć ślub, a mianowicie wieś Truchmaczewka, pop – ojciec Sidor, za ślub – 75 rubli, a i to nie zgodziłby się, gdyby go nie nastraszył, obiecując na niego donieść, że ożenił handlarza zbożem Michała z krewną; że odstąpił nawet swą kolaskę i zamówił na wszystkich stacjach rozstawne konie. Doszło nawet do tego, że już zaczynał nazywać po imieniu woźniców. Spróbowali napomknąć o Napoleonie, ale sami byli nieradzi, że spróbowali, bo Nozdriow napłół takich bzdur, które nie tylko nie były podobne do prawdy, lecz nawet po prostu do niczego nie były podobne, tak że urzędnicy, westchnąwszy, wszyscy odeszli od niego. Tylko policmajster długo jeszcze słuchał myśląc, czy przynajmniej nie będzie czegoś później, ale w końcu machnął ręką mówiąc: – Diabli wiedzą co to takiego! – I wszyscy zgodzili się z tym, że tyle z niego pożytku, co z byka: ni łożu, ni mleka. I znaleźli się urzędnicy w jeszcze gorszym położeniu niż przedtem, i na tym się skończyło, że w żaden sposób nie mogli się dowiedzieć, co za jeden był Cziczikow. I okazało się jasno, jakiego rodzaju stworzeniem jest człowiek: mądry, rozsądny, przezorny bywa we wszystkim, co się tyczy innych, a nie jego. Jakimi przewidującymi, roztrópnymi radami obdarza w trudnych sytuacjach życiowych! „Co to za mądra głowa! – woła tłum – cóż to za nieugięty charakter!” A niech tę mądrą głowę spotka jakie nieszczęście i niech sam się znajdzie w trudnej sytuacji życiowej, gdzie się podział charakter stracił głowę nieugięty mąż, a zamiast niego ukazał się żalony tchórz, niedołęzne, słabe dziecko albo po prostu fityłek, jak się wyraża Nozdriow.

Wszystkie te wyjaśnienia, mniemania i pogłoski, nie wiadomo z jakiego powodu, najbardziej podziały na biednego prokuratora. Podziały na niego do tego stopnia, że przyszedłszy do domu zaczął myśleć, myśleć i nagle, jak to się mówi, ni z tego, ni z owego, umarł. Czy go paraliż ruszył, czy co innego, dość że jak siedział, tak upadł z krzesła na wznak. Zawołano, jak to bywa, klasnąwszy w ręce: „Ach, mój Boże!”, posłano po doktora, żeby puścić krew, ale zobaczono, że prokurator był już tylko bezdusznym ciałem. Dopiero wówczas z ubolewaniem dowiedziano się, że nieboszczyk istotnie posiadał duszę, chociaż przez skromność nigdy jej nie ujawniał. A tymczasem zjawisko śmierci było tak samo straszne u małego człowieka, jak straszne bywa u wielkiego: ten, który jeszcze nie tak dawno chodził, poruszał się, grał w wista, podpisywał różne papiery i był tak często widziany wśród urzędników, ze swymi gęstymi brwiami i mrugającym okiem, teraz leżał na stole, lewe oko już wcale nie mrugało, ale jedna brew wciąż jeszcze była podniesiona z jakimś pytającym wyrazem. O co pytał nieboszczyk: czy dlatego umarł, czy dlatego żył – to tylko Bogu wiadome.

To jednak nie ma sensu! to do niczego niepodobne! to niemożliwe, żeby urzędnicy mogli siebie tak nastraszyć, wymyślić takie bzdury, tak się oddalić od prawdy, kiedy nawet dziecko widzi, o co chodzi! Tak powie wielu czytelników i postawią autorowi zarzut nieścistości albo nazwą biednych

urzędników głupcami, bo ludzie hojnie szafują słowem „głupiec” i gotowi nim dwadzieścia razy dziennie obdarzać swych bliźnich. Wystarczy na dziesięć stron mieć jedną głupią, żeby pomimo dziewięciu dobrych zostać uznanym za głupca. Czytelnikom łatwo sądzić spoglądając ze swego spokojnego kąta i ze szczytu, skąd otwarty jest horyzont na wszystko, co się dzieje na dole, gdzie człowiek widzi tylko bliskie przedmioty. I w historii ludzkości wiele jest stuleci, które, zdawałoby się, można by wykreślić i skasować jako niepotrzebne. Wiele błędów popełniono na świecie, których teraz, zdawałoby się, nie popełniłoby nawet dziecko. Jakież krzywe, głuche, wąskie, trudne do przebycia, odciągające daleko w bok drogi wybierała ludzkość dążąc do wiecznej prawdy, podczas gdy miała przed sobą otwartą prostą drogę, przypominającą drogę wiodącą do wspaniałej budowli przeznaczonej na pałac dla cesarza! Ta droga była szersza i wspanialsza od wszystkich innych, opromieniona słońcem i przez całą noc oświetlona światłami; lecz obok niej w głuchej ciemności płynęli ludzie. I ileż razy, już naprowadzeni przez zstępujący z niebios rozum, potrafili jednak zejść z drogi i odejść w bok, potrafili w biały dzień zejść na bezdroża me do przebycia, potrafili zaćmić sobie wzajemnie oczy osłepiającą mgłą i, podążając za błędnymi ognikami, dojść do przepaści, żeby potem z przerażeniem zapytać jeden drugiego, gdzie wyście, gdzie droga? Jasno teraz wszystko widzi dzisiejsze pokolenie, dziwi się błędom, śmieje się z niepojętności swych przodków, nie zważając, że kroniki te znaczone są ogniem niebieskim, że krzyczy w nich każda litera, że zewsząd skierowany jest palec straszliwy właśnie na nie, na dzisiejsze pokolenie; lecz śmieje się dzisiejsze pokolenie i zarozumiale, dumnie zaczyna szereg nowych błędów, z których kiedyś również pośmieją się potomkowie.

Cziczikow absolutnie nic o tym wszystkim nie wiedział. Jakby naumyślnie trochę się wtedy zaziębił, miał fluksję i lekkie zapalenie gardła, czym hojnie szafuje klimat wielu naszych miast gubernialnych. Żeby się życie, uchowaj Boże, nie zakończyło bez potomstwa, zdecydował, że lepiej posiedzieć ze trzy dni w domu. Przez te dni bez ustanku płukał gardło mlekiem z figą, którą potem zjadał, i nosił przywiązaną do policzka poduszeczkę z rumianku i kamfory. Pragnąc czymkolwiek zabić czas, sporządził kilka nowych i szczegółowych spisów wszystkich zakupionych chłopów, przeczytał nawet jakiś tom „Księżny de La Yallière” odnaleziony w walizie, przejrzał różne znajdujące się w szkatułce przedmioty i notatki, to i owo przeczytał po raz drugi i wszystko to mocno mu się naprzykrzyło. Nie mógł w żaden sposób pojąć, co by to mogło znaczyć, że żaden z urzędników miejskich ani razu nie przyjechał do niego zapytać o zdrowie podczas gdy jeszcze niedawno wciąż stały przed hotelem powozy – to poczmistrza, to prokuratora, to prezesa. Wzruszał tylko ramionami, spacerując po pokoju. W końcu poczuł się lepiej i ucieszył się Bóg wie jak, kiedy mógł już wyjść na świeże powietrze. Nie odkładając zabrał się zaraz do toalety, otworzył swą szkatułkę, nalał do szklanki gorącej wody, wyjął pędzel i mydło i przygotował się do golenia, na co zresztą był wielki czas, bo dotknawszy ręką brody i spojrzawszy w lustro wyrzekł: – A to ci las wyrósł! – I rzeczywiście las nie las, ale po całym policzku i podbródku wysypał się dość gęsty zasiew. Ogoliwszy się zabrał się do ubierania żwawo i prędko, tak że omal nie wyskoczył z pantalonów. W końcu ubrany, skropiony wodą kolońską i ciepło otulony, wyszedł na ulicę podwiązawszy przez ostrożność policzek. Wyjście jego, jak i każdego ozdrowiałego człowieka, było naprawdę uroczyste. Wszystko, na co rzucił okiem, śmiało się do niego: i domy, i przechodzący chłopci, zresztą dość stateczni, z których ten i ów zdążył już wyróżnić swego ziomka w ucho. Pierwszą wizytę zamierzał złożyć gubernatorowi. Po drodze nawiedzało go wiele rozmaitych myśli: snuła mu się po głowie blondynka, wyobraźnia zaczęła nawet z lekka dokazywać, tak że sam zaczął trochę żartować i wyśmiewać się z siebie. W takim usposobieniu znalazł się przy gubernatorskim podjeździe. Zaczął już w sieni z pośpiechem zdejmować palto, gdy szwajcar zdumiał go zupełnie nieoczekiwanymi słowami:

– Nie kazano przyjmować!

– Jak to!! co ty! Nie poznałeś mnie widocznie? Przypatrz mi się dobrze! – mówił mu Cziczikow.

– Jakżebym miał nie poznać! Przecież nie pierwszy raz pana widzę – powiedział szwajcar. – Właśnie pana jednego nie kazano wpuszczać, wszystkich innych można.

– Masz tobie! Dlaczego? Z jakiego powodu?

– Taki rozkaz, tak już widać trzeba – powiedział szwajcar i dodał jeszcze słowo „tak”. Po czym zupełnie przestał się z nim ceremonizować, nie zachowując tej grzecznej miny, z jaką przedtem śpieszył zdejmować mu płaszcz. Zdawało się, że patrząc na niego myślał: „Ehe, jeżeli już państwo odpędzają cię ode drzwi, toś ty widać taki sobie, jakiś tam kapcan!”

„To niepojęte!” – pomyślał sobie Cziczikow i udał się natychmiast do prezesa sądu; lecz prezes sądu tak się zmieszał na jego widok, że nie mógł dwóch słów sklecić, i nagadał takich bzdur, że aż im obu zrobiło się wstyd. Po wyjściu od niego Cziczikow starał się po drodze wyjaśnić sobie i dociec, co prezes miał na myśli i do czego by się mogły odnosić jego słowa, lecz nic nie mógł zrozumieć. Potem wstąpił do innych: do policmajstra, do wicegubernatora, do poczmistrza, ale wszyscy albo go nie przyjęli, albo przyjęli tak dziwnie, prowadzili taką wymuszoną i niezrozumiałą rozmowę, tak się zmieszali i wyszły z tego takie nonsensy, że zaczął wątpić w zdrowie ich umysłu. Próbował jeszcze wstąpić do tego i owego, żeby przynajmniej poznać przyczynę, i nie dociekł żadnej przyczyny. Jak w półśnie włóczył się bez celu po mieście nie będąc w stanie orzec, czy sam zwariował, czy urzędnicy potracili głowy, czy to wszystko dzieje się we śnie, czy też na jawie przyszło omamienie gorsze od snu. Późno już, prawie o zmierzchu, wrócił do siebie do hotelu, z którego wyszedł w tak dobrym usposobieniu, i z nudów kazał sobie podać herbaty. W zadumie i w jakimś bezmyślnym zamyśleniu nad dziwacznością swego położenia zaczął nalewać herbatę, gdy nagle otworzyły się drzwi do jego pokoju i najnieoczekiwanej ukazał się Nozdriow.

– Czego się nie robi dla przyjaciela! – mówił zdejmując czapkę – przechodzę obok, widzę światło w oknie, ano, myślę sobie, wstąpię! Pewno nie śpi. A! jak to dobrze, że herbata na stole, z przyjemnością wypiję szklaneczkę. Dzisiaj przy obiedzie objadłem się rozmaitego świństwa, czuję, że już się zaczyna w żołądku awantura. Każ no nabić fajkę! Gdzie twoja fajka?

– Przecież ja nie palę fajki! – powiedział sucho Cziczikow.

– Głupstwo, niby to ja nie wiem, żeś palacz. Hej, jakże się zwie twój człowiek? Hej, Wachramiej, słuchaj no!

– Ależ nie Wachramiej, tylko Pietrek!

– Jak to? Przecież dawniej było u ciebie Wachramiej?

– Nie było u mnie nigdy żadnego Wachramieją.

– Tak, rzeczywiście, to u Dieriebina jest Wachramiej. Wyobraź sobie, co za szczęście spotkało Dieriebina: jego ciotka pokłóciła się z synem, dlatego że się ożenił z chłopką pańszczyźnianą, i teraz jemu zapisała cały majątek. Myślę sobie, ot, żeby mieć taką ciotkę! Ale coś ty, bracie, tak się od wszystkich odsunął, nigdzie nie bywasz? Naturalnie, wiem, że zajmujesz się czasem sprawami naukowymi, lubisz czytać (z czego Nozdriow wywnioskował, że bohater nasz zajmuje się sprawami naukowymi i lubi poczytać, tego, przyznajemy się, w żaden sposób nie możemy powiedzieć, a Cziczikow tym bardziej). Ach, bracie Cziczikow! gdybyś tylko zobaczył... to już doprawdy byłby pokarm dla twego satyrycznego umysłu (dlaczego Cziczikow miał mieć satyryczny umysł, także nie wiadomo). Wyobraź sobie, bracie, u kupca Lichaczewa grano w górkę, tam dopiero można było się uśmieć! Pieriepiendiew, który był ze mną, powiada: „Ot, żeby tu był teraz Cziczikow, to ten by dopiero!”... (a tymczasem Cziczikow, jak żyje, nie znał żadnego Pieriepiendiewa). Ale przyznaj się, bracie, przecież po łajdacku postąpiłeś ze mną wtedy, pamiętasz, kiedyśmy grali w warcaby, przecież ja wygrałem... Tak, bracie, tyś mnie po prostu wystrychnął na dudka. Ale przecież ja, diabli mnie wiedzą, zupełnie nie mogę się gniewać. Kilka dni temu z prezesem... Ale, prawda! przecież muszę ci powiedzieć, że w mieście wszyscy są przeciwko tobie. Myślą, że robisz fałszywe banknoty, nacisnęli mnie, ale ja za tobą murem, naopowiadałem im, że się razem z tobą uczyłem i ojca znałem; no i nie ma co mówić, nałgałem im ile wlezie.

– Ja robię fałszywe banknoty? – zawołał Cziczikow wstając z krzesła.

– Po coś ich jednak tak nastraszył? – mówił dalej Nozdriow. – Oni, diabli wiedzą, powariowali ze strachu; zrobili z ciebie rozbójnika, szpiega... A prokurator umarł ze strachu, jutro będzie

pogrzeb. Ty przyjdiesz? Oni, prawdę mówiąc, boją się nowego generała-gubernatora, żeby z twojego powodu coś nie wynikło. A co do generała-gubernatora, jestem tego zdania, że jeżeli zdrze nosa i będzie się puszył, to ze szlachtą absolutnie nic nie poradzi. Szlachta żąda uprzejmości i gościnności, nieprawdaż? Naturalnie, można się zamknąć w swoim gabinecie i nie wydać ani jednego balu, ale cóż z tego? Na tym się nic nie wygra. Jednakże, Cziczikow, do ryzykownej sprawy się zabrałeś.

– Do jakiej ryzykownej sprawy? – zapytał niespokojnie Cziczikow.

– Ano do porwania córki gubernatora. Przyznam ci się, że spodziewałem się tego, jak Boga kocham, spodziewałem! Od razu, jak tylko zobaczyłem was razem na balu. „No, myślę sobie, Cziczikow widocznie nie na próżno...” Zresztą, niesłusznieś zrobił taki wybór, nie znajduję w niej nic ładnego! Jest jedna siostrzenica Bikusowa, córka jego siostry, to dopiero dziewczyna Można powiedzieć: cudło!

– Ale co ty, co ty pleciesz? Jak to, porwać córkę gubernatora, coś ty? – mówił Cziczikow wytrzeszczając oczy.

– No, daj spokój, bracie, a to skryty człowiek! Przyznam ci się, że z tym do ciebie przyszedłem; proszę, gotów ci jestem pomagać. Niech więc tak będzie. Będę twoim drużbą, powóz i konie rozstawne będą moje, tylko pod warunkiem; musisz mi pożyczyć trzy tysiące. Potrzebne, bracie, mam nóż na gardle!

W ciągu całej gadaniny Nozdriowa Cziczikow kilka razy przecierał sobie oczy pragnąc się upewnić, czy aby nie słyszy tego wszystkiego we śnie. Falszerz pieniędzy, porwanie córki gubernatora, śmierć prokuratora, której miał być jakoby przyczyną przyjazd generała-gubernatora – wszystko to napędziło mu porządnego strachu. „No, jeżeli już do tego doszło, pomyślał sobie, to nie ma co zwlekać, trzeba czym prędzej się stąd zabierać”.

Postarał się jak najprędzej pozbyć Nozdriowa, natychmiast zawezwał do siebie Selifana i kazał mu być gotowym o świcie, z tym, żeby o szóstej rano koniecznie wyjechać z miasta, żeby wszystko było zlustrowane, bryczka nasmarowana itd., itd. Selifan odrzekł: – Słucham, Pawle Iwanowiczu – i zatrzymał się jednak jakiś czas przy drzwiach nie ruszając się z miejsca. Pan niezwłocznie kazał Pietrkowi wyciągnąć spod łóżka walizę, porządnie już zakurzoną, i zaczął wraz z nim układać, jak popadło skarpetki, koszule, bieliznę czystą i brudną, prawidła do butów, kalendarz... Wszystko to było układane byle jak, gdyż chciał koniecznie przygotować się jeszcze wieczorem, żeby nazajutrz nic go nie zatrzymało. Selifan, postawszy parę chwil przy drzwiach, w końcu bardzo wolno wyszedł z pokoju. Wolno, najwolniej, jak tylko można sobie wyobrazić, schodził ze schodów wyciskając swymi mokrymi butami ślady na prowadzących w dół, wydeptanych stopniach i długo skrobał się ręką w głowę. Co oznaczało to skrobanie się? I co ono w ogóle oznacza? Czy frasunek dlatego, że oto nie udało się uplanowane na jutro spotkanie z kamratem w niepozornym, przepasanym szerokim pasem kozuchu, gdzieś w jakimś carskim szynku, czy też na nowym miejscu już coś tam wpadło w serce i trzeba przerwać wieczorne wystawanie przed bramą i polityczne trzymanie za białe rączki, podczas gdy zmierzch niby kaptur opada na miasto, chłopak w czerwonej koszuli brzdąka na bałające przed czeladzią podwórzową i gwarzy sobie po cichu rozmaity ludźki roboczy? Czy po prostu żal opuszczać zagrzane już miejsce w kuchni czeladnej pod kozuchem, blisko pieca i zupy z miejskim miękkim pierogiem, po to, żeby znowu wlec się w deszcz i pluchę, na wszelkie podrózne utrapienie? Bóg raczy wiedzieć, nie zgadniesz. Wiele różnych rzeczy oznacza u rosyjskiego ludu skrobanie się w głowę.

ROZDZIAŁ XI

Nic jednak nie odbyło się tak, jak przewidywał Cziczikow. Po pierwsze, obudził się później, niż zamierzał – to była pierwsza nieprzyjemność. Wstawszy, posłał natychmiast dowiedzieć się, czy zaprzężono do bryczki i czy wszystko gotowe, ale doniesiono mu, że do bryczki jeszcze nie zaprzężono i nic nie gotowe. To była druga nieprzyjemność. Rozgniewał się, postanowił nawet zmyć głowę przyjacielowi naszemu Selifanowi i tylko oczekiwał z niecierpliwością, jaką ten ze swej strony poda rację na usprawiedliwienie. Selifan wkrótce ukazał się we drzwiach i pan miał przyjemność usłyszeć od niego to, co zwykle się słyszy od służby, kiedy trzeba prędko jechać.

– A toć, Pawle Iwanowiczu, trzeba będzie konie podkuć.

– Ach ty cymbale! bałwanie! A czemuś wcześniej o tym nie powiedział? Czy nie było czasu?

– Ano czas był. A i koło też. Pawle Iwanowiczu – obręcz trzeba całkiem przeciągnąć, bo droga teraz wyboista, doły się takie porobiły... A jeśli wielmożny pan pozwoli powiedzieć: przód bryczki całkiem się rozklekotał, tak że bryczka może i dwóch stacji nie robi.

– Ty łotrze! – zawołał Cziczikow plasnawszy w ręce i podszedł do niego tak blisko, że Selifan ze strachu, żeby nie dostać od pana podarunku, cofnął się trochę i odsunął na bok. – Chcesz mnie zabić? co? Chcesz mnie zarznąć? Na prostej drodze chcesz mnie zarznąć, łotrze, bałwanie przeklęty, straszdyło morskie! co? co? Siedzieliśmy trzy tygodnie na miejscu, co? Żebyś choć słówko bąknął, świntuchu, nie, dopiero w ostatniej chwili! kiedy już wszystko powinno być gotowe, tylko siadać i jechać, to ty takie rzeczy opowiadasz, co? co? Przecież wiedziałeś o tym wcześniej? Przecież wiedziałeś o tym, co? co? Odpowiadaj! Wiedziałeś? Co?

– Wiedziałem – odrzekł Selifan spuściwszy głowę.

– No to dlaczego od razu nie powiedział, co?

Na to pytanie Selifan nic nie odpowiedział, ale zdawało się, że spuściwszy głowę, mówił sam do siebie: „Patrzcie no, jak to się osobliwie stało: wiedziałem przecie, a nie powiedziałem!”

– A teraz masz iść, sprowadzić kowala, i żeby mi za dwie godziny wszystko było zrobione. Słyszysz? bez gadania, za dwie godziny, a jeżeli nie, to ja ci, ja ci... pokażę, gdzie raki zimują! – Bohater nasz był mocno rozgniewany.

Selifan odwrócił się już do drzwi, żeby pójść spełnić rozkaz, ale zatrzymał się i powiedział:

– A jeszcze, proszę wielmożnego pana, tarantowatego, po prawdzie, warto by sprzedać, bo to, Pawle Iwanowiczu, skończony gałgan; to taki koń, że po prostu, niech Pan Bóg broni, tylko zawadza.

– Tak! Zaraz pójde, polecę na rynek sprzedawać!

– Jak Boga kocham. Pawle Iwanowiczu, on tylko tak wygląda okazale, a po prawdzie, to najprzewrotniejszy koń, takiego konia nigdzie...

– Durniu! Jak zechę sprzedać, to sprzedam. Jeszcze będzie rezonował! Poczekaj, jeżeli mi natychmiast nie przyprorowadzisz kowala i jeżeli za dwie godziny wszystko nie będzie gotowe, to dostaniesz takie cięgi... że własnej gęby nie poznasz! Marsz! Wynoś się!

Selifan wyszedł.

Cziczikow całkiem stracił humor i cisnął na podłogę szablę, którą woził ze sobą dla napędzania należytego strachu temu, komu trzeba. Przeszło kwadrans zmarudził z kowalami, zanim doszedł z nimi do ładu, bo kowale, jak to bywa, byli skończonymi łajdakami i zmiarkowawszy, że robota pilna, zażądali akurat sześć razy więcej. Chociaż się gorączkował, nazywał ich łotrami,

rozbójnikami, grabieżcami podróżnych, wspomniał nawet o sędzie ostatecznym, niczym kowali nie wzruszył; w zupełności postawili na swoim: nie tylko że nie opuścili ceny, ale nawet zmarudzili przy robocie zamiast dwóch godzin całe pięć i pół. W ciągu tego czasu miał przyjemność poznać miłe chwile znane każdemu podróżnemu, kiedy w walizie wszystko już ułożone i po pokoju poniewierają się tylko sznurki, papierki i różne śmieci, kiedy człowiek ani nie znajduje się w podróży, ani nie siedzi na miejscu, widzi z okna przechodzących, kręcących się ludzi, rozprawiających o swych groszakach i z jakąś głupią ciekawością podnoszących oczy, żeby spojrzawszy na niego, iść dalej w swoją drogę, co jeszcze pogarsza humor biednego zawiedzionego podróżnika. Wszystko, co istnieje, wszystko, co widać: i sklepik na wprost jego okien, i głowa staruszki, mieszkającej w domu naprzeciwko, podchodzącej do okna z króciutkimi firankami – wszystko to wydaje mu się obmierzłe, jednakże nie odchodzi od okna. Stoi, to zapominając o wszystkim, to znowu zwracając przytępioną uwagę na wszystko, co się przed nim porusza, i ze złości dusi jakąś muchę, która wówczas brzęczy i tłucze się o szkło pod jego palcem. Ale wszystko ma swój koniec i upragniona chwila nadeszła; wszystko było gotowe, przód od bryczki jak się należy naprawiony, koło obciążone nową obręczą, konie przyprowadzone do wodopoju, i rozbójnicy-kowale odeszli przerachowawszy otrzymane ruble i życząc pomyślności. Wreszcie i bryczka została zaprzężona, i dwa gorące kołaczki, dopiero co kupione, zostały w niej umieszczone, i Selifan schował już coś niecoś dla siebie do kieszeni, którą dla woźniców bywa kozioł, i sam bohater wreszcie przy wymachiwaniu czapką numerowego, który stał w tym samym kortowym surducie, przy lokajach z restauracji i obcych, i przy stangretach, zebranych, żeby się pogapić, jak obcy pan wyjeżdża, i przy wszelkich innych okolicznościach towarzyszących wyjazdowi wsiadł do pojazdu – i bryczka, jaką jeżdżą kawalerowie, która się tak długo zastała w mieście i, być może, tak naprzykrzyła czytelnikowi, w końcu wyjechała z bram hotelu. „Chwała ci, Panie!” pomyślał Cziczikow i przeżegnał się. Selifan strzelił z bata, przysiadł się do niego Pietrek, który z początku wisił jakiś czas na stopniu, i bohater nasz, usadowiwszy się wygodnie na gruzińskim dywaniku, podłożył sobie pod plecy skórzaną poduszkę, przycisnął dwa gorące kołaczki i pojazd począł znów skakać i chwiać się dzięki brukowi, który, jak wiadomo, ma siłę podrzucającą. Z jakimś nieokreślonym uczuciem spoglądał na domy, ściany, ploty i ulice, które również ze swej strony, jakby podskakując, z wolna odchodziły w tył, i które, Bóg wie, czy los przeznaczył mu oglądać jeszcze kiedy w życiu. Przy zakręcie w jedną z ulic bryczka musiała się zatrzymać, bo przez całą jej długość szedł nie kończący się kondukt pogrzebowy. Cziczikow wychyliwszy się kazał Pietrkowi zapytać, kogo chowają, i dowiedział się, że chowają prokuratora. Pod przykrym wrażeniem natychmiast schował się w kącie, zasłonił się skórą i zasunął firanki. Podczas gdy pojazd został w ten sposób zatrzymany, Selifan i Pietrek pobożnie zdjąwszy czapki przyglądali się, kto, jak, w czym i na czym jechał, rachując, ilu było wszystkich i pieszych, i jadących, a pan, rozkazawszy im nie poznawać i nie kłaniać się nikomu ze znajomych lokajów, również zaczął się nieśmiało przypatrywać przez szybki znajdujące się w skórzanych firankach. Za trumną szli z obnażonymi głowami wszyscy urzędnicy. Zaczął się obawiać, żeby nie poznali jego pojazdu. Ale oni co innego mieli w głowie. Nie zajęli się nawet różnymi błahymi rozmowami, jakie zwykle wiodą odprowadzający nieboszczyka. Wszystkie ich myśli były w owym czasie skoncentrowane na nich samych: myśleli, jaki będzie nowy generał-gubernator, jak się zabierze do rzeczy i jak ich przyjmie. Za urzędnikami, idącymi pieszo, jechały karety, z których wyglądały damy w żałobnych czepcach. Z ruchów ich ust i rąk widać było, że byty zajęte ożywioną rozmową; być może, iż również mówiły o przyjeździe nowego generała-gubernatora i robiły przypuszczenia na temat balów, jakie wyda, i troskały się o swoje wieczne festoniki i naszywki. Wreszcie za karetami jechało gęsiego kilka zwyczajnych pustych dorożek, a wreszcie nic już nie zostało i bohater nasz mógł jechać. Odsunawszy skórzane firanki westchnął mówiąc z całego serca: „Ot, prokurator! żył sobie, a potem umarł! I oto wydrukują w gazetach, że umarł ku zmartwieniu podwładnych i całej ludzkości szanowany obywatel, niepospolity ojciec, wzorowy mąż, i napiszą wiele różnych różności; dodadzą może, iż był odprowadzany płaczem wdów i sierot; a przecież, jeśli lepiej

rozpatrzeć sprawę, tak dla sprawdzenia, tym się tylko odznaczałeś, żeś miał gęste brwi”. Tu kazał Selifanowi prędzej jechać, a równocześnie pomyślał sobie: „To jednak dobrze, że spotkałem pogrzeb; powiadają, że to przynosi szczęście, jeśli się spotka nieboszczyka”.

Tymczasem bryczka skręciła już w bardziej odludne ulice; wkrótce zaczęły się ciągnąć same tylko długie drewniane płoty zapowiadające koniec miasta. Oto i bruk już się skończył, i szlaban, i miasto w tyle, i nic nie ma, i znowu jest się w drodze. I znowu po obu stronach traktu zaczęły się słupy wiorstowa nadzorczy stacyjni, studnie, tabory, szare wsie z samowarami babami i dziarskim brodatym gospodarzem biegnącym z zajazdu z workiem owsa; piechur w zdartych łapciach wlokący się w osiemsetwiorstwową drogę; miasteczka z drewnianymi sklepikami, beczkami z mąką, łapciami, kołaczami i innym drobiazgiem, pstre szlabany, naprawiane mosty, pola bez końca w jedną i w drugą stronę; staroświeckie rydwany obywateli ziemskich: żołnierz na koniu, wiozący zieloną skrzynkę z ołowianymi kartaczami i napisem: takiej a takiej baterii artyleryjskiej; zielone, żółte i świeżo zorane smugi przesuwające się po stepach; gdzieś daleko przeciągła pieśń, sosnowe wierzchołki we mgle, ginący w oddali dźwięk dzwonu, wrony jak muchy i widnokrąg bez końca... Rosjo! Rosjo! widzę cię, z mego cudnego, przepięknego oddalenia cię widzę: biednie, pusto, nieprzytulnie w tobie; nie rozweselą, nie przerażą oka zuchwale dziwy przyrody wieńczone zuchwałymi dziwami sztuki, miasta z wielookiennymi, wysokim pałacami wrostłymi w urwiska, malownicze drzewa i bluszcze obrastający domy, w szumie i wiecznym pyle wodospadów; nie odchyli się w tył głowa, żeby spojrzeć na piętrzące się nad nią bez końca złomy kamienne; nie błysną poprzez narzucone jeden na drugi ciemne łuki oplatane gałązkami winogrodu, bluszczem i nieprzeliczonymi milionami dzikich róż, nie błysną przez nie wieczne zarysy świecących w oddali gór, płynących w srebrne, jasne niebiosa. Otwarte, puste i płaskie jest wszystko w tobie; jak punkciki, jak kropki tkwią pośród równin twe niewysokie miasta; nic nie znęci, nie oczaruje spojrzenia. Lecz jakaż nieprzenikniona, tajemna siła ciągnie ku tobie? Czemu daje się słyszeć i brzmi bezustannie w uszach twa smutna, ciągnąca się przez całą twą długość i szerokość, od morza do morza, pieśń? Co w niej jest, w tej pieśni? Co woła i łka, i chwyta za serce? Jakież dźwięki całują żałośnie i wciskają się w duszę, i owijają wokół serca? Rosjo! czegoż ty chcesz ode mnie? jakież nieprzenikniony związek kryję się pomiędzy nami? Dlaczego tak na mnie patrzysz i dlaczego wszystko, cokolwiek jest w tobie, zwróciło na mnie pełne oczekiwania oczy?... I jeszcze pełen zdumienia stoję nieruchomo, a już głowę okryła cieniem groźna chmura, brzemienna mającymi spaść deszczami, i myśl niemieje wobec twej przestrzeni. Co wróży ten przestwór bez granic? Czy nie tu, czy nie w tobie narodzi się nieskończona myśl, skoro sama jesteś bez końca? Czyż nie tu powinien zjawić się bohater legendarny, skoro jest miejsce, gdzie mógłby się czuć swobodnie? I oto groźnie obejmuje mnie potężna przestrzeń, odbijając się w mej głębi strasliwą siłą; nadprzyrodzonym światłem rozjaśniły się moje oczy: o, jakaż połyskująca, cudna, nieznana ziemi da! Rosjo!...

– Trzymaj, trzymaj, durniu! – krzyczał Cziczikow do Selifana.

– Jak ci dam pałaszem! – krzyczał galopujący naprzeciw feldjeger z wąsami długości arsyzna. – Nie widzisz, bodaj cię diabli wzięli, rządowy pojazd! – I jak widzenie zniknęła w grzmocie i kurzu trójka.

Jakie dziwne i pociągające, i nierzeczywiste, i cudowne jest to, co się zawiera w słowie „podróż!”, i jaka cudowna jest ta podróż. Jasny dzień, jesienne liście, chłodne powietrze... Szczelniej owińmy się płaszczem podróżnym, nasuńmy czapkę na uszy, mocniej i przytulniej wciśnijmy się w kąt! Po raz ostatni przebiegł po ciele dreszcz i już zastąpiło go miłe ciepło. Konie mkną... jak kusząco zakrada się senność i przymykają się oczy, i już przez sen słyszeć: i „Nie białe śniegi”, i parskanie koni, turkot kół, i już człowiek chrapie wcisnąwszy w kąt swego sąsiada. Budzi się: pięć stacji pozostało w tyle, księżyc, nieznane miasto, cerkwie ze starożytnymi drewnianymi kopułami i czerniejącymi szpicami, ciemne drewniane i białe murowane domy. Tu i ówdzie blask miesiąca: jak gdyby białe płócienne chustki rozwieszały się po ścianach, po bruku, po ulicach; ukośnymi pasami przecinają je czarne jak węgiel cienie, podobnie do błyszczącego metalu

połyskują ukośnie oświetlone drewniane dachy, nigdzie ani żywej duszy – wszystko śpi. Chyba gdzieś tam w okienku tli się jedno jedyne światelko: czy jakiś mieszczanin szyje sobie parę butów, czy piekarz krząta się koło pieca – cóż nas to obchodzi? A noc!.. niebiańskie noce! co za noc spełnia się na wysokości! A powietrze, a niebo, dalekie, wysokie, tam w niedostępnej swej głębi tak bezgranicznie, dźwięcznie i jasno rozpostarte!... ale świeżo prosto w oczy tchnie chłodny oddech nocny i usypia cię, i oto już drzemiesz, i zapominasz o wszystkim, i chrapiesz, i kręci się gniewnie, czując na sobie ciężar, biedny, wciśnięty w kąt sąsiad. Obudziłeś się – i już znowu przed tobą pola i stopy, nigdzie nic – wszędzie pustkowie, wszędzie równina. Wpada ci w oczy słup wiorstowy z cyfrą; zaczyna świtać; na zbiegającym, chłodnym nieboskłonie blada złota smuga; wiatr staje się świeższy i ostrzejszy: otulmy się szczelniej ciepłym płaszczem!... Co za wspaniały chłód! Jaki cudowny jest ogarniający cię znowu sen! Wstrząśnienie – i znów się obudziłeś. Wysoko na niebie słońce; „wolniej, wolniej” – daje się słyszeć głos, wóz zjeżdża po pochyłości; w dole szeroka grobla i szeroki jasny staw połyskujący w słońcu jak miedziane dno; wieś, chaty rozsypały się na stoku wzgórza; jak gwiazda błyszczy na uboczu krzyż wiejskiej cerkwi; gawędy chłopskie i wilczy apetyt... Boże! jakżeś ty czasami piękna, daleka podróży! Ileż razy jak ginący i tonący chwytałem się ciebie, a tyś mnie zawsze wspaniałomyślnie wynosiła i ratowała! A ile rodziło się wówczas cudownych pomysłów, marzeń poetyckich, ile przedziwnych wrażeń się przeczuwało!... Ale i naszego przyjaciela Cziczikowa ogarnęły wówczas niezupełnie prozaiczne uczucia. A zobaczymy, co też on odczuwał. Z początku nic nie odczuwał i oglądał się za siebie chcąc się upewnić, czy naprawdę wyjechał z miasta; ale kiedy zobaczył, że miasto już dawno się skryło i nie było widać ani kuźni, ani młynów, ani tego wszystkiego, co się wkoło miast znajduje, i nawet białe wierzchołki murowanych cerkwi dawno zstały w ziemię, zajął się wyłącznie drogą, spoglądał tylko na prawo i lewo i miasto N. jak gdyby wcale nie utkwilo mu w pamięci, jak gdyby przejeżdżał przez nie dawno, w dzieciństwie. W końcu i droga przestała go zajmować i zaczął z lekka przymykać oczy i skłaniać głowę do poduszki. Autor przyznaje się, że nawet rad jest temu, znajdując w ten sposób okazję do pomówienia o swym bohaterze, bo dotychczas, jak czytelnik zauważył, bez ustanku mu przeszkadzało to Nozdriow, to damy, to plotki miejskie, to wreszcie tysiące tych drobiazgów, które tylko wtedy wydają się drobiazgami, gdy są wprowadzone do książki, a dopóki odbywają się w świecie, uważa się je za bardzo ważne sprawy. Ale teraz zupełnie odłożymy wszystko na bok i przystąpimy wprost do rzeczy.

Bardzo wątpliwe, żeby wybrany przez nas bohater spodobał się czytelnikom. Damom nie będzie się podobał, to można powiedzieć stanowczo, bo damy wymagają, żeby bohater był absolutną doskonałością, i jeżeli zdarzy się jakakolwiek plamka na ciele albo na duszy, to wówczas jest bardzo źle! Jakkolwiekby głęboko zajrzał mu autor do duszy, chociażby wyraźniej niż lustro odbił jego podobiznę, nie przyznają mu żadnej wartości. Sama tusza i średni wiek Cziczikowa bardzo mu zaszkodzą; tuszy w żadnym wypadku nie przebaczą bohaterowi i bardzo wiele dam odwróciwszy się powie: „Fe, taki wstrętny!” Niestety! wszystko to wiadome jest autorowi, lecz mimo to nie może wziąć na bohatera człowieka poczciwego. Ale... być może, w tejże samej opowieści wyczuje się niektóre, dotąd nie dotykane struny, ukaże się niezmiernie bogactwo rosyjskiego ducha, zjawi się mąż obdarzony boskimi zaletami charakteru albo cudna rosyjska dziewczyna, jakiej się nie znajdzie na całym świecie, z całą przedziwną piękną duszą kobiecej, cała przeniknięta szlachetnymi dążeniami i poświęceniem. I wobec nich nieżywymy wydadzą się wszyscy poczciwi ludzie innych plemion, jak nieżywa jest książka, wobec żywego słowa! Zacznie się ruch rosyjski... i zobaczą, jak głęboko utkwilo w naturze słowiańskiej to, co musnęło tylko naturę innych narodów... Ale po co i na co mówić o tym, co będzie? Nie wypada autorowi, który jest już od dawna dojrzały, zahartowany surowym życiem wewnętrznym i orzeźwiająca trzeźwością osamotnienia, zapominać się jak młodzieniaszkowi. Wszystko ma swą kolej – i miejsce, i czas! A człowiek poczciwy jednak nie został wybrany na bohatera. I można nawet powiedzieć, dlaczego nie został wybrany. Dlatego, że trzeba w końcu dać odpocząć biednemu poczciwemu człowiekowi, dlatego, że próżno obraca się w ustach słowo: „człowiek poczciwy”; dlatego, że z poczciwego

człowieka zrobiono szkapę, i nie ma pisarza, który by na nim nie jeździł popędzając i batem, i czym się da; dlatego, że zamęczono człowieka poczciwego do tego stopnia, że teraz nie ma w nim nawet cienia poczciwości, została tylko skóra i kości zamiast ciała; dlatego, że obłudnie odwołuje się do człowieka poczciwego; dlatego, że nie szanuje się człowieka poczciwego. Nie, czas wreszcie zaprząć łajdaka. A więc zaprzęgniemy łajdaka!

Niejasne i skromne jest pochodzenie naszego bohatera. Rodzice jego byli pochodzenia szlacheckiego, ale czy ze szlachty rodowej, czy z nobilitowanej – Bóg raczy wiedzieć. Z twarzy nie był do nich podobny; przynajmniej krewna, która była przy jego urodzeniu, niziutka szczuplutka kobiecina, jakie zwykle nazywają niziołkami, wzięwszy w ręce dziecko zawołała: – Zupełnie inny, niż się spodziewałam! Powinien by się wrodzić w babkę ze strony matki, to by nawet było lepiej, a on się wrodził po prostu, jak mówi przysłowie: ani w matkę, ani w ojca, tylko w przejezdnego mołojca. – Życie spojrzało na niego od chwili urodzenia jakoś kwaśno, nieprzytulnie, przez jakieś mętne, zasypane śniegiem okienko; nie miał w dzieciństwie ani przyjaciela, ani kolegi! Maleńka izdebka z maleńkimi oknami nie otwierającymi się ani w zimie, ani w lecie, ojciec, chory człowiek, w długim surducie na barankach i w szydełkowych papuciach obutych na bose nogi, bez ustanku wzdychający, chodzący po pokoju i plujący do stojącej w kącie spluwaczki; wieczne siedzenie na ławce, z piórem w rękę, atramentem na palcach, a nawet na ustach, wieczne wbijanie do głowy: „Nie kłam, słuchaj starszych i miej dobroć w sercu”; wieczne szuranie i klapanie po pokoju papucia znajomy, lecz zawsze surowy głos: „Znowuś się zagapił!”, odzywający się wówczas, gdy dzieciak, znudzony jednostajnością pracy, dorabiał do litery jakiś zakrętas albo ogon; i wiecznie znajome, zawsze nieprzyjemne uczucie, gdy po tych słowach koniuszek jego ucha boleśnie skręcały paznokcie długich, dosięgających go z tym palców – oto żalorny obraz wczesnego dzieciństwa, o którym Cziczikow zachował zaledwie blade wspomnienie. Ale w życiu wszystko się szybko zmienia i oto pewnego dnia, z pierwszym wiosennym słońcem i wezbranymi potokami, ojciec zabrawszy syna wyjechał z nim wózkem, który ciągnął cisawy, pstrokaty konik, zwany przez handlarzy końmi srokaczem; powozu nim furman, mały garbusek, ojciec jedynej pańszczyźnianej rodziny należącej do ojca Cziczikowa, spełniający prawie wszystkie czynności w domu. Srokacz ciągnął ich przeszło półtora dnia; po drodze nocowali, przeprawiali się przez rzekę, posilali się zimnym pierogiem i pieczoną baraniną i dopiero na trzeci dzień rano dostali się do miasta. Przed chłopcem zabłysnęły nieoczekiwaną wspaniałością miejskie ulice, tak że aż na kilka chwil otworzył usta. Potem srokacz wraz z wózkem wвалиł się w jamę, którą się zaczynał wąski zaułek, bardzo spadzisty i pełen błota; długo pracował tam ze wszystkich sił i miesił nogami, popędzany i przez garbusa, i przez samego pana; w końcu wciągnął ich na nieduże podwórko położone na zboczu wzgórza, z dwiema rozkwitłymi jabłoniami przed starym domkiem i ogródkiem poza nim – niziutkim, maleńkim, składającym się tylko z jarzębiny, bzu i schowanej w jego głębi budki pokrytej darnią, z wąskim matowym okienkiem. Mieszkała tu ich krewna, zgrzybiała staruszka, wciąż jeszcze chodząca co rano na rynek i susząca potem swoje pończochy przy samowarze, która poklepała chłopca po policzku i ucieszyła się jego pulchnością. Tu miał zostać i chodzić codziennie do szkoły miejskiej. Ojciec, przenocowawszy, zaraz na drugi dzień wyjechał. Przy rozstaniu me polały się łzy z oczu rodzicielskich; dano chłopcu pół rubla miedziakami na wydatki i smakołyki i, co o wiele ważniejsze, rozsądną radę: „Pamiętaj, Pawełku, ucz się, nie próżnuj i nie dokazuj, a przede wszystkim staraj się przypodobać nauczycielom i zwierzchnikom. Jeśli się przypodobasz zwierzchnikom, to chociażbyś nawet w naukach nie nadażył i Bóg ci nie dał zdolności, wyróżnią cię i wszystkich wyprzedzisz. Z kolegami się nie zadawaj, niczego dobrego cię nie nauczą; a jeżeli już na to przyjdzie, to zadawaj się z bogatszymi, żeby ci się w razie czego przydali. Nie częstuj nikogo, lepiej rób tak, żeby ciebie częstowali, a przede wszystkim chowaj i ciulaj kopiejki, to najpewniejsza rzecz na świecie. Kolega albo przyjaciel oszuka cię i w biedzie pierwszy cię wyda, a kopiejka nie wyda, w jakiegokolwiek byś się biedzie znalazł. Wszystko zrobisz i wszystko możesz pokonać na świecie kopiejką”. Obdarzywszy syna takimi wskazówkami ojciec rozstał się z nim i

powlókł się znowu do domu na wózku ciągniętym przez srokacza; Cziczikow nigdy go już więcej nie widział, ale słowa i wskazówki ojca głęboko mu zapadły w duszę.

Pawełek zaraz na drugi dzień zaczął chodzić do szkoły. Szczególnych zdolności do jakiegokolwiek nauki nie wykazał: raczej odznaczał się pilnością i porządkiem; ale za to znalazło się w nim sporo rozsądku z innej strony, ze strony praktycznej. Od razu się we wszystkim połapał i tak ułożył swe stosunki z kolegami, że oni go częstowali, a on nie tylko że tego nie robił, lecz nawet czasem, schowawszy otrzymany poczęstunek, później sprzedawał go ofiarodawcom. Jeszcze jako dziecko umiał sobie wszystkiego odmawiać. Z otrzymanej od ojca półrublówki nie wydał ani kopiejki, przeciwnie, tego samego roku sporo do niej dołożył, wykazując obrotność prawie nadzwyczajną: ulepił z wosku gila, pomalował go i sprzedał bardzo korzystnie; potem, po jakimś czasie, puścił się i na inne spekulacje, a mianowicie takie: nakupiwszy na rynku jedzenia, siadał w klasie w pobliżu tych, którzy byli bogatsi, i gdy tylko spostrzegał, że kolegę zaczynało mdlić, oznaka zbliżającego się głodu, wysuwał spod ławki niby niechcący róg piernika albo bułki i podnieciwszy go brał pieniądze według apetytu. Dwa miesiące bez wytchnienia pracował u siebie w mieszkaniu nad myszą, którą wsadził do małej drewnianej klateczki, i osiągnął w końcu to, że mysz stawała na tylnych łapkach, kładła się i wstawała na rozkaz, i sprzedawał ją potem również bardzo korzystnie. Kiedy uciulał pięć rubli, zaszył woreczek i zaczął ciulać do innego. W stosunku do zwierchności postępował jeszcze rozsądniej. Nikt nie umiał tak spokojnie siedzieć na ławce. Należy zauważyć, że nauczyciel był wielkim zwolennikiem ciszy i dobrego sprawowania i nie znosił rozumnych i bystrych chłopców; zdawało mu się, że z pewnością wyśmiewają się z niego! Dość było, żeby ten, którego zapamiętał jako chłopca dowcipnego, poruszył się tylko albo jakoś niechcący mrugnął okiem, a ściągął na siebie gniew nauczyciela. Wyrzucał go i karał bezlitośnie. „Ja, braciszku, wypędzę z ciebie zarozumiałość i nieposłuszeństwo! – mówił. – Znam cię na wylot, jak ty sam siebie nie znasz. Pokłęczysz ty mi na kolanach! zaznasz głodu!” I biedny chłopak, sam nie wiedząc za co, wycierał sobie kolana i głodował całymi dniami. „Zdolności i talenty? wszystko to bzdura – mówił nauczyciel – ja zwracam uwagę tylko na sprawowanie. Postawię dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów temu, który nic nie umie, ale sprawuje się chwalebnie; a w kim widzę złe skłonności i chętkę do wyśmiewania się, temu wlepię pałkę, chociażby wszystkie rozumy pozjadał!” Tak mówił nauczyciel, śmiertelnie nienawidzący Kryłowa za to, że ten powiedział: „Zdaniem moim, lepiej już pij, byleś się znał na rzeczy”, i zawsze opowiadający z wyrazem zachwyty na twarzy i w oczach, że w szkole, w której dawniej wykładał, była taka cisza, iż słyhać było przelatującą muchę, że ani jeden z uczniów przez calutki rok nie zakaszał i nie wytarł nosa w klasie i że aż do dzwonka nie można się było dowiedzieć, czy tam był kto, czy nie. Cziczikow pojął w lot usposobienie zwierchnika i jak ma się sprawować. Nie poruszył ani okiem, ani brwią przez cały czas lekcji, żeby go nie wiem jak szczykali z tyłu; gdy tylko rozlegał się dzwonek, rzucał się pędem i wyprzedzając innych podawał nauczycielowi czapkę z nausznikami (nauczyciel chodził w czapce z nausznikami), podawszy czapkę pierwszy wychodził z klasy i usiłował trzy razy mu się nawinąć na oczy po drodze, bez ustanku zdejmując czapkę. Doskonale mu się powiodło. Przez cały czas pobytu w szkole miał jak najlepszą opinię i przy ukończeniu otrzymał dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów, świadectwo i książkę ze złotymi literami: z a w z o r o w ą p i l n o ś ć i c h w a l e b n e s p r a w o w a n i e. Po wyjściu ze szkoły był już młodzieńcem o dość ujmującej powierzchowności, z podbródkiem domagającym się brzytwy. W tym czasie umarł mu ojciec. W spadku zostały cztery doszczętnie znoszone kaftany, dwa stare surduty podbite barankami i niewielka sumka pieniędzy. Ojciec, jak widać, umiał tylko radzić, jak ciulać kopiejki, ale sam uciulał ich niewiele. Cziczikow natychmiast sprzedał stary dworek z nędznym gruntem za tysiąc rubli, a rodzinę przeniósł do miasta, mając zamiar zamieszkać w nim i wstąpić na służbę. W tym samym czasie wypędzono ze szkoły za głupotę czy też inną winę biednego nauczyciela, zwolennika ciszy i chwalebego sprawowania. Nauczyciel ze zgryzoty zaczął pić, w końcu nawet pić już nie miał za co; chory, bez kawałka chleba i bez pomocy, ginął gdzieś w nieopalanej, zapomnianej norze. Dawni jego uczniowie, mądrale i dowcipnisie, w których dopatrywał się

zawsze nieposłuszeństwa i zarozumiałości, dowiedziawszy się o jego żalnym stanie, natychmiast zebrali dla niego pieniądze, sprzedawszy nawet sporo potrzebnych rzeczy; jeden tylko Pawełek Cziczikow wymówił się tym, że nie ma, i dał jakąś srebrną dziesiątkę, którą koledzy zaraz odrzucili, mówiąc: „Ech, ty liczykrupo!” Biedny nauczyciel ukrył twarz w dłoniach, gdy usłyszał o takim postępku swych dawnych uczniów; łzy jak grad polały się z jego gasnących oczu, jak bezsilnemu dziecku. „Na śmiertelnym łożu kazał mi Pan Bóg zapłakać” – wyrzekł słabym głosem i westchnął ciężko, dowiedziawszy się o Cziczikowie, dodając przy tym: „Ech, Pawełku! Oto, jak się zmienia człowiek. A taki był obyczajny! Nie miał w sobie nic popędliwego – jedwab! Oszukał mnie, bardzo oszukał...”

Nie można jednak powiedzieć, żeby natura naszego bohatera była tak surowa i twarda, a uczucia jego do tego stopnia przytępione, że nie znał ani litości, ani współczucia. Odczuwał i to, i tamto, chciałby nawet pomóc, tylko żeby nie wymagało to znacznej sumy, żeby już nie naruszać tych pieniędzy, których postanowione było nie naruszać; słowem, ojcowska rada: chowaj i ciułaj kopiejki – nie poszła na wiatr. Ale właściwie nie miał przywiązania do pieniędzy dla nich samych; nie władało nim sknerstwo i skąpstwo. Nie, nie to nim kierowało, on marzył o przyszłym życiu ze wszystkimi przyjemnościami, ze wszystkimi dostatkami, o ekwipażach, doskonale urządzonym domu, o smacznych obiadach – oto, co bez ustanku miał na myśli; żeby w końcu później, z czasem, koniecznie zasmakować tego wszystkiego, oto dlaczego odkładał kopiejki skąpiąc ich na razie i sobie, i innemu... Gdy przejeżdżał obok niego bogacz w ładnym, lekkim powoziku, zaprzężonym w kłusaki w bogatej uprzęży, zatrzymywał się na miejscu jak wryty, a potem ocknąwszy się jak z długiego snu, mówił: „A przecież był subiektem, miał włosy strzyżone jak chłopek!” I wszystko, co zatraćtało bogactwem i dostatkiem, sprawiało na nim wrażenie niepojęte nawet dla niego samego. Skończywszy szkołę nie chciał nawet odpocząć, tak silne było w nim pragnienie wzięcia się do pracy i wstąpienia na służbę. Jednakże, pomimo chwalebnych świadectw, z wielkim trudem dostał się do Izby Skarbowej. Nawet w zapadłym kącie potrzebna jest protekcja! Posadkę dostał nędzną, z pensją trzydziestu czy czterdziestu rubli rocznie. Ale postanowił zająć się gorliwie służbą, wszystko przezwyciężyć i pokonać. I istotnie, okazał niesłychane samozaparcie, cierpliwość i umiejętność ograniczania potrzeb. Od wczesnego ranka do późnego wieczoru, nie tracąc ani cielesnych, ani duchowych sił, pisał ugrzęźnięwszy cały w kancelaryjnych papierach; nie chodził do domu, spał w pokojach kancelaryjnych na stołach, czasem jadł obiad ze stróżami i mimo to wszystko umiał zachować schludność, porządnie się ubrać, nadać twarzy miły wyraz i nawet mieć coś szlachetnego w ruchach. Należy zaznaczyć, że urzędnicy Izby szczególnie odznaczałi się niepozornością i niechlujnością. Niektórzy mieli twarze zupełnie jak źle wypieczony chleb: policzek wydeło w jedną stronę, brodę wykrzywiło w inną, górną wargę wzdeło jak pęcherz i ta na dodatek pękła; słowem, całkiem nieładnie. Mówili wszyscy jakoś surowo, takim głosem, jakby się zbierali kogoś zbić; składali częste ofiary Bachusowi dowodząc w ten sposób, że w naturze słowiańskiej jest jeszcze dużo pozostałości pogaństwa; przychodzili nawet niekiedy do urzędu, jak się to mówi, urznięci, skutkiem czego w urzędzie było nieprzyjemnie i powietrze było bynajmniej nie aromatyczne. Pośród takich urzędników Cziczikow nie mógł być nie zauważony i nie wyróżniony, stanowiąc zupełne ich przeciwieństwo, zarówno dzięki miłej powierzchowności, jak i uprzejmości głosu oraz zupełnemu nieużywaniu wszelkich mocnych napojów. Ale mimo to wszystko droga jego była trudna, dostał się pod zwierzchnictwo podstarzałego już pisarza sądowego, który był wzorem jakiejś kamiennej nieczułości i obojętności; wiecznie taki sam, nieprzystępny, nigdy w życiu nie okazujący” na twarzy uśmiechu, nie witający ani razu nikogo nawet zapytaniem o zdrowie. Nikt nie widział, żeby choć raz był inny niż zazwyczaj, choćby na ulicy, choćby u siebie w domu; żeby choć raz okazał zainteresowanie czymkolwiek; żeby się chociaż upił i po pijanemu roześmiał; żeby się choć oddał dzikiej wesołości, jakiej się oddaje zbój w czasie pijaństwa, ale nie było w nim ani cienia czegoś podobnego. Nie było w nim nic a nic: ani złego, ani dobrego – i coś strasznego ujawniało się w tym braku wszystkiego. Marmurowo twarda jego twarz, bez żadnej wyraźnej nieregularności, nie nasuwała żadnego podobieństwa; jego rysy

posiadały surową proporcjonalność. Jedynie gęste dzioby i wgłębienia pozwalały zaliczać jego twarz do liczby tych, na których, według ludowego wyrażenia, diabeł w nocy młóci groch. Zdawało się, że nie starczy sił ludzkich, żeby zjeść sobie takiego człowieka i pozyskać jego sympatię, ale Cziczikow spróbował. Z początku wysługiwał mu się we wszelkich niedostrzegalnych drobiazgach: przyjrząwszy się uważnie sposobowi temperowania piór, którymi pisał, i przygotowałszy kilka w ten sam sposób, kładł mu je stale pod ręką; zdmuchiwał i zmiatał z jego stołu piasek i tabakę; przyniósł nową szmatkę do jego kałamarza odszukał gdzieś jego czapkę, najobrzydliwszą, jaka kiedykolwiek istniała na świecie, i zawsze kładł ją koło niego na chwilę przed końcem urzędowania; czyścił mu plecy, jeżeli były zawalane kredą ze ściany – ale wszystko to nie zwróciło na niego najmniejszej uwagi pisarza, tak jakby wcale nie miało miejsca. W końcu Cziczikow zważał coś niecoś o jego domowym, rodzinnym życiu, dowiedział się, że ma dorosłą córkę, o twarzy również nasuwającej myśl o młóceniu grochu po nocach. Z tej więc strony postanowił przypuścić szturm. Dowiedział się, do jakiej cerkwi chodziła w niedzielę, stawał zawsze naprzeciwko niej, czysto ubrany, mocno nakrochmaliwszy półkoszulek, i starania te osiągnęły skutek: surowy pisarz zachwiał się i zaprosił go na herbatę! I nie zdążyli się obejrzeć w kancelarii, kiedy sprawy tak się ułożyły, że Cziczikow przeniósł się do jego domu, stał się potrzebny i niezbędny, kupował mąkę i cukier, córkę traktował jak narzeczoną, pisarza nazywał papą i całował go w rękę w sądzie wszyscy orzekli, że w końcu lutego, przed wielkim postem, będzie ślub. Surowy pisarz zaczął nawet starać się o niego u zwierzchności i po jakimś czasie Cziczikow sam zasiadł jako pisarz na jednym z wakujących miejsc. To, zdaje się, było głównym celem jego stosunków ze starym pisarzem; zaraz bowiem sekretnie odesłał swój kuferek do domu i następnego dnia znalazł się już na innym mieszkaniu. Pisarza przestał nazywać papą i nie całował go więcej w rękę, a w sprawie małżeństwa tak zakręcił, jakby o niczym nawet mowy nie było. Jednakże, spotykając się z pisarzem, zawsze uprzejmie ścisnął mu rękę i zapraszał go na herbatę, tak że stary pisarz pomimo wiecznej niewzruszoności i twardej obojętności, za każdym razem potrzasał głową i mówił sobie pod nosem: „Oszukał, oszukał, diabelskie nasienie!”

Był to najtrudniejszy próg, jaki Cziczikow przekroczył. Odtąd poszło mu lżej i pomyślniej. Zaczęto go dostrzegać. Znalazło się w nim wszystko, co na tym świecie jest potrzebne: i uprzejmość w obejściu i postępowaniu, i energia w poważnych sprawach. Takimi środkami zdobył w niedługim czasie to, co nazywają ciepłym miejscem, i wykorzystał je znakomicie. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie zaczęło się prześladowanie wszelkiego łapownictwa. Prześladowania się nie przstraszył i obrócił je natychmiast na swoją korzyść okazując w ten sposób prawdziwie rosyjską wynalazczość, pojawiającą się tylko przy nacisku. Oto jak to było urządzone: gdy tylko przychodził petent i wsadzał rękę do kieszeni – po to, żeby wyciągnąć stamtąd wiadome listy rekomendujące z podpisem księcia Chowańskiego, jak się wyrażają u nas w Rosji – „O, nie – mówił z uśmiechem, powstrzymując jego ręce – pan sądzi, że ja... o, nie, nie! To nasza powinność, to nasz obowiązek; powinniśmy to zrobić bez żadnego wynagrodzenia! O to niech pan będzie spokojny, zaraz jutro wszystko będzie zrobione. Pozwoli pan zapytać o adres, nawet niech się pan sam nie trudzi, wszystko zostanie panu przyniesione do domu”. Oczarowany petent wraca do domu, niemal zachwycony, myśląc: „Oto nareszcie człowiek, jakich trzeba więcej, to po prostu drogocenny brylant!” Ale czeka petent dzień i drugi, nie przynoszą sprawy do domu, na trzeci również. Idzie do kancelarii, sprawy nawet nie ruszono; więc idzie do drogocennego brylanta. „Ach, niech pan wybaczy! – mówi Cziczikow bardzo grzecznie, chwytając go za obie ręce – mieliśmy tyle spraw; ale jutro wszystko będzie zrobione, jutro z pewnością; doprawdy aż mi wstyd! I wszystko to z czarującymi gestami. Jeżeli przy tym odchyłała się jakaś poła surduta, ręka starała się natychmiast to naprawić i przytrzymała połą. Ale ani jutro, ani pojutrze, ani na” trzeci dzień nie przynoszą sprawy do domu. Petent idzie po rozum do głowy: „Dość tego, o co tu chodzi?” Zasięga języka, mówią, trzeba dać pisarzom. „Dlaczego nie? Gotów jestem dać czterdziestówkę albo dwie”. „Nie, nie czterdziestówkę ale po białym papierku”. „Po białym papierku pisarzom! – woła petent. „Po co się pan tak gorączkuje? – odpowiadają mu – tak właśnie

będzie: pisarze dostaną po czterdziestówce, a resztą pójdzie dla zwierzchności”. Niedomyślny petent uderza się w czoło i klunie na czym świat stoi nowy porządek, prześladowanie łapownictwa i uprzejme, ugrzecznione obejście urzędników. Dawniej człowiek wiedział przynajmniej, co ma robić. Przyniosło się kierownikowi wydziału czerwony papierek i sprawa załatwiona, a teraz po białym i jeszcze się tydzień zmarudzi, zanim się człowiek domyśli; niech diabli wezmą bezinteresowność i urzędową uczciwość! Petent naturalnie ma słuszość, ale za to nie ma teraz łapowników, wszyscy kierownicy wydziałów są jak najuczciwsi i jak najszlachetniejszymi ludźmi, tylko sekretarze i pisarze oszusty. Wkrótce otworzyło się przed Cziczikowem o wiele szersze pole działania: powstała komisja do spraw budowy jakiegoś rządowego, bardzo ważnego budynku. Do tej komisji przyczepił się i on i okazał się jednym z najczynniejszych członków. Komisja niezwłocznie przystąpiła do pracy. Sześć lat pracowała przy budowie; ale czy to klimat stał na przeszkodzie, czy coś innego, czy też budulec był już taki, dość że budynek rządowy w żaden sposób nie mógł wznieść się ponad fundamenty. A tymczasem na innych krańcach miasta każdy z członków komisji postawił sobie ładną kamienicę. Widocznie grunt był tam lepszy. Członkowie zaczęli już opływać w dostatki i zaczęli zakładać rodziny. Tu dopiero i teraz dopiero zaczął Cziczikow po trosze wypłatywać się z surowych reguł wstrzeźliwości i nieubłaganego zaparcia się siebie. Tu dopiero długotrwały post został w końcu złagodzony i okazało się, że Cziczikow nie stronił od różnych przyjemności, od których umiał się powstrzymywać w latach płochy młodości, kiedy to żaden człowiek nie włada sobą zupełnie. Pojawił się jaki taki zbytek: zgodził sobie dość dobrego kucharza, zaczął nosić cienkie holenderskie koszule. Już kupił sobie takiego sukna, jakiego nikt w całej guberni nie nosił, i od tego czasu zaczął przeważnie nosić kolory brązowe i czerwone „z iskrą”; już nabył doskonałą parę koni i sam trzymał jeden lejc zmuszając przyprzęgowego do skręcania szyi; już wprowadził zwyczaj wycierania się gąbką umoczoną w wodzie zmieszanej z wodą kolońską; już kupował jakieś dość drogie mydło, służące do nadania skórze gładkości, już...

Lecz nagle: na miejsce dawnego, starego gamonia został przysłany nowy naczelnik, człowiek wojskowy, surowy, wróg łapowników i wszystkiego, co się nazywa nieuczciwością. Zaraz na drugi dzień nastraszył ich wszystkich co do jednego, zażądał rachunków, dostrzegł niedobory, sumy brakujące na każdym kroku, zauważył od razu ładne kamienice – i zaczęły się rugi. Urzędnicy zostali zawieszani w czynnościach; ładne kamienice przeszły na własność skarbu i zostały obrócone na różne zakłady dobroczynne i domy dla kantonistów¹⁸; wszyscy porządnie oberwali, a Cziczikow najwięcej. Twarz jego ni z tego, ni z owego, pomimo miłego wyrazu, nie spodobała się naczelnikowi, dlatego mianowicie”, Bóg raczy wiedzieć – niekiedy nawet po prostu nie ma po temu powodów – i naczelnik zniechęcił go śmiertelnie. Ponieważ jednak był wojskowym, a tym samym nie znał wszystkich subtelności cywilnych podejść, więc po jakimś czasie, dzięki uczciwej powierzchowności i umiejętności przystosowania się do wszystkiego, wcisnęli się w jego łaski inni urzędnicy i generał wkrótce znalazł się w rękach jeszcze większych gałganów, których zupełnie za takich nie uważał; nawet był zadowolony, że wybrał w końcu ludzi jak należy, i chwalił się nie na żarty subtelną sztuką poznawania zdolności. Urzędnicy od razu poznali jego upodobania i charakter. Każdy, kto był pod jego zwierzchnictwem, stał się nagle strasznym wrogiem nieuczciwości; wszędzie we wszystkich sprawach tępił ją jak rybak ościeniem jakiegoś tłustego wyza, i tępił ją z takim powodzeniem, że w krótkim czasie każdy miał po kilka tysięcy kapitału. W tym czasie wielu spośród dawnych urzędników wróciło na drogę cnoty i przyjęło ich znowu na służbę. Ale Cziczikow już w żaden sposób nie mógł się wcisnąć, jakkolwiek starał się o niego i popierał go, pobudzany listami księcia Chowańskiego, pierwszy sekretarz generała, który znakomicie opanował sztukę wodzenia generała za nos, ale tu zupełnie nic nie mógł zrobić. Generał był człowiekiem tego rodzaju, że chociaż go wodzono za nos (zresztą bez jego wiedzy), to jednak jeżeli już utkwiała mu w głowie jakaś myśl, pozostawała tam jak gwóźdź żelazny; niczym

¹⁸ Kantonieści – synowie żołnierzy, od dzieciństwa przeznaczeni do służby wojskowej; uczone ich czytania, pisanie, rzemiosł i musztry w osobnych szkołach, założonych za czasów Piotra Wielkiego. Szkoły te istniały do 1852 r.

nie można jej było usunąć. Wszystko, co mógł zrobić mądry sekretarz, sprowadzało się do zniszczenia splamionego wypisu stanu służby, a skłonił naczelnika do tego nie inaczej, jak przez współczucie, odmalowawszy mu w żywych barwach wzruszający los nieszczęsnej rodziny Cziczikowa, której ten na szczęście nie posiadał.

„Ano cóż! – powiedział sobie Cziczikow – zaczepilem, pociągnąłem, urwało się, nie warto się martwić. Płacz nic nie pomoże, tu trzeba czynów”. I oto postanowił zacząć karierę od nowa znowu uzbroić się w cierpliwość, znowu ograniczyć się wszystkim, chociaż tak wygodnie i tak mile się przedtem urządził. Trzeba było przenieść się do innego miasta i tam dopiero dać się poznać. Wszystko jakoś się nie kleiło. Dwie czy trzy posady musiał zmienić w bardzo krótkim czasie. Posady były jakoś brudne, poziome. Trzeba wiedzieć, że Cziczikow był człowiekiem najprzyzwoitszym, jaki kiedykolwiek istniał na świecie. Chociaż musiał się z początku ocierać o brudno, towarzystwo, ale w duszy zawsze zachowywał czystość, lubił, żeby w kancelariach były stoły z lakierowanego drzewa i żeby wszystko było porządne. Nigdy nie pozwalał sobie w mowie na nieprzyzwoite słowo i zawsze się obrażał, jeżeli w słowach innych widział brak należytego szacunku dla rangi lub tytułu. Sądzę, że czytelnikowi miło będzie się dowiedzieć, że Cziczikow co dwa dni zmieniał bieliznę, a w lecie w czasie upałów nawet codziennie. Każdy, choć trochę nieprzyjemny zapach sprawiał mu przykrość. Dlatego zawsze, gdy Pietrek przychodził go rozbierać i zdejmował mu buty, wkładał sobie do nosa goździk; w wielu wypadkach nerwy jego były czułe jak nerwy panienki. Dlatego też ciężko mu było znowu znaleźć się w tych szeregach, gdzie wszystko zatrać okowitą i nieprzyzwoitością w postępowaniu. Jakkolwiek dodawał sobie otuchy, jednakże schudł, a nawet zzieleniał w czasie tych niepowodzeń. Już zaczynał przecie tyć i nabierać owych zaokrąglonych i przyzwoitych kształtów, w jakich znalazł go czytelnik przy zawarciu z nim znajomości, i już nieraz spoglądając w lustro myślał sobie o wielu miłych rzeczach: o żonce, o pokoju dziecinnym, i uśmiech następował po takich myślach; ale teraz, kiedy niechcący spojrzął na siebie w lustrze, nie mógł nie zawołać: „Matko Najświętsza! jaki ja się zrobiłem szkaradny!” I potem długo nie chciał się przeglądać. Lecz bohater nasz wszystko znosił, znosił mężnie, cierpliwie znosił i – przeszedł w końcu na służbę do komory celnej. Należy zaznaczyć, że ta służba była przedmiotem jego ukrytych zamiarów. Widział, w jakie eleganckie zagraniczne rzeczy zaopatrywali się urzędnicy komory, jaką porcelaną i batysty przysyłali kumom, ciociom i siostram. Nieraz, już dawno temu, mówił z westchnieniem: „Ot, gdzie warto by się dostać: i granica blisko, i ludzie oświeceni, a w jakie delikatne holenderskie koszule można się zaopatrzyć!” Należy dodać, że przy tym miał jeszcze na myśli specjalnego gatunku francuskie mydło, nadające niezwykłą białość skórze i świeżość policzkom; jak się nazywało. Bóg raczy wiedzieć, ale według jego przypuszczeń na pewno znajdowało się na granicy. A więc dawno już miał ochotę na komorę, ale zatrzymywały go różne bieżące korzyści w komisji budowlanej i rozumował słusznie, że komora bądź co bądź była jeszcze gołębiem na dachu, a komisja już była wróblem w garści. Teraz jednak postanowił za wszelką cenę dostać się na komorę, i dostał się. Do służby swej zabrał się z niezwykłą gorliwością. Zdawało się, że samo przeznaczenie kazało mu być urzędnikiem na komorze. Podobnej roztropności, przenikliwości i przezorności i nigdy nikt nie tylko nie widział, ale nawet o takiej nie słyszał. W ciągu trzech czy czterech tygodni poznał już tak dobrze czynności celnicze, że wiedział absolutnie wszystko: nawet nie ważył, nie mierzył, tylko z faktury poznawał, ile w jakiej sztuce jest arszynów sukna czy innego materiału; wzięwszy do ręki paczkę, mógł od razu powiedzieć, ile waży funtów. Co się zaś tyczy rewizji, to tu, jak się wyrażali nawet sami jego koledzy, miał po prostu psi węch: nie można było nie zdumieć się widząc, jak wystarczało mu cierpliwości, żeby dotknąć każdego guzika, a wszystko to było zrobione z zabójczo zimną krwią, niesłychanie uprzejmie. I kiedy rewidowani wściekali się, tracili panowanie nad sobą i odczuwali złośliwą chętkę trzepnąć go po jego miłym obliczu, on nie zmieniając ani wyrazu twarzy, ani uprzejmości obejścia mówił tylko: „Czy nie byłby pan łaskaw troszeczkę się potrudzić i wstać?” albo: „Czy nie byłaby pani łaskawa udać się do drugiego pokoju? Tam żona jednego z naszych urzędników pomówi z panią”. Albo: „Pozwoli pan, że troszeczkę rozpruję nożykiem podszewkę

pańskiego palta”, i mówiąc to wyciągał stamtąd szale, chustki, z zimną krwią, jak z własnego kufierka. Nawet zwierzchność orzekła, że to diabeł, a nie człowiek. Znajdował w kołach, w dyszlach, «w końskich uszach i licho wie w jakich miejscach, gdzie żadnemu autorowi nie przyszłoby na myśl zajrzeć i gdzie wolno zaglądać jedynie urzędnikom komory. Biedny podróżny przejechawszy przez granicę wciąż jeszcze w ciągu kilkunastu minut nie mógł przyjść do siebie i ocierając pot, który mu drobniutkimi kropelkami wystąpił na całym ciele, zęgnął się tylko i mruczał: „No, no!” Położenie jego było podobne do położenia ucznia, który wybiegł z gabinetu, dokąd zawezwał go zwierzchnik z tym, żeby mu dać jakąś wskazówkę, lecz zamiast tego najnieoczekiwanej go wychłostał. W niedługim czasie Cziczikow zupełnie uniemożliwił życie kontrabandzistom. Był postrachem i rozpaczą całego polskiego żydostwa. Jego uczciwość i nieprzekupność były niewzruszone, prawie nadprzyrodzone. Nawet nie zebrał sobie małego kapitaliku z różnych konfiskowanych towarów i odbieranych rzeczy, nie przechodzących na rzecz skarbu dla uniknięcia niepotrzebnej korespondencji. Tak gorliwa, bezinteresowna służba musiała stać się przedmiotem powszechnego podziwu i dojść w końcu do wiadomości władzy. Otrzymał rangę i podwyżkę i zaraz po tym przedłożył projekt wyłapania wszystkich kontrabandzistów, prosząc tylko o środki, żeby sam mógł to wykonać. Natychmiast powierzono mu dowództwo i dano nieograniczone prawo przeprowadzenia wszelkich poszukiwań. Tego tylko pragnął. W tym samym czasie organizowała się w obmyślony i prawidłowy sposób silna spółka kontrabandzistów; zuchwałe przedsięwzięcie dawało milionowe zyski. Dawno już miał o nim wiadomości i nawet odmówił podesłanym, żeby go przekupić, powiedziawszy sucho: „Jeszcze nie pora”. Kiedy zaś dostał do swojej dyspozycji wszystko, natychmiast dał znać spółce, powiedziawszy: „Teraz pora”. Obliczenie było zupełnie słuszne. Tu przez rok mógł zyskać to, czego by nie zarobił przez dwadzieścia lat jak najgorliwszej służby. Przedtem nie chciał wchodzić z nimi w żadne stosunki, ponieważ nie będąc niczym więcej niż zwyczajnym pionkiem, niewiele by dostał, ale teraz... teraz całkiem inna sprawa. Mógł podyktować warunki, jakie chciał. Żeby nic nie stało na przeszkodzie, namówił i drugiego urzędnika, swego kolegę, który nie oparł się pokusie, pomimo iż miał już siwe włosy. Umowa została zawarta i spółka przystąpiła do działalności. Działalność zaczęła się świetnie. Czytelnik niewątpliwie słyszał tak często powtarzaną historię o pomysłowej wędrownicy hiszpańskich baranów, które przeszedłszy granicę w podwójnych kozuszkach przeniosły pod kozuszkami za milion brabanckich koronek. Ta historia zdarzyła się akurat wtedy, gdy Cziczikow służył na komorze. Gdyby on sam nie brał udziału w tym przedsięwzięciu, żadnym Żydom na świecie nie udałoby się doprowadzić do skutku podobnej sprawy. Po trzech czy czterech baranich wędrownicach u obu urzędników znalazło się w kieszeni po czterysta tysięcy kapitału. U Cziczikowa, powiadają, przekroczyło nawet pięćset, bo był obrotniejszy Bóg wie, do jakiej sumy wzrosłyby błogosławione zyski, gdyby jakiś zajęć nie przebiegł przez drogę. Diabeł pomieszał szyki oby urzędnikom: urzędnicy, mówiąc po prostu, wściekli się i pokłócili o głupstwo. Jakoś w gorącej rozmowie, a może nawet trochę mając w czubie, Cziczikow nazwał drugiego urzędnika popowiczem, a ten, chociaż rzeczywiście był synem popa, nie wiadomo dlaczego srodze się obraził i odpowiedział mu natychmiast mocno i niezwykle ostro, a mianowicie: „Nieprawda, łżesz, jestem radcą stanu, a nie popowiczem, ale za to ty jesteś popowiczem!” I potem dodał na złość, żeby go jeszcze bardziej ukłuć: „Ot co!” Pomimo że w ten sposób dostatecznie się odciął zwróciwszy przeciwko Cziczikowowi przewisko, jakim został przez niego obdarzony, i pomimo że wyrażenie: „ot co!” mogło być uważane za mocne, nie komentując się tym posłał jeszcze tajemne doniesienie na niego. Zresztą opowiadają, że i tak kłócili się o jakąś kobietkę, świeżą i jędrną jak zdrowa rzepa, według wyrażenia urzędników komory; że byli nawet podkupieni ludzie, żeby wieczorkiem w ciemnym zaułku zbić naszego bohatera, ale że obaj urzędnicy zostali wystrychnięci na dudków i do kobiety dobrał się jakiś sztabskapitan Szamszariew. Jak było naprawdę, Bóg ich raczy wiedzieć, niech lepiej czytelnik, który ma na to ochotę, sam dokonponuje. Najważniejsze było to, że potajemne stosunki z kontrabandzistami stały się jawnymi. Radca stanu, chociaż sam przepadł, ale przecież dał się we znaki swemu koledze. Urzędników wzięto pod sąd, skonfiskowano, opisano

wszystko, co posiadali, i wszystko to spadło na nich nagle jak grom z jasnego nieba. Jak po zacczadzeniu opamiętali się i ujrzeni z przerażeniem, czego narobili. Radca stanu nie oparł się losom i rosyjskim obyczajem rozpił się ze zgryzoty, ale kolegialny oparł się. Umiał zataić część pieniążków, jakkolwiek czujny był węch przybyłej na śledztwo władzy; użył wszystkich subtelnych wybiegów rozumu, już nazbyt doświadczonego, nazbyt dobrze znającego ludzi: tam podziałął miłym obejściem, ówdzie wzruszającym krasomówstwem, ówdzie podkadził pochlebstwem, które w żadnym wypadku nie psuje interesu, ówdzie wsunął trochę pieniążków, słowem, obrobił sprawę przynajmniej tak, że został dymisjonowany z mniejszym dyshonorem niż kolega i wykreślił się od sądu kryminalnego. Ale już ani kapitału, ani różnych zagranicznych rzeczy, nic mu nie zostało: na to wszystko znaleźli się inni amatorzy. Zostało mu dziesięć tysięcy, schowanych na czarną godzinę, oraz dwa tuziny holenderskich koszul i nieduża bryczka, jaką jeżdżą kawalerowie, i dwaj pańszczyźniani ludzie: stangret Selifan i lokaj Pietrek; oprócz tego urzędnicy komory, powodowani dobrocią serca, zostawili mu pięć czy sześć kawałków mydła dla zachowania świeżości policzków, to wszystko. A więc oto w jakim położeniu znalazł się znowu nasz bohater. Oto jaka masa nieszczęść spadła mu na głowę! To miał na myśli mówiąc, że ucierpiał na służbie w imię prawdy. Teraz można by wywnioskować, że po takich burzach, doświadczeniach, przewrotnościach losu i życiowych niepowodzeniach oddali się z pozostałymi dziesięcioma tysięcykami w jakieś spokojne ustronie powiatowego miasteczka i tam ugrzęźnie na zawsze w perkalikowym szlafroku, przy oknie niziutkiego domu, przyglądając się w niedzielę chłopskiej bójkę odbywającej się przed oknami albo dla odświeżenia się spacerując do kurnika, żeby własnoręcznie pomacać kurę przeznaczoną na rosół, i w ten sposób spędzi swe ciche, lecz w swoim rodzaju również pożyteczne życie. Ale tak się nie stało. Należy oddać sprawiedliwość niezłomnej sile jego charakteru. Po tym wszystkim, co by wystarczyło, żeby jeżeli nie zabić, to przynajmniej ochłodzić i uspokoić na zawsze człowieka, nie wygasła w nim niepojęta namiętność. Był nieszczęśliwy, przygnębiony, narzekał na cały świat, gniewał się na niesprawiedliwość losu, szemrał na niesprawiedliwość ludzką, jednakże nie mógł uchylić się od nowych prób. Słowem, okazał cierpliwość, wobec której niczym jest drewniana cierpliwość Niemca, wynikająca z powolnego, leniwego obiegu jego krwi. Krew Cziczikowa, przeciwnie, biła mocno i trzeba było wiele rozumnej woli, żeby nałożyć wędzidło na wszystko to, co chciałoby wyskoczyć i poswawolić na wolności. Rozwahał i w jego rozważaniach widać było pewną dozę słuszności: „Dlaczego ja? Dlaczego na mnie spadło nieszczęście? Któż teraz nie korzysta na urzędzie? Każdy korzysta. Nikogo nie unieszczęśliwiłem, nie ograbiłem wdowy, nie puściłem nikogo z torbami, korzystałem z nadmiaru, brałem tam, gdzie każdy by brał; gdybym ja nie skorzystał, to inni by skorzystali. Dlaczegoż innym dobrze się powodzi, dlaczego ja mam ginąć jak robak? Czymże ja jestem teraz? Do czego się nadaję? Jak teraz spojrzę w oczy każdemu czcigodnemu ojcu rodziny? Jakże mam nie czuć wyrzutów sumienia, wiedząc, że jestem zbyt ciężkim ciężarem dla ziemi, co potem powiedzą moje dzieci? Ot, powiedzą, bydlę ojciec, nie zostawił nam żadnego majątku!”

Wiadomo już, że Cziczikow bardzo się troszczył o swe potomstwo. To taki wzruszający temat! Niejeden, być może, nie zapuściłby tak głęboko ręki, gdyby nie pytanie, które, nie wiadomo! dlaczego, samo się narzuca: co powiedzą dzieci? I oto przyszły ojciec rodziny, jak ostrożny kot, zerknąwszy tylko jednym okiem, czy gospodarz skąd nie patrzy, chwytą pośpiesznie wszystko, co bliżej: czy masło gdzie leży, łójówki czy słonina, czy kanarek wpadł pod łapę, słowem – niczemu nie daruje. Tak uskarżał się i płakał nasz bohater, a tymczasem żądza działalności nie zamierała w jego głowie; ciągle tam coś nurtowało i tylko czekało na plan działania. Znowu się skulił, znowu zaczął prowadzić trudne życie, znowu się we wszystkim ograniczył, znowu z czystości i przyzwoitego stanowiska wpadł w błoto i nędzne bytowanie. I w oczekiwaniu na coś lepszego zmuszony był nawet przyjąć posadę plenipotenty – zawód, który jeszcze nie zyskał sobie u nas obywatelstwa, jest lekceważony przez wszystkich, źle widziany przez ekonomską hołotę, a nawet przez samych mocodawców, skazany na wystawanie w przedpokojach, grubiaństwa itp., ale konieczność zmuszała do zdecydowania się na wszystko. Pośród poleceń otrzymał między innymi

takie: postarać się o zastawienie w radzie opiekuńczej kilkuset chłopów. Majątek był zrujnowany w najwyższym stopniu. Zrujnowany był na skutek pomoru bydła, oszustów-ekonomów, nieurodzajów, epidemicznych chorób, które wyniszczyły najlepszych robotników, i wreszcie na skutek lekkomyślności samego właściciela, urządzającego sobie w Moskwie dom według najnowszego gustu i tracącego na to urządzenie cały swój majątek co do kopiejki, także już nie było za co jeść. Z tego to powodu trzeba było w końcu zastawić ostatni majątek. Oddawanie majątków w zastaw państwu było wówczas jeszcze nowością, na którą decydowano się nie bez strachu. Cziczikow jako plenipotent zjednałszy uprzednio wszystkich (bez uprzedniego zjednania, jak wiadomo, nie można otrzymać nawet zwykłej informacji ani wskazówki, tak czy inaczej trzeba chociaż po butelce madery wlać w każde gardło) – a więc zjednałszy wszystkich, kogo należało, wyjaśnił, że oto taka okoliczność zachodzi między innymi: połowa chłopów wymarła, więc żeby potem nie było jakich trudności... „Ale przecież według spisu rewizyjnego oni się liczą?” – powiedział sekretarz. „Liczą się” – odpowiedział Cziczikow. „No więc czego się pan zląkł? – powiedział sekretarz – jeden umarł, drugi się urodzi i na jedno wychodzi.” Sekretarz, jak widać, umiał mówić i do rymu. A tymczasem bohatera naszego nawiedziła najbardziej natchniona myśl, jaka kiedykolwiek przyszła człowiekowi do głowy. „Ech, co ze mnie za głupiec! – powiedział sam do siebie – szukam rękawic, a obie za pasem! Niech no ja kupię tych wszystkich, którzy wymarli przed podaniem nowych spisów rewizyjnych, niech no ja ich dostanę, przypuścmy, tysiąc, i niech, przypuścmy, rada opiekuńcza da po dwieście rubli za duszę; to i już dwieście tysięcy kapitału! A teraz stosowna pora. Niedawno była epidemia, ludzi wymarło, chwała Bogu, niemało. Obywatele pozgrywali się w karty, pohulali i splukali się do nitki; wszystko polazło do Petersburga na służbę. Majątki opuszczone, administrowane byle jak, płacić podatki z każdym rokiem trudniej, a więc z radością każdy mi ich odstąpi, już choćby tylko dlatego, żeby nie płacić za nich podatków; a może zdarzy się czasem i tak, że od tego i owego sam jeszcze za to coś skorzystam. Naturalnie, trudne to, kłopotliwe i strach, żeby coś z tego nie wynikło, żeby czegoś za to nie oberwać. Ale przecież dany jest człowiekowi na coś rozum. A przede wszystkim dobrze, że obiekt wyda się wszystkim nieprawdopodobny, nikt nie uwierzy. Prawda, bez ziemi nie można ani kupić, ani zastawić. Ale przecież ja kupię na przesiedlenie, na przesiedlenie; teraz w taurydzkiej i chersońskiej guberni oddają ziemię za darmo, żeby tylko zaludnić. Tam ich wszystkich przesiedlę! Jazda do chersońskiej! Tam niech sobie żyją! A przesiedlenie można załatwić prawnie, jak się należy, w sądzie. Jeżeli zechcą sprawdzić chłopów – owszem, czemu nie? Przedstawię zaświadczenie z własnoręcznym podpisem isprawnika. Wieś można nazwać Cziczikowa Słobódka albo od chrzestnego imienia: sioło Pawłowskoje”. I oto w taki sposób powstał w głowie naszego bohatera dziwny zamysł, za który, nie wiem, czy będą mu wdzięczni czytelnicy, ale jak autor jest wdzięczny, to nawet trudno wyrazić. Albowiem nie ma co mówić, gdyby Cziczikowowi nie przyszła do głowy ta myśl, nie ukazałby się na świecie niniejszy poemat.

Przeżegnałszy się rosyjskim obyczajem, przystąpił do dzieła. Pod pretekstem wybrania sobie miejsca zamieszkania i pod innymi pretekstami przedsięwziął wyprawę w te i owe kąty naszego państwa, a zwłaszcza w te, które bardziej niż inne ucierpiały skutkiem nieszczęśliwych wypadków: nieurodzajów, moru itp., itp., słowem – gdzie by można najdogodniej i najtaniej nakupić potrzebnych ludzi. Nie zwracał się nierozważnie do każdego obywatela ziemskiego, lecz wybierał ludzi bardziej według swego gustu albo też takich, z którymi można by było z niewielkim kłopotem załatwić podobne sprawy, starając się najpierw poznać ich, dobrze usposobić dla siebie, żeby, jeżeli można, raczej na drodze przyjaźni niż kupna otrzymać chłopów. A więc czytelnicy nie powinni oburzać się na autora, że osoby, które się dotąd pokazały, nie przypadły mu do gustu: to wina Cziczikowa, on tu jest w zupełności gospodarzem i dokąd jemu się zechce, tam i my musimy wlec się za nim. Z naszej strony, jeżeli istotnie padnie zarzut bładości i niepozorności osób i charakterów, powiemy tylko to, że nigdy na początku nie widać całego szerokiego biegu i planu dzieła. Wjazd do jakiegokolwiek miasta, chociażby nawet do stolicy, zawsze bywa jakiś błady, z początku wszystko jest szare i jednostajne: ciągną się bez końca zakłady i fabryki, zakopcone

dymem, i dopiero później ukazą się narożniki pięciopiętrowych domów, sklepy, szyldy, wielkie perspektywy ulic, całe w dzwonnicach, kolumnach, posągach, wieżach, z miejskim blaskiem, gwarem i hałasem, i wszystkim, co na podziw stworzyła ręka i myśl człowieka. Jak odbyły się pierwsze zakupy, czytelnik już widział; jak pójdą dalej interesy, jakie sukcesy i klęski przypadną w udziale bohaterowi, jak będzie musiał rozstrzygać i przezwyciężać poważniejsze trudności, jak ukazą się olbrzymie obrazy, jak podniosą się ukryte dźwignie szerokiej opowieści, rozszerzy się daleko jej horyzont i cała przybierze wspaniały tok liryczny, to czytelnik zobaczy później. Jeszcze długa droga czeka ekwipaż podróży, składający się z pana w średnim wieku, bryczki, jaką jeżdżą kawalerowie, lokaja Pietrka, stangreta Selifana i trójki koni, znanych już po imieniu, od Asesora do gałgana-larantowatego. A więc oto cały nasz bohater, taki, jakim jest! Ale być może, iż czytelnicy zażądadzą zdecydowanego określenia jednym rysem: kimże on jest właściwie pod względem wartości moralnych? Że nie jest bohaterem pełnym doskonałości i cnót – to widać. Kim więc jest? Widocznie łajdakiem? Dlaczegoż łajdakiem? Dlaczegoż być tak surowym dla innych? Teraz u nas nie ma łajdaków, są ludzie prawomyślni, mili, a takich, którzy by wystawili swe fizjonomie na publiczne policzkowanie, znajdzie się może jakich dwóch, trzech, a i ci już mówią teraz o cnocie! Najwłaściwiej będzie nazwać go właścicielem, nabywcą. Wszystkiemu winno nabywanie: z jego powodu powstały sprawy, które świat nazywa **n i e b a r d z o c z y s t y m i**. To prawda, w takim charakterze jest już coś odpychającego i ten sam czytelnik, który na swej życiowej drodze będzie się z takim człowiekiem przyjaźnił, będzie z nim dzielił chleb i sól i mile spędzał czas, zacznie krzywo na niego patrzeć, jeżeli tamten zostanie bohaterem dramatu lub poematu. Lecz ten jest mądry, kto nie brzydzi się żadnym charakterem, ale utkwivszy w nim badawczy wzrok, przenika go aż do najpierwotniejszych przyczyn. Szybko się wszystko w człowieku zmienia; nie zdążysz się obejrzeć, kiedy już wyrósł wewnątrz straszny robak, despotycznie zagarnawszy dla siebie wszystkie życiowe soki. I nieraz nie tylko wielka namiętność, ale i najnędniejsza skłonność do czegoś drobnostkowego rozrastała się w człowieku zrodzonym do świetnych czynów, zmuszała go do zapomnienia o wielkich i świętych obowiązkach i upatrywania w nędznych świecidełkach czegoś wielkiego i świętego. Nieprzeliczone jak morski piasek są namiętności ludzkie i żadna z nich nie jest podobna do innej, i wszystkie one, nędzne i piękne, z początku uległy człowiekowi, później stają się strasznymi jego władcami. Błogosławiony ten, kto spośród wszystkich namiętności wybrał sobie najpiękniejszą; wzrasta i udziesięciokrotnie się z każdą godziną i minutą jego bezmierna rozkosz i wchodzi on coraz głębiej do nieskończonego raju swej duszy. Lecz istnieją namiętności, których wybór sił zależy od człowieka. Narodziły się już one wraz z jego przyjściem na świat i nie dano mu sił, żeby się od nich wyzwolić. Siły wyższe je nakreśliły i jest w nich jakiś wieczny zew, nie milknący przez całe życie. Sądzono im odegrać wielką rolę na ziemi; wszystko jedno, czy w mrocznej postaci, czy też przemknawszy świetlanym zjawiskiem radującym świat – jednak są zesłane dla nieznanego człowiekowi szczęścia. I być może, iż w tym właśnie Cziczikowie popychająca go namiętność nie od niego pochodzi, i może w chłodnej jego egzystencji zawarte jest to, co później rzuci człowieka w proch, na kolana przed mądrością niebios. I jeszcze pozostaje tajemnicą, dlaczego ta postać ukazała się w powstającym teraz poemacie.

Ale nie to jest przykre, że z bohatera będą niezadowoleni; najprzykrejsze jest to, że istnieje w duszy nieodparta pewność, iż z tego samego bohatera, z tego samego Cziczikowa byliby czytelnicy zadowoleni. Gdyby autor nie zajrzał mu głębiej do duszy, nie poruszył na jej dnie tego, co ucieka i chowa się przed światłem, gdyby nie ujawnił najszybszych myśli, z których człowiek nie zwierza się nikomu, lecz pokazał go takiego, jakim się wydał całemu miastu, Maniłowowi i innym – wszyscy byliby bardzo zadowoleni i traktowaliby go jako człowieka interesującego. To nic, że ani oblicze, ani cała postać jego nie rzuciłyby się w oczy jak żywe; za to po skończeniu lektury dusza nie byłaby niczym wstrząśnięta i można by wrócić do zielonego stolika, zabawiającego całą Rosję. Tak, moi dobrzy czytelnicy, nie mielibyście ochoty oglądać ujawnionej nędzy ludzkiej. Na co, powiecie, po co to? Czyż my sami nie wiemy, że w życiu jest wiele rzeczy głupich i godnych pogardy? I tak często nam się zdarza widzieć to, co wcale nie jest pocieszające. Lepiej pokażcie

nam coś pięknego, pociągającego. Lepiej zapomnijmy o tym wszystkim! „Dlaczego ty mi, bracie, gadasz, że gospodarka idzie źle? – mówi dziedzic do ekonoma. – Ja, bracie, wiem o tym bez ciebie, czy nie możesz mówić o czym innym? Pozwól mi o tym zapomnieć, nie wiedzieć o tym, wówczas jestem szczęśliwy”. I oto te pieniądze, które by trochę poprawiły stan rzeczy, idą na różne środki, żeby osiągnąć stan zapomnienia. Drzemie umysł, który być może wynalazłby niespodzianie źródło wielkich dochodów, a tymczasem majątek bęc z licytacji – i poszedł dziedzic szukać po świecie zapomnienia, z duszą gotową do podłości, przed jakimi by sam się przedtem wzdrygnął.

Na autora padnie jeszcze oskarżenie ze strony tak zwanych patriotów, którzy siedzą sobie spokojnie po kątach i zajmują się zupełnie postronnymi sprawami, ciulają kapitaliki, budując sobie przyszłość kosztem innych; ale gdy tylko zdarzy się coś w ich mniemaniu upokarzającego dla ojczyzny, ukaże się jakaś książka, w której powie się niekiedy gorzką prawdę, wybiegną ze wszystkich kątów, jak pająki, które dostrzegły, że w pajęczynę zaplątała się mucha, i zaraz podniosą krzyk: „Czy godzi się wynosić to na światło dzienne, rozgłaszać o tym? Przecież wszystko, cokolwiek jest tu opisane, to nasze, czy to ładnie? A co powiedzą cudzoziemcy? Czy to przyjemnie słyszeć złą opinię o sobie? Myślą, że to niebolesne? Myślą, że nie jesteśmy patriotami?” Na takie mądre uwagi, zwłaszcza co do opinii cudzoziemców, przyznam się, nie można znaleźć żadnej odpowiedzi. Chyba ot taką: w jednym z oddalonych zakątków Rosji żyli dwaj mieszkańcy. Jeden, imieniem Kifa Mokijewicz, człowiek łagodnego charakteru, był ojcem rodziny, wiodącym życie w sposób niedbały. Rodziną swą nie zajmował się; egzystencja jego raczej zwrócona była w kierunku umysłowym i zajęta następującym, jak sam się wyrażał, filozoficznym zagadnieniem: „Ot, na ten przykład, zwierzę – mówił chodząc po pokoju – zwierzę rodzi się nagie. Dlaczego mianowicie nagie? Dlaczego nie tak jak ptak, dlaczego nie wykluwa się z jajka? Jakie to doprawdy tego... zupełnie nie można zrozumieć natury, jeśli się w nią bardziej wgłębić!” Tak myśli mieszkaniec Kifa Mokijewicz. Ale jeszcze nie to jest najważniejsze. Drugim mieszkańcem był Mokij Kifowicz, jego rodzony syn. Był on tym, co nazywają w Rosji zawiadką, i podczas gdy ojciec zastanawiał się nad narodzinami zwierzęcia, jego dwudziestoletnia, barczysta natura rwała się do świata. Do niczego nie umiał się lekko dotknąć, zawsze albo ręką komuś zatrzęszczy, albo guz wyskoczy na czymś nosie. W domu i w sąsiedztwie wszystko, począwszy od dziewczki do posług aż do psa podwórzowego, uciekało na jego widok, nawet własne łóżko w sypialni połamał na kawałki. Takim był Mokij Kifowicz, zresztą, poczciwy chłop. Ale jeszcze nie to najważniejsze. A oto, co jest najważniejsze. „Zlitujże się pan, Kifo Mokijewiczu – mówili ojcu swoi i obcy – cóż to za gagatek ten twój Mikij Kifowicz? Nikomu nie daje spokoju, taki krzywdziciel!” „Tak, urwis, urwis – zwykle odpowiadał na to ojciec – ale cóż robić. Bić się z nim już za późno, zresztą wszyscy mi zarzucą okrucieństwo; a on jest ambitny, gdy zrobić mu wymówkę przy tym i owym, uspokoi się, ale przecie się rozniesie, ot biada! Miasto się dowie i zupełnie za ostatniego będą go mieli. A cóż, myślą może, że mnie to nie martwi? Czyż nie jest ojcem? Że się zajmuję filozofią i niekiedy nie mam czasu, to już nie jestem ojcem? A właśnie że nie, jestem ojcem, jestem ojcem, niech ich diabli wezmą, jestem ojcem! Mego Mokija Kifowicza tutaj mam, w sercu!” Tu Kifa Mokijewicz bił się bardzo mocno pięścią w piersi i wpadał w pasję. „Jeżeli ma już zostać psem, to niechże nie ode mnie się o tym dowiedzą, niech ja nie będę tym, kto go wyda!” I okazawszy taką czułość ojcowską pozwalał Mokijowi Kifowiczowi spełniać nadal swe czyny bohaterskie, a sam znów wracał do ulubionego przedmiotu zadając sobie nagle jakieś pytanie w tym rodzaju: „No, a gdyby słoń się rodził w jajku, skorupa pewno musiałaby być bardzo gruba, armata by nie przebiła; trzeba by wymyślić jakąś nową broń palną”. Tak wiedli życie dwaj mieszkańcy spokojnego zakątka, którzy niespodzianie, jak z okienka, wyjrzeni w końcu naszego poematu, wyjrzeni po to, żeby odpowiedzieć skromnie na oskarżenie ze strony niektórych gorących patriotów, do czasu zajmujących się jakąś filozofią albo zbogaceniem się na rachunek tkliwie przez nich kochanej ojczyzny, myślących nie o tym, żeby złego nie robić, lecz o tym, żeby tylko nie mówiono, że źle robią. Lecz nie, nie patriotyzm i nie zdrażnione uczucia są powodem oskarżeń; coś innego się pod tym kryje. Po cóż to zatajać? Któż inny, jeśli nie autor, ma powiedzieć świętą

prawdę? Boicie się głęboko utkwionego spojrzenia, sami się lękacie skierować na coś głębokie spojrzenie, lubicie prześliznąć się po wszystkich bezmyślnymi oczami. Pośmiejecie się nawet z całego serca z Cziczikowa! być może, nawet pochwalicie autora, powiecie: „Jednak niektóre rzeczy zręcznie podpatrzył, musiał to być człowiek o wesołym usposobieniu!” I po takich słowach ze zdwojoną dumą spojrzycie na siebie, uśmiech zadowolenia ukaże się na waszych twarzach i dodacie: „Trzeba się jednak zgodzić, że bardzo dziwni i bardzo śmieszni bywają ludzie tu i owdzie na prowincji, a przy tym i nie byle jakie łajdaki!” A kto spośród was, pełen chrześcijańskiej pokory, rozmów z samym sobą skieruje do wnętrza własnej duszy to ciężkie pytanie: „A czy ui we mnie nie ma czegoś z cziczikowa?” Akurat! Niech no przejdzie wtedy koło niego jakiś jego znajomy, posiadający rangę niezbyt wysoką, ale i niezbyt niską, zaraz trąci w ramię swego sąsiada i powie omal nie parsknąwszy śmiechem: „Patrz, patrz, o, Cziczikow, Cziczikow przeszedł!” I potem jak dziecko, zapominając o wszelkiej przyzwoitości stosownej dla wieku i urzędu, pobiegnie starając się go dogonić, przedrzeźniając go z tyłu i dogadując: „Cziczikow! Cziczikow! Cziczikow!”

Ale zaczęliśmy mówić dość głośno, zapominając, że bohater nasz, śpiący w ciągu całego opowiadania jego historii, już się obudził i może łatwo usłyszeć tak często powtarzane swe nazwisko. A to człowiek obraźliwy i jest niezadowolony, jeżeli się o nim wyrażać bez szacunku. Dla czytelnika pół biedy, czy się na niego Cziczikow rozgniewa, czy nie; ale co do autora, to ten w żadnym wypadku nie powinien się kłócić ze swym bohaterem: jeszcze sporo drogi będą musieli przejść we dwoje, ręka w rękę; czekają dwie duże części – to nie bagatelka.

– Ehe–he, a cóż ty! – powiedział Cziczikow do Selifana – ty?...

– Co? – powiedział Selifan powolnym głosem.

– Jak to, co? Gawronie! Jak jedziesz? Nuże, popędzaj!

– I rzeczywiście Selifan od dawna już jechał przymrużywszy oczy, z rzadka tylko przez sen potrzęsając lejcami po bokach również drzemiących koni; a Piotrkowi już dawno, nie wiadomo w jakim miejscu, spadła czapka, a on sam, odchyliwszy się w tył, oparł głowę o kolano Cziczikowa, tak że ten musiał jej dać szturchańca. Selifan ocknął się i smagnął parę razy po grzbiecie tarantowatego, po czym ten ruszył kłusem, a Selifan, wywinąwszy batem nad wszystkimi, wyrzekł łagodnym, śpiewnym głosikiem: – Nie bój się! – Koniki się rozruszały i poniosły jak puch lekką bryczkę. Selifan tylko wymachiwał batem i wykrzykiwał: – Ech! ech! ech! – rytmicznie podskakując na koźle, w miarę jak trójka to wyjeżdżała na pagórek, to pędziła z pagórka, którymi był usiany cały trakt, dążący ledwie dostrzegalnym spadkiem w dół. Cziczikow tylko się uśmiechał, z lekka podskakując na swej skórzanej poduszce, bo lubił szybką jazdę. Któryż Rosjanin nie lubi szybkiej jazdy? Jakżeby jego dusza, dążąca do zapamiętania się, do zawirowania, nie powiedziała czasem: „Pał diabli wszystko!” Jakżeby jego dusza miała jej nie lubić? Jakże jej nie lubić, kiedy w niej jest coś wspaniałego i cudownego? Zdaje się, jakby jakaś nieznaną siłą wzięła cię na skrzydła, i sam lecisz, i wszystko leci: lecą wiorsty, lecą naprzeciw kupcy na kozłach swych kibitek, leci po obu stronach las z ciemnymi szeregami jodeł i sosen, ze stukiem siekier i krzykiem wron, leci cała droga, nie wiadomo dokąd, w ginącą dal, i coś straszego jest w tym szybkim ukazywaniu się w przelocie, kiedy znikający przedmiot nie ma czasu się zaznaczyć, tylko niebo nad głową i lekkie chmury, i wylaniający się z nich miesiąc wydają się nieruchome. Hej, trójko, ptaku-trójko! kto cię wymyślił? widać, że tylko w dzielnym narodzie mogłaś się zrodzić, na tej ziemi, która nie lubi żartować, tylko równo i gładko roztoczyła się na pół świata, idźże rachować wiorsty, dopóki ci się nie zaćmi w oczach. I niewymyślny, zdawałoby się, pojazd: nie na żelaznych gwintach, tylko po prostu samą siekierą i dłutem sporządził cię i złożył roztropny chłop jarosławski. Nie w niemieckich botfortach woźnica: broda i rękawice – i siedzi diabli wiedzą na czym; a niech no się podniesie i wywinie batem, i zanuci pieśń – konie wichrem, szprychy w kołach zwały się w jeden gładki krąg, tylko zadrżała droga i krzyknął w przestrachu przystanąwszy piechur – i oto popędziła, popędziła, popędziła!... I oto już widać w oddali, jak coś podnosi pył i przewierca powietrze.

Czy nie tak samo i ty, Rosjo, pędzisz jak dzielna nieprześcigniona trójka? Dymem dymi pod tobą droga, grzmia mosty, wszystko oddala się i pozostaje z tyłu. Zatrzymał się patrzący, zdumiony cudem boskim: czyż to błyskawica, rzucona z nieba? Co oznacza ten wzbudzający przerażenie pęd? I jakaż niewiadoma siła zawarta jest w tych nie znanych światu koniach? Hej, konie, konie, co za konie! Czyż wichry macie w swych grzywach? Czyżby czujne ucho płonęło w każdej waszej żyłce? Usłyszały z wysokości znajomą pieśń, zgodnie i razem wyteńczyły miedziane piersi i prawie nie dotykając ziemi kopytami, zamieniły się jakby w wyciągnięte linie lecące w powietrzu, i mknęła trójka, przez Boga natchniona!... Rosjo, dokądże pędzisz, daj odpowiedź! Nie daje odpowiedzi. Cudownym dźwiękiem brzmi dzwoneczek; grzmi i staje się wiatrem rozrywane na strzępy powietrze; przelatuje obok wszystko, cokolwiek jest na ziemi, i patrząc z ukosa odsuwają się i dają jej drogę inne narody i państwa.

Korekta Hanna Sawa